

Robert Goddard
Zamknięty krąg
przełożyła Jolanta Bartosik

Tytuł oryginału angielskiego: "Closed Circle"

I.

Szczęście sprzyjało nam tak często, że w końcu staliśmy się zbyt pewni siebie i jego przychylności. Gdy postanowiło nas zdradzić, wybrało chwilę, kiedy nie braliśmy tej możliwości pod uwagę.

Wychylaliśmy się z Maksem przez reling na pustym pokładzie spacerowym od strony sterburty, paląc papierosy i spoglądając na rzekę rozszerzającą się w miarę, jak oddalaliśmy się od brzegu. Od strony portu stłoczeni przy burcie pasażerowie machali rękami przyjaciółom i rodzinom zostającym w Quebecu. Nam niepotrzebne było rzewne pożegnanie. Maks trzymał w ręce "Wall Street Journal" sprzed dwóch dni, otwarty na stronie, na której widniał wydrukowany tłustymi literami nagłówek, wyjaśniający dlaczego nie oglądamy się na ląd: OSZUSTWA BABCOCKA JESIENIĄ ZNAJDĄ FINAL W SADZIE. Maks znów spojrzął na tytuł i zacisnął szczękę. Doskwierało mu zniechęcenie, wstyd, a może jakieś inne uczucie. Po chwili zaciągnął się papierosem i powiedział:

- To chyba koniec?

- Spodziewaliśmy się tego - odparłem, chcąc go jakoś pocieszyć. Ale spojrzenia, które wymieniliśmy, potwierdziły tylko, że ta świadomość jeszcze zwiększa naszą winę.

- Będzie miał dobrego prawnika - dodałem, wzruszając ramionami.

- Dobry prawnik będzie mu bardzo potrzebny. Jej też.

- Nic nie mogliśmy na to poradzić, chyba że...

- Poszlibyśmy razem z nimi na dno?

-Tak.

- Ale to nie w naszym stylu?

- Zdecydowanie nie.

Przez moment myślałem, że będzie chciał rozmawiać o tym, co zrobiliśmy. Opuściliśmy Babcocków w trudnej sytuacji i popełniliśmy wiele innych niemoralnych i nielegalnych czynów. Rzadko popadaliśmy w tak smętny nastrój, częściej jednak, niż się do tego przyznawaliśmy. Tym razem woleliśmy o tym nie rozmawiać. Maks zdusił niedopałek na balustradzie i odwrócił się do mnie z doskonale mi znanym, fałszywym uśmiechem.

- Dick miał pecha, ale nam się chyba udało. Jak sądzisz?

- Z pewnością tak.

- Mimo że musimy wracać do kochanej ojczyzny? - westchnął.

- Wykąpię się przed kolacją. Wypijesz ze mną koktajl o siódmej?

- Dobrze.

- Nie martw się. - Uderzył mnie lekko gazetą w ramię. - Nie zamierzam tego ze sobą nosić. Może ustanowimy na czas podróży zakaz poruszania tego tematu?

- Bardzo chętnie.

- Umowa stoi. Do zobaczenia później.

Minął mnie, uśmiechając się z wymuszoną wesołością, i zszedł pod pokład. Dopaliłem papierosa, patrząc jak za nami liny

holownicze opadają w skłębioną wodę. Potem ja również zdecydowałem się pójść do swojej kajuty.

Odwrociłem się od relingu i zobaczyłem przed sobą plecy otyłej kobiety ubranej w tweedy, schodzącej właśnie z pokładu słonecznego na dół, do kabin. Pomyślałem sobie -pamiętam to wyraźnie - że wygląda dość dziwnie. Była gruba i niemłoda. Zdawało mi się, że mimo stukotu pracujących silników słyszę skrzywienie jej gorsetu. Nogi w kostkach miała obrzmiałe, stopy wcisnęła w niemiłosiernie maleńkie buciki na wysokich obcasach, na których chwiała się niepewnie. Kołysanie statku było prawie niezauważalne, mógłbym się jednak założyć, że nie uda się jej zejść na dół bez jakiegoś wypadku. Wygrałbym zakład. Podmuch wiatru szarpnął jej kapeluszem, kobieta puściła poręcz, żeby go przytrzymać, i jej stopa zawisła niepokojąco w powietrzu, rozpaczliwie szukając podparcia.

-Och! Ojej!

- Już wszystko dobrze - powiedziałem, podtrzymując ją za łokieć. - Pomogę pani.

Uśmiechnąłem się uspokajająco. Nie puściłem jej, dopóki nie stanęliśmy bezpiecznie na pokładzie. Spojrzała na mnie z dołu jasnoniebieskimi oczami. Jej piersi falowały mocno ze zdenerwowania. Zapachy perfum i naftaliny mieszały się, dając dość dziwny efekt.

- Ojej, ojej... Serdecznie dziękuję, młody człowieku.

Była Angielką, chyba po sześćdziesiątce, miała krępa budowę majątnej wdówki i obfity biust. Jej szczeka lekko drżała. Moją uwagę zwrócił potrójny sznur pereł i broszka przedstawiająca bukiet kwiatów, wśród których połyskiwały rubiny i szafiry.

- Aż się boję pomyśleć, co by się stało, gdyby pan tędy nie przechodził - powiedziała już spokojniej.

- Cieszę się, że mogłem służyć pomocą, panno...

- Charnwood. Vita Charnwood. Cieszę się, że nie nazwał mnie pan panią.

- Nauczyły mnie tego lata życia w kawalerstwie.

- Czy mnie słuch nie myli? Pan mówi z brytyjskim akcentem?

- Tak, chociaż lata spędzone po tej stronie Atlantyku pewnie swoje zrobiły.

- W Kanadzie?

- Nie. W Stanach Zjednoczonych, ale...

- Pewnie i pana, podobnie jak mnie, skusiły zapewnienia Canadian Pacific, że prawie jedną trzecią podróży odbędziemy po spokojnych wodach Zatoki Świętego Wawrzyńca? Rozumiem to. Ja również źle się czuję na morzu, panie...

- Horton. - Uchyliłem kapelusza i uściśnąłem jej pulchną dłoń. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że chwyciła ją o wiele mocniej, niż mogłem się spodziewać po bezradnym zachowaniu na schodach. - Guy Horton.

- Tak, panie Horton, na morzu zawsze choruję. Nasza podróż w tę stronę... to był istny czyściec. - Z jej słów wynikało, że nie jest sama. - Pozostaje tylko mieć nadzieję, że tym razem będzie lepiej.

- Bądźmy dobrej myśli.

Uśmiechnąłem się zadowolony, że sama znalazła wytłumaczenie faktu, iż odpływam z Quebecu, a nie z Nowego Jorku. Prawdziwe wyjaśnienie z pewnością bardzo zaniepokoiłoby właścicielkę wspaniałych pereł i rubinów, ale ja nie mówiłem prawdy, jeśli nie było to konieczne.

- Jediną niedogodnością jest to, że nikt nas nie żegna. Tym sobie tłumaczę pańską obecność po tej stronie pokładu. Kiedy

wychyliłam się z góry, podziwiając widoki, przypadkiem zauważyłam pana w rozmowie z jakimś dżentelmenem.

- To był Maks, mój przyjaciel.

- Obydwaj panowie wracacie do domu po długiej nieobecności?

- Tak. Po... siedmiu długich latach.

W rzeczywistości minęło dziewięć lat, od kiedy opuściliśmy Anglię. Były to tłuste lata. Ostatnie dwa może nieco trudniejsze niż poprzednie, ale i tak lepsze niż można się było obawiać. Już to, że stałem - dobrze ubrany i zadbany - na pokładzie pierwszej klasy luksusowego transatlantyku, podczas gdy na lądzie kryzys sięgał dna, było nie lada osiągnięciem, mimo że na końcu podróży nie czekały na mnie bogactwa. Poza tym pozostawała zawsze żywa nadzieja na znalezienie bogactwa en route, co podnosiło mnie na duchu.

- W Anglii wiele się zmieniło, panie Horton. Nie wszystko się panu spodoba. Siedem lat temu było znacznie... weselej. - Nagle przyszła jej do głowy jakaś myśl. Władczym gestem położyła palec na rękawie mojej marynarki. - Musi pan przyjść na małe przyjęcie, które wydaję jutro wieczorem, zanim Atlantyk zdąży mi dokuczyć. Obie z bratanicą będziemy rade, widząc pana u nas. Pańskiego przyjaciela również.

- Dziękuję... - Oczami wyobraźni zobaczyłem zniechęcający obraz bratanicy, równie chudej, jak jej ciotka była otyła, pachnącej naftaliną i w okularach. Nagle promień słońca rozświetlił broszkę. - Skorzystam z przyjemnością. Jestem pewien, że Maks również nie odmówi.

- Będziemy panów oczekiwały o szóstej w naszym apartamencie. Zaprosiliśmy niewiele osób, ale to doskonale dobrane towarzystwo i z pewnością miło spędzi pan czas.

- Jestem pewien, że tak, panno Charnwood.

Ci, którzy zarabiają pieniądze za pomocą swojego sprytu, nigdy nie mogą się całkowicie odprężyć. Od dziesięciu lat, kiedy to opuściłem nudny świat stałych godzin pracy i miesięcznej pensji, nie zaznałem prawdziwego lenistwa, gdyż zawsze żywiłem podejrzenia, że leniuchując marnuję własny czas, a nie czas innych ludzi. Jaką mogę mieć z tego korzyść? - zastanawiałem się. - Czy właśnie trafia mi się dobra okazja?

Wiedziałem, że Maks zgodzi się ze mną. Wychodząc z kajuty na spotkanie z nim, byłem z siebie zadowolony. Przyjęcie u panny Charnwood może się okazać najnudniejsze pod słońcem, ale może też być zupełnie inaczej. Brak pewności często był kluczem do sukcesu, nie zamierzałem więc tracić nadziei. Wyszedłem na pokład spacerowy, zaczerpnąłem w płuca rozświetlonego słońcem powietrza Nowego Świata i ruszyłem dalej, zarazić przyjaciela swoją pogodą ducha.

Maks bardzo tego potrzebował. Usiadł w najciemniejszym kącie sali klubowej i z ponurą obojętnością przyglądał się podróżnym, podziwiającym hebanowe filary i orientalny wystrój pomieszczenia. Aresztowanie Ryszarda przygnębiło go, moim zdaniem bardziej niż powinno. Krach na Wall Street zmusił Babcocków - i nas - do ryzykownych posunięć. Mogło się to skończyć o wiele gorzej, szczególnie gdyby Maks się nie uparł, żebyśmy złożyli nasze pieniądze w banku w Toronto. Teraz jednak ta przezorność nie stanowiła dla niego pociechy.

Może mijające lata żrebiły swoje? Maks był starszy ode mnie zaledwie o kilka miesięcy, ale ostatnio włosy mu się przerzedziły, przytył w talii i wyglądał tak, jakby urodził się dziesięć lat przede mną. Pił trochę mniej niż ja, ale znosił alkohol znacznie gorzej niż dawniej. Czasem jego myśli i

słowa brzmiały pusto, a spojrzenie bywało pozbawione wyrazu. Często uskarżał się na bóle głowy. Podejrzałem, że może to mieć związek z raną, jaką odniósł w Macedonii. Nie rozmawiałem z nim o tym i nie wiedziałem, czy i on obawia się tego samego. Jakikolwiek były tego przyczyny, nie był już tym nieustraszonym Maksem, z którym siedem lat wcześniej przepłynąłem przez Atlantyk.

On pewnie powiedziałby coś podobnego o mnie. Ale przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze, nie mógłbym się z nim zgodzić. Włosy miałem nadal czarne i gęste, twarz bez zmarszczek, a ciało smukłe i silne. Nie widać było śladów starzenia się ani wewnętrznych rozterek. Świat - z moją pomocą - ukształtował mnie na próżnego egoistę, przystojnego i dobrze znającego życie.

- Wyglądasz smutno, stary - powiedziałem, siadając na sofie obok Maksa.

W odpowiedzi uśmiechnął się ponuro.

- Otrząsnę się z tego.

-Wiem. Znalazłem coś na pocieszenie, albo raczej: coś dostałem.

W tym momencie podszedł do nas kelner i w rozmowie nastąpiła przerwa. Ja zamówiłem koktajl, Maks whisky z wodą sodową. Kiedy przekazałem mu nowinę, okazał rozczarowanie.

- Jakaś stęchła starucha i jej nudna bratanica? Nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Pannie Charnwood nie brakuje pieniędzy.

- Tak jak i innym na pokładzie tego... - przerwał w pół zdania i popatrzył na mnie, marszcząc brwi. - Jak się nazywa?

- Charnwood. Panna Vita Charnwood.

- A bratanica?

- Zaraz... - próbowałem sobie przypomnieć.

- Diana?

-Tak. Skąd...

- Ha! - Klepnął mnie w kolano i uśmiechnął się od ucha do ucha. - Masz rację, Guy. Szczęście znów się do nas uśmiechnęło.

Nie zdążyliśmy powiedzieć nic więcej, ponieważ podszedł kelner z zamówionymi napojami. Kiedy zostaliśmy sami, musiałem spełnić toast za nasze powodzenie, zanim Maks zgodził się udzielić wyjaśnień.

- Nie słyszałeś o Dianie Charnwood?

- Nie przypominam sobie.

- Powinieneś czytać rubrykę towarzyską. Już ci to kiedyś mówiłem.

- Ty robisz to za mnie. Kim jest Diana Charnwood?

- Córką Fabiana Charnwooda, prezesa Charnwood Investments. Chyba znasz tę nazwę?

Znałem. Każdy, kto interesuje się światem wielkich finansów, wiedział, że Charnwood Investments jest wpływowym właścicielem wielkiego kapitału w wierzycielnościach dużych przedsiębiorstw i wykorzystuje swoje wpływy w sposób tak dyskretny, że cieszy się reputacją znacznie przewyższającą jego wartość, a dzięki różnorodności inwestycji nie popadło w tarapaty nawet w trudnych czasach kryzysu. Przypadkowe poznanie siostry założyciela przedsiębiorstwa było więc prawdziwym darem niebios, od których nie spodziewałem się tak wielkiej hojności.

- Diana jest córką Charnwooda, do tego jedynaczką.

- Niezameżna?

- Jak najbardziej. Pięć lat temu zaręczyła się z młodszym synem jakiegoś markiza, jednak wszystko skończyło się na cmentarzu, a nie przed ołtarzem.
- Samobójstwo. Pamiętam to. Lord Peter Gressingham. Zastrzelił się, kiedy go porzuciła.
- To nie zostało udowodnione. Przysięgli uwierzyli w wypadek. W każdym razie była narzeczona lorda jest dzisiaj doskonałą partią do wzięcia.
- Ale niebezpieczną, sądząc z przykładu lorda Petera.
- Dał się ponieść uczuciom i stracił głowę. My nie popełnilibyśmy takiego błędu. Nam się to nie zdarzało i nigdy nie zdarzy.

Wiedziałem, co chodzi Maksowi po głowie. Le Toquet, rok 1924 i moje krótkie, ale bardzo zyskowne zaręczyny z Caroline, jedyną córką sir Antony'ego Toogooda, producenta maszyn do szycia i troskliwego ojca. To było moje największe osiągnięcie. Obydwaj zagięliśmy na nią parol, ale nawet wtedy dużo lepiej niż Maks potrafiłem uwodzić kobiety. W dwa tygodnie zdobyłem serce Caroline, ale złamałem je, zanim minęły następne dwa, opłacony przez sir Antony'ego hojniej niż się spodziewałem. Udało nam się to doskonale i zostało zrealizowane z prostotą przekraczającą wszystko, co robiliśmy wcześniej. Osiągnęliśmy przyzwoity zysk, nic nie inwestując i nikt nie stracił niczego, czego nie dałoby się łatwo odzyskać: sir Antony mógł jednorazowo obciąć pensje swoim akwizytorom, a Caroline znaleźć sobie męża, który da jej szczęście.

- Ten, kto zdobędzie uczucie Diany Charnwood, wejdzie w posiadanie fortuny - powiedział Maks. - W taki czy w inny sposób.
- Nie jesteśmy w Le Toquet.
- Nie? Nie widzę wielkiej różnicy.
- Sytuacja jest inna. Z tego, co mówisz, domyślam się, że Diana Charnwood nie jest niewiniątkiem, rumieniącym się z byle powodu. Krótko mówiąc, nie jest Caroline Toogood.
- Nie wiemy, jaka jest. Na przyjęciu będziemy mogli ją poznać. Chyba nie zamierzasz przepuścić takiej okazji? , - Oczywiście, że nie. i Entuzjazm Maksa przyćmił mój własny zapal.
- To dobrze.

Z wyraźną przyjemnością napił się whisky. Zgodnie z moimi oczekiwaniami, nowe wyzwanie przywróciło mu siły. Było nawet lepiej, niż się spodziewałem.

- Co powiesz na to, żebyśmy zagrali według tych samych reguł, co w Le Toquet?
- Nie sądzę, żeby była taka potrzeba. Wtedy nie darzyliśmy się jeszcze wielkim zaufaniem.

Maks uśmiechnął się szyderczo.

- A teraz się darzymy?
- Od dawna dzielimy się wszystkim. Nigdy nie było potrzeby spisywania umowy.
- Żoną nie można się podzielić. - Widząc, że unoszę brwi do góry, dodał: - Ani narzeczoną. Wtedy umowa się sprawdziła.
- Tak, ale...
- Może i tym razem przyniesie nam szczęście.

Uniósł w górę palec, przyzywając kelnera i - ku jego zdziwieniu - poprosił o dwie kartki, po czym rozparł się w fotelu, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- To będzie twardy orzech do zgryzienia, nie przeczę. Może nawet zbyt twardy. Dziewczyna nie cieszy się dobrą reputacją.

Prawdopodobnie ma serce twarde jak diament. Można jednak za pomocą odpowiednich narzędzi i przy odrobinie zręczności przeciąć diament, a nam nie brakuje ani jednego, ani drugiego. Zgodzisz się ze mną?

- Nasze sukcesy stanowią najlepszą rekomendację.

Wymieniliśmy spojrzenia wspominając to, co zrobiliśmy, a o czym najlepiej wcale nie mówić. Kiedy kelner przyniósł papier, Maks wytarł swoje wieczne pióro, pochylił się nad stojącym obok narożnym stolikiem i zaczął pisać. Mnie również podał czystą kartkę.

Wahałem się przez moment, patrząc na wytłoczony u góry znak firmowy. Potem przeniosłem spojrzenie na nie zapisaną przestrzeń z widocznym znakiem wodnym. Maks powiedział, że nasz list intencyjny może przynieść nam szczęście, ale ja miałem przeczucie, że stanie się raczej zwiastunem katastrofy. Czy to dlatego, że próba powtórzenia wyczynu, który udał nam się siedem lat temu, wydała mi się kuszeniem losu, czy też przeczucie nieszczęścia miało jakieś głębsze źródło - nie potrafię powiedzieć. W każdym razie nie napisałem ani słowa, póki Maks nie rzucił mi na kolana swojej kartki, mówiąc:

- Zdaje mi się, że to wszystko.

Zobowiązuję się niniejszym, że podzielę się w równych częściach z moim przyjacielem, Guyem Randolfem Hortonem, wszystkimi korzyściami finansowymi, jakie mogą mi przyspaść w udziale dzięki zaręczynom i (lub) małżeństwu z panną Dianą Charnwood, gdy (jeśli) do tego dojdzie. MA.. Wingate, 19 lipca 1931 roku.

Dokument ten nie miał żadnej wartości prawnej. To, co napisaliśmy, nie zobowiązywało nas do niczego i miało wartość jedynie pod warunkiem, że nasza przyjaźń pozostanie czymś więcej niż tylko współpracą w celu osiągnięcia korzyści finansowych. Chyba z tego właśnie powodu nie miałem ochoty powierzać tych słów papierowi. Ani dla nas, ani dla świata nie było tajemnicą, że czasy są ciężkie. Trudno przewidzieć, co trzeba będzie poświęcić w imię dobrobytu, kiedy napotkamy prawdziwe trudności. Bez skrupułów zostawiliśmy Dicka na pastwę losu. Czy w chwili próby będziemy wobec siebie lojalni? Wołałem sobie na to pytanie nie odpowiadać, ale Maks, gotowy spisać naszą umowę na papierze, pewnie już to przemyślał.

- Może się okazać, że wszystko robimy na próżno - protestowałem bezskutecznie. - Panna Charnwood może się okazać niewrażliwa na nasze wdzięki.

- Wtedy będziesz mógł wyrzucić swoje zobowiązanie za burkę. Ja zrobię to samo - powiedział i spojrzał mi prosto w oczy. - Wahasz się?

- Nie, nie. - Zacząłem pisać.

Kolację zjedliśmy przy osobnych stolikach, by zwiększyć szansę na zawarcie innych obiecujących znajomości wśród zamożnych współpasażerów. Wśród tych, których towarzystwo zmuszony byłem znosić podczas spożywania niezliczonych smakowitych dań, znaleźli się: bogaty handlarz celulozy z Nowej Fundlandii i jego olbrzymiej postury żona; pozbawiona jakichkolwiek hamulców aktorka i jej ponury mąż; tajemniczo wyglądająca hrabina z Polski; chirurg okrętowy, który poderwał się na równe nogi, gdy żona handlarza celulozy zakrzuszyła się, i powściągliwy, ale czujny pan Faraday.

Dzisiaj boję się Faradaya dużo bardziej niż wtedy, gdy - rozluźniony po paru kieliszkach dobrego wina - nie dostrzegłem, że gra on w tę samą grę, co ja: przysłuchuje się rozmowom innych, nie mówiąc nic o sobie. Miał około pięćdziesiątki, był niski i szczupły. Włosy i wąsy miał czarne, krótko przystrzyżone, ruchliwe usta, które zdawały się smakować jakieś delicje, nawet gdy nic w nich nie miał. Kiedy słuchał lekko drżała mu głowa. Najbardziej niepokojące były jednak oczy, przyglądające się wszystkiemu bez mrugnienia z jakąś kocią uwagą. Maniery miał bez zarzutu, mówił rzeczy oczywiste, a mimo to budził we mnie niechęć. Nie rozumiałem go. Miałem natomiast nieprzyjemne wrażenie, że on mnie rozumie aż nazbyt dobrze. Postanowiłem go unikać.

Panien Charnwood - ciotki i bratanicy - nigdzie nie dostrzegłem. Albo zjadły kolację u siebie, albo jeszcze nie przyszły. Możliwe, że Diana o sercu twardym jak diament zdecydowała się pokazać nowemu towarzystwu dopiero, gdy będzie miała pewność, że zwróci powszechną uwagę. A może nie lubiła restauracji z jej przypadkową klientelą? Tę niechęć odczuwałem i ja, ale nie mogłem sobie pozwolić na pობлаżanie jej.

Jednak moja nadzieja na spotkanie panny Charnwood przed przyjęciem, dzięki czemu mógłbym ocenić stojące przed nami zadanie, nie była płonna. Przez cały następny dzień "Empress of Britain", biała i lśniąca, płynęła spokojnie pod bezchmurnym niebem po wodach Zatoki Świętego Wawrzyńca. Pasażerowie wychodzili na świeże powietrze i, otuleni ciepłymi pledami, grali w gry zręcznościowe, spacerowali, wpatrywali się w horyzont, niektórzy zaś obserwowali innych, sami przez nikogo nie zauważeni.

W tym celu i my z Maksem, w czapkach i szalikach, spędziliśmy większą część dnia na spacerach po statku, z pozoru niczym się nie interesując, w rzeczywistości jednak uważnie wszystko obserwując. Idąc tuż przed samym południem pokładem łodziowym w stronę rufy, zauważyłem pod nami, na pokładzie słonecznym, wdychającą świeże powietrze pannę Vitę Charnwood we własnej osobie, w wysokich butach i tweedach. Nie była jednak sama. U jej boku szła lekkim krokiem szczupła młoda kobieta w obszytym futrem płaszczu i w kapeluszu.

- Panny Charnwood - szepnąłem do Maksa. Staliśmy w cieniu łodzi ratunkowej, żeby się im przyjrzeć. - Poznajesz ją?

- Ze starych zdjęć w gazetach? - zdziwił się Maks. - Z tej odległości to niemożliwe. Zejdę na dół i rzucę na nie okiem. Zaczekaj tutaj. To moja ostatnia szansa, żeby ją zobaczyć przed dzisiejszym przyjęciem. Ty już poznałeś ciotkę.

- Niech będzie, idź.

Maks skierował się ku najbliższej schodni, a ja zostałem sam. Panny Charnwood były w połowie długości statku, kiedy zobaczyłem go na dole. Szedł w stronę przeciwną niż one, dzięki czemu mógł im się dobrze przyjrzeć, szczególnie że zatrzymały się właśnie na moment, by zamienić z kimś kilka słów. Po chwili panie zniknęły z pola mojego widzenia. Maks stał oparty o reling. Oczekałem chwilę, by nie spotkać się z nimi po drodze, i zszedłem na dół.

Kiedy do niego podszedłem, Maks palił papierosa. Zamyślony, patrzył na niebieską banderę powiewającą na wietrze.

- No i co? - spytałem, kiedy stało się jasne, że sam nic nie powie.

- Przepraszam - mruknął, uśmiechając się lekko. Wyglądał, jakby się obudził z przyjemnego snu. - To ona. Jest dużo piękniejsza niż na zdjęciach.

- Jest na czym zawiesić oko?

- Raczej tak.

- Powiedz coś więcej. Ja widziałem tylko rondo kapelusza.

- Rzeczywiście - powiedział, patrząc w bok. - Szczerze mówiąc, stary, nigdy nie widziałem piękniejszej kobiety.

Człowiekowi, który otrzymał klasyczne wykształcenie, mitologiczne porównania nasuwają się same, nawet w trywialnych sytuacjach codziennego życia. Kiedy Maks chwalił urodę Diany Charnwood, przypomniał mi się los Akteona, który oglądał piękne ciało innej Diany. Ale bogini - przypomniałem sobie - była w kąpieli, a spadkobierczyni fortuny tylko spacerowała. Poza tym, dotychczas Maks rozumiał, że korzystniej jest gonić za bogactwem niż za urodą. Byłem przekonany, że mój przyjaciel nie zapomni tej prostej prawdy.

W każdym razie to, co zobaczył pod rondem kapelusza, wzmogło w nim pragnienie skorzystania z nadarzającej się okazji. Umówiliśmy się, że przyjdziemy do apartamentu panien Charnwood piętnaście minut po rozpoczęciu przyjęcia, żeby nie dać im poznać, jak ważne dla nas jest to wydarzenie. Dziesięć po szóstej, wychodząc ze swojej kajuty, znalazłem przed drzwiami karteczkę od Maksa.

Postanowiłem pójść wcześniej. Do zobaczenia. M.

Ten chytry podstęp rozśmieszył mnie. Maks wolał sam przedstawić się gospodyniom, niż przybyć do nich u boku znacznie od siebie przystojniejszego przyjaciela. Wieczór jednak dopiero się zaczynał. Miałem powody przypuszczać, że wkrótce przechytrzę Maksa.

Apartament panien Charnwood należał do największych na statku. Kiedy przyszedłem, było tam już tłoczno. Złote promienie słońca, wpadające przez okna, przedzierały się między pograżonymi w rozmowach gośćmi. Minałem kelnerów serwujących szampana i kanapki i poszedłem przywitać się ze starszą panną Charnwood. W głęboko wyciętej sukni z różowego atłasu wydawała się jeszcze grubsza niż w codziennych tweedach.

- Pan Horton! - zawołała. - Cieszę się, że jednak nas pan odwiedził.

- Przecież obiecałem, że przyjdę, panno Charnwood.

- Pański przyjaciel, pan Wingate, mówił, że coś może pana zatrzymać.

- Ach tak?

- Widocznie źle go zrozumiałam. Nieważne. Diana chciałaby pana poznać. Jest... Zdaje się, że wyszła na balkon. Przedstawię panu naszych gości. - Pokazała ręką na brodatego mężczyznę, mniej więcej w jej wieku, i nieśmiałą kobietę, którą wziąłem za jego żonę. - Poznałyśmy państwa Preece'ów przy wodospadzie Niagara. Potem spotkaliśmy się w hotelu w Quebecu. Pan Preece jest specjalistą od esperanto. Dużo mi o tym opowiadał.

Nie miałem zamiaru pozwolić, by pan Preece opowiadał mi o esperanto, uciekłem więc od niego tuż za panną Charnwood. Nie muszę chyba dodawać, że poszedłem na balkon.

Lekki wiatr pozwalał odpocząć od hałasu i zaduchu panujących w apartamencie. Diana stała w otoczeniu młodych i starszych wielbicieli. Wszyscy, wśród nich również Maks, prostowali ramiona, żeby nie dopuścić do swojego kółka

nikogo nowego. Każdy chciał się okazać bystrzejszy od innych. Atmosfera rywalizacji działała podniecająco. Nie było w tym nic dziwnego. Podobne sceny widywałem na przyjęciach w Nowym Jorku, kiedy gospodarzy zaszczycą swoją obecnością jakaś gwiazdka z Hollywoodu. Wiedziałem, że lepiej będzie nie mieszać się z tłumem. W takiej sytuacji ten, kto się spóźnia, przegrywa. Pozostało mi tylko kręcić się w pobliżu, przybierając tajemniczą pozę, i nie tracić nadziei. Odszedłem w drugi koniec balkonu, gdzie popijałem szampana, przyglądając się obiektowi powszechnego zainteresowania.

Musiałem przyznać, że rzeczywiście jest piękna. Ciemnobrązowe włosy uczesała w kok, odsłaniając twarz. Zwykle nawet w najpiękniejszej twarzy można znaleźć jakiś brak: zbyt wąskie usta, zbyt mocne szczęki, coś, co psuje ogólną doskonałość. Ale nie w przypadku panny Charnwood. Lśniące w słońcu oczy, usta rozchylające się w delikatnym uśmiechu, długa szyja - wszystko było piękne i fascynujące.

Miała na sobie elegancką błękitną suknię, wisiorok z topazem i cienką złotą bransoletkę na lewej ręce. Te skromne ozdoby nie liczyły się, czego panna zdawała się świadoma. Była uprzejma i miła, ale powściągliwa. Dość często spoglądała na morze, jakby chciała dać do zrozumienia, że towarzystwo inteligentnych, prawiących komplementy mężczyznom mimo wszystko nie jest jej godne. Nie widziałem, czy Maks radzi sobie lepiej niż inni, było jednak oczywiste, że udało mu się zdobyć nade mną przewagę.

Zastanawiałem się właśnie, czy nie odciągnąć go na bok, kiedy na balkon wyszedł ten odpychający Faraday. Natychmiast go zauważyłem.

- Nie wiedziałem, że pan zna panny Charnwood, panie Horton
- powiedział z uśmiechem.

- Ja również nie spodziewałem się spotkać tu pana, panie Faraday.

- W Quebecu miałem przyjemność wyświadczyć starsze}
pannie Charnwood niewielką przysługę.

- Jakiego rodzaju?

Potańił lekko nos i uśmiechnął się szerzej.

- Dobrze się pan bawi?

- Oczywiście. A pan?

-Tak. To bardzo... pouczające.

- Pan Horton?

Obok mnie stanęła roześmiana Diana. Uwolniła się od towarzystwa natrętnych adoratorów, którzy spacerowali teraz bez celu po balkonie, nie wiedząc, w którą stronę obrócić kroki.

- Tak. - Uścisnąłem jej dłoń. Zauważyłem, że ma giętkie palce.

- Bardzo mi przyjemnie.

- Natychmiast pana poznałam. Ciocia opowiadała mi o panu. -

Teraz, gdy patrzyłem na nią z bliska, jej powściągliwość znikła; spoglądała na mnie ciepło. - Pański przyjaciel również.

- Spojrzała na Maksa, on zaś uśmiechnął się do mnie wyniośle i jednocześnie nieśmiało. - Zna pan pana Faradaya?

- Od niedawna.

- Nikt nie zna go dobrze. - Mówiąc to spojrzała na niego, jeśli jednak chciała go sprowokować, nie udało się jej. Faraday odpowiedział lekkim uniesieniem brwi. - Bardzo dziękuję, że pomógł pan wczoraj cioci Vicie - dodała, znów zwracając się do mnie.

- Drobiazg. Czy pani również woli płynąć tą trasą?

- Tak. Ale z innego powodu - spoważniała nagle. -
Przepraszam - powiedziała i szybko weszła do środka.
Widząc, że jestem zaskoczony tak nagłym zakończeniem
rozmowy, Faraday przysunął się bliżej i powiedział:
- Obawiam się, że zadał pan dość niezręczne pytanie, panie
Horton.
- Nie widzę w nim nic niezręcznego.
- Jej matka zginęła na "Lusitanii". Nie wiedział pan o tym?
- Nie - burknąłem. - Oczywiście, że nie. - Zaprzagnąłem
dowiedzieć się czegoś więcej, odezwałem się więc znowu
nieco grzeczniejszym tonem: - Pan, zdaje się, wiele wie o tej
rodzinie.
- Nie powiedziałbym. Jestem tylko trochę lepiej
poinformowany niż pan.
Nie dając się wyprowadzić z równowagi z uśmiechem
spytałem, siląc się na uprzejmość:
- Panna Charnwood została uratowana? Czy może nie było jej
wówczas na pokładzie?
- To drugie. Jej matka podróżowała sama. Wracała z
odwiedziny u rodziny w Pittsburghu. Z domu była McGowan.
Pokrewieństwo Diany ze znaną rodziną właścicieli hut w
Pensylwanii czyniło z niej tym lepszą partię. Wyczułem, że
Faraday przygląda mi się, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie
zrobiła na mnie ta wiadomość. Starąłem się nic po sobie nie
pokazać.
- No, muszę już iść - powiedział po chwili, uklonił mi się
lekko i odszedł.
- I co ty o tym sądzisz? - spytał Maks.
Został na balkonie i teraz podszedł do mnie.
- Jest nawet bardziej perfidny niż ty.
Uśmiechnął się z przymusem.
- Nie obwiniaj mnie o to, że twoja taktyka okazała się
nieskuteczna, stary.
- Oświecę cię. Jej matka poszła na dno razem z "Lusitanią". Z
domu była McGowan.
- Wiem.
- Wiesz?
- Z rubryki towarzyskiej. Pamiętasz? - Jego głupawy uśmiech
zaczął mi działać na nerwy. - Pewnie się ucieszysz, kiedy ci
powiem, że idzie mi bardzo dobrze.
- Tak?
- Myślę, że się jej spodobałem.
- Skoro tak mówisz.
- Tak. Pewnie od dawna chciała poznać kogoś takiego jak ja. -
Mój uśmiech musiał być pełen niedowierzania, bo Maks
nieoczekiwanie spoważniał. - Zawsze ci się zdawało, że nie
potrafię rozmawiać z kobietami, co? Być może już wkrótce
przekonam cię, że nie wszystkie panie pragną mężczyzny o
wyglądzie Valentina.
- Na miłość boską! - Zdenerwowany uderzyłem ręką w
balustradę. - Jest rzeczywiście piękna, zgadzam się. Jest
wyjątkowa i pociągająca pod każdym względem, ale
doskonale nad sobą panuje. Nie sądzę, żeby któryś z nas miał
choćby cień szansy na zdobycie jej serca.
Maks zmrużył oczy.
- To się jeszcze zobaczy - powiedział, obrócił się na pięcie i
odszedł, zostawiając mnie samego z szampanem i urażoną
pychą.
Okazało się, że Maks dobrze oceniał swoje szansę. Kiedy
przyjście dobiegło końca, znalazł się w samym środku

uprzywilejowanej grupy gości, którzy odprowadzili Dianę i jej ciotkę na kolację. Ku mojemu przerażeniu, poszedł z nimi również Faraday. Odniosłem jednak wrażenie, że więcej uwagi poświęca Vicie. Widocznie był świadom swoich możliwości; w przeciwieństwie do Maksa.

Dostałem po nosie; pocieszałem się nadskakując przy kolacji Atkinson-White'om, małżeństwu, które nie potrafiło zdecydować, jak ulokować pieniądze otrzymane niedawno w spadku. Uznałem, że okazałbym się nieuprzejmy, gdybym nie przyszedł im z pomocą. Ucieszyli się, kiedy obiecałem, że skontaktuję się z nimi w Anglii.

Jeśli chodzi o Maksa, to pierwszą okazję do mniej emocjonalnej oceny jego postępów miałem nazajutrz rano, po meczu tenisowym. Od lat wygrywał ze mną większość meczów w klubie Tuxedo. Tym razem swoje zwycięstwo zawdzięczałem z pewnością nie tylko kołysaniu statku. Okazało się, że zazdrość jest dobrym trenerem.

Maks nie przejął się przegraną. Biorąc pod uwagę okoliczności, mógł sobie na to pozwolić.

- Na morzu grasz lepiej, Guy - powiedział w szatni. -W przeciwieństwie do mnie.

- Byłeś zbyt pewny siebie - odciąłem się. - Nigdy jeszcze nie straciłeś tylu punktów, a mimo to nie przestajesz się uśmiechać.

- Mam ku temu powody. Moje zwycięstwo przyćmiewa twoje.

- To znaczy, że dobrze ci idzie?

- Bardzo dobrze. Lubi mnie. Nie wiem, czy zawdzięczam to życzliwości losu, czy też jej dobremu gustowi. Tak czy inaczej - powiedział i rzucił we mnie mokrym ręcznikiem, kiedy zacząłem się śmiać - nie masz powodu do zmartwienia, stary. Podzielę się z tobą swoim zyskiem.

- Sądzisz, że wkrótce będziemy coś z tego mieli?

-Jeszcze za wcześnie, żeby mieć pewność, ale... jestem dobrej myśli.

Dobrej myśli? Tak, ale to nie wszystko. Wyglądało na to, że nie myślał o pieniądzach. Trudno w to uwierzyć, ale Maks sprawiał wrażenie szczęśliwszego niż kiedykolwiek w ciągu kilku ostatnich lat; zachowywał się i mówił jak mężczyzna zakochany. Wzięliśmy prysznic i poszliśmy napić się czegoś w kawiarence przy korcie tenisowym, z ozdobnymi kratami i wiklinowymi meblami. Tam miałem okazję przyjrzeć mu się na spokojnie. Otoczony kłębam dymu z papierosa, z rozmarzeniem spoglądał w dal, przerywał sobie w pół zdania i zapominał, o czym rozmawiamy. Wiedziałem, co to znaczy. Nie widziałem jednak powodu do obaw. Zakochanie uczyni jego przedstawienie tym bardziej przekonującym. Znałem go dobrze i nie obawiałem się, że uczucie może wziąć górę nad tym, co dotąd kierowało naszymi krokami.

Poza tym, jak słusznie zauważył Maks, nie miałem powodów do narzekania. Kiedy on poszedł z Dianą na obiad, ja udałem się do okrętowej biblioteki i odszukałem nazwisko jej ojca w "Who's Who".

CHARNWOOD Fabian Melville, lekarz-konsultant, sędzia pokoju, Surrey; właściciel Charnwood Investments; ur. 17.05.1870, syn Andrew Charnwooda, żona Maud (zm. 1915), córka Zachary McGowana, Pittsburgh, USA; jedna córka. Wykształcenie: Christ's Hospital, Sidney Sussex College, Cambridge. Ukończył studia w 1892, w 1897 zdobył tytuł lekarza-konsultanta. W 1893 podjął pracę w firmie ojca Moss Charnwood Ltd., produkującej w Londynie karabiny i inną

broń. W 1901 został dyrektorem, w 1906 prezesem. Zrezygnował z tego stanowiska i założył Charnwood Investments w 1907. Adres: Bursztynowy Dwór, Dorking, Surrey, tel.: Bookham 258. Kluby: Ambasador, Gresham, Św. Jakuba.

Standardowa, krótka i niewiele mówiąca biografia. Byłem zadowolony, ponieważ powściągliwość często jest dowodem bogactwa. Nam zaś chodziło przede wszystkim o pieniądze. Maks zabiegał o córkę, ale obaj rościliśmy sobie pretensje do majątku ojca. Tak, chodziło nam o Fabiana Melville'a Charnwooda.

Podróż przebiegała spokojnie, podobnie jak - wbrew moim przewidywaniom - znajomość Maksa i Diany Charnwood. Obiady i kolacje jadali zwykle razem, bez Vity, która czuła się nie najlepiej, od kiedy wypłynęliśmy na ocean. Wieczorami tańczyli walca, a za dnia spacerowali po pokładzie. Przy każdej okazji okazywali sobie, jak wiele przyjemności sprawia im przebywanie razem, co dla innych, cynicznych obserwatorów, stanowiło nieomylny objaw zaburzeń psychicznych zwanych powszechnie miłością.

Jak każdy w miarę inteligentny człowiek, od dawna wiedziałem, że miłość jest tylko fizycznym pożądaniem, ze względu na przyzwoitość przyodzianym w skąpe szatki filozofii. Niejedną kobietę udało mi się przekonać, że mnie kocha, ale nawet przez chwilę nie wierzyłem, że ja kocham którąś z nich. Tak samo było z Maksem. Przynajmniej tak mi się dotąd zdawało.

Mijał dzień za dniem. Maksa widywałem tylko wieczorami, gdy przy świetle księżycy wpatrywał się w urodziwą Dianę. Byłem zmuszony zmienić swoją opinię o nim. Trzydzieści cztery lata to zbyt poważny wiek, żeby pozwalać sobie na głupstwa; byłem mocno zaniepokojony; tym bardziej, że dziecięce choroby są szczególnie niebezpieczne, kiedy chorują na nie dorośli. Mimo to nie martwiłem się. Gdyby nawet wydarzyło się niemożliwe i Maks by się ożenił, nie wyszedłbym na tym źle. Kontrakt, który podpisaliśmy, i wieloletnia przyjaźń dawały mi poczucie pewności. Nie wątpiłem, że gdy ojciec Diany - co wydawało mi się najbardziej prawdopodobne - zechce Maksowi zapłacić, żeby znikł z życia jego córki, mój przyjaciel zachowa się rozsądnie. Miałem nadzieję, że dla Diany ta znajomość jest czymś więcej niż tylko przelotnym romansiem w podróży. Najlepsze, co mogłem zrobić, to nie przeszkadzać w rozwoju zażyłości między nimi. Dlatego nie narzucałem się im. Ilekroć z nimi byłem, utwierdzałem się w przekonaniu, że dobrze robię trzymając się jak najdalej.

Na szczęście rzadko widywałem Faradaya. Domyślałem się, że większość czasu poświęca zgnębionej Vicie. W każdym razie nie należał go grona nocnych marków, którym dotrzymywałem towarzystwa. Składało się ono w większości z bogatych nieszczęśników, którzy mieli kłopoty ze snem i kiepsko grali w pokera. W ostatnim tygodniu podróży żałowałem, że nie płyniemy dookoła świata. Jednak wszystko, co dobre, kiedyś się kończy, a ja nie chciałem, żeby moje szczęście okazało się jedną z tych rzeczy. W sumie więc cieszyłem się, że wkrótce postawię nogę na ojczystym brzegu, chociaż Anglia nie wydawała mi się przytulna ani we wspomnieniach, ani w myślach o przyszłości.

Pozwoliłem Atkinson-White'om wygrać ze mną w tenisa - co wcale nie było łatwym zadaniem, wykapałem się, ubrałem i wyszedłem wcześniej, żeby przed obiadem wstąpić do głównej sali klubowej. Było to pomieszczenie przeładowane marmurami i sztukaterią. Chciałem usiąść w fotelu przy oknie i patrząc na bezkresne morze i niebo, w spokoju wypić koktajl manhattan. Niestety, o spokoju nie zdążyłem nawet pomyśleć, gdyż po kilku minutach cichutko podszedł do mnie pan Faraday.

- Pozwoli pan, że się przysiadę, panie Horton? - Grzeczność była najpotężniejszą bronią tego człowieka. - Ostatnio rzadko się widywaliśmy.

- To duży statek - odparłem.

- Jednak nie aż tak duży, żeby nie mogło dojść do pewnych... wydarzeń towarzyskich... od kilku dni oczywistych dla wszystkich - powiedział, przysiadając w sąsiednim fotelu. - Zgodzi się pan ze mną?

- Niestety nie wiem, co pan ma na myśli.

- Ostatnią zdobycz Diany Charnwood, na przykład. Pan przecież musi o tym wiedzieć.

- Muszę?

- Jest pan przecież przyjacielem pana Wingate'a. Znać się chyba jeszcze z czasów szkolnych, jak mi się zdaje.

Zrobił przerwę, kiedy kelner przyniósł mu kieliszek pełen czegoś, co do obrzydliwości przypominało creme de menthe. Byłem wstrząśnięty odkryciem, że wie o mnie więcej niż ja o nim. Zacząłem też podejrzewać, że zamówił sobie likier, siedząc w jakimś kącie i obserwując mnie. Chwilę później poczułem się jeszcze bardziej zaniepokojony.

- Z Winchester, jeśli się nie mylę - powiedział Faraday z uśmiechem.

- Tak, studiowaliśmy z Maksem w Winchester, ale...

- Byliście razem w Macedonii, w oddziale strzelców królewskich.

Milcząc, zapaliłem papierosa. Musiałem pozbierać myśli.

- Zechce mi pan wyjaśnić, skąd pan to wszystko wie, panie Faraday?

- Słuchani i przyglądam się - wyjaśnił i łyknął likieru. - Słyszałem, co Diana mówiła ciotce o swoim nowym wielbicielu. Zwróciłem uwagę na krawat, który nosi podczas spacerów. To stara szkoła o wojskowych tradycjach.

- To słowa pełne mądrości.

Poczułem się lepiej, kiedy zrozumiałem, że nie wie o nas nic więcej, niż udało mu się domyślić. Uświadomiłem sobie jednak rzecz całkiem nieoczekiwaną: że Mąką może stać się zbyt gadatliwy pod wpływem zauroczenia Dianą.

- Rozumiem, że jest pan powiernikiem panny Vity - powiedziałem.

- Czasem prosi mnie o radę, ale nic więcej.

- W jakiejś konkretnej sprawie?

- Bardzo się troszczy o dobro bratanicy, a pod nieobecność brata nie ma się kogo poradzić. Prawdę mówiąc, nawet nie pyta mnie o zdanie; mówi tylko głośno to, co myśli, a ja słucham.

- Co myśli o rozkwitającym romansie?

- Myśli pan, że on rozkwita?

- Zdawało mi się, że pan to sugerował.

Zaśmiał się.

- Zgodzimy się chyba, że młodzi spodobali się sobie. Przyznaję, że trochę mnie to dziwi. Jeśli chodzi o pana Charnwooda...

- Zna go pan?

- Mieliśmy wspólne interesy. Znam go jednak wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie będzie zadowolony z zażyłej znajomości... z tym człowiekiem.

- Panna Charnwood jest dorosła i nie potrzebuje zgody ojca.

- Jej wiek nie ma nic do rzeczy. Zawsze robiła to, co jej kazał ojciec. - Obejrzał się i dodał: - Tak mówi ciotka.

- Na czym więc polega problem panny Vity? Może chyba poczekać na decyzję brata?

- Chodzi o to - Faraday przerwał na moment, żeby łyknąć trochę creme de menthe - że brat liczy się z jej zdaniem... Mogłaby go przekonać do pana Wingate'a, jednak najpierw musiałaby wiedzieć o nim coś więcej. Winchester i strzelcy królewscy to niewiele. Co robił w ciągu ostatnich... dwunastu, trzynastu lat?

- Nic, co mogłoby go zdyskredytować.

- A jednak chciałbym wiedzieć, co robił.

Uśmiechnąłem się; Faraday popełnił gafę, a w dodatku nie docenił mojej inteligencji.

- Lepiej będzie, jeśli Maks opowie panu o tym osobiście.

- A jednak pan mógłby podzielić się ze mną swoją wiedzą. Wiem przecież, że od dawna jesteście współnikami. Jeśli opowie mi pan o sobie, poznam zarazem pańskiego przyjaciela.

Pochyliłem się nad stolikiem, żeby zgasić papierosa.

- Co pan będzie z tego miał, panie Faraday? - spytałem.

- Chcę pomóc.

- Komu? Vicie? Dianie? Fabianowi Charnwoodowi? Czy może sobie?

Jedyną odpowiedzią na moje pytania był krzywy uśmiezek.

- O kogośkolwiek by chodziło, pan mi nie pomoże. Przepraszam. - Wstał i pospiesznie wyszedł, jakby nagle zatęsknił za świeżym powietrzem.

Wieczorem nie miałem szczęścia w kartach. Tak sobie mówiłem, chociaż prawdą jest też, że słowa Faradaya nie dawały mi spokoju i nie mogłem się skoncentrować na grze. W pokerze rozkojarzony gracz nie może być dobry. Nie było rady, musiałem wcześniej wrócić do swojej kajuty.

Nazajutrz wstałem o świcie. Byłem niespokojny i z niecierpliwością wyczekiwałem końca podróży. Postanowiłem przed śniadaniem popływać. Poszedłem na basen w nadziei, że o tej porze będzie pusty. Wydawało mi się, że rzeczywiście nie ma tu nikogo oprócz kamiennego żółwia, trzymającego straż dzień i noc, czekającego, żeby mnie przywitać. Moja samotność jednak - jak to się często zdarza na statku - okazała się złudna. Odwieszałem właśnie płaszcz i ręcznik na wieszak w szatni, kiedy usłyszałem, że nieco dalej ktoś otworzył drzwi. Potem usłyszałem plusk, kiedy wskoczył do wody.

To była kobieta. Płynęła szybko, energicznie. Wyszedłem z szatni i odruchowo skryłem się za filarem. Przyglądałem się jej, gdy podpływała do brzegu, przy którym stałem, i później, gdy przepływała następny basen. Dopiero kiedy odepchnęła się od ściany z drugiej strony basenu i zwolniła, żeby obrócić się na plecy, upewniłem się, że to Diana Charnwood. Wyszedłem zza filaru; zobaczyła mnie i stanęła pośrodku basenu.

- Wspaniale - pochwaliłem ją, unosząc dłoń i uśmiechając się.
- Pan Horton - powiedziała zdyszana. - Nie wiedziałam...
Sądziłam, że jestem sama.
- Ja również.
- Przychodzę tu prawie codziennie... Zawsze o tej samej porze.
- W takim razie miała pani prawo przypuszczać, że nikogo tu nie będzie. Przykro mi, że zakłóciłem pani spokój.
- Niech pan nie wygaduje głupstw. Będzie pan pływał?
Uśmiechnęła się zachęcająco. Zebrałem wszystkie siły, zanurkowałem, przepłynąłem obok niej i zawróciłem. Tymczasem Diana podpłynęła do brzegu i stanęła pod kamiennym żółwiem. Nawet pod czepkiem pływackim jej wilgotna i pozbawiona makijażu twarz była uderzająco piękna.
- Widzę, że nie udało się pani namówić Maksa na pływanie - powiedziałem.
- Nie. Twierdzi, że nie umie pływać.
- Niestety, to prawda. Będzie go pani musiała nauczyć.
- Chciałabym, jeśli... - Zarumieniła się. - Wiem, że jest pan przyjacielem Maksa. Czy mogę ci mówić po imieniu? Maks dużo mi o tobie opowiadał. Trudno mi nazywać cię panem Hortonem. Proszę, żebyś ty również mówił mi po imieniu. Maks... Ja... My... Wiem, że zachowuję się jak głupiutka gąska, ale jeszcze nigdy nie znałam takiego mężczyzny... Bardzo go lubię. Przy nim jestem szczęśliwa. Inni mężczyźni, których znałam, nie umieli dać mi szczęścia.
- Nie wierzę.
- Naprawdę. Chodzi mi o to, że pasujemy do siebie. Nie zamierzam zmieniać Maksa. Zbyt często ludzie chcieli mnie zmieniać. Ja nie popełnię tego błędu. Nie będę Maksowi mówiła, z kim ma się spotykać. Zależy mi na tym, żebyś nadal pozostał jego najlepszym przyjacielem.
- Nigdy w to nie wątpiłem.
- To dobrze.
- Żałuję tylko, że nie mogę pozbyć się wątpliwości co do pana Faradaya. - Jej twarz wykrzywił grymas. - Wypytywał mnie o Maksa. Zdaje się, że robił to na prośbę twojej ciotki.
- Nikt go o to nie prosił - powiedziała zmienionym tonem. - Nie rozumiem, co ciocia Vita widzi w... Radzę nie zwracać uwagi na pana Faradaya. Ja trzymam się tej zasady. Żałuję, że ciocia Vita postępuje inaczej.
- Postaram się.
- Przepłyniemy jeszcze dwa baseny? Mam ochotę się pościgać. Po wysiłku fizycznym śniadanie lepiej smakuje. Pewnie miała rację, ale we mnie obudził się całkiem inny apetyt, kiedy zakończyliśmy wyścig remisem i Diana wyszła z basenu, oblepiona mokrym kostiumem, i poszła do szatni. Z przyjemnością, spokojnie podziwiałem jej piękną twarz. Teraz jednak, patrząc na jej nieskazitelne ciało, z niepokojem poczułem nagle pożądanie. W tej chwili żałowałem, że wybrała Maksa, a nie mnie. Przyjaciel podzielił się ze mną zyskami, ale cała przyjemność przypadnie w udziale tylko jemu. Mnie pozostawało tylko patrzeć i marzyć.
Zachmurzone niebo zwiastowało bliskość Anglii z jej ponurym latem. Kiedy zobaczyłem szare i rozmokłe wybrzeże Kornwalii, wróciłem do kajuty, żeby się spakować. Ledwie się do tego zabrałem, ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Maks.
- Pomyślałem, że powinniśmy zamienić kilka słów, stary - powiedział.
- To miła odmiana, Maks.
- Ostatnio byłem bardzo zajęty.

- Rozumiem. Diana mi to wyjaśniła dzisiaj rano.
- Mówiła mi o waszym spotkaniu.
- Twoja kampania zakończyła się wielkim zwycięstwem.
- Jak dotąd wszystko idzie dobrze. Nie zapominaj, że to nasza wspólna kampania.
- Nie zapomniałem, tylko trudno mi w to wierzyć. Do czego może doprowadzić ten romans? Czy powinienem się już przygotowywać do roli drużby?
- Bardzo śmieszne - powiedział, ale pozostał poważny. Z jego zachowania wywnioskowałem, że rzeczywiście myśli o małżeństwie. - Posag nie będzie przecież mniejszy niż zapłata za zostawienie córki w spokoju.
- Chyba masz rację. Sądzę, że nawet byś to wolał.
Maks zacisnął wargi i zaczął chodzić po kajucie. Potem zatrzymał się przy oknie i spojrzał na niegościnniej ojczysty brzeg.
- Ona nie jest głupia. Sam mnie przed tym ostrzegałeś. Muszę być ostrożny.
- Oczywiście.
- Nie wolno mi zapominać o ojcu. Przy nim będę się musiał mieć na baczności. - Włożył do ust papierosa, ale nie zapalił go. - Będę musiał uważać. - Wyjął papierosa i odwrócił się do mnie. - Diana zaprosiła mnie do siebie do Surrey na przyszły tydzień. Spędzę u niej kilka dni.
- To wielce obiecujące.
- Ty również jesteś zaproszony.
- To miło z jej strony.
- Tak. Taka już jest. Sęk w tym, że... Obaj przecież chcemy, żeby mi się udało, prawda? Właśnie dlatego...
- Na miłość boską, Maks, wyduś to z siebie.
- Nie chcę, żebyś tam jechał.
-Co?
- Chcę, żebyś odrzucił to zaproszenie.
- Dlaczego?
-Dlatego że... - Znow włożył papierosa do ust i zaczął macać się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki. Zdenerwowany, podał mu swoją. Przyjął ją, uśmiechając się z zażenowaniem. Z wyraźną przyjemnością zaciągnął się dymem. - Na moim miejscu życzylibyś sobie tego samego.
- Tak sądzisz?
- Sam wiesz, że tak by było.
Miał rację, ale nie zamierzałem mówić tego głośno. Obydwaj wiedzieliśmy, że podczas kilkudniowego wypoczynku na wsi nie będę się bawił w przyzwoitkę. Ale nawet gdybym się poświęcił, moja obecność i tak przeszkadzałaby tylko w realizacji naszych planów. Tymczasem ja nie potrafiłem zapomnieć o Dianie takiej, jaką zobaczyłem przed śniadaniem na basenie.
- Odrzucę to zaproszenie - obiecałem niechętnie. - Bardzo uprzejmie, rzecz jasna.
- Dzięki, stary.
- A Faraday? Też tam będzie?
- Mam nadzieję, że nie. Przy odrobinie szczęścia wkrótce pożegnamy się z nim na zawsze. Spotkałem go dzisiaj przy śniadaniu. Powiedział, że wysiada na ląd w Plymouth, żeby złapać pierwszy pociąg do Londynu. Widocznie ma jakieś pilne interesy.
- Czyje interesy? Wykazywał niezdrowe zainteresowanie twoimi sprawami.

- Nie przejmuj się nim. Nie jest groźny. Ja się nim wcale nie przejmuję. Zresztą, niczym nie musisz się martwić. - Teraz, kiedy obiecałem usunąć się z drogi, odzyskał dobry humor i tryskał optymizmem, którego ja, niestety, nie potrafiłem podzielać. - Sam wiesz, że nie chciałem uciekać do Anglii, ale teraz... Uważam, że to była doskonała decyzja.

Faraday rzeczywiście zszedł na ląd w Plymouth. Patrzyłem za nim niepewny, czy się cieszyć, że mam go z głowy, czy raczej martwić tym nagłym pośpiechem. Potem przywołałem ! na twarz uśmiech i zasiadłem do obiadu z Dianą i z Maksem. Wyjaśniłem im, że "ważne sprawy" nie pozwalają mi i na wizytę w Surrey. Vita nadal czuła się nie najlepiej i Diana namówiła ją na spędzenie nocy w hotelu "South Western" niedaleko portu. Maks, jak się okazało, obiecał dotrzymać im towarzystwa. Nie muszę chyba dodawać, że ja nie mogłem sobie pozwolić na taką stratę czasu.

Zakrawało to na ironię, ponieważ w Londynie nie czekało mnie nic oprócz pustego mieszkania w pobliżu Berkley Square. Stanowiło własność ojca Maksa, ale było rzadko używane. Nadawało się na tymczasowe miejsce zamieszkania dla powracającej z wygnania pary przyjaciół. Maks telegraficznie uprzedził rodzinę, że będziemy chcieli z niego skorzystać. Nie sądziłem jednak, że przyjadę tam sam.

Do Southampton przy płynęliśmy późnym popołudniem. Przyglądając się z pokładu, jak powoli przybijamy do brzegu, nie umiałem powstrzymać melancholijnych myśli, ogarniających wielu podróżnych, którzy zostawili za sobą to, co znajome, i drżą przed nieznanym, któremu będą musieli stawić czoło. Aż do 1922 roku ta uporządkowana kraina plaż i pól była moim domem. Od 1922 roku minęło jednak wiele lat. W tym czasie odwiedziłem ojczyznę tylko raz, całkiem niedawno, z powodu śmierci matki. Na Atlantyku była tak gęsta mgła, że spóźniłem się na pogrzeb o dwanaście godzin. Ta ziemia stała mi się obca, spodziewałem się jednak, że ona przyzna się do znajomości ze mną.

To wszystko, co mam do powiedzenia o smętnym zamieszaniu związanym ze schodzeniem na ląd. Bezpieczeństwo i wygodę kajuty pierwszej klasy zamieniłem na męczącą kolejkę do odprawy paszportowej i celnej. Następnie udaliśmy się do pociągu. Tam, na zatłoczonym peronie, wśród ganiających na wszystkie strony tragarzy z walizami i torbami, pożegnałem się z Maksem, który nie ukrywał, że nie może się doczekać mojego odjazdu, i z Dianą, która udawała, że żałuje, iż nie mogę z nimi zostać. Jeśli chodzi o Vitę,

to kiedy tylko postawiła nogę na lądzie, odzyskała siły; wiadomość, że nie przyjadę do Surrey, szczerze ją zasmuciła. Udając, że mój zły humor ma inną przyczynę, zostawiłem ich na peronie. Ledwie pociąg ruszył, poszedłem do wagonu restauracyjnego.

Tam musiałem dzielić stół z trunkowym prorokiem zagłady nazwiskiem Millington, którego, na szczęście, nie miałem wątpliwej przyjemności poznać na statku. Ledwie się dowiedział, ile lat nie było mnie w Anglii zaczął barwnie opisywać wszystkie nieszczęścia, jakie nawiedziły nasz naród.

- Blisko trzy miliony bezrobotnych. Złoto wypływa z Narodowego Banku Anglii jak krew z przeciętej tętnicy. Minister finansów nie jest w stanie zrównoważyć budżetu. Czegóż się jednak można spodziewać po rządzie laburzystów?

Potrafia tylko trząść portkami i robić głupstwa. Skończymy tak jak Niemcy. Niech pan sobie zapamięta moje słowa. Żeby kupić bochenek chleba, trzeba będzie zapłacić kilogramami złotych suwerenów. Ten piękny kraj został ciśnięty na kolana z powodu niekompetencji władz. - Przerwał na chwilę, żeby zamówić następną butelkę szampana, i spojrzał za okno. - Nie widzę żadnej przyszłości; czeka nas katastrofa.

Przejeżdżaliśmy właśnie przez Winchester. Oczyma wyobraźni zobaczyłem siebie w wieku trzynastu lat, gdy przyjechałem do college'u i poznałem Maksa Wingate'a. Wysiedliśmy na peronie, który z okna pędzącego pociągu wyglądał teraz jak rozmazana smuga, przytłoczeni bagażem i tęsknotą za domem, przestraszeni i spoceni. Był gorący, wrześniowy dzień. Domyśliliśmy się, że obydwoj przyjeżdżamy do szkoły, i długim uściśnięciem dłoni zapoczątkowaliśmy naszą przyjaźń. "Miło mi" - powiedział Maks. Ja odwdzieczyłem się tym samym.

- Na pańskim miejscu - mówił Millington, pochylając się nad stołem - odwróciłbym się na pięcie i wrócił do Ameryki. Ten kraj nie ma nic do zaoferowania takiemu przedsiębiorczemu chłopcu jak pan.

Uśmiechnąłem się i chociaż nic nie powiedziałem, w duchu zgodziłem się z nim.

Mieszkanie przy Hay Hill było nieduże, ale wygodne. Sprzątała je niejaka pani Dodd, która razem z mężem prowadziła trafikę na Oxford Street. Wziąłem od niej klucz, rozgościłem się w mieszkaniu i czekałem na przyjazd Maksa. To był długi, samotny weekend. W sobotę Maks zadzwonił z Southampton, żeby powiedzieć, że po drodze wpadnie do Gloucestershire, do rodziców. Do Londynu przyjechał dopiero w niedzielę wieczorem. Wszedł do mieszkania sprężystym krokiem, roześmiany. W przeciwieństwie do mnie, był w doskonałym humorze.

- Nie jesteś w najlepszym nastroju, stary.

- Rzeczywiście.

- Może odwiedzisz rodzinę, kiedy ja będę załatwiał nasze sprawy w Surrey? - Zatarł ręce, ciesząc się na to, co go czeka.

- Zdaje się, że nie masz nic lepszego do roboty?

- Niestety - powiedziałem z naciskiem - rodzina nie wie, że jestem w Anglii, i jest mi to na rękę. Zresztą, mam wiele do zrobienia, kiedy wreszcie skończy się ten przeklęty weekend.

- Nie denerwuj się. Możesz robić, co ci się tylko podoba.

- Dzięki. Skorzystam z tej rady.

Maks wyjechał do Surrey we wtorek. Oczy mu błyszczały; był pełen nadziei. Życzyłem mu powodzenia, ale nieszczerze. Nie wierzyłem, żeby któregoś z nas mogło spotkać coś dobrego. Obraz Anglii wiosną 1931 roku, przedstawiony przez Millingtona, wydał mi się jak najbardziej prawdziwy, kiedy wyszedłem na ulice Londynu. Mimo że był czerwiec, pogoda bardziej przypominała luty. W gazetach pełno było ponurych artykułów roztrząsających kwestie ekonomiczne. Miałem wiele powodów, by użalać się nad własnym losem.

Herbatka z Atkinson-White'ami w Windsorze w dniu wyjazdu Maksa podniosła mnie nieco na duchu. Nadal oczekiwali ode mnie rady w sprawach finansowych. Ucieszony, umówiłem się na obiad z "Tercjuszem" Doylem. W Winchesterze uczył się rok niżej ode mnie i dzisiaj, tak jak i w 1922 roku, zarabiał na życie zarządzając pieniędzmi innych. Wiedziałem, że procent od prowizji, którą będą mu musieli zapłacić Atkinson-

White'owie, nie przyniesie mi większych pieniędzy, ale przynajmniej miałem się czym zająć do powrotu Maksa. Poza tym Tercjusz - który swój przydomek zawdzięczał temu, że nie potrafił zapamiętać imienia łacińskiego poety, Horacego (Quintus) -zawsze wiedział, co dzieje się w City. Chciałem go wypytać o Charnwood Investments. Kiedy więc doszliśmy do porozumienia w sprawie Atkinson-White'ów, odczekałem i zmieniłem temat.

- Charnwood Investments, Tercjusu: miałeś już okazję, przyjrzeć się tej firmie?

- Niestety, nie. Fabian Charnwood nie odkrywa swoich kart. Zawsze był tajemniczy.

- Ale idzie mu dobrze?

- Lepiej niż innym. - Brwi Tercjusza, dużo gęstsze niż we wczesnej młodości, zbiegły się razem. - Dlaczego cię to interesuje?

- Możliwe (tylko możliwe, nic więcej), że będę chciał ubić z nim pewien interes.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego. To śliski klient.

- Bardziej śliski niż ty? Uśmiechnął się.

- On jest wężem morskim, a ja piskorzem. Nie możesz nas porównywać. Jego ojciec jeszcze przed wojną zajmował się produkcją broni. - Nie skorygowałem tej drobnej nieścisłości. Miałem nadzieję, że udając niewiedzę, uzyskam więcej informacji. - Charnwood podjął pracę w firmie jako handlowiec. Sprzedawał haubice tym szaleńcom na Bałkanach. W końcu wylądował w radzie nadzorczej. Po śmierci ojca został prezesem, ale rok później sprzedał firmę. To było jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Od tego czasu zajmuje się inwestowaniem pieniędzy w najróżniejsze przedsięwzięcia w kraju i za granicą. Inwestuje w zakłady zbrojeniowe, rzecz jasna, ale też w stocznie, w produkcję samolotów, bankowość, kopalnie złota, telefony, gazety. Dokonuje trafnych wyborów i dobrze na tym zarabia. Nie boi się ryzyka. Mówi się, że ma udziały we wszystkich firmach zajmujących się wymianą walut i ubezpieczeniami. To nie jest rynek dla strachliwych, ale jemu zawsze się udaje. Doskonale potrafi wyczuć koniunkturę. Pod tym względem nic nie można mu zarzucić.

- Czy to znaczy, że pod innymi względami można?

- Czy ja coś takiego powiedziałem?

- Nie, ale twoje słowa zabrzmiały dwuznacznie. ,
Wzruszył ramionami.

- Już ci mówiłem, że on nie odkrywa swoich kart. I w tym sęk. Jest za bardzo tajemniczy. Tajemnice niepokoją. Chociaż pewnych ludzi mogą fascynować. Mnóstwo znanych osobistości i dużych towarzystw korzysta z usług Charnwood Investments. I dobrze na tym wychodzą. Mnie jednak ten człowiek wydaje się zbyt skryty. Sądzę, że podzielisz moją opinię. Teraz sobie przypomniałem... Obiło mi się o uszy, że razem z panem Wingate'em robiliście w Ameryce interesy z Ryszardem Babcockiem, synem bankiera?

-Tak?

- Tak. Niedawno czytałem, że jego ojciec, Hiram Babcock, prezes... to znaczy, był przez banku Housatonic, został aresztowany za oszustwa, defraudację i nie wiadomo co jeszcze. Byłeś pewnie w Nowym Jorku, gdy to się stało? Powiedz, co o tym wiesz?

- Nic - odparłem, układając usta do nieszczerego uśmiechu. - Zupełnie nic.

- Daj spokój.

- Naprawdę. Nic nie wiem o aferze Babcocka.

Tak samo, jak o wielu innych aferach, o których wolałem nie pamiętać. Ale o Fabianie Charnwoodzie rzeczywiście niczego się nie dowiedziałem.

Na pożegnanie Doyle radził mi postawić na Małego Zucha w popołudniowej gonitwie w Goodwood. Nie posłuchałem go, oczywiście. Z wieczornej gazety dowiedziałem się, że to wstrętne konisko wygrało i wypłacano dziewięć do jednego. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Maksowi szczęści się w Surrey dużo lepiej; bądź też, że lepiej potrafi wykorzystać to, co mu się nadarza. Nazajutrz zadzwonił do mnie i potwierdził moje domysły.

- Jestem w budce telefonicznej niedaleko domu, stary. Powiedziałem, że chcę się przejść przed obiadem. Pomyślałem, że będziesz chciał się dowiedzieć, jak stoją sprawy.

- Rzeczywiście, bardzo jestem ciekaw.

- Jest wspaniale! Jesteśmy z Dianą stworzeni dla siebie. Upodobania, poczucie humoru, podejście do życia... Wszystko nas łączy. Bałem się, że u niej w domu może być inaczej, ale niepotrzebnie się martwiłem. Jest wspaniałą dziewczyną. Żałuję, że nie poznałem jej wiele lat wcześniej.

- Czyżbyś zamierzał się oświadczyć?

-Możliwe, ale nie poganiaj mnie.

- A co z ojcem? Poznałeś go?

- Codziennie jadamy razem kolację. To prawdziwy dżentelmen. Mam wrażenie, że mnie polubił.

- Naprawdę?

- Nie ma w tym nic dziwnego. Mam przecież dużo wdzięku. Teraz nie potrafiłbym skrzywdzić nawet muchy. Diana wozi mnie po okolicy swoim sportowym samochodem. Nie znajdziesz lepszego kierowcy od niej. Wczoraj zabraliśmy Vitę do Goodwood i obstawiliśmy kilku zwycięzców.

- Małego Zucha?

- Tak. Ty też na niego postawiłeś?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo w tej samej chwili rozległ się buczonek uprzedzający, że połączenie za moment zostanie przerwane.

- Wrócę dopiero po niedzieli! - krzyczał Maks. - Do zobaczenia we wtorek!

- Powodzenia - wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

Powiniem się cieszyć jego sukcesami, ale ludzka natura jest zawistna. Kiedy Maks odłożył słuchawkę, uznałem, że nie mam nic lepszego do roboty, jak upić się do nieprzytomności i śnić o nagiej Dianie Charnwood, galopującej na koniu.

W piątek obudziło mnie walenie w drzwi. Głowa pękała mi z bólu. Wstałem i otworzyłem. Za drzwiami stał goniec w uniformie. Spytał o moje nazwisko, potem wcisnął mi do ręki jakiś list i zbiegł na dół. Otworzyłem kopertę i ze zdumieniem spojrzałem na nieoczekiwane zaproszenie wypisane na firmowym papierze Charnwood Investments.

31 lipca, 1931 r.

Szanowny panie Horton! Proszę zaszczyścić mnie swoim towarzystwem podczas obiadu w klubie Ambassador przy Conduit Street 26, dzisiaj o 13:00.

Z poważaniem,

Fabian Charnwood

Ubrałem się w pośpiechu, wypiliśmy mocną kawę i jeszcze raz przeczytałem list, ale nie udało mi się odgadnąć, jakie zamiary

może mieć Charnwood. Na szczęście wkrótce się dowiem, czego ode mnie chce.

W 1922 roku, jeśli dobrze pamiętam, klub Ambassador jeszcze nie istniał. Nie wiedziałem, z jakich kręgów wywodzą się jego członkowie. Gresham był klubem bankierów, a St James - dyplomatów. W żadnym z nich nie czułbym się dobrze, w przeciwieństwie do Fabiana Charnwooda. Być może z tego powodu zdecydował się spotkać ze mną w restauracji Ambadora, gdzie onieśmiały lustrzane ściany, doryckie kolumny i różowawe światło sącające się przez witraż w dachu. Jeśli moje domysły były słuszne, to miejsce zostało wybrane doskonale, gdyż Fabian Charnwood okazał się onieśmielającym człowiekiem. Surdut, wysoki kołnierz koszuli z dziurkami na guziki obszytymi różową nitką i sztywna postawa doskonale pasowały do "dżentelmena", jak określił Charnwooda Maks. W niczym nie przypominał zażywnego sześćdziesięciolatka o czerwonej twarzy, jakim go sobie wyobrażałem. Był potężnie zbudowany, włosy miał siwe, ale nie mniej bujne od moich, rysy regularne, nie zniekształcone zmarszczkami. Patrzył mi prosto w oczy, co budziło we mnie niepokój. Mówił cicho, ale zdecydowanie, jak człowiek przyzwyczajony do tego, że jego polecenia wykonywane są bez dyskusji. Przeszedł do rzeczy bez zbędnych ceregieli, ledwie usiedliśmy przy stoliku i złożyliśmy zamówienie. Zauważyłem, że Charnwood zamówił dla mnie wino, ale sam poprosił o wodę.

- Bardzo dziękuję, że pan przyszedł, panie Horton, chociaż zaproszenie otrzymał pan w ostatniej chwili. Chciałbym z panem porozmawiać o romansie mojej córki z pańskim przyjacielem, Maksem Wingate'em.

- Nie widzę, co moglibyśmy sobie mieć na ten temat do powiedzenia, panie Charnwood.

- Jak możemy przerwać ten romans?

- Proszę?

- Od trzech dni pan Wingate jest gościem w moim domu. Nie pozostawiono mi żadnych wątpliwości co do tego, jak się sprawy mają. Diana powiedziała, że go kocha. Sądzę, że wkrótce pański przyjaciel wyzna jej miłość i poprosi mnie o rękę córki. Zgadza się pan ze mną?

- Cóż... Będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli Maks...

- Niech mi pan nie zawraca głowy swoimi przyjemnościami, panie Horton. Dla ojca, którego córka związała się uczuciem z takim człowiekiem, nie ma w tym nic przyjemnego.

- Do diabła! - powiedziałem, ze względu na przyjaciela udając oburzenie. - Jeśli zamierza pan...

- Nie mam ochoty na podziwianie pańskich aktorskich popisów. Dobrze wiem, o co wam chodzi; bo przecież robicie to razem. Jesteście parą awanturników pozbawionych wszelkich skrupułów i nie cenicie niczego oprócz pieniędzy.

Zapadła cisza, ponieważ kelner przyniósł wodę mineralną i wino dla mnie. Charnwood ani na moment nie spuszczał ze mnie wzroku. Kiedy kelner odszedł, powiedział:

- Na szczęście, ludzie tacy jak wy nie są dla mnie kłopotliwi. Ustalmy cenę i skończmy z tym.

- Pańska szczerość, panie Charnwood... jest... - nie wiedziałem, co powiedzieć. Jego bezpośrednie podejście do sprawy rozbroiło mnie. - Jestem zaskoczony.

- Moja szczerość wynika ze znajomości faktów. Wiem o wiele więcej niż to, co pan Wingate powiedział Dianie, chociaż powiedział jej tylko prawdę, jakkolwiek nie całą. Zdaje się, że

studiowaliście na jednym roku w Winchesterze i razem służyliście w strzelcach królewskich. W 1919 roku pan Wingate rozpoczął studia w Oxfordzie, pan zaś podjął pracę w firmie zatrudniającej pańskiego ojca, spółce odzieżowej Goddess Foundation w Letchworth. Pan Wingate nazwał pana "urzędnikiem od gorsetów". Jego opinia wydaje się trafna, chociaż niezbyt pochlebna.

- Bardzo zabawne - powiedziałem spokojnie.

- To żart pańskiego przyjaciela, panie Horton, nie mój. Zresztą, to nie pańska wina, że pochodzi pan z ubogiej rodziny. Nie mam do pana o to pretensji. Nie mam też pretensji o to, że dwa lata później porzucił pan pracę i zaczął robić interesy z panem Wingate'em. Pański przyjaciel powiedział mojej córce, że sam zdecydował się opuścić Oxford, ale my dwaj wiemy, że został wyrzucony, ponieważ był tam agentem nielegalnej loterii. Takie były skromne początki kariery pary oszustów i defraudantów.

- Kto odgrzebał te stare śmieci? - spytałem. - Faraday? Charnwood skrzywił się.

-Kto to taki?

- Pański szpieg na "Empress of Britain".

- Nie zatrudniam szpiegów ani na lądzie, ani na morzu. Wszystkie informacje otrzymałem od członka tego klubu, którego nazwisko pewnie nie jest panu obce: od sir Antony'ego Toogooda.

- Toogood? Nie przypominam sobie...

- Poznał go pan w Le Toquet w 1924 roku, kiedy to jego córka stała się obiektem pańskich zainteresowań, tak jak moją zainteresował się teraz pan Wingate - wyjaśnił i uśmiechnął się. - Pewnie sądzi pan, że to pech sprawił, iż znam sir Antony'ego? Niesłusznie.

Podano supę. Straciłem apetyt, mimo to przełknąłem kilka łyków wina i czekałem, co - między łyżkami chłodnika -powie Charnwood.

- Przede wszystkim oszczędzi nam to czasu. Dzięki tej znajomości wiem, z kim mam do czynienia i czego chcecie. Sir Antony opowiedział mi ze szczegółami o wszystkim, co robiliście w latach 1921-1924. Zaczęliście jako płotki w królestwie hazardu Horacego Bottomleya. Podróżowaliście po kraju, rozklejając afisze reklamujące nielegalną loterię i informujące o fantastycznych wygranych fikcyjnych klientów. Zajmowaliście się jego zagranicznymi mieszkaniem w Paryżu, Genewie i Lozannie, w których działały nieuczciwe lombardy. Po aresztowaniu Bottomleya pozostaliście na Kontynencie i zaczęliście działać na własną rękę. Na zlecenie angielskich rodzin poszukiwaliście ich krewnych, którzy zaginęli w czasie wojny, sugerując, że chłopcy prawdopodobnie jeszcze żyją. Szantażowaliście zdemobilizowanych żołnierzy, niby to reprezentując interesy ich byłych kochanek z Francji i Belgii oraz nie istniejącego potomstwa. Wróciliście do kraju specjalnie po to, żeby zniesławić niesympatycznego osobnika nazwiskiem Smallbone. Potem udaliście się do Le Toquet, by zapolować na córkę bogatego człowieka, która, jeśli to pana interesuje, jest dzisiaj szczęśliwą żoną ziemianina z Shropshire i matką dwójki dzieci, oczekującą właśnie narodzin trzeciej latorośli.

Wszystko to, opowiedziane przez Charnwooda w zwięzłych zdaniach, brzmiało o wiele gorzej niż w moich wspomnieniach. Nie miałem nic na swoją obronę. Uśmiechnąłem się tylko nieznacznie.

- Macierzyństwo z pewnością dobrze zrobiło Caroline. Miała silne, szerokie biodra.

Charnwood nawet się nie uśmiechnął. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak może wyglądać, gdy coś go rozbawi.

- Po drugie - podjął nieubłaganie - wyznajemy w klubie Ambassador zasadę, która powinna się panu spodobać. Gdyby nie to, że wkrótce rozpoczyna się sezon polowań na kuropatwy, mógłbym panu pokazać kilku kipiących życiem parów. Nie wspominając już o baronetach i hrabiach. Czy też o politykach z najróżniejszych partii, kupcach, przedstawicielach najróżniejszych sposobów zarobkowania... Hasłem klubu jest różnorodność. Łączy nas wspólne przekonanie, że wszystko i każdy ma swoją cenę. Sądzę, że zgodzi się pan ze mną?

- Tak - burknąłem. - Chyba ma pan rację.

- Tak też sądziłem. W takim razie możemy przejść do rzeczy - powiedział i skończył zupę. - Godność para kosztuje w dzisiejszych czasach trzydzieści tysięcy funtów, a tytuł hrabiowski dziesięć tysięcy. Stosownie do tego cennika, wartość zgody pana Wingate'a na zerwanie znajomości z moją córką szacuję najwyżej na tysiąc pięćset. Jeśli załatwimy sprawę szybko, gotów jestem dołożyć premię.

Spojrzałem na niego, niezdolny ukryć zdziwienia. Przed chwilą szczegółowo opowiadał o oszustwach i innych wątpliwych moralnie postępkach, pozwalających mnie i Maksowi zarobić na życie, na co - jak sądziliśmy - zasłużyliśmy sobie, tracąc w młodości trzy lata na pełnej komarów pustyni zwanej Macedonią. Mówił o tym spokojnie i bezlitośnie. Teraz zaś, nie zmieniając tonu głosu, przyznał, że jego klub nie jest lepszy od targowiska, na którym po ustalonych cenach kupuje się zaszczyty i protekcję.

- To znaczy - powiedziałem - że pan i pańscy przyjaciele, panie Charnwood, nie jesteście lepsi ode mnie i od moich znajomych.

- Pewnie ma pan rację.

Zabrano talerze po zupie i napełniono nasze kieliszki.

- Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej - dodał.

- Nie. Nie wprost, ale...

- Poza tym, nie spytałem o to, co pan robił przez siedem lat w Ameryce. Ani też, dlaczego tak nagle wrócił pan do kraju.

- Rzeczywiście, nie pytał pan.

- Przystaje pan na dwa tysiące funtów?

- Będę musiał porozmawiać z Maksem, ale...

- Proszę z nim porozmawiać, kiedy tylko wróci do Londynu. Wydaje mi się, że będziemy mieli przyjemność gościć go do poniedziałku. Oczywiście, nie powiem mu o naszej rozmowie. To zadanie zlecam panu. Zapłacę uzgodnioną kwotę pod warunkiem, że pan Wingate zerwie z moją córką w sposób nie pozostawiający wątpliwości. I nie powie jej, dlaczego odchodzi. Może wymyślić dowolne kłamstwo.

- Nie martwi się pan o Dianę?

- Diana potrafi sobie radzić z przeciwnościami losu. Martwiłbym się znacznie bardziej, gdyby iluzja szczęścia, zaszczipiona jej przez pana Wingate'a, trwała przez dłuższy czas. Moja siostra powinna była wcześniej temu zapobiec, ale ma zbyt miękkie serce. W przeciwieństwie do mnie.

- To oczywiste.

- Umowa stoi, panie Horton?

Dwa tysiące funtów to dobra cena. Nawet bardzo dobra.

Targowanie się byłoby pozbawione sensu.

-Chyba tak.

- To dobrze.

- Mam tylko jedno pytanie.

Musiałem przerwać, bo przyniesiono drugie danie. Zacząłem się zastanawiać, czy powinienem poruszać tę kwestię. W żadnym razie nie chciałem go urazić. W końcu jednak uznałem, że Charnwood najprawdopodobniej przyjmie to za dobrą monetę.

- Jeśli zaszczyty są tak łatwo dostępne, dlaczego człowiek tak bogaty jak pan, posiadający tak rozległe znajomości, nadal jest tylko panem Charnwoodem?

- Ponieważ nie chcę tego, co jest łatwo dostępne.

- Czego więc pan chce?

Zamyślił się. Odpowiedział mi tęsknym głosem, bez obłudy.

- Chciałbym przywrócić przeszłość. - Uśmiechnął się do mnie.

- Może pan to dla mnie zrobić, panie Horton? Jeśli tak, oddam panu cały swój majątek, co do grosza.

Pokręciłem głową.

- Tego nikt nie robi. Nawet... nawet Bóg.

Ta głęboka myśl dziwnie zabrzmiała w moich ustach. Wątpię, czy w ciągu minionych dziesięciu lat mówiłem kiedykolwiek o Bogu inaczej niż bluźniąc. Dziwne, że zrobiłem to teraz, w tych okolicznościach. Charnwood pomyślał chyba to samo.

- Dziwna myśl, co? Gdyby mógł pan zmienić jedną rzecz, którą przeszłość uczyniła niemożliwą, co by to było?

Nieoczekiwanie dla siebie samego odpowiedziałem mu całkiem szczerze.

- Przywróciłbym zdrowie mojemu bratu, Feliksowi. Stracił rozum... - zamilkłem na moment, ponieważ uświadomiłem sobie, jak bardzo się otworzyłem przed tym obcym człowiekiem - ...na wojnie.

- Tak, wojna - powiedział zamyślony Charnwood. - Zawsze ta wojna.

- Co pan chciałby zmienić?

- Nie pozwoliłbym, żeby moja żona weszła w Nowym Jorku na pokład "Lusitanii" w maju 1915 roku. Widzi pan, znowu wojna. - Patrzyliśmy na siebie zamyśleni i nieufni. Rozmowa stała się zbyt osobista. Wydaje mi się, że obydwaj chcieliśmy zmienić temat. - Terazniejszość jest znacznie prostsza, panie Horton. Weźmiecie pieniądze i zostawicie moją córkę w spokoju. Tylko tyle. Więcej chyba nie mamy prawa od siebie oczekiwać? Zgadza się pan ze mną?

-Tak.

- Życzę smacznego. Proszę wypić wino. - Uniósł swoją szklankę i wyciągnął rękę nad stołem, żeby stuknąć nią w mój kieliszek. - Niech pan mądrze wykorzysta tak niecień zdobyte pieniądze.

W innych okolicznościach wilgotny, pochmurny weekend w Londynie wprawiłby mnie w ponury nastrój, ale wspaniała nowina, którą miałem przekazać Maksowi, podtrzymywała mnie na duchu. We wtorek przedstawiłem Atkinson-White'ów Tercjuszowi. Zjedliśmy razem obiad w jego klubie. Rozmowa była udana. Na Hay Hill wróciłem więc w nastroju zaprawionego wódką samozadowolenia. Kiedy wszedłem do mieszkania, zastałem w nim Maksa, przemierzającego tam i z powrotem dywan przed kominkiem, z cygarem w jednej ręce i szampanem w drugiej. Bezmyślny uśmiech na jego twarzy pozwalał się domyślać, że ma powód do zadowolenia, co zbiło mnie z pantałyku, bo przecież nie zdążyłem mu jeszcze opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach.

- Guy! - przywitał mnie klepinięciem w ramię. - W samą porę. Nalej sobie bąbelków.

Jak się okazało, "bąbelki" był to wyśmienity szampan Poi Roger. Stał na stoliku, w wiaderku z lodem.

- Czyżby Charnwood rozmawiał i z tobą? - spytałem, napełniając swój kieliszek. - Wydawało mi się, że nie ma takiego zamiaru.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, to ja będę musiał z nim porozmawiać. Zamierzam to zrobić w najbliższą niedzielę - uśmiechnął się do mnie. - Widzę, że się już domyślasz?

- Chyba nie.

- Diana przyjęła moje oświadczenia - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Możesz wypić za nasze ^przyszłe szczęście. - Wypił do dna i podszedł do wiaderka z lodem; dopiero po chwili zauważył, że nawet nie umoczyłem ust w szampanie. - Co się stało? - spytał.

-Nic, ale... - nagle przyszła mi do głowy przyjemna myśl. - To nawet lepiej. Skoro jesteście zaręczeni, może uda nam się wytargować jeszcze parę groszy.

- Wytargować?

- W piątek jadłem z Charnwoodem obiad. Jest gotów zapłacić dwa tysiące funtów. Myślałem, że więcej nie da się z niego wycisnąć, skoro jednak...

- Dwa tysiące funtów? - Maks patrzył na mnie jak na raroga. - Za co chce dać tyle pieniędzy?

- Za to, żebyśmy znikli z życia jego córki. Żebyś ty znikł.

- Żartujesz!

- Taki mieliśmy plan. Drugie Le Toquet. Od Toogooda wyciągnęliśmy znacznie mniej. Oczywiście, że mówię poważnie.

- Zgodziłeś się?

- Chyba w to nie wątpisz? Zawsze jednak możemy poprosić o dorzucenie kilku setek. Pewnie będzie wściekły, ale warto...

- Zgodziłeś się? Nie rozmawiając ze mną?

- Po co? O to nam przecież chodziło. Moim zdaniem, jest lepiej, niż się spodziewaliśmy* Pozwól więc, że wzniosę toast: za dalszą pomyślność!

Maks wyrwał mi kieliszek i postawił go obok wiaderka z lodem tak gwałtownie, że nóżka pękła, a szampan rozlał się po stole. Maks wcale tego nie zauważył. Twarz mu pociemniała, wargi drżały.

- Nie powinienes był tego robić. Cholera, nie miałeś żadnego prawa.

- Co cię opętało? - Patrząc mu w oczy, zacząłem się domyślać odpowiedzi na to pytanie, nie chciałem jednak w to uwierzyć. - Zrobiłem to dla twojego dobra. W Goodwood dwa tysiące funtów to bardzo wysoka wygrana.

- Ona zgodziła się wyjść za mnie! - krzyknął i odszedł w drugi koniec pokoju. Stał obok kominka, oparł się o ścianę i przejechał palcami po włosach, wykrzywiając twarz jak obłąkany. - Zaręczyliśmy się.

- Zerwiesz zaręczyny. Nie pierwszy raz. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zerwanie było aż tak zyskowne.

- Zysk? - spytał, patrząc na mnie wielkimi oczami. - Jaki widzisz zysk w porzuceniu dziewczyny, którą... - głos mu zadrżał, kiedy zrozumiał, co chciał wyznać. Potem zrezygnował z udawania, wyprostował się i spojrzał mi w oczy. - Kocham ją. I ona mnie kocha.

-Co?

- Przecież słyszysz. Musisz się z tym pogodzić. Charnwood również. Ożenię się z Dianą. Nie będzie żadnych kompromisów ani pokątnych umów. Nie przyjmę pieniędzy i nie zostawię jej.

- Nie wierzę.

- Musisz uwierzyć. Pierwszy raz w życiu nie można mnie kupić.

- Ale... obiecałeś. Podpisaliśmy kontrakt.

- I dotrzymam obietnicy. Dostaniesz połowę tego, co Diana wniesie mi w posagu.

- Nie będzie żadnego posagu. Na miłość boską, Maks, nie będzie żadnego ślubu. Charnwood do tego nie dopuści. Jeśli będziesz się upierał jak jakiś wariat, to nie dostanieś nawet tych dwóch tysięcy.

- Nie chcę jego pieniędzy. Chcę jego córki.

- Więc ją weź. A potem zostaw. Musisz ją zostawić.

W jego oczach pojawił się wyraz, który czasami widywałem u Maksa, ale nigdy dotąd nie był on przeznaczony dla mnie. Przyglądał mi się z pogardą.

- Zdaje się, że nie rozumiesz znaczenia słowa "miłość". Trudno cię o to winić. Ja też go nie rozumiałem, dopóki nie poznałem Diany. Powinienem ci wcisnąć na powrót do gardła słowa, które przed chwilą powiedziałeś. Zrobię to, jeśli się ośmielisz je powtórzyć. Tym razem ci daruję, przez wzgląd na starą przyjaźń. Jeśli ją sobie cenisz, już nigdy nie zbeczczysz imienia Diany. Inaczej z nami koniec. Na zawsze.

Mówił śmiertelnie poważnie. Nie pozostawiał cienia wątpliwości. Zakochał się w Dianie Charnwood. Czy też raczej - jak ja to widziałem - opętała go na jej punkcie taka obsesja, że nazwał swoje uczucia tym szlachetnym słowem. W każdym razie definicja jest mniej istotna niż konsekwencje. A konsekwencje, moim zdaniem, musiały się okazać katastrofalne; i to dla nas obu.

- Porozmawiajmy spokojnie - powiedziałem do Maksa i do siebie. - Nie musimy się kłócić.

- Zgadza się. Chyba że zechcesz mi przeszkadzać w realizacji moich planów.

- Nie będę ci przeszkadzał, ale Charnwood się nie zgodzi. Wie o nas prawie wszystko, a może się dowiedzieć jeszcze więcej. Z pewnością powie Dianie, jakie życie prowadziliśmy.

- Niech mówi. Diana wie, że nie jestem aniołem. Wie też, że ojciec nie pochwali jej decyzji. Przynajmniej nie teraz. Dlatego właśnie uzgodniliśmy, że kilka najbliższych dni spędzi w domu i postara się go zjednać. Ona owija go sobie wokół palca. Widziałem to na własne oczy. Do czasu mojego przyjazdu przekabaci go na pewno. Wyjaśnię nieporozumienie...

- A on uściska cię i wyrazi zgodę. Wierzysz w to?

- Tak. Dlaczego miałoby być inaczej? Robi wiele hałasu, ale zależy mu tylko na szczęściu Diany. Mnie również.

- Maks, to wcale nie jest takie proste...

- Ależ jest! - Wycelował we mnie palec. - Kochamy się i chcemy się pobrać. Rozumiesz?

- Tak.

- To dobrze. Za kilka dni Charnwood też to zrozumie. Do tego czasu nie chcę o tym rozmawiać.

Przez dwa dni dotrzymywaliśmy umowy. Nic nie mogłem zrobić, żeby przywrócić Maksowi rozsądek. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Charnwoodowi powiedzie się lepiej niż mnie i że mimo wszystko zechce przestrzegać naszej umowy. W

mojej głowie zrodziły się jednak niemiłe wątpliwości dotyczące całej sprawy. Pieniądze były w zasięgu ręki i instynkt mi podpowiadał, że trzeba je wziąć jak najszybciej. Upór Maksu nie pozostawiał jednak wyboru. Musiałem czekać. Próba rozmowy mogła się skończyć zerwaniem przyjaźni.

Nic dziwnego, że atmosfera w mieszkaniu była trudna do wytrzymania. Pragnąc się z niej wyrwać, wyruszyłem w podróż, którą planowałem od chwili rozmowy z Charnwoodem. To on podsycił we mnie pragnienie spotkania z Feliksem. Wiedziałem, że do Feliksa mogę mieć pełne zaufanie z całkiem banalnego powodu - brat nie zapomni ani jednego mojego słowa. Pewnie nawet nie będzie pamiętał, że go odwiedziłem. Gdyby nawet coś powiedział, nikt mu nie uwierzy. W każdym razie nie siostra i ojciec. Nie mieli o mnie dobrego zdania, jednak nigdy nie pomyśleliby, że upadłem tak nisko, by - wróciwszy do Anglii po siedmiu latach - nawet ich o tym fakcie nie powiadomić.

W piątek rano poszedłem na dworzec St Pancras i wsiałem w pociąg do Hertfordshire, na południe od St Albans. Chciałem odwiedzić szpital w Napsbury, dokąd w 1917 roku skierowano Feliksa, cierpiącego podobno na neurastenię; później diagnozę zmieniano za każdym razem, gdy kolejni lekarze natrafiali w pracach Zygmunta Freuda na opis jakiejś nowej neurozy. Ja zawsze byłem zdania, że Feliks cierpi z winy pecha; miał pecha wstępując do pułku Hertfordshire, który skierowano na front zachodni, gdzie obłęd był jedynie logiczną reakcją na panujące wokół szaleństwo. Ja przeciwnie - miałem szczęście wstępując do strzelców królewskich, których zakwaterowano w Winchesterze, dzięki czemu miałem bliski kontakt z uczelnianą szkołą oficerską. Później odbyłem służbę w spokojnej Macedonii, gdzie łatwiej było umrzeć na malarię niż wskutek ran odniesionych w walce. Tam też, jakby dla udowodnienia prawdziwości tej tezy, Maks został postrzelony w głowę przez jednego z naszych ludzi. Ja wróciłem z wojny cyniczny, samolubny i obojętny, Feliks zaś przypominał paczkę zgniecioną w drodze: z rozwiązanymi sznurkami, zawartością częściowo zagubioną, a w części zniszczoną. Nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za ten stan rzeczy. Wszyscy wzruszali ramionami z biurokratyczną obojętnością.

Ze stacji w Napsbury do szpitala było kilkaset metrów. Po drodze zastanawiałem się, czy mądrze zrobiłem przyjeżdżając tutaj. Od czterech lat nie widziałem Feliksa. Sądząc po tym, jak bardzo pogarszał się jego stan, kiedy bywałem u niego częściej, nie było żadnych podstaw do optymizmu. Mimo to nie zwołałem kroku. Przygotowywałem się duchowo na spotkanie z niezmiennie posępną atmosferą panującą w blokach z czerwonej cegły, mieszczących liczne oddziały, oraz w sąsiednich przybudówkach. Po ostatnich deszczach było wilgotno i przygnębiająco, ale tego dnia nie padało i na ścieżkach wijących się wśród sosen zauważyłem snujących się bez celu kilku pacjentów o nerwowych ruchach.

Gdy wchodziłem na oddział Feliksa, opadły mnie złe przeczucia. Zauważyłem zdziwienie pielęgniarki, kiedy powiedziałem jej, do kogo przyszedłem. Feliksa wyprowadzono z zatłoczonej świetlicy, gdzie bardzo głośno grało radio. Sprawiał wrażenie niezadowolonego. Był szczupły jak zawsze, ale bardziej zgarbiony i drżący niż go pamiętałem. Dziwnie łączył w sobie przystojnego, młodego żołnierza i

zrzędlivego, starego inwalidę. Poznał mnie natychmiast. Zawsze mnie poznawał, nawet wtedy, gdy wszystkich innych uważał za obcych. Poznał mnie i wziął pod rękę.

- Chodź... Zabierzesz mnie na spacer, Błyskotko?

Nazwał mnie Błyskotką, kiedy dostałem stypendium w Winchesterze. Doprowadzał mnie do wściekłości wyjaśnieniem, że definicja błyskotki, podana przez doktora Johnsona - "ładna błahostka, efektowna, ale bez wartości" - doskonale do mnie pasuje. Dzisiaj nie miałem już o to żalu. Zastanawiałem się tylko, ile Feliks z tego pamięta.

- Dobry pomysł - odparłem widząc, że pielęgniarzka przyzwalająco kiwa głową. Poszliśmy powoli w kierunku wyjścia. - Jak się masz, Feliksie?

- Przeziębilem się.

- Podobnie jak nasz rząd.

Feliks skrzywił się. Potem spytał:

- Pan Asquith nadal choruje?

Nie miałem serca powiedzieć, że Asquith już od dawna nie żyje, mruknąłem więc tylko: "Nie bardzo", i pociągnąłem go za sobą.

- O czym porozmawiamy? - spytałem, kiedy wyszliśmy na dróżkę, ukrytą w cieniu drzew.

- O... czymkolwiek.

- Przepraszam, że ostatnio tak rzadko cię odwiedzałem. - Pewnie... byłeś zajęty.

Tak - uśmiechnąłem się. - Kupowałem i sprzedawałem jako tereny budowlane działki na bagnach na Florydzie. Negocjowałem intratne umowy między kanadyjskimi piwowarami a właścicielami tajnych barów w Nowej Anglii. Zasiadałem w radzie nadzorczej kilku znanych funduszy powierniczych. Korzystałem z koniunktury i z okazji do zabawy. Tak, byłem bardzo zajęty. Ostatnio zabawiałem się w swatkę. Pomagałem rozpalić namiętności, by potem doprowadzić do zerwania zaręczyn.

Feliks patrzył na mnie bez zrozumienia.

- Wiesz, nie chcą mi dać zapalek.

- Pewnie boją się pożaru.

- Chcą mnie trzymać... w ciemności.

- Personel szpitala?

- Nie. Nieprzyjaciel.

Sądząc, że chodzi mu o Niemców, powiedziałem:

- Wojna się skończyła, Feliksie.

- Oni chcą, żebyś... w to wierzył. Ale to nieprawda. Wiewiórki o tym wiedzą. One ich widzą. - Przez ścieżkę przebiegła wiewiórka. - Widzą ich na drzewach.

- Kogo?

- Nieprzyjaciela... jak mnie śledzi... czeka... na sposobną chwilę.

Rozejrzałem się wokół.

- Nikt za nami nie idzie.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby się wcale nie spodziewał, że go zrozumie.

- Nie możesz ich zobaczyć. Nie pozwolą na to. Tylko... czasem. Przez chwilę... gdy zapada zmierzch... stają się mniej czujni. Wtedy ich widzę... kątem oka. Ale nigdy wyraźnie. - Zatrzymał się. - A ty?

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Masz moje oczy, Błyskotko. Może... kiedyś... zobaczysz ich wyraźnie. Będziemy wtedy wiedzieli... kim są. Prawda?

Nadal milczałem. Jak podczas każdej naszej rozmowy, zastanowiła mnie dziwna natura wizji Feliksa. W świecie, który uważa się za bardzo mądry, ale postępuje głupio, człowiek zaczyna czasem wierzyć, że tylko ludzie tacy, jak mój brat, potrafią przyznać się do tego, co widzą kątem oka.

- Powiesz mi... jeśli ich zobaczysz, dobrze? - upierał się.

- Przyjedziesz... i powiesz mi.

- Tak, Feliksie - obiecałem i uśmiechnąłem się nic nie znaczącym uśmiechem. - Na pewno.

Kiedy wróciłem z Napsbury, Maks już wyjechał do Dorking. Nie wiedziałem, kiedy spodziewać się jego powrotu, nie powinienem się więc dziwić - a jednak się zdziwiłem - gdy zobaczyłem go w poniedziałek rano. Skończyłem właśnie śniadanie i w zamyśleniu paliłem papierosa, czytając apokaliptyczny artykuł o - co wszyscy zgodnie przyznawali - głębokim kryzysie ekonomicznym. W lot zrozumiałem, że ponura mina Maksa nie ma jednak nic wspólnego z niskim kursem funta.

- Nie mów tego. - Tak brzmiało tajemnicze przywitanie.

- Proszę cię, nie mów.

- Czego mam nie mówić?

- Że mnie ostrzegałeś. Miałeś rację, do jasnej cholery. Charnwood nie ustąpił ani o milimetr. - Nalał sobie ciepłej kawy z dzbanka na stole i zasmucony przejechał dłonią po nie ogolonym policzku. - Błagałem go. Prosiłem, żeby dał mi szansę. Płaszczyłem się przed nim.

Rezygnacja w jego głosie obudziła w moim sercu nadzieję.

- Nie zgodził się? - spytałem, siłąc się na współczucie. - Nie dziwi mnie to.

- Powiedział, że nie zasługuję na jego córkę i nie nadaję się na męża dla niej. - Ciężko usiadł w fotelu naprzeciw mnie, tuląc w rękach filiżankę z kawą. - Na miłość boską, ja ją kocham. I ona mnie kocha. Ale jego to nie obchodzi.

- Bardzo mi przykro, Maks, ale ostrzegałem cię, że tak będzie.

- Wyszliśmy do ogrodu. Podczas spaceru tłumaczył mi, dlaczego posadził tam róże i rododendrony. Potem wyjaśnił, dlaczego nigdy nie zgodzi się, żeby jego córka wyszła za mąż za kogoś takiego jak ja; dlaczego może mi dać tylko pieniądze i nic więcej. Powiedział, że jeśli będę zwlekał z zerwaniem znajomości, nie dostanę ani grosza.

Słyszając z jego ust potwierdzenie moich najgorszych obaw, głośno wciągnąłem powietrze. Maks zauważył to i rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. Dopiero potem na nowo podjął temat.

- Nie będę ukrywał, że namawiałem Dianę, żeby ze mną uciekła. Po tym, co powiedział Charnwood, nie ma dla nas innej nadziei. Gdyby nam się udało, pewnie nie dostałaby od ojca ani grosza. Ucieszysz się chyba, kiedy powiem, że się nie zgodziła. Bóg jeden wie dlaczego, ale Diana uważa, że ojcu musi się podobać wszystko, co ona robi, i on jest tego świadomy. Dlatego nie wątpi w jej posłuszeństwo, co daje mi pewność, że jednak zgodzę się odejść.

- Więc się zgadzasz?

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, potem pokręcił głową, jakby zmartwiony tym, że nic nie rozumiałem.

- Nie mogę się zgodzić. Kocham ją. Bez niej... dwa tysiące funtów nie mają znaczenia. Skrzywiłem się.

- Nie spodziewałem się, że powiesz kiedyś coś takiego.

- Ja również nie. Ale tak jest.

- Skoro Diana nie chce sprzeciwić się ojcu, a ty nie chcesz się wycofać, to co zrobicie?

- On musi zmienić zdanie.

- Dlaczego?

- Właśnie po to wróciłem tak wcześnie. Diana ma pewien pomysł, który chce z tobą omówić.

- Ze mną?

- Tak. Będzie towarzyszyła Vicie na zakupach. Ciotka chce kupić kapelusz u Harrodsa. Diana wymknie się na chwilę. Masz na nią czekać przed sklepem, przy wyjściu na rogu Hans Road i Basil Street, koło dwunastej. Możesz tam być?

-Tak, ale...

- Diana ci wszystko wyjaśni. To nasza jedyna szansa. Wysłuchaj przynajmniej tego, co ma ci do powiedzenia.

Mogłem i powinienem był odmówić, ale czułem, że muszę się jakoś zabezpieczyć. Zacząłem rozumieć, że Maks się nie podda i pieniądze od Charnwooda przepadną bezpowrotnie. Za wszelką cenę trzeba zapobiec ucieczce Diany z domu i wydziedziczeniu jej. Gdybym zaś mógł im pomóc przekonać Charnwooda do przyjęcia oświadczeń Maksa, z tego również mógłbym mieć jakieś pieniądze.

- Dobrze - powiedziałem po chwili zastanowienia. - Spotkam się z nią.

Tego ranka w powietrzu czuło się odchodzące lato. Czekając w słońcu przy bocznym wejściu do Harrodsa, mogłem sobie wyobrazić, że jest gorąco. Zanim przyszła Diana Charnwood, zdążyłem zauważyć kilkanaście kobiet zbudowanych i ubranych podobnie jak Vita, wchodzących i wychodzących ze sklepu, i krążącego wokół budynku kulawego żołnierza z piersią pełną medali i z żebraczą puszką. Widok Diany przypomniał mi, że prawdziwa uroda jest rzeczą rzadką, ale w tej kobiecie została ucieleśniona.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała z uśmiechem, który z pewnością rozbroiłby Maksa. - Wiedziałam, że mogę na tobie polegać. - Ujęła moją dłoń i przytrzymała ją chwilę; na moment ja również uwierzyłem, że jestem spolegliwy. - Przejdziemy się?

- Z przyjemnością. - Szliśmy Basil Street. - Maks mówił, że chciałaś ze mną pomówić.

- Opowiedział ci o tym, co wydarzyło się w sobotę i niedzielę?

- Tak. Bardzo mi przykro...

- To nie twoja wina. Papa nie chce się zgodzić. I nie przeprasza za to, że zawarłeś z nim umowę, której teraz nie możesz dotrzymać. - Widząc moje zdumienie, uśmiechnęła się i wyjaśniła: - Maks był ze mną całkiem szczery. Wszystko mi powiedział.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Nie chciałem wierzyć. Najwyraźniej jednak Maks był bardziej szczery, niżbym sobie życzył. Na każdym kroku jego świeżo odkryta umiejętność kochania sprawiała, że grunt usuwał mi się spod stóp.

- Nie ma tajemnic między mężczyzną i kobietą, która ma zostać jego żoną. Chyba to rozumiesz?

- Czy rzeczywiście będziesz jego żoną, Diano? Zdaje się, że twój ojciec nie chce o tym słyszeć.

- Nie rozumie, jak bardzo miłość zmienia człowieka. Widocznie już zapomniał. Mama zginęła szesnaście lat temu i... Historia mojej rodziny pewnie cię nie interesuje. Papa wie, że kocham Maksa, ale nie potrafi uwierzyć w to, że Maks kocha mnie tylko dla mnie samej. Musimy go przekonać, że się myli.

Skręciliśmy w Hans Crescent.

-My?

- Mam na myśli również ciebie. Jeśli tylko zechcesz.

- Jak miałbym to zrobić?

- Powiedz ojcu, że Maks cię zawiódł.

- Rzeczywiście mnie zawiódł.

- Jesteś przyjacielem Maksa. Powiedz ojcu, że jego uczucie do mnie całkiem go odmieniło; że umowa, którą zawarliście z papą, jest... nieważna.

Szybkim ruchem głowy, tak jak potrafi tylko dziedziczka wielkiej fortuny, zbyła kwestię dwóch tysięcy funtów. Jej włosy w miejscach, gdzie pod rondo kapelusza dostawało się słońce, były złocistobrazowe z rudawymi cętkami. Spojrzała na mnie oczami pełnymi ufności. Zaufanie było magicznym darem tutaj, na chodniku przed największym imperium świata, w którym można dostać wszystko, ale nic za darmo.

- On ci uwierzy, bo obaj mówicie tym samym językiem.

- Który nie jest językiem miłości. Zarumieniła się i odwróciła spojrzenie.

- Nie chciałam cię urazić. Nie chciałam ci ściągać na głowę kłopotów, ale zrobiłam to, kiedy zakochałam się w twoim przyjacielu.

- Nie chodzi o...

Nagle stanął przed nami stary żołnierz, potrząsając puszką. Diana dała mu pół korony. Zawstydzony, wyciągnąłem z kieszeni kilka pensów. Kryjąc je w dłoni, wrzuciłem do puszek. Ruszyliśmy dalej, ale Diana obejrzała się jeszcze przez ramię.

- Kolejna ofiara - mruknęła. - Jest ich tak wielu. Powinniśmy im przynajmniej zapewnić pracę, nie uważasz?

- Szczerze mówiąc, nie uważam.

Ku mojemu zdziwieniu, uśmiechnęła się.

- Bardzo przypominasz Maksa, z tą ostentacyjną bezduszością. W rzeczywistości jednak czujesz inaczej, prawda?

- Tak sądzisz?

- Jak to się stało, że Maks został ranny w Macedonii? -Mówi, że to był wypadek.

- W pewnym sensie tak.

- W jakim sensie?

Byliśmy już na Brompton Road i szliśmy wzdłuż głównej wystawy sklepu. Zastanawiałem się, czy jej powiedzieć; w końcu zdecydowałem, że tak. Skoro Maks jest tak bardzo szczerzy, ja również mogę sobie pozwolić na szczerość.

- Szeregowy nazwiskiem Hopkins wpadł w szal. Doprowadziły do tego komary i nuda. Obaj z Maksem próbowaliśmy go rozbroić, a on wypróbował na nas swój karabin. Kula trafiła Maksa w głowę i ześlizgnęła się po czaszce. Hopkins nie zrobił tego umyślnie, toteż zeznaliśmy, że karabin wypalił przypadkiem. Hopkins nie skrzywdziłby nawet muchy. I tak uratowaliśmy Hopkinsa przed plutonem egzekucyjnym, ale nie przed długim aresztem w szklarni. Maks uważał, że przynajmniej tyle może dla niego zrobić. Dzięki tej ranie jako inwalida wrócił do domu przed końcem wojny. Pozostali siedzieli tam aż do podpisania układu o zawieszeniu broni.

- Żartujesz sobie, a przecież nie musieliście tego robić. Nie musieliście litować się nad szeregowym Hopkinsem.

- Chyba nie, ale...

- Od czasu wypadku Maks cierpi na bóle głowy, prawda? Wiem, że ostatnio miał bóle. Wyczytałam to z jego twarzy. Pewnie sprzeczka z moim ojcem przyczyniła się do tego.
- Dobrze - postanowiłem. - Porozmawiam z twoim ojcem.

To jedyna rozsądna rzecz, którą mogę zrobić - przekonywałem samego siebie. Niech Diana i Maks wierzą - skoro chcą - że kieruje mną altruizm. Prawda była inna. Wszelkie porównania z humanitarnym postępkim w Macedonii przed trzynastu lat były fałszywe.

- Postaram się wpłynąć na zmianę jego nastawienia. W imię waszego szczęścia - dodałem.

- O nic więcej nie proszę. Dziękuję ci! - Nagle zatrzymała się i pocałowała mnie. Dotyk jej ust na moich sprawił mi wielką przyjemność, ale nie dałem się oszukać. - Jesteś prawdziwym przyjacielem.

-Diana...

- Muszę już iść. Ciocia Vita czeka. Jak najszybciej umów się z papą. Pamiętaj, że oboje z Maksem liczymy na ciebie. Będziemy trzymali kciuki.

-Tak, ale...

Za późno. Odwróciła się i weszła w otwarte drzwi. Po chwili jej kolorowa sukienka zniknęła gdzieś w mrocznym wnętrzu sklepu. Westchnąłem i poszedłem do "Bunch of Grapes", gdzie czekał na mnie Maks. Diana twierdziła, że oboje pokładają we mnie nadzieję. Jeśli to prawda, wybrali właściwą osobę - moim zdaniem.

Biura Charnwood Investments mieściły się na najwyższym piętrze wyniosłego budynku w południowej części Cornhill; pozostałe piętra zajmowała spółka ubezpieczeniowa. Jędzowata sekretarka Charnwooda znalazła dla mnie w przepelnionym rozkładzie zajęć wielkiego człowieka dwadzieścia minut, nazajutrz, o trzeciej po południu. Postarałem się nie spóźnić.

Kiedy przyszedłem, Charnwood pił herbatę z cytryną. Nie było mleka, cukru ani herbatników. Ja nie zostałem poczęstowany nawet herbatą. Gospodarz robił wrażenie bardziej energicznego niż podczas poprzedniego spotkania. Był chyba lekko zniecierpliwiony. Wskazał mi krzesło i bez wstępów przeszedł do rzeczy.

- Rozumiem, że pan Wingate poszedł po rozum do głowy i przysłał pana w celu sfinalizowania transakcji.

- Obawiam się, że nie. Maks...

- Przez dwa dni zanudzał mnie swoimi miłosnymi wyznaniem. Chyba nie powie mi pan, że nadal z uporem twierdzi, iż pieniądze nie są motorem jego działania?

- Niestety tak jest i ja mu wierzę.

- Jestem zdziwiony, panie Horton.

- Maks mnie zaskoczył. Nie mam żadnych wątpliwości, że szczerze kocha Dianę i zdobył jej uczucie. Zaczęło się od polowania na pieniądze, ale pańska córka go odmieniła. Stał się pełnym uwielbienia kochankiem.

Charnwood zaśmiał się niewesoło.

- Co za androny!

- Ja też tak myślałem, ale przekonali mnie.

-I teraz chce pan zdobyć moją zgodę?

-Tak.

- Dwa tysiące funtów panu nie wystarczą? Chce pan więcej? Na pańskim miejscu nie prosiłbym o to. Chwila jest nieodpowiednia. Nie czytał pan gazet? Przywódców

partyjnych wezwano z wakacji. Bankierzy obradują na pospiesznie zwoływanych sesjach. Na Treadneedle Street chodzą słuchy, że Narodowy Bank Anglii wkrótce przestanie się wywiązywać ze swoich zobowiązań. Co będą wówczas warte dwa tysiące? Radzę panu wziąć pieniądze teraz, skoro je> dają, i jak najszybciej wymienić na dolary.

- Gdybym tylko mógł! Niestety, Maks stracił zainteresowanie dla pieniędzy.

- A pan nie?

- Oczywiście, że nie.

- Doskonale. - Charnwood podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Stał tam, spoglądając na Royal Exchange i bębniąc palcami w żelazny grzejnik pod parapetem. - Proszę powiedzieć odmienionemu panu Wingate'owi, że mam tyle wiary w jego szczerość, co w nienaruszalność rezerw złota: zero. Powiem córce, że ma uznać zaręczyny za zerwane. Zabronię jej wszelkich kontaktów z tym człowiekiem. Zrobię wszystko, żeby była posłuszna moim poleceniom.

A więc doszło do najgorszego. Zrozpaczony, postanowiłem grać na zwłokę.

- Panie Charnwood, może nie powiedziałem dostatecznie jasno...

- Ależ tak! - Odwrócił się od okna. - Pan zachował rozsądek, ale pański przyjaciel nie. Czy tak?

- Chyba tak.

- Sądzi pan, że jedyną nadzieją na zysk było podjęcie się roli rzecznika mojej córki i pańskiego przyjaciela.

-Cóż...

- Jest pan w błędzie. Ocenia pan sytuację z niewłaściwego punktu widzenia. Proszę spojrzeć. - Wyjął z kieszeni kamizelki srebrną monetę pięcioszylingową i położył ją przede mną na biurku. - Jaki kształt ma ta moneta?

- Jaki kształt?

-Tak.

- Okrągły.

- Świetnie. A teraz?

Wziął monetę do ręki i wyciągnął w moją stronę, trzymając ją poziomo między palcem wskazującym a kciukiem tak, że widziałem tylko ząbkowany brzeg.

- Jaki kształt ma teraz, panie Horton?

-Eee...

- Niech pan zapomni, że to jest moneta. Proszę powiedzieć, co pan widzi?

Wzruszyłem ramionami.

- Linię prostą.

Właśnie. - Uśmiechając się, ustawił monetę na blacie biurka, zakręcił nią i patrzył z zadowoleniem, jak wiruje. -Tak więc koło i prosta mogą być tym samym, zależnie od punktu patrzenia.

- Nie rozumiem...

- Moja córka i pański przyjaciel oczekują od pana pomocy. Ja również.

-Pan?

-Diana... jest zakochana... i to uczucie może się okazać silniejsze od przywiązania do ojca. Mogą zechcieć postawić mnie przed fait accompli w nadziei, że kiedy już się pobiorą, przestanę się temu sprzeciwiać. Niesłusznie. Wydziedziczę ich... - Moneta upadła na biurko. - Nie dam im nawet pięciu szylingów - powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

- Niech się pan nie łudzi, panie Horton. Jeśli będę musiał, uczynię moją córkę nędzarką. Pańskiego przyjaciela również.

- Nie jestem pewien, czy ta groźba ich powstrzyma.

- Ja również nie. Dlatego oczekuję od pana pomocy. Pod koniec miesiąca wywożę Dianę za granicę i pan Wingate nie będzie mógł się z nią kontaktować. Do tego czasu istnieje niebezpieczeństwo, o którym wspomniałem. Gdybym był informowany o ich planach, że tak powiem: zawczasu, mógłbym uniemożliwić ich realizację. Pan, ich powiernik, mógłby mnie w porę ostrzec.

- Mógłbym?

- Jeśli pan to zrobi, wynagrodzę pana. Otrzyma pan swoją część tego, co już bym panu wypłacił, gdyby nie upór pańskiego przyjaciela. - Wziął monetę ze stołu i wsunął na powrót do kieszeni. - Tysiąc funtów, panie Horton. To chyba uczciwa zapłata?

- Trzydzieści srebrników.

- Dokładniej: cztery tysiące monet. Nie wygląda pan na człowieka pełnego skrupułów. Zresztą, ubóstwo szybko zniszczy iluzoryczną miłość pańskiego przyjaciela. To samo dotyczy mojej córki. W rzeczywistości wyświadczy im pan przysługę. Ich koło będzie pańską prostą. Na końcu czeka na pana tysiąc funtów.

Rozumiał mnie nie gorzej niż ja sam, a może nawet lepiej. Przekonał mnie. Nawet ostatnie, drobne ustępstwo na rzecz mojego szczątkowego sumienia zostało przez niego właściwie ocenione. Powoli podniosłem się z krzesła.

- Pomyślę o tym - powiedziałem cicho.

Wiadomość o nieprzejednanej postawie Charnwooda załamała Maksa. Jedyłą pociechą stało się dla niego to, co -z moją zachętą - uznał za zmianę mojego nastawienia.

- Więc radzisz mi nie poddawać się? - spytał.

- To trudna decyzja - odparłem, wzruszając ramionami.

-Jednak czasem trzeba postawić miłość na pierwszym miejscu. Teraz nadeszła na to pora.

Chociaż, gdyby to zależało ode mnie, byłoby odwrotnie. Biedny, otumaniony Maks nie zniósłby prawdy. Musiałem kłamać. Zarówno ze względu na niego, jak i na siebie. Jeden z nas musiał myśleć o funtach, szylingach, a nawet pensach, mimo że drugi chwilowo przestał dostrzegać ich wartość. Ostatnią nadzieją na zysk z tego przedsięwzięcia były pieniądze obiecane mi przez Charnwooda za zdradzenie mu planów Maksa i Diany. Musiałem więc dopilnować, by mieli plany, które mógłbym zdradzić. Byłem przekonany, że pewnego dnia mój przyjaciel podziękuje mi za to, co dla niego zrobiłem. Na ten dzień przyjdzie mi jednak zaczekać. Tymczasem musiałem postępować obłudnie.

- Nie pozwól, żeby Diana wymknęła ci się z rąk teraz, skoro już się poświęciłem - powiedziałem z uśmiechem. -Jest zbyt dobra, żebyś miał ją stracić.

- Nie sądzisz chyba, że sam o tym nie wiem. - W zamyśleniu obgryzał paznokcie. - Ale jej bardzo zależy na aprobacie ojca. Sam nie wiem, co zrobi...

- Kiedy będziesz się z nią widział?

- Jutro, koło Dorking. Wypijemy razem herbatę w "Burford Bridge". To taki hotel u stóp Box Hill, w bezpiecznej odległości od domu. - Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział: - Może pojedziesz tam ze mną? Spróbujesz jej wytłumaczyć, że ojciec jest nierozsądny.

-Jeśli to miałyby pomóc...

- Będę ci bardzo wdzięczny.

- Nie musisz mówić nic więcej. Pojadę.

Wsiadliśmy do pociągu na dworcu Victoria i przed trzecią szliśmy aleją od stacji Box Hill w kierunku rzeki Mole. Przed nami, tam gdzie główna droga z Londynu przecina rzekę, stał w otoczeniu drzew solidny hotel o skomplikowanej bryle.

Maks denerwował się, niepewny, czy Diana przyjedzie. Sądzę, że bał się, iż Charnwood uwięzi ją w Bursztynowym Dworze. Martwił się jednak niepotrzebnie, bo siedziała już na uboczu w hotelowym holu, a na stoliku obok stała herbata i ciasteczka. Była poważna, co dodawało jej uroku. Delikatny wzór niezapominajek na sukience podkreślał jej szczupłość. Zdziwiła się na mój widok, ale starała się to ukryć. Może domyślała się, że Maks zechce mnie przywieźć?

Zamówiliśmy herbatę i przysiedliśmy się do niej. Diana zniżyła głos i powiedziała:

- Dziękuję, że próbowałaś coś dla nas zrobić, chociaż odniosło to przeciwny skutek.

- Przykro mi - odparłem, udając żal. - Bardzo mi przykro.

- Zabronił mi spotykać się z tobą, Maks - powiedziała, ujmując jego dłoń. - Przychodząc tutaj, okazałam nieposłuszeństwo. Mówi, że następny miesiąc spędzimy za granicą. We Włoszech. Żebym nie zrobiła głupstwa. Do tego czasu nie wolno mi bywać w Londynie. Mój mały imp stoi zamknięty w garażu, a kluczyki zostały skonfiskowane. Jeszcze nigdy się tak nie zachowywał. Coś go... - W jej oczach pojawiły się łzy; zaczęła szukać chusteczki. - Zachowuje się jak potwór.

- Nie martw się, kochanie - powiedział Maks, gładząc jej dłoń.

- On nie może nas rozdzielić. Nie może!

-Nie?

Pytanie zawisło w powietrzu. Przyniesiono herbatę. Ustawianie filiżanek i spodeczków, brząk porcelany, zdawały się trwać całą wieczność. Kiedy wreszcie kelnerka sobie poszła, postanowiłem wtrącić do rozmowy swoje trzy grosze.

- Sądzę, że duma nie pozwala twojemu ojcu przyznać się do błędu.

- Papa nigdy by nie pozwolił, żeby jego duma stanęła na drodze mojemu szczęściu.

- Nie panuje nad sobą.

- Co mamy robić?

- Musicie wziąć sprawy w swoje ręce.

-Chcesz powiedzieć... - Przygryzła wargę i skrzywiła się. - Bardzo mi zależy na jego błogosławieństwie.

- Otrzymasz je... kiedy będzie po wszystkim.

- Powoli, stary - powiedział Maks, bojąc się widocznie, że zbyt nalegam. - Guy chce powiedzieć...

- Wiem, co chce powiedzieć. Ma rację. Sama o tym myślałam minionej nocy, przewracając się z boku na bok i szukając najlepszego rozwiązania. To jedyny sposób.

- Chyba tak - powiedziałem.

Sprawa została postanowiona. Młoda para zakochanych - chociaż Maks nie był bardzo młody - przeszła do ogrodu, gdzie spacerując wśród klombów, dopracowała szczegóły romantycznego planu, który im podsunąłem. Ja zostałem w holu. Palilem papierosy i bez zainteresowania przeglądałem "Country Life". Nie powiedzieli mi, co uzgodnili, i dopiero gdy wsiadliśmy z Maksem do pociągu, bez wahania powtórzył mi wszystko. Diana uda przed ojcem, że - jakkolwiek z żalem - jednak godzi się z jego decyzją. Tymczasem Maks, z moją pomocą, załatwi w urzędzie wszystkie formalności, żeby pod

koniec przyszłego tygodnia dostać ślub. Umówionego dnia, o drugiej w nocy, Diana wymknie się z domu i spotka z Maksem w połowie ścieżki biegnącej przez las. Samochód będzie czekał przy szosie na Dorking. Maks zabierze narzeczoną do Londynu i rano wezmą ślub. Ja będę świadkiem. Diana zostawi ojcu liścik, w którym wszystko wyjaśni i wyrazi nadzieję na pojednanie z nim po powrocie z miodowego miesiąca, który spędzą z Maksem w Paryżu.

Wszystko zdawało się bardzo proste. Prawie cały następny dzień szukaliśmy z Maksem urzędnika, który zgodzi się wystawić akt ślubu od ręki. W urzędzie stanu cywilnego w Marylebone ustaliliśmy datę i godzinę ślubu: sobota, dwudziestego drugiego sierpnia, dziesiąta rano. Potem sprawiliśmy radość sprzedawcy samochodów przy Tottenham Court Road, kupując od niego prawie nowego talbota saloon za trzysta funtów. Obiad zjedliśmy u Ritza. Maks był przekonany, że czeka go małżeńska sielanka. Musiał tylko cierpliwie dotrwać soboty.

Nie miałem wyboru - musiałem czekać razem z nim, wiedząc, że szczęśliwy dzień nadejdzie. Wyraz psiego oddania, który dostrzegłem na twarzy Maksa, kiedy trzymał Dianę za rękę, przekonał mnie, że Charnwood miał rację. Wyświadczę Maksowi przysługę oszczędzając mu umacniającego się z miesiąca na miesiąc i z roku na rok odkrycia, że miłość na skromnym poddaszu kończy się nienawiścią. Oszczędzę i jemu, i Dianie wielkiego rozczarowania. Podzielę się z Maksem tysiącem funtów, który dostanę od Charnwooda. To go pocieszy po stracie ukochanej. Ta ostatnia myśl kazała mi działać bez pośpiechu i pozwalała udawać przed sobą samym, że jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji.

W rzeczywistości jednak już się zdecydowałem. Na dwa dni przed ślubem zrobiłem to. Przyjęto mnie natychmiast. Sekretarka spodziewała się mnie. Tym razem nie było żadnych kuglarskich sztuczek z pięcioszylingową monetą. Charnwood wysłuchał mnie w milczeniu, wypisał czek na tysiąc funtów i przesunął go po biurku w moją stronę.

- Jestem bardzo zobowiązany, panie Horton. Może pan być pewien, że pan Wingate nie będzie podejrzewał, iż to pan był moim źródłem informacji.

Wstaliśmy i uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Załatwianie sprawy z człowiekiem tak prostolinijnym jak pan było prawdziwą przyjemnością - powiedział. - Dzięki temu życie staje się prostsze.

Dla Charnwooda może i prostsze - myślałem, wkładając czek do kieszeni. Ja nigdy nie miałem okazji narzekać na nadmierną prostotę.

IV

Nie wiedziałem, jak Charnwood zamierza zapobiec ucieczce córki, i nie chciałem wiedzieć. Niewiedza chroniła mnie przed wykryciem. Zabezpieczyłem się jeszcze w inny sposób. Otworzyłem nowe konto bankowe na swoje nazwisko i na nie kazałem wpłacić pieniądze z czeku. Pieniądze z kanadyjskiego konta przelaliśmy z Maksem na nasze wspólne konto w Londynie. Zamierzałem w końcu dołączyć i te pieniądze do tamtych wspólnych, ale dopiero po jakimś czasie.

Potem pozostało już tylko czekać na to, co się miało wydarzyć. Im bliżej piątku, tym bardziej się obaj denerwowaliśmy, ale każdy z innego powodu. Maks nie mógł się doczekać wyprawy

do Dorking. Ku mojemu niezadowoleniu zaproponował, żebym z nim pojechał. Na początku nie wyraziłem zgody, ale nie chcąc budzić podejrzeń, musiałem zachowywać się tak, jakbym wierzył w powodzenie planu. Maks potrzebował towarzystwa na czas oczekiwania w nocy na polanie. W końcu uległem i wyraziłem zgodę.

Kolację zjedliśmy w hotelu koło Leatherhead. Do Dorking przyjechaliśmy ponad cztery godziny przed czasem. Jadąc bez celu drogą na Guilford, zatrzymaliśmy się przed przydrożną gospodą i weszliśmy do środka. Po kilku szklaneczkach whisky Maks, pełen nadziei, gadał bez przerwy, a ja czułem się coraz gorzej. Jak Maks zareaguje na to, co zrobił Charnwood (bo na pewno coś zrobił)? Jak się zachowa, kiedy zrozumie, że nie dostanie Diany? I najważniejsze: co ja zrobię? Wątpliwości mnożyły się w mojej głowie, a alkohol jeszcze je pogłębiał.

Na szczęście Maks był zbyt upojony radością, żeby zwracać uwagę na moje nastroje. Gdy weszliśmy do baru, jakiś klient - sądząc z wyglądu i zachowania komiwojażer - flirtował z barmanką. W końcu namówił dziewczynę, żeby zwracała się do niego po imieniu. Przedstawił się jako - aż trudno w to uwierzyć - Hildebrand. Barmanka roześmiała się głośno, ale Maks dostrzegł w tym dobrą wróżbę.

- Pamiętasz Hildebranda, tego karła?

- Z "Wigilii świętej Agnieszki" Keatsa? Pamiętam. Dlaczego pytasz?

- Był zaciekłym nieprzyjacielem Profira, prawda? Ale nie przeszkodził Profirowi w ucieczce z ukochaną. Charnwood mi również nie przeszkodzi.

- Miejmy nadzieję.

- Nie martw się. Nic złego się nie stanie.

A przecież już się stało; wiele wysiłku kosztowało mnie, żeby mu o tym nie powiedzieć. Kiedy podszedłem napełnić kieliszki, Hildebrand - wcale nie przypominający karła - zabawiał barmankę sztuczką, która polegała na wyczarowywaniu w głęboko wyciętym dekolcie dziewczyny jedwabnej chusteczki i wyciąganiu jej. Jakżebym chciał wyczarować dla Maksa szczęśliwe zakończenie naszej nocnej wyprawy! Nie mogłem jednak zrobić nic, tylko rzucić winę za ten sentymentalny nastrój na whisky i zamówić następną szklaneczkę.

Nie chciało nam się wychodzić z gospody, ale w końcu przyszedł czas. Maks pokazał mi na mapie Bursztynowy Dwór i miejsce spotkania, ale wąskie dróżki pod bezgwiezdnym niebem, pnące się w górę zalesionych stoków, w rzeczywistości wyglądały zupełnie inaczej. W smudze światła z reflektorów wirowały ćmy. Na szybie osiadała wilgotna mżawka. Gdy znaleźliśmy się w miejscu, gdzie dróżka wychodząca z domu dochodziła do drogi, Maks zaparkował samochód pod drzewami i wyłączył silnik i światła.

Zbliżała się północ. Było ciemno i cicho; przypomniałem sobie, dlaczego nie ufam wsi. Ciemności nie były całkowite. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się nieco, zobaczyłem przerwę w murze drzew w miejscu, gdzie zaczynała się ścieżka. Nie było też pełnej ciszy. Słyszałem ciche szelesty i ruch w ściółce. Gdzieś pohukiwała sowa. Zaszczekał lis. Potem Maks zapalił zapałkę i poczęstował mnie papierosem.

- Pewnie uważasz, że zawiariowałem, że robię coś takiego, co? - spytał i zachichotał.

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- Nie, ale coś podobnego. Na twoim miejscu byłbym pewnie bardziej wymowny. Nie myśl, że jestem niewdzięczny, to nieprawda.

Jego wdzięczność była dla mnie jak cios w brzuch. Nie potrzebowałem jej.

- Która godzina? - spytałem.

Zapalił następną zapałkę i spojrzął na zegarek.

- Cztery po dwunastej. Zostały niespełna dwie godziny. Bagatelka w porównaniu z tym, co musieliśmy znieść na warcie nad jeziorem Dorian. Wiesz, czasem miałem wrażenie, że zostaniemy tam już na zawsze. Ale wróciliśmy. Przetrwaliśmy. Teraz Macedonia to tylko wspomnienie. Kiedyś dzisiejsza noc też będzie wspomnieniem. Tyle, że szczęśliwym. Obiecuję, że nie tylko dla mnie. Dla nas obu. Kiedy weźmiemy ślub, Charnwood zmieni zdanie. Zobaczysz, że tak będzie. Bardzo kocha córkę. Możesz być pewien, że nie zapomnę o tobie, kiedy zacznę wydawać pieniądze z niewyczerpanego skarbcza teścia. Amor vincit omnia. Stary Carter wbił mi do głowy to zdanie dwadzieścia lat temu, ale do dzisiaj mu nie wierzyłem.

Mówił jeszcze dużo podobnych rzeczy, a czas się ślimaczył. Kwadrans przed drugą Maks wyruszył na miejsce spotkania: przy przełazie, w miejscu, gdzie ścieżka wchodzi na teren posiadłości Charnwooda, ogrodzonej płotem biegnącym skrajem lasu. Miał nadzieję, że za pół godziny wróci do mnie z Dianą.

- Powodzenia, Maks.

- Dzięki, stary, będzie dobrze - odparł radośnie.

Poklepał mnie po ramieniu i ruszył przed siebie. Po kilku krokach zatrzymał się, mrugnął do mnie latarką i odszedł.

Kiedy zostałem sam, myślałem o tym, co może się wydarzyć i jak Maks na to zareaguje. Co zrobi, kiedy zrozumie, że Diana nie przyjdzie? Wróci tutaj, czy też pójdzie do jej domu (domagać się wyjaśnień? Jeśli tam pójdzie, co go spotka? Czy Diana tam będzie? Może Charnwood ją wywiózł? W jaki sposób zapobiegł jej ucieczce? A może mu się nie udało? Nie; z pewnością dopiął swego i wymyślił jakiś sposób, żeby rozdzielić Maksa z ukochaną.

Najpierw minęła druga, potem wyznaczone przez Maksa pół godziny, a on nie dawał znaku życia. Nie było go widać ani słyszeć. Zniknął bez śladu w spowijających wszystko ciemnościach. Wpół do trzeciej uznałem, że musiał się już zorientować, iż czeka na próżno. Widocznie jednak nie zdecydował się wrócić do samochodu. Zastanawiałem się, co bym zrobił, gdybym wiedział tylko tyle, ile udawałem, że wiem. Odpowiedź była oczywista: poszedłbym za nim. Przemyślałem to jeszcze raz i doszedłem do tego samego wniosku. Musiałem zachowywać się tak, jakbym był niewinny. Przekonany o słuszności tego rozumowania, wyszedłem z samochodu i ruszyłem przed siebie.

Kilka dni wcześniej Maks kupił nową latarkę. Moja, znaleziona w domu w jakiejś szufladzie, była o wiele gorsza. Miała popsuty wyłącznik i dawała słabe światło. Powinienem przed wyjazdem wymienić baterie, ale nie chciało mi się. Żałowałem tego, posuwając się w migotliwym świetle wąską, ale wyraźną ścieżką pod starymi dębami i bukami. Brodziłem w liściach opadłych podczas niezliczonych jesieni. Mniej więcej po dziesięciu minutach marszu pomyślałem, żeby zawołać Maksa, ale bałem się. W ciągu dnia chętnie odpocząłbym na zalanej słońcem przecince, ale w nocy

wszystko wyglądało inaczej: ciche, czujne i uzbrojone przeciwko otepiałym zmysłom mieszcza.

Raptem ścieżka rozwidliła się. Nie przewidziałem takiej komplikacji. Obie odnogi wydawały się równie często używane. Gdybym nawet był w nastroju do zabawy w tropiciela śladów, brakowało mi ku temu umiejętności. Nie zadałem sobie trudu zapamiętania ścieżek zaznaczonych na mapie, którą w swojej głupocie zostawiłem w samochodzie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy po nią nie wrócić, ale przypomniałem sobie, że w czytaniu mapy jestem tylko troszeczkę bardziej biegły niż w tropieniu. Mogłem się poddać, ale sytuacja wymagała ode mnie wytrwałości. Lewa ścieżka wydała mi się nieco szersza i prostsza. Zdecydowałem pójść w tamtą stronę.

Wkrótce zacząłem podejrzewać, że się pomyliłem. Powinienem już minąć przełaz, ale jeszcze go nie napotkałem. Drzewa przerzedziły się i wyszedłem z lasu na otwarte pole. Za mną stała otworem jakaś brama. Rozglądałem się skonsternowany i już miałem zawrócić, gdy na szczycie niewidocznego wzniesienia, jakieś pół kilometra przed sobą, zobaczyłem światła domu. Ich liczba i długość, na jakiej rozciągały się świecące okna, kazały się domyślać, że jest to duża posiadłość. Byłem przekonany, że widzę Bursztynowy Dwór. Otwarta brama oznaczała, że na łące nie nocują zwierzęta. Mogłem pójść prosto do domu. Maks mówił, że ścieżka przecina łąkę za lasem i że ogród otoczony jest płotem. Trzymając się skraju lasu, powinienem dojść do tego miejsca. Mimo to wahałem się. Czy nie będzie lepiej wrócić do rozwidlenia drogi? Za nic nie chciałem się zdradzić. Musiałem znaleźć Maksa. Po chwili wahania zawróciłem.

Wróciłem do lasu. Poruszałem się tak szybko, jak pozwalały mi na to nieprzeniknione ciemności. Oszczędzałem latarkę na wypadek, gdyby mi była potrzebna do czegoś ważniejszego niż omijanie wystających korzeni. Nagle gdzieś na lewo rozległo się wołanie:

- Kto tam?

Był to głos przestraszonej kobiety; może Diany, a może nie. W każdym razie nie chodziło o mnie. Z tej samej strony słyszałem szelest suchych liści. Ktoś przeciskał się wśród gałęzi. Potem usłyszałem tego kogoś na ścieżce przed sobą... Nie, na tej drugiej. Słyszałem, jak dobiegł do rozwidlenia dróg.

- Kto tam jest? - powtórzono pytanie. - Stać!

To nie Diana, lecz Vita wołała chrapliwym głosem. Ale biegnący człowiek nie usłuchał.

Ogarnął mnie niepokój. Co się tam dzieje? Pobiegłem przed siebie, oświetlając drogę latarką, żeby się nie przewrócić. Dobiegłem do głównej ścieżki. Tego, kto uciekał, nie było już słychać. Gdzie jest Vita? Co robi w lesie?

- Nie! - rozległ się krzyk za moimi plecami. Tym razem był to głos Diany. - O Boże, nie!

Zapadła cisza. Wahałem się przez moment, ale w jej głosie słychać było wołanie o pomoc, któremu nie potrafiłem się oprzeć. Poszedłem drugą ścieżką, co jakiś czas oświetlając drogę latarką. Po chwili doszedłem do przełazu i przeszedłem na drugą stronę. Przede mną majaczyło światło latarki.

- Halo! To ty, Diano?

-Guy?

Nie widziałem jej, ale domyśliłem się po głosie, że jest kilkanaście metrów przede mną.

-Tak, to ja.

- Gdzie jesteś?

-Tutaj.

Nagle wyszedłem zza zakrętu i zobaczyłem je obie. Przede mną stała Vita w bezkształtnym kapeluszu, długim płaszczu przeciwdeszczowym i wysokich butach. Trzymała latarkę i oświetlała klęczącą Dianę, która miała odkrytą głowę, ale poza tym była ubrana tak samo jak ciotka. Przed nią, wśród paproci, leżał na wznak człowiek w czarnym płaszczu, tweedowych spodniach i solidnych butach. Podeszwy były ubłocone, ale wierzchy, starannie wypastowane, lśniły w świetle latarki. Z miejsca, gdzie stałem, nie mogłem zobaczyć, kto to taki. Głowa była źle widoczna, ale z początku nie bardzo wiedziałem, dlaczego. Podeszedłem bliżej i wówczas zobaczyłem. To był Charnwood. Cała prawa strona głowy została zmiażdżona, tworząc zalany krwią krater, z którego wypływał mózg.

- Boże! - powiedziałem, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

- Papa - szepnęła Diana, głaszcząc go po brodzie. - Mój biedny papa.

- Co pan tu robi, panie Horton? - spytała ponurym głosem Vita.

- Byłem z... To znaczy...

Diana podniosła na mnie wzrok.

- Byłeś z Maksem?

-Tak, ale...

- Gdzie on jest?

- Nie wiem.

- Słyszałyśmy, jak ktoś uciekał. Czy to był Maks?

- Możliwe. Ja... - Usłyszeliśmy go w tej samej chwili. Samochód ruszył i odjechał szybko drogą na Dorking. Wśród drzew wyraźnie słychać było ryk motoru. Poznałem znajomy głos talbota.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - To nie ma sensu.

- Mój brat został zamordowany - stwierdziła Vita. - Przyszedł tutaj na spotkanie z pańskim przyjacielem po tym, jak Diana wyznała zamiar ucieczki z domu. - Diana zaczęła szlochać, cicho i monotonnie, ale Vita nie zwracała na to uwagi. - Nie wrócił do domu, więc wyszliśmy go szukać. Oto, co znaleźliśmy. Mój brat został zabity.

- Chyba nie chce pani...

- Pański przyjaciel uciekł, panie Horton. Uciekł z miejsca zbrodni.

- Nie, to niemożliwe. Maks nikogo nie mógł zabić.

- W ataku złości, kiedy zrozumiał, że nie uda mu się postawić na swoim...

- Nie, do diabła. Nie! To jakaś pomyłka!

- Chciałabym, żeby to była pomyłka - szepnęła w nagłej ciszy Diana. - Pragnę tego z głębi serca.

Ukląłem obok niej, odwracając spojrzenie od ciała w płaszczu zbryzganym krwią, z przerażającą raną głowy.

- Powinnaś wrócić do domu - powiedziałem, ujmując lekko jej dłoń.

- Tak, oczywiście. - Pozwoliła postawić się na nogi. - Do domu. Ale papa...

- Nic mu nie pomożesz.

- Pan Horton ma rację - powiedziała Vita. - Wróc z nim do domu. Ja tu zaczekam... z Fabianem.

- Lepiej niech pani odprowadzi Dianę, panno Charnwood. To nie jest... odpowiednie miejsce dla damy.

- On jest moim bratem - powiedziała i zacisnęła szczęki. - Nie zostawię go - dodała.

Nie było sensu protestować.

- Dobrze - zgodziłem się.

- Jak najszybciej zadzwońcie po policję.

Powodowany lojalnością wobec Maksa, chciałem zaprotestować, cóż jednak miałem powiedzieć, skoro dowód jego winy był tak bezsporny? Sam przestałem się zastanawiać nad tym, czy Maks zabił Charnwooda, i myślałem tylko o tym, jak do tego doszło. W głębi duszy wiedziałem jak. Wszyscy wiedzieliśmy.

- Nie ma na co czekać - powiedziała Vita. - Chcę, żeby go złapali.

Nie odzywaliśmy się z Dianą ani słowem, idąc przez las i przez łąkę do bramy ogrodu. Opierała się ciężko na moim ramieniu i oddychała głęboko, starając się powstrzymać łzy. Nie przychodziły mi do głowy żadne pocieszające słowa, nie wiedziałem też, jak ją przeproszać. To, co się wydarzyło, z każdą chwilą wydawało mi się coraz bardziej złowróżbne. Musiało dojść do kłótni - myślałem - której nie udało się rozwiązać metodami pokojowymi. Może Charnwood rozwścieczył Maksa ostentacyjną arogancją albo pogardą. Może w najmniej odpowiednim momencie narzędzie zbrodni nawinęło się Maksowi pod rękę: jakiś ciężki kamień, kawałek drewna; a może posłużył się latarką? Cokolwiek to zresztą było, zostało użyte w nagłym napadzie morderczego gniewu, za który - w jakimś stopniu - czułem się odpowiedzialny. Teraz już nic nie da się zmienić ani cofnąć. Stała się rzecz nieodwracalna. Zginął człowiek. To wydarzenie zmieni życie wielu osób.

Kiedy zbliżyliśmy się do Bursztynowego Dworu, gdzieś w oknach widać było światła. Kominy i dach odcinały się na tle nieba. Weszliśmy na wysoki kamienny ganek. Diana przez chwilę zbierała siły, potem poszła obudzić mieszkającą w domu służbę: kucharkę, dwie pokojówki i szofera. Po kilku minutach wróciła, wprowadziła mnie do salonu i zadzwoniła na policję. Połączenie było złe i musiała krzyczeć, aż jej głos odbijał się echem w wielkim pokoju.

- Mój ojciec został zamordowany. Proszę natychmiast przyjechać.

Spojrzałem na portret wiszący nad kominkiem. Przedstawiał elegancką, ciemnowłosą damę w kremowej sukni w stylu edwardiańskim. Miała oczy Diany, ale osadzone w innej twarzy.

- Moja matka - powiedziała spokojnie Diana, patrząc na mnie i odkładając słuchawkę. - Sportretowano ją trzydzieści lat temu.

Jej głos lekko drżał. Otuliła się ramionami i zamknęła oczy.

- Napijesz się brandy? Należę ci.

- Nie chcę. - Mimo to, kiedy usiadła na sofie przy kominku, drżącą dłonią przyjęła kieliszek. - Dziękuję - szepnęła.

- Pij powoli - poradziłem i usiadłem obok niej. - Poczujesz się lepiej.

- To niemożliwe.

- Chyba masz rację... Powiesz mi, co się stało? Chciałem wiedzieć przynajmniej tyle, co ona, i co jeszcze ważniejsze - wiedzieć, ile ona wie.

- Dlaczego zrezygnowałaś z ucieczki?

Przyglądała mi się przez chwilę. Zacząłem podejrzewać, że oskarżycielskim tonem powtórzy moje pytanie, ale ona pokręciła tylko ze smutkiem głowę.

- Papa dowiedział się o naszych planach. Po kolacji wezwał mnie na rozmowę i...

- Dzisiaj wieczorem?

- Tak. Zaprosił mnie do swojego gabinetu i powiedział, że wie o przygotowywanym ślubie. Nie chciał powiedzieć, skąd. Sądzę, że domyślił się prawdy, sprawdził wszystkie urzędy stanu cywilnego między naszym domem a Londynem i znalazł ten właściwy. Teraz to nie-ma znaczenia.

Wahałem się przez chwilę, zanim przytaknąłem:

- Chyba nie.

- Przyznałam się do wszystkiego. Co miałam zrobić? Na początku byłam bardzo zła, że mnie szpiegował. Pokłóciliśmy się. - Przyłożyła dłoń do głowy, jakby chciała uśmierzyć ból zrodzony z tego wspomnienia. - Potem zrozumiałam, że go rozczarowałam, że był wstrząśnięty myślą, iż zamierzałam wymknąć się z domu w nocy, jak złodziej. Zrozumiałam, że nie potrafię tego zrobić. Mama nie żyje, a on nie ma syna ani drugiej córki; nikogo, komu mógłby zaufać. - Przelknęła głośno. - Maks chciał, żebym zawiodła papę. Nie mogłam tego uczynić.

- Twój ojciec poszedł spotkać się z Maksem?

- Tak. - Spojrzała w dół, potem uniosła brzeg sukienki i zapatrzyła się na plamy krwi, pomiędzy deseniem z kropek. - Guy, dlaczego on to zrobił? Dlaczego zrobił coś tak strasznego?

- Nie wiem. Czekałem w samochodzie. Poszedłem za nim, ponieważ nie wracał, ale skręciłem w złą ścieżkę. Dopóki nie natrafiłem na was, nie miałem pojęcia... Nic nie wskazywało...

- Ach Boże!

Nagle wzięła mnie za rękę, odwróciła się w moją stronę i ukryła głowę na moim ramieniu. Myślałem, że będzie płakać, ale po kilku sekundach wyprostowała się i wzięła długie, głębokie wdechy. Oczy miała wilgotne, ale po jej policzkach nie płynęły łzy.

- Papa chciałby, żebym była silna - powiedziała. - Ze względu na niego muszę wziąć się w garść.

- Diano... jeśli to Maks...

- Czy możesz w to wątpić?

- Nie wiem. Ale... jeśli to on, to nie ucieknie daleko. Ogarnęła go panika. Kiedy zrozumie, co zrobił... Jak poważna jest jego wina...

- Sądziysz, że zgłosi się na policję?

- Jestem tego pewien. Nie chciałby... za nic w świecie... sprawić ci tyle bólu.

! - A jednak to zrobił.

- Mimo to nadal cię kocha. ;

- Tak - powiedziała, odwracając wzrok. - Tym gorzej dla niego.

Przyjechał sierżant i konstable z Dorking oraz - oddzielnie - detektywi z Guilford w cywilnych ubraniach. Diana koniecznie chciała zaprowadzić ich na miejsce, gdzie czekała Vita; odrzuciła moją pomoc argumentując, że nie znam drogi. Usta miała zaciśnięte; wszystko, co mówiła, brzmiało logicznie. Postanowiła zachowywać się tak, jakby sobie życzył papa.

Oficer śledczy, otyły nadinspektor o grubo ciosanej twarzy, nazwiskiem Hornby, zabronił mi ruszać się z miejsca. Jedna z pokojówek rozpałała w kominku i przyniosła mi kawę. Powiedziała, że jest tym wszystkim bardzo zdziwiona. Całkiem rozumiała reakcję, ale ja nie mogłem sobie pozwolić

na takie stwierdzenie. Pałac papierosa za papierosem i chodząc tam i z powrotem pod portretem świętej pamięci pani Charnwood zastanawiałem się, co powinienem powiedzieć policji, kiedy przyjdzie moja kolej. Wiedziałem, że nie mam dużo czasu. Czy powiedzieć całą prawdę, czy tylko jej część? Co ma znaczenie i co ich zadowoli? Jeśli można jakoś pomóc Maksowi, byłem gotów to zrobić. Nie wiedziałem jednak, jak. Zachowanie Maksa potwierdzało jego winę i żadne wysiłki z mojej strony nie mogły tego zmienić

Po pewnym czasie wrócił sierżant z Vitą i z Dianą. Panie weszły do salonu. Wszyscy byli bladzi i milczący. Przyniesiono kawę. Płonął ogień, a mimo to w pokoju panował chłód. Prawie wcale nie rozmawialiśmy. Każde z nas przeżywało własny smutek i poczucie winy. Noc dłużyła się niemiłosiernie, chociaż ranek musiał nadejść.

Potem wszedł sierżant z wiadomością, że zabierają ciało. O nic nie pytając, wyszliśmy na ganek, żeby zobaczyć jak wkładają do karetki przykryte prześcieradłem nosze. Znów zaczęło mżyć. Lampy i latarki oświetlające ostatnią podróż pana Bursztynowego Dworu wyglądały nierealnie. Zatrzaśnięto za nim drzwi, karetka odjechała, policjanci kazali nam wracać do domu. Ze zmarłym już się uporano. Teraz żywi musieli zdać sprawę.

Nadinspektor Hornby ponad pół godziny spędził zamknięty w salonie z Vitą i Dianą. Mnie kazano czekać w bibliotece. Towarzystwa dotrzymywał mi konstabl o wyłupiastych oczach. Milczał przez cały czas, jeśli nie liczyć chrząkania. Tylko raz przerwano ciszę, kiedy przyszedł sierżant spytać o markę, kolor i numer rejestracyjny naszego samochodu. Potem nie pozostało mi nic lepszego do roboty, jak przyglądać się księgozbiorowi Charnwooda. Zauważyłem wiele książek poświęconych Wielkiej Wojnie. Były tam studia polityczne i strategiczne, historie kampanii i bitew, atlasy, wspomnienia, biografie. Chyba wszystko, co napisano na ten temat w języku angielskim. "Zawsze ta wojna" - powiedział. Ów zbiór uczonych dzieł nawet po jego śmierci dowodził słuszności tego stwierdzenia.

Wziąłem do ręki "Atlas Wielkiej Wojny" Harmswortha i zacząłem go wertować w poszukiwaniu opisu walk o Saloniki. Znalazłem właściwą mapę i na wpół zapomniane nazwy: Monastir, rzeka Wardar, jezioro Ostrovo, góry Mogleny, cieśnina Kresna. W tych ponurych miejscach staliśmy z Maksem ramię przy ramieniu. Nie chciałem, żeby nasza przyjaźń została zerwana tak nagle i tak głupio. Czy jednak mogło się stać inaczej? On uciekł, a ja zostałem, pozbawiony możliwości naprawienia tego, co on popsuł.

- Panie Horton! - warknął Hornby. Jego wejście wyrwało mnie z zamyślenia. - Czas, żebyśmy sobie porozmawiali.

Usiadłem i opowiedziałem mu tyle, ile - jak uznałem - w jego oczach powinno wyglądać na całą prawdę. Diana i Maks poznali się i zakochali na statku; Charnwood nie zgodził się na ślub; młodzi uzgodnili, że Diana ucieknie z domu; towarzyszyłem koledze w drodze na miejsce spotkania; on gdzieś znikł, a ja znalazłem Dianę i jej ciotkę przy zwłokach Charnwooda. Nie wspominałem o nadziei na pieniądze ani o negocjacjach zakończonych wypisaniem czeku. Nie powiedziałem też nic, co pozwalałoby się domyślać, że byłem informatorem Charnwooda.

- A więc zgadza się pan z paniami - stwierdził Hornby, gdy skończyłem. - Zabójstwo w afekcie.

Sam sprawiał wrażenie człowieka, który niejednokrotnie popełnił błąd, kierowany emocjami. Wiedziałem jednak, że nie wolno mi się dać wyprowadzić z równowagi to grzecznym, to znów impertynenckim zachowaniem.

- Powiedziałem tylko, co się tu wydarzyło. Nie do mnie należy interpretacja tych wydarzeń.

- Muszę znać pańskie zdanie. Sądzi pan, że pański przyjaciel zamordował pana Charnwooda?

- Nie wiem.

- Co pan myśli?

- Myślę, że wszelkie wątpliwości powinienem interpretować na jego korzyść.

- Ktoś zabił pana Charnwooda. Od lat nie widziałem tak zmasakrowanego ciała. Powiedziałbym, że czyn ten popełniono w ataku nie kontrolowanej wściekłości.

- Maks nie miewa ataków nie kontrolowanej wściekłości.

- A co z bólami głowy, o których wspomniała panna Diana? Podobno ostatnio były znacznie częstsze? Może tak się ujawniała kipiąca w nim złość?

- Nigdy nie słyszałem o tym, żeby stan jego zdrowia ostatnio się pogorszył. Tamto wydarzenie miało miejsce trzynaście lat temu.

- I od tego czasu... prowadziliście wspólne interesy?

- Tak. Najczęściej za granicą.

- Jakie to były interesy?

- Finanse.

- To bardzo ogólne stwierdzenie.

- Inwestowaliśmy wszędzie tam, gdzie spodziewaliśmy się godziwych zysków - powiedziałem spokojnie. - Czy to panu może pomóc?

- Możliwe - uśmiechnął się. - Chociaż niekoniecznie. -Przez chwilę patrzył na atlas, który oglądałem; potem spytał: - Jak pan sądzi, dokąd pojedzie pan Wingate?

- Na komisariat policji, kiedy minie pierwszy szok. Będzie chciał wszystko wyjaśnić.

- Chciałbym podzielać pański optymizm, ale doświadczenie każe mi spodziewać się czego innego. Mieszka pan z nim w Londynie w jego mieszkaniu, prawda?

- Mieszkanie jest własnością jego ojca.

- Ach tak. Pana Aubreya Wingate'a. - Zerknął do notesu. - Zdaje się, że jest emerytowanym sprzedawcą win? Mieszka w Gloucestershire. Może przypadkiem zna pan jego adres?

- Jaybourne House, niedaleko Chipping Campden.

- Dziękuję. - Zapisał. - Skontaktujemy się z nim. Czy pan Wingate pozostawał z rodzicami... w bliskich stosunkach?

- Nie bardzo.

- To znaczy, że raczej będzie chciał ukrywać się w Londynie. Czy jest coś, po co zechce wrócić do mieszkania? Pieniądze? Ubrania? Dokumenty?

- Nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

- Ale zauważy pan, jeśli czegoś będzie brakowało, prawda? Stołeczna policja z pewnością już obserwuje mieszkanie, ale nie możemy wykluczyć możliwości, że pan Wingate nas ubiegł. Chciałbym, żeby pojechał pan tam ze mną w tej chwili, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Miałem wiele przeciwko temu, nie sądziłem jednak, żeby moje obiekcje wywarły na inspektorze Hornbym większe wrażenie.

- Dobrze - odparłem, wzruszając ramionami.

- Doskonale - powiedział wstając; zatrzymał się widząc, że nadal siedzę bez ruchu. - Chyba nie ma powodu zwlekać z wyjazdem?

- Oczywiście, że nie.

- Niewiele tu wskóram, zanim wzejdzie słońce. Dopiero wówczas będziemy mogli zacząć szukać narzędzia zbrodni, jeśli pan Wingate... przepraszam, jeśli morderca je porzucił. Czy pan Wingate zabrał coś z samochodu? Może lewarek? Albo korbę? Klucz francuski?

- Tylko latarkę.

- W metalowej obudowie?

-Tak.

-Ciężką?

- Średnio.

- To mogło być narzędzie. - Wstał. Zauważyłem, że patrzy na moje buty. - Będziemy musieli przyjrzeć się podeszwom i zidentyfikować ślady. Przy tej pogodzie powinniśmy ich trochę znaleźć. Rolnicy pewnie nie są zadowoleni, ale nam deszcz bardzo się przysłużył... - powiedział, uśmiechając się głupkowato. - To nie potrwa długo. Zaraz będziemy mogli ruszać.

- Przed wyjazdem chciałbym się zobaczyć z panną Charnwood.

- Nie ma pan szczęścia. Obie panie położyły się, chociaż nie sądzę, żeby miały spokojny sen. - Pokręcił głową. - Jutro czeka je ciężki dzień. Właściwie, to już dzisiaj... Złożą zeznania. Zidentyfikują ciało. Przed drzwiami będzie na nie czekał tłum dziennikarzy. Nie mówiąc już o całym tym zamieszaniu, które wywoła fakt śmierci pana Charnwooda, niezależnie od przyczyny. Pomyślałem, że powinni odpocząć.

- To bardzo miło z pańskiej strony, nadinspektorze. - Podejrzywałem, że specjalnie trzyma mnie z dala od Diany, chociaż nie domyślałem się, w jakim celu. - Możemy już iść?

- Oczywiście. - Ruszył do drzwi, ale nagle zatrzymał się, odwrócił i stanął ze mną twarzą w twarz; pocierał palcami płatek ucha i robił dziwne miny. - Jeszcze jedna rzecz. Spotkał pan panie przy zwłokach pana Charnwooda. Potem odprowadził pan pannę Dianę do domu, zostawiając w lesie pannę Vitę. Dlaczego?

- Ponieważ Diana była bardzo...

-Dlaczego zostawił pan pannę Vitę samą, w ciemnościach, w towarzystwie zakrwawionych zwłok?

- Chciała tam zostać.

- I pan na to pozwolił? Nie bał się pan, że morderca może wrócić?

- Oczywiście, że nie. Przecież uciekł. Słyszeliśmy odjeżdżający samochód... - Zamilkłem. Zrozumiałem, co właśnie przyznałem. Teraz było jasne, że nie mam wątpliwości co do tego, kto jest mordercą. Najpierw stwierdziłem, że wszelkie niejasności wolę interpretować na korzyść Maksa. Teraz wszystko zaprzepaściłem.

Zanim wszedłem do mieszkania, wiedziałem, że Maks tam był. Musiałem przekręcić klucz do końca, żeby otworzyć zamek, a przecież miałem w zwyczaju przekręcać go tylko raz. Wyjeżdżając do Dorking, wychodziłem z domu ostatni. Nie zdziwiło mnie więc, że zniknęły niektóre ubrania Maksa i połowa banknotów przechowywanych w puszcze po herbacie. Pieniądze te trzymaliśmy na wypadek jakiejś nagłej potrzeby, nigdy nie podejrzewając, że zostaną użyte w tak ponurych okolicznościach.

Dzięki temu, że nie byłem zdziwiony, łatwiej przekonałem Hornby'ego, że nic nie było ruszane. Mogłem wyświadczyć Maksowi przynajmniej tę maleńką przysługę. Policja nie będzie miała pewności, czy ma na sobie garnitur w jodełkę czy w prążki, ani ile ma gotówki. Zrobiłem to z chęcią, zadowolony, że przynajmniej to jedno moje kłamstwo jest dla jego dobra.

Hornby chodził, rozglądał się i zadawał pytania. Widać było, że jest rozczarowany brakiem jakichkolwiek wskazówek.

- Czyżby rzeczywiście to były wszystkie rzeczy pana Wingate'a?

- Zawsze miał niewielki bagaż, nadinspektorze. Ja również.

- Jak pan sądzi, dokąd teraz pojechał?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Wie pan, że będziemy obserwować porty? To mieszkanie również... przez jakiś czas.

- Nie wątpię.

- Chcę powiedzieć, że w końcu go złapiemy. Jeśli ma pan jakieś podejrzenia co do tego, gdzie może przebywać, albo gdyby skontaktował się z panem listownie lub telefonicznie...

- Natychmiast pana powiadomię. O to chciał pan prosić?

- Tak; niech pan to potraktuje poważnie.

Wkrótce potem Hornby wyszedł. Niebo nad Londynem zaczynało szarzeć. Obiecałem zgłosić się w komisariacie w Dorking, żeby złożyć oficjalne zeznanie. Tymczasem Hornby przeszuka las w poszukiwaniu dowodów. Mnie pozostawało tylko rozmyślać nad niepewną przyszłością Maksa. Byłem pewien, że z moją pomocą czy bez niej, policja w końcu go aresztuje. Co będzie potem? Proces. Wyrok. Egzekucja.

Trudno było sobie wyobrazić inny bieg zdarzeń i równie trudno było myśleć, że mój przyjaciel rzeczywiście wszedł na tę drogę.

Pani Dodd przyszła o dziesiątej. Była zarumieniona. W wejściu zatrzymał ją policjant w cywilnym ubraniu. Uparła się, że przygotuje mi śniadanie. Cały czas zastanawiała się głośno, jak przyjmą tę wiadomość rodzice Maksa. Mogłem to sobie wyobrazić bez jej pomocy. Przy różnych okazjach spotykałem państwa Wingate'ów. Byli uprzejmi, ale powściągliwi. To, co się wydarzyło, z pewnością zmartwi ich i przerazi. Wcześniej czy później będę im musiał opowiedzieć o swojej roli w tej sprawie, chociaż wcale nie miałem na to ochoty.

Pani Dodd wyszła przed dwunastą. Powinienem był zadzwonić do Wingate'ów, ale najbardziej chciałem porozmawiać z Dianą. Zadzwoniłem do Bursztynowego Dworu. Pokojówka powiedziała, że Diana nie może podejść do telefonu. Pełen jak najgorszych przeczuć, zgodziłem się rozmawiać z Vitą.

- Moja bratanica odpoczywa, panie Hornby, i nie można jej przeszkadzać. Biedna dziewczyna, nie wie, co ma robić. Policja nadal przeszukuje okolice. Jesteśmy oblegani przez prasę. Sytuacja jest przerażająca i bardzo denerwująca.

- Wyobrażam to sobie.

- Tak? Ojciec Diany został zamordowany przez człowieka, którego, jak jej się wydawało, kochała. Potrafi pan sobie wyobrazić jej uczucia? Moje uczucia?

- Zdaję sobie sprawę, że był to ogromny szok... Może byłoby jej lżej, gdyby ze mną porozmawiała.

- Nie sądzę.

- Po południu będę w Dorking, żeby złożyć oficjalne zeznanie. Czy mógłbym odwiedzić potem Bursztynowy Dwór?

Zapadła cisza. Vita zdawała się poważnie zastanawiać nad moim pytaniem.

- Panno Charnwood?

- Raczej nie, panie Horton. - Więc moja propozycja nie spodobała się jej. - Będzie pan przypominał Dianie pana Wingate'a, co może ją rozstroić. Myślę, że lepiej będzie, jeśli zostawi ją pan w spokoju. Prawdę mówiąc, nalegam, żeby pan się jej nie narzucał. Ani teraz, ani w najbliższej przyszłości.

-Ależ...

- Do widzenia, panie Horton.

Oschłość w głosie Vity pobudziła mnie do litości nad samym sobą, aż w końcu, kiedy wyjeżdżałem do Dorking, troska o Maksa przerodziła się w gniew. Dlaczego, na miłość boską, zrobił coś takiego? Morderstwo było bezsensowne i nikomu nie przyniosło żadnych korzyści. W dodatku zostałem zamieszany w skandal, w którym nie chciałem mieć udziału.

Sposób, w jaki przywitano mnie na komisariacie, nie wpłynął na zmianę mojego nastroju. Pod nieobecność Hornby'ego składałem zeznanie przed młodym, spoconym sierżantem. Ciągle miał jakieś kłopoty ze stalówką, do tego pisał bardzo powoli, zanim więc zdołał zapisać tych kilka informacji, które miałem do przekazania, minęły prawie dwie godziny. Wychodziłem już z budynku, gdy wydarzyło się coś, dzięki czemu odgadłem powód powolności sierżanta: w drzwiach stanął Hornby w ubłoconych butach, pozaciąganych tweedowych spodniach i z szerokim uśmiechem na twarzy. Kiedy mnie zobaczył, jego uśmiech nie znikł, tylko stężał.

- Pan jeszcze tutaj, Horton? Myślałem, że to potrwa tylko chwilę.

- Ja również.

- Wie pan, pan Bóg nie rychliwy...

- Co Bóg ma z tym wspólnego?

- Nie zabijaj. Tak brzmi jedno z dziesięciu przykazań. Dziwi mnie, że taki wykształcony człowiek o tym nie wie. -Nagle spowaźniał. - Dzisiaj rano wśród drzew, niedaleko miejsca, gdzie pan Charnwood został zabity, znaleźliśmy ciężki kamień o ostrych kantach. Jest na nim wystarczająco dużo krwi i resztek kości, żeby uznać go za narzędzie zbrodni. Sądzę, że doszło do kłótni. Pan Charnwood odwrócił się, żeby odejść. Pan Wingate podniósł kamień i pobiegł za starszym panem. Zanim ten się odwrócił, pański przyjaciel uderzył go w głowę. Później zadał leżącemu jeszcze kilka ciosów, odrzucił kamień, pobiegł do czekającego przy drodze samochodu i odjechał. Zgadza się pan ze mną?

- Nie wiem.

Hornby podszedł bliżej.

- Panie Horton, niech pan nie będzie dzieckiem. Musi się pan zgadzać.

- Uwierzę, kiedy usłyszę to z ust Maksa. Nie wcześniej. Pokiwał głową.

- Mogę się założyć, że wkrótce pańskie życzenie się spełni. Wówczas będzie pan musiał uwierzyć.

Po wyjściu z komisariatu musiałem się czegoś napić, ale bar w hotelu "Star and Garter" nie okazał się dobrym miejscem. Wszyscy mówili wyłącznie o zabójstwie Charnwooda. Im więcej płynęło piwa, tym bardziej fantastyczne teorie wysnuwano. Nikt nie mógł powiedzieć, że znał ofiarę - Charnwood był zbyt skryty - mimo to każdy miał jakąś teorię na temat tego, co się wydarzyło. Czytano na głos opis morderstwa na pierwszej stronie lokalnej popołudniówki i

toczono wyczerpujące dysputy. Wyobraźnię pobudzał fakt, że ciało Charnwooda zostało znalezione przez jego siostrę, córkę i jakiegoś człowieka, którego nazwisko nic nikomu nie mówiło. Jeśli zaś chodzi o poszukiwanego przez policję Maksa Wingate'a, niektórzy twierdzili, że był niedawno gościem w Bursztynowym Dworze; tak przynajmniej powiedziała kucharka rzeźnikowi, który rano zawiózł do Bursztynowego Dworu zamówione wcześniej mięso.

Uciekłem stamtąd szybko. Nie mogłem tego słuchać. W pociągu do Londynu uświadomiłem sobie, że nie mam wyboru: dopóki nie znajdą Maksa, będę musiał słuchać. Co więcej, moje nazwisko - obok jego - znajdzie się we wszystkich porannych gazetach. Mój ojciec i siostra bez wątpienia je zauważą. A choćby je nawet przeoczyli, jakiś sąsiad z pewnością ich poinformuje. Nie uda mi się pozostać w cieniu.

Zanim pociąg dojechał do stacji Victoria, postanowiłem, że nie wrócę na noc do mieszkania. Maks nie będzie mógł do mnie zadzwonić, nawet gdyby chciał. Było to z mojej strony poświęcenie, jako że bardzo pragnąłem z nim porozmawiać i dowiedzieć się, co zamierza. Najpierw jednak musiałem spełnić obowiązek wobec ojca i siostry. Powinni usłyszeć prawdę - a przynajmniej jej część - z moich ust, zanim przeczytają jej wypaczoną wersję w niedzielnej gazecie. Syn marnotrawny i brat urwis będzie musiał wreszcie odwiedzić rodzinny dom.

Letchworth w sobotę wieczorem było równie pogodne jak zwykle. Ze stacji skierowałem się na zachód. Szedłem pustymi ulicami, minąłem ciemniejące w mroku budynki fabryki Goddess, w której spędziłem dwa nieszczęśliwe lata, usiłując pełnić funkcję trzeźwo myślącego kierownika stu jędzowatych gorseciarek. Potem skręciłem na południe i szedłem wzdłuż cichych, ukrytych wśród drzew domów. Przy końcu ulicy, nieświadomy tego, czekał na mnie starszy pan z niemłodą już córką. Dwadzieścia trzy lata temu razem szliśmy tą drogą, żeby obejrzeć posiadłość łaskawie ofiarowaną ojcu przez firmę, kiedy przeniosła się do Letchworth. Wtedy byli z nami matka i Feliks. Każdy starał się podtrzymać pozostałych na duchu, ale wtedy okolica była pusta, płaska, pozbawiona charakteru. Dzisiaj robiła na mnie takie samo wrażenie, mimo starannie przyciętych żywopłotów i spadzistych dachów. Garden City pozostało dla mnie tym, czym było zawsze: pustynią.

W końcu stanąłem przed wawrzynowym żywopłotem i zwirowaną alejką, których nigdy nie potrafiłem zapomnieć. Spojrzałem na szyld z absurdalną nazwą domu: Pogodna Polana. Nie liczyłem na pogodne przywitanie.

Na dzwonek odpowiedziała siostra. Widziałem ją przez owalną mleczną szybę, jak szła korytarzem, zaskakująco podobna do mamy. Kiedy otworzyła drzwi, przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Zobaczyłem niechlujnie ubraną czterdziestoletnią kobietę z siwiejącymi włosami i zmarszczkami w kącikach oczu. Ona spoglądała na brata o sześć lat młodszego, przystojnego, uśmiechającego się ostrożnie, nie okazującego skruchy, chociaż nie był bez grzechu.

- Guy! Miło, że wpadłeś,

Uśmiech zamarł mi na ustach.

- Cześć! Spodziewałaś się mnie?

- Feliks mówił, że go odwiedziłeś. Tata twierdził, że wymyślił to sobie. Ale ja wiedziałam.
- Zawsze rozumiałaś Feliksa lepiej niż inni.
- Tak? - Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Potem, zrezygnowana, pokręciła głową. - Wejść do środka. Minąłem ją. Maggie zamknęła za mną drzwi.
- Nie wiem, co tata... - zamilkła w chwili, kiedy i ja spojrzałem w głąb korytarza i zobaczyłem go w drzwiach salonu, wpatrującego się we mnie zażawionymi oczami.
- Cześć, tato - powiedziałem nieśmiało.
- Kiwnął głową. Włosy miał bardziej siwe niż dawniej, plecy bardziej zgarbione, a ubranie bardziej zniszczone niż wówczas, gdy mama jeszcze żyła. Gładził się po brodzie, nie spuszczać ze mnie wzroku. Potem wycofał się do pokoju.
- Wymieniliśmy z Maggie spojrzenia. Dopiero teraz uśmiechnęła się do mnie i pocałowała w policzek.
- Dobrze wyglądasz - powiedziała. - Chociaż nie zasługujesz na to.
- Widocznie powrót do domu dobrze mi zrobił.
- Miejmy nadzieję, że wyjaśnianie wszystkiego zrobi ci równie dobrze, bo będziesz musiał nam wiele wytłumaczyć.
- Wiem; mam do powiedzenia więcej, niż sądzisz.

Życie rodzinne rysuje mi się we wspomnieniach bardzo mgliście. Od trzynastego roku życia moje więzi z krewnymi zaczęły się rozluźniać, w tym bowiem wieku otrzymałem stypendium w Winchesterze i odsunąłem się od trosk i zajęć rodziny, pozostawionej w Letchworth. To, co zaczął we mnie zmieniać Winchester, dokończyło wojsko. Podjęta po zakończeniu wojny próba powrotu do roli obowiązkowego syna i skromnego urzędnika była z konieczności krótkotrwała i nieudana.

Salon w Pogodnej Polanie w ten chłodny, sierpniowy wieczór nie tchnął magicznym, domowym ciepłem. Mój ojciec - człowiek małowówny, z wyrazem wiecznego niezadowolenia na twarzy - wcale się o to nie starał. Już dawno stracił nadzieję, że się kiedyś usatkuje. Po śmierci żony i przejściu na emeryturę nie okazywał zainteresowania światem. Mojego opowiadania o tym, co się wydarzyło, słuchał z miną wyrażającą w równym stopniu wstręt i rezygnację. Dopiero kiedy zacząłem wyjaśniać, w jaki sposób zamordowano Charnwooda, zagotował się w środku. Poderwał się z krzesła i stanął obok pianina. Bawiąc się fajką i ciężko dysząc, wysłuchał mnie do końca. Obok niego, na pianinie, stały trzy fotografie w złożonych ramkach: ślubna jego i mamy, Feliksa w mundurze wojskowym i Maggie w dniu dwudziestych pierwszych urodzin. Kiedyś stała tam jeszcze jedna, ale po śmierci mamy gdzieś zginęła.

- Twój przyjaciel - spytał ojciec z naciskiem - zamordował człowieka?
- Nie ma co do tego pewności, dopóki...
- Szanowany przedsiębiorca. Prezes doskonale funkcjonującej spółki. I ty pomagałeś w tej szalonej ucieczce, która do tego doprowadziła?
- Nie wiedziałem, że to się tak skończy.
- Nie wiedziałeś? - Przygryzł fajkę z taką siłą, że pomyślałem, iż za chwilę pęknie. - Jutro przeczytamy o tym w gazecie. Twoje nazwisko... moje nazwisko... będzie tam wymienione?

- Nikt się nie domyśli...

- Domyśla się, chłopcze, że chodzi o nas, możesz mi wierzyć. Nie będę się mógł pokazać w kręgielni, bo wszyscy będą szeptać za moimi plecami. Dobrze cię tutaj pamiętają. Aż za dobrze.

- Chyba nie.

- Ależ tak. Ludzie do dzisiaj wypominają mi dzień, kiedy zrezygnowałeś z kariery.

Wierzyłem mu. Wróciłem wtedy z Londynu zdecydowany zrezygnować z pracy, żeby razem z Maksem zająć się czymś bardziej interesującym. Po drodze zatrzymałem się w Hitchin, żeby kilkoma głębszymi umocnić się w tym postanowieniu. Do Letchworth, tego bastionu umiarkowania, dotarłem wystarczająco pijany, żeby nikomu - szczególnie dyrektorowi Goddess Foundation Garment Company - nie pozostawić cienia wątpliwości co do powodów, dla których nie mogę dłużej znosić życia w Garden City. Nigdy się nie zastanawiałem, ile wstydu przyniosłem ojcu swoim nagłym wyjazdem, on zaś pierwszy raz zaczął o tym mówić.

- Twoja matka mnie uciszała, kiedy mówiłem, że byłoby lepiej, gdybyś się nigdy nie urodził. Ja jednak do dzisiaj nie zmieniłem zdania. Ze względu na nią udawałem, że jest inaczej. Teraz, kiedy jej nie ma, nie muszę chyba ukrywać prawdy?

- Nie - odparłem ponuro, patrząc mu prosto w oczy. - Nie musisz.

Chrząknął, postukał fajką w pamiątkową popielniczkę z dnia koronacji w 1902 roku, po czym schował rękę do kieszeni swetra.

- Idę spać - powiedział do Maggie i skierował się do drzwi.

- Chcesz kakao? - spytała.

- Może zaniosę ci na górę?

- Nie chcę!

Drzwi zamknęły się za nim z hukiem. Spojrzałem na siostrę. Westchnęła.

- Jeszcze przed twoim przyjazdem był bardzo zły.

- Dlaczego?

- Uważa, że rząd doprowadzi kraj do ruiny. Przewiduje, że jeszcze przed Bożym Narodzeniem Goddess i inne przedsiębiorstwa w mieście zbankrutują i że zabiorą mu emeryturę. Zawdzięczamy to panu MacDonaldowni. - Wzruszyła ramionami. - Teraz jeszcze to. Obawiam się, że trudno mu będzie sobie z tym poradzić.

- Ja też nie jestem zadowolony.

- To oczywiste. Straszna sprawa - pokręciła głową. - Biedna panna Charnwood. Biedny Maks.

- Uznałem, że powinienem was uprzedzić. Może lepiej było...

- Nie. Masz prawo opowiedzieć nam swoją wersję wydarzeń. Nie można winić cię za to, co zrobił Maks.

- Tata jest innego zdania.

- Możliwe. - Wstała, stanęła za moim krzesłem i położyła mi dłoń na głowie. - Dlaczego wyjechałeś z Ameryki? Czyżby się okazało, że to nie jest ziemia obiecana?

- Raczej nie. Chciałbym... - odwróciłem się do niej. - Nie mogliśmy tam zostać - szepnąłem. - Mieliliśmy... kłopoty.

- Czy tata o tym też usłyszy?

- Mam nadzieję, że nie. "

- Ja też. - Stała przede mną, złożyła ręce i pochyliła głowę; wyglądała teraz bardzo poważnie. - Co teraz zrobisz? Będziesz szukał Maksa?

- Nie mam pojęcia, gdzie mógłby być.

- Rozmawiałeś z jego rodzicami?
- Nie.
- Powinieneś to zrobić jak najszybciej. Jesteś przyjacielem ich syna...
- Wiem, co powinienem zrobić, ale...
- Gdzie oni mieszkają?
- W Gloucestershire. Niedaleko Chipping Campden.
- Pojedziesz tam jutro.
- Nie mam samochodu.
- Ale ja mam. Kupiłam niedawno - uśmiechnęła się. - Teraz nie masz żadnej wymówki.

Ojciec nie chciał rozmawiać o zdołującym niedzielną gazetę artykule, zatytułowanym: "Człowiek interesu zamordowany, policja poszukuje narzeczonego córki". Nie okazał też najmniejszego zainteresowania gazetami, które przyniosłem ze sobą z porannego spaceru, chociaż podejrzewałem, że po moim wyjeździe przeczyta wszystko, co napisano o śmierci Charnwooda. To, co znalazłem w prasie, nie było wiele lepsze od tego, czego się spodziewałem, chociaż nie aż tak złe, jak się obawiałem. Wszędzie wymieniano nazwisko Maksa, ale bystre oczy mogły dostrzec również moje. W klubie Letchworth Bowls nigdy nie brakowało bystrych oczu.

Maggie pozwoliła mi korzystać ze swojego maleńkiego austina swallow pod jednym warunkiem: że ona będzie prowadziła. Bała się rzekomo, że mogę zapomnieć, iż w Anglii obowiązuje ruch lewostronny. Kiedy wyjechaliśmy, przyznała, że równie gorąco jak ja pragnęła uwolnić się na kilka godzin od towarzystwa ojca. Po drodze rozmawialiśmy o Feliksie, o Letchworth i o stanie oświaty (w której Maggie od dwudziestu lat lojalnie pracowała za psie pieniądze). Dopiero kiedy skręciliśmy na podjazd do Jaybourne House, przycupniętego wśród łagodnych wzniesień Cotswolds, i zobaczyliśmy wśród wiązków ściany z miodowozłocistych kamieni, poruszyliśmy temat celu tej wizyty.

- Co im powiesz?
- To samo co tobie i tacie. Prawdę.
- Więc to była prawda? Cała prawda?

I-Oczywiście.

Zatrzymaliśmy się przed domem. Maggie patrzyła na mnie ze ściągniętymi brwiami.

- Mama i tata twierdzili, że to Maks sprowadził cię na złą drogę. Nie boisz się, że państwo Wingate oskarżą cię o to, że ty sprowadziłeś ich syna na złą ścieżkę?
- Możliwe.
- Jeśli tak, rozmowa może się okazać bardzo trudna.
- Możliwe, ale wczoraj sama mówiłaś, że jestem to winien Maksowi.

Niepotrzebnie się martwiliśmy. Wingate'owie przywitani nas bez radości, ale uprzejmie. Znać było po nich smutek, ale bez śladu rozgoryczenia. Aubrey Wingate, niski, siwowłosy, siedemdziesięcioletni mężczyzna o rumianej twarzy był zmieszany. Jego żona, jeszcze niższa i drobniejsza, z przyzwyczajenia uśmiechała się niewesoło. Oboje ubrani byli w tweedy. W czasie naszej rozmowy do pokoju wchodziły i wychodziły psy. Słuchając mojej opowieści państwo Wingate popijali małmazję. Czasem ich twarze wykrzywiały grymas bólu lub zdziwienia, ale o nic nie pytali i niczego nie próbowali podważać. Nadinspektor Hornby już ich odwiedził i powiedział coś, na co nie byli przygotowani: że według niego

to Maks jest mordercą. Od syna nie mieli żadnych wiadomości.

- Dopóki nie da znaku życia - powiedział pan Wingate - będziemy wierzyli, że ma jakieś wyjaśnienie tego, co się stało.

- Moje dziecko nie mogło nikogo zabić - dodała pani Wingate.

- Chyba zgodzisz się ze mną?

- Jak najbardziej.

- To przez tę jego ucieczkę sprawa wygląda tak źle - powiedział pan Wingate. - Ale Maks szybko zrozumie swój błąd i z pewnością zgłosi się na policję.

Pokiwałem głową.

-Też tak myślę.

Obydwaj udawaliśmy optymizm, co stało się jasne, kiedy zostawiliśmy panie i wyszliśmy do ogrodu zaczerpnąć świeżego powietrza i porozmawiać na osobności. Jeden z labradorów pobiegł za nami. Spacerowaliśmy bez celu po doskonale wypielegnowanym trawniku. Wkrótce przemoczyliśmy buty. Zimny wiatr zraszał nam twarze lekką mżawką, ale Aubrey Wingate zdawał się tego nie zauważać.

- Cieszę się, że zostałeś w moim mieszkaniu - powiedział ciepło. - Maks będzie wiedział, gdzie cię szukać.

- Jeśli się ze mną skontaktuje, poradzę mu, żeby się zgłosił na policję.

-Oczywiście. Ja również. Tylko... co-będzie potem? -Spojrzał na mnie niepewnie. - Wszystko, co mówiłem w domu, było przeznaczone dla uszu Cecylii. Wiesz równie dobrze jak ja, że sprawa nie wygląda dobrze. Jest bardzo źle -westchnął. - Był u nas dwa tygodnie temu, po waszym powrocie z Kanady. Powiedział, że się zakochał. Uwierzyłem mu. Jeszcze nigdy się tak... Powiedział, że zamierza poślubić tę dziewczynę i że wkrótce nam ją przedstawi. Nic nie wspominał o niechęci ojca. Nie mówił, że chce ją wykraść z domu. Był naprawdę zakochany, to rzucało się w oczy. Zachowywał się jak wariat.

- Miłość to swego rodzaju szaleństwo.

- Tak... Szaleństwo może doprowadzić człowieka do morderstwa, nie sądzisz? Myślisz, że to Maks zabił?

- Nie. To znaczy... - stanęliśmy przed rabatą z daliami -mam nadzieję, że nie.

- Ja również.

Wingate mocniej ścisnął łaskę, uniósł ją na wysokość ramienia, zamachnął się i ściął jeden z kwiatów. Żółte pąki posypały się nam pod nogi.

- Obawiam się jednak, że nasza nadzieja okaże się płonna.

Im dłużej Maks się ukrywał, tym mocniej wszyscy byli przekonani o jego winie: policja, gazety, rodzina i przyjaciele. Po rozmowie z jego ojcem zapragnąłem jak najszybciej wrócić do Londynu. Byłem przekonany, że Maks tam się ukrył. Wracając do Letchworth przejeżdżaliśmy przez Banbury, leżące na trasie kolejowej z Birmingham do Londynu. Poprosiłem Maggie, żeby zatrzymała się na stacji. Nie spodobało jej się to. Zrzuciła mi, że chcę po prostu uniknąć spotkania z ojcem. Nie miała racji. Naprawdę myślałem przede wszystkim o Maksie.

Nie było łatwo go znaleźć. Nie wiedziałem, co miałbym zrobić, wróciłem więc do zimnego i pustego mieszkania na Hay Hill i czekałem całymi godzinami na dzwonek telefonu albo odgłos klucza w zamku. Na próżno. Minęła druga noc od śmierci Charnwooda. Maks nadal trzymał się ode mnie z daleka.

Rzadko kiedy miałem okazję do wdzięczności wobec polityków, ale poniedziałek dwudziestego czwartego czerwca był wyjątkiem. Kryzys wisiał w powietrzu. Połowa ministrów zagroziła dymisją, gdyby premier nie zrezygnował z zamiaru obniżenia zasiłków dla bezrobotnych. Doskonale zarabiający wydawcy z Fleet Street uznali, że jest to konieczne dla odbudowania wiary w wartość funta. Dzięki temu konfliktowi, zabójstwu prominentnego przedsiębiorcy nie poświęcano zbyt wiele miejsca. Zacząłem wierzyć, że istnieją ludzie - a nawet wielu - dla których zamordowanie Charnwooda nie ma większego znaczenia.

Jadłem skromne śniadanie i pocieszałem się tymi myślami, kiedy nadeszła poczta. Było to wydarzenie niezwykle, jako że zazwyczaj nic do nas nie przychodziło. Przez chwilę myślałem, że to może być list od Maksa. Zbiegłem na dół, ale na wycieraczkę leżała tylko nie zachęcająca, żółtawa koperta z wypisanym na maszynie moim nazwiskiem i adresem. Otworzyłem ją dopiero w połowie schodów.

Wyjąłem list. Razem z nim wypadła na schody jakaś kartka. Schyliłem się, żeby ją podnieść. Był to czek na tysiąc funtów wystawiony przez Charnwooda. Zaskoczony, przebiegłem wzrokiem list. Był z banku. Informowano mnie, że czek nie może być zrealizowany. Mimo że został prawidłowo wypisany, a pieniądze miały być wypłacone z konta jednej z firm najbardziej godnych zaufania. Jednak zwrócono mi go. Trudno mi było w to uwierzyć. Chciało mi się śmiać. Fałszywe czeki były specjalnością moją, nie Fabiana Charnwooda. Co to może znaczyć?

Wszedłem do salonu, nalałem sobie kawy i zapaliłem papierosa. Usiadłem i jeszcze raz przyjrzałem się listowi i czekowi. Ani suche słowa bankiera, ani też jeden z ostatnich w życiu dokumentów, na których Charnwood się podpisał, nic mi nie wyjaśniły. Może to jakiś złośliwy dowcip? Może Charnwood zastrzegł w banku, że czek nie powinien zostać zrealizowany, wiedząc, że nie zechcę urządzić awantury z obawy, iż Maks dowie się o tym, co zrobiłem? Jeśli tak, to jego śmierć - o ironio - ostatecznie uniemożliwiła mi dochodzenie swoich praw. Gdybym próbował coś w tym kierunku robić, policja dowiedziałyby się o wszystkim. Mogliby powiedzieć Dianie. Jeśli mam zachować czyste ręce, będę musiał znieść tę stratę w milczeniu. "Proszę zwrócić czek wystawcy" - poradzono mi w liście. Ale wystawca nie żyje. Na pamiątkę zostawił mi podpisany dowód swoich fałszywych zamiarów.

Zastanawiałem się nad tą trudną sytuacją, kiedy zadzwonił telefon. Przebiegłem przez pokój i podniosłem słuchawkę. Odżyła nadzieja. Niestety, to nie był Maks, tylko Aubrey Wingate.

- Dzień dobry panu. Ma pan jakieś wiadomości?

- Myślałem o swoim mieszkaniu. - Domyśliłem się, że nie miał wiadomości od Maksa. - I o panu jako lokatorze. - Mówił sztywnym, oficjalnym tonem, całkiem innym niż wczoraj. - Wolałbym, żeby się pan wyprowadził.

Dlaczego zwraca się do mnie per pan?

-Wyprowadził? - Jak najszybciej.

-Ale... Jeszcze wczoraj mówił pan, że powinienem tu być, na wypadek gdyby Maks...

- Zmieniłem zdanie. Byłoby... niestosowne, żeby pan tu zostawał.

- Skoro tak...

- Chciałbym, żeby się pan wyprowadził pod koniec tygodnia. Mówił tak, jakbym był jakimś natrętnym lokatorem, a nie najbliższym przyjacielem jego syna. Zmiana była tak nieoczekiwana, że nie wiedziałem, co powiedzieć.

-Może nawet wcześniej. - Przerwał, chrząknął; potem dodał: - Nie chcę być nieuprzejmy, ale w tych okolicznościach muszę nalegać. Jestem pewien, że pan to zrozumie.

- Nie, nie rozumiem. Co...

- To wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia. Klucze proszę zostawić u pani Dodd.

-Ale...

- Do widzenia, panie Horton.

Odłożył słuchawkę, ale jego słowa długo jeszcze brzmiały mi w uszach. Zawsze zwracał się do mnie po imieniu. Dziwne, że nagle zaczął mi mówić pan. Dlaczego postanowił usunąć mnie z mieszkania? Nie rozumiałem nic z tego, co działo się wokół mnie. Zwrócony czek; wymówienie mieszkania; zachowanie Maksa w noc zabójstwa Charnwooda i później. Aż do tej chwili starałem się wierzyć, że jest w tym jakaś logika, jakiś ciąg przyczyn i skutków. Jeśli nawet miałem rację, to i tak nic z tego nie rozumiałem. Nie potrafiłbym powiedzieć, do czego to wszystko prowadzi. Miałem jednak niemiłe przeczucie, że wydarzenia same poniosą mnie ku tajemniczemu przeznaczeniu.

Spodziewając się lada chwila pani Dodd, wyszedłem z mieszkania. Nie byłem w nastroju do wysłuchiwania jej przemówień. Postanowiłem się uspokoić, idąc pieszo do banku Charnwooda na Lombard Street. Miałem jeszcze nadzieję, że czek odesłano w wyniku jakiejś pomyłki, ale urzędnik powiedział tylko, że powinienem poprosić o wyjaśnienie wystawcę. Kasjer nie powiedział mi, czy czytał w niedzielnej gazecie, że ciało wystawcy czeku, znaleziono okrutnie zmasakrowane w lesie w Surrey. Nie chciał też powiedzieć, z jakiego powodu odmówiono realizacji czeku. Podał mi natomiast adres Charnwood Investments, który znałem już wcześniej.

Wyszedłem z banku i skręciłem w aleję prowadzącą do Cornhill. Zastanawiałem się, czy nie prosić o spotkanie z sekretarzem firmy Charnwooda i nie próbować wyjaśnić, że uczciwie należy mi się tysiąc funtów. Miałem prawo do tych pieniędzy, ale sekretarz z pewnością byłby innego zdania. Biorąc pod uwagę nikłość szansy na powodzenie tego przedsięwzięcia, nie było warto ryzykować, żeby Hornby dowiedział się o całej sprawie. Decyzję podjąłem zbliżając się do restauracji "George and Vulture". Przygryzłem wargi i wszedłem do środka w poszukiwaniu jedynej pociechy, jaką mogłem jeszcze znaleźć.

Przynajmniej alkohol mnie nie zawiodł. Siedziałem przy stoliku przez dwie godziny i patrzyłem na świat coraz bardziej mętnym wzrokiem. Obok mnie obywatele City jedli kotlety i puddingi, rozmawiając o upadku rządu. Wyszedłem, udałem się w kierunku Blackfriars Bridge i ruszyłem przed siebie brzegiem rzeki.

Tak dotarłem do Whitehall, gdzie moją uwagę zwrócił tłum zgromadzony na Downing Street i w bocznych uliczkach. Nie mając nic lepszego do roboty zatrzymałem się, żeby się dowiedzieć, co budzi tak wielkie zainteresowanie. Jakiś mężczyzna o ponurej twarzy, w wytartym płaszczu i spłaszczonym berecie, obejrzał się na mnie, kiedy podszedłem, i porozumiewawczo uniósł brwi.

- Chcesz popatrzeć na to widowisko? - spytał.

- A jest na co?

- Zależy od tego, co cię podnieca. Widok naszych panów i władców, wybiegających i wbiegających pod dziesiątkę, jak jakieś króliki wykurzone z nory, niejednego może rozbawić.

- Ale nie Ciebie?

- A mnie co do tego? Jakbym miał pracę, to bym tu nie stał.

Ludzie zaczęli krzyżeć. Drzwi, na które wszyscy patrzyli, otworzyły się i stanął w nich krępy mężczyzna w meloniku. Poznałem Stanleya Baldwina.

- Tacy jak on powyrzucali nas z roboty. Ja tam nie będę na ich widok krzychał z radości.

Baldwin wyszedł na środek jezdni i przeszedł na Whitehall, dzierżąc pod pachą parasol jakby to był karabin, a on był właścicielem ziemskim obchodzącym swój majątek. Podjechał samochód. Ktoś podbiegł i otworzył przed nim drzwi.

- No i jak? Wygląda, że będzie górą, nie? - spytał mój sąsiad. - Gorszej cholery już być nie mogło.

Widziałem, jak Baldwin się schyla, żeby wsiąść do samochodu. Moje spojrzenie padło na zbity tłum po drugiej stronie ulicy. Prawie dokładnie naprzeciw mnie stał Maks. Był ubrany w ciemnoszary garnitur, który zniknął z mieszkania; czarny, filcowy kapelusz, zsunięty nisko na czoło, był nowy. Z pewnością obserwował mnie już od dłuższego czasu, ponieważ w jednej chwili nasze spojrzenia się spotkały. Maks rzucił papierosa, odwrócił się i zaczął się przeciskać przez tłum.

- Maks! - zawołałem. Nie zwrócił na mnie uwagi. Pobieglem za nim, ale policjant, silny jak dąb, zastąpił mi drogę i położył na ramieniu ciężką dłoń.

- Nie sądzę, żeby pan Baldwin chciał z panem rozmawiać.

- Nic pan nie rozumie. Chciałem tylko...

- Za dużo się wypiło?

Samochód Baldwina ruszył. Nieco dalej, kierując się ku Trafalgar Square, szedł szybkim krokiem mężczyzna w szarym garniturze.

- Proszę mnie puścić! - zdenerwowałem się.

Policjant mocniej ścisnął moje ramię.

: - Najpierw muszę mieć pewność, że nie robi pan głupstwa. Proszę wrócić do domu i przespać się.

- Nie jestem pijany.

- Jestem innego zdania. Jeśli pan nie chce, żebym doszedł do wniosku, że po pijanemu zakłóca pan spokój publiczny, radzę...

- Dobrze, dobrze.

Straciłem Maksa z oczu. Nie miałem najmniejszych szans na znalezienie go na Trafalgar Square. Mógł stamtąd pójść w kilkunastu różnych kierunkach. Odtrąciłem rękę policjanta i zebrałem się w sobie.

- Przepraszam, konstablu. Nie chcę wywoływać zamieszania. Zgodnie z pańską radą, pójdę teraz do domu.

Nie poszedłem jednak do domu. Między innymi dlatego, że nie miałem domu. Ruszyłem przed siebie ulicą Whitehall, zastanawiając się nad coraz bardziej tajemniczym zachowaniem Maksa. Dlaczego przede mną uciekał? Nie sądził chyba, że doniosę na niego policji. Jeśli z jakichś powodów zwątpił w moją lojalność, dlaczego mnie śledził? Byłem bowiem pewien, że mnie śledził. Nie wierzyłem, żeby przypadkiem znalazł się na Downing Street. Żaden uciekinier nie wychodziłby ze swojej kryjówki tylko po to, żeby

osobiście stwierdzić, czy sytuacja polityczna rzeczywiście jest tak niepewna, jak piszą w gazetach.

Usiadłem na ławeczce na Trafalgar Square i paliłem jednego papierosa po drugim. Wokół panował nieustanny ruch, gołębie to podrywały się, to znów przysiadły. Czy Maks mnie śledził? Jeśli tak, to dlaczego? Jakże wyciągnął wnioski z mojej dzisiejszej wizyty w City? Dziękowałem Bogu, że się rozmyśliłem i nie poszedłem do Charnwood Investments. Po chwilowym uspokojeniu znów powróciła niepewność. Czy Maks poszedł za mną do banku Charnwooda? Może słyszał moją rozmowę z kasjerem? Ta myśl była tak straszna, że chciałem o niej jak najszybciej zapomnieć. Zgasilem ostatniego papierosa i ruszyłem ku Hay Hill.

Nie zwróciłem uwagi na duży czarny samochód zaparkowany niedaleko drzwi wejściowych, a powinienem, kiedy bowiem przekręcałem klucz w drzwiach, u mojego boku pojawił się nadinspektor Hornby z kolegą w cywilnym ubraniu.

- Możemy wejść? - spytał Hornby. - Wydarzyło się coś nowego.

- W takim razie niech pan wchodzi.

Nie powiedziałem nic więcej. Wydarzyło się tyle nowych rzeczy, że aż bałem się myśleć, co może mi mieć do powiedzenia nadinspektor. Wchodząc po schodach zdecydowałem się nie mówić, że widziałem Maxa na Whitehall. Przynajmniej o tę jedną rzecz nie będzie mógł mieć do mnie pretensji.

- To jest sierżant Vickers - wskazał na swojego kolegę Hornby.

- Mój asystent.

Sądząc z budowy i z miny młodego policjanta, był ulepiony z tej samej gliny, co przełożony.

- W czym mogę pomóc, nadinspektorze?

- Niech mi pan to wyjaśni.

Vickers podał Hornby'emu dużą kopertę. Ten wyjął z niej złożoną kartkę.

- To jest list, który dzisiaj rano otrzymał pan Aubrey Wingate.

Rozłożył kartkę i podał mi ją. Już na pierwszy rzut oka rozpoznałem pismo Maksa.

- To od Maksa.

- Pan Wingate to potwierdził. Zechce pan przeczytać? Spojrzałem na list. Zauważyłem brak daty i adresu zwrotnego. Potem przeczytałem, co napisał mój przyjaciel.

Kochany Ojcze! Z pewnością już wiesz, o co mnie oskarżają. Chcę, żebyście oboje z Mamą wiedzieli, że nie jestem winien śmierci Fabiana Charnwooda. Nie wiem, kto go zabił, ani dlaczego, ale to nie ja. Nie mogę się ujawnić, bo moi przyjaciele obrócili się przeciwko mnie. Nikt mi nie uwierzy, tylko Ty jeden. Nie ufaj Dianie ani Guyowi. Zdradzili mnie. Nie będę mógł więcej pisać do czasu, aż odkryję prawdę. Twój kochający syn, Maks.

- Co pan na to powie?

Nie zwróciłem uwagi na słowa Hornby'ego. Opadłem ciężko na krzesło i jeszcze raz przeczytałem list. Teraz już wiem, dlaczego Aubrey Wingate mnie wyrzucił: ponieważ jego syn uznał mnie za zdrajcę. Maks nie mógł się dowiedzieć o mojej zdradzie, chyba że powiedziała mu sam Charnwood. Dlaczego jednak miałby oskarżać też Dianę? Ona z pewnością nie zasłużyła sobie na tak surowe słowa.

- Co pan o tym sądzi, Horton? - spytał Vickers.

- Ja... sam nie rozumiem. Co to ma znaczyć?

- Mieliśmy nadzieję, że pan nam to wyjaśni.

- List wysłano wczoraj po południu - powiedział Hornby. -Z Banbury.

-Banbury?

- Tak. Zna pan to miasto?

Coś w twarzy Hornby'ego, jakieś delikatne zmrużenie oczu, kazało mi się domyślać, że nadinspektor wie o mojej niedawnej podróży i o tym, że nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy wsiadłem w Banbury do pociągu. To znaczy, że policja mnie śledzi. Maks również. Nie mogłem ryzykować kłamstwa.

- Wczoraj po południu wsiadłem tam do pociągu.

- Naprawdę? To zwykły zbieg okoliczności, prawda?

- Tak pan sądzi?

- Jeśli to nie przypadek, muszę się zastanowić nad tym, dlaczego pan i pan Wingate byliście w niedzielę po południu w mieście, z którym żadnego z was nic nie łączy. Zakładając, że rzeczywiście obydwaj tam byliście.

- Już panu powiedziałem, że byłem w Banbury. Stempel na kopercie dowodzi, że Maks również tam był.

- Nie mogę się z panem zgodzić. Stempel dowodzi tylko tego, że list wysłano z Banbury. Nie mamy dowodu na to, że wysłał go pan Wingate.

- W takim razie, kto... - Przerwałem w pół zdania. Zrozumiałem, do czego zmierza nadinspektor. - Od piątku nie widziałem Maksa.

- To pan tak twierdzi.

- Tak się składa...

Znów zamilkłem. Ile może wiedzieć Hornby? Gdyby jego ludzie dostrzegli Maksa w tłumie, z pewnością aresztowaliby go. Chociaż mieliby większe niż ja trudności z rozpoznaniem go. Mogli go nie zauważyć. Musieli jednak słyszeć, jak wołałem go po imieniu.

- Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że widziałem go na Whitehall kilka godzin temu.

-Co?

- Tylko... przez moment. Ja...

- Zamierzał pan poinformować mnie o tym?

- Właśnie panu mówię.

Hornby skrzywił się. Zanim zdążył coś powiedzieć, Vickers wyciągnął notes i ołówek.

- Proszę opowiedzieć dokładnie, co pan widział.

Opisałem całe wydarzenie. Vickers zapisywał wszystko skrupulatnie, a Hornby przyglądał mi się, unosząc brwi. Wiedziałem, że mi nie wierzy, co zakrawało na ironię, ponieważ tym razem mówiłem całą prawdę. Chyba to sprowokowało mnie do wyciągnięcia na koniec fałszywego wniosku.

- Nie mam jednak pewności, czy to był Maks. Wszędzie było strasznie dużo ludzi. Łatwo mogłem się pomylić.

Hornby chrząknął.

- Gdzieś musiała nastąpić pomyłka.

- Sugeruje pan, że wczoraj spotkałem się z Maksem? I że wysłałem ten list? :

- Przyznaje się pan?

- Oczywiście, że nie. Do diabła, sam pan. widzi, że Maks uważa mnie za zdrajcę.

Hornby wziął list i spojrział na niego.

- Czy słusznie?

-Nie. :

- W takim razie, skąd to oskarżenie?

- Nie wiem.
- Nie ma żadnego powodu?
- Żadnego.

Nagle zrozumiałem, że dałem się złapać w pułapkę. Hornby sądził, że Maks oskarżył mnie o zdradę, żeby ukryć fakt, iż jestem jego sprzymierzeńcem. Moje słowa potwierdziły tę teorię.

- To bezsensowne! Gdybym miał okazję rozmawiać z Maksem, nalegałbym, żeby się zgłosił na policję. Nie ma innego wyboru.

- Może uciekać. Jeśli jednak to ma się udać, będzie potrzebował pomocy. Może przepłynąć kanał, jeśli będzie miał pieniądze i ktoś pomoże mu zorganizować ucieczkę.

Czyżby poszli za mną na Lombard Street i przesłuchali kasjera? Jeśli tak, powinni wiedzieć, że odesłano mnie z pustymi rękami. Jednak sam fakt, że byłem w posiadaniu czeku wystawionego przez Charnwood Investments, wzbudziłby w umyśle Hornby'ego mnóstwo wątpliwości; więcej, niż potrafię sobie wyobrazić.

- Powiedziałem panu wszystko, co wiem, nadinspektorze. W żaden sposób nie pomagam Maksowi.

Vickers siedział na krześle naprzeciwko mnie, przyglądając mi się z niedowierzaniem. Hornby chodził po pokoju, oglądając zdobione ściany ryciny ze scenami z polowania. Odniosłem wrażenie, że obydwaj zastanawiają się nad moimi słowami, ważąc ich szczerłość i znaczenie. Po chwili Vickers powiedział:

- Ludzie często robią to instynktownie.

-Co?

- Pomagają bliskim.

- Co pan ma na myśli?

- Chodziliście z panem Wingate'em do jednej szkoły, prawda?

- I co z tego?

- W Winchesterze, zgadza się?

-Tak.

-Tam...

-Kolejny zbieg okoliczności! - przerwał mi Hornby. -Jest ich coraz więcej.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Znalaziono wasz samochód. W Winchesterze.

- W Winchesterze?

- Tak. Na Kingsgate Street. Z pewnością pamięta pan, że ulica ta biegnie pod murami college'u, w którym pan i pański przyjaciel spędziliście lata powszechnie uważane za najpiękniejsze. Podejrzewam, że w waszym przypadku rzeczywiście były najszcześniejsze.

Odchyliłem się do tyłu. Nadmiar tajemnic mnie przytłaczał. Dlaczego Maks pojechał akurat tam? Po co miałby odwiedzać miasto, w którym spędził młodość? Z żalu za przyjaźnią, którą - jak mu się zdawało - utracił? Czy też po to, żeby z nią skończyć?

- Nie byłem w Winchesterze od szesnastu lat, od kiedy skończyłem naukę - powiedziałem powoli, z namysłem. -Z tego, co wiem, Maks również nigdy tam nie wracał.

- Wygląda na to, że zrobił to teraz - zauważył Vickers.

- Samochód stał na Kingsgate Street przez kilka dni. Nikt nie zwracał na niego uwagi - dodał Hornby, kładąc rękę na oparciu krzesła zajętego przez sierżanta i patrząc mi w oczy. - Prawdopodobnie postawiono go tam w sobotę rano.

- Chce pan powiedzieć, że Maks pojechał tam prosto z Dorking?

- Tak przypuszczamy. Sądzę, że potem wsiadł do pociągu i wrócił do Londynu - skrzywił się. - Może pan zna inne wyjaśnienie tych faktów?

- Oczywiście, że nie - burknąłem i natychmiast tego pożałowałem. Bałem się, że ton głosu mnie zdradzi.

- Jutro tam pojedziemy i dowiemy się czegoś więcej. Tymczasem dysponujemy jedynie informacjami przekazanymi przez policję z Hampshire. Znaleźli porzuconego talbota saloon o numerach rejestracyjnych, które nam pan podał.

- Z plamami krwi na kierownicy - dodał Vickers.

- Tak - potwierdził Hornby. - Nie wolno nam o tym zapomnieć.

Patrzyłem to na jednego, to na drugiego, ostentacyjnie okazując brak zainteresowania. Minęło około dwudziestu nieznośnie długich sekund, zanim Hornby znów się odezwał.

- Wydaje mi się, że to wszystko. Idziemy.

Vickers wstał i obaj skierowali się do wyjścia. Ja nie ruszyłem się z miejsca. Byłem zbyt zmęczony, zbyt skołowany, żeby pomyśleć o odprowadzeniu ich do drzwi.

- Będziemy pana informowali o postępach w śledztwie.

- Dziękuję - mruknąłem.

- Jeszcze jedno - powiedział Hornby, odwracając się od drzwi. Masował sobie płatek ucha. Ten gest przyniósł mi nieoczekiwaną pociechę; charakterystyczny nawyk i teatralne pożegnanie... znałem go coraz lepiej. - Pan Aubrey Wingate powiedział, że wkrótce opuści pan to mieszkanie.

- Rzeczywiście.

- Mam nadzieję, że nie zapomni pan powiadomić nas o swoim nowym miejscu pobytu.

- Czy mam obowiązek informować o tym policję? Uniosłem brwi pewien, że nadinspektor zrozumie, co mam na myśli.

- Proszę wyświadczyć nam tę przysługę - uśmiechnął się Hornby. - Wychowanka Winchester College powinna cechować uprzejmość, prawda? - Po krótkiej pauzie dodał: - I lojalność.

Wszystko układało się jak najgorzej. Policja uważała, że jestem w zмовie z mordercą. Maks wyrzekł się naszej przyjaźni. Pieniądzy miałem coraz mniej. Wkrótce stracę nawet dach nad głową.

W godzinę po wyjściu Hornby'ego ja również opuściłem mieszkanie. Moja obolała głowa nie potrafiła sobie poradzić z dokuczliwym kacem i mnożącymi się pytaniami. Po masażu i długim odpoczynku w łaźni tureckiej na Jermyn Street przejaśniło mi się w głowie, ale pytania pozostały. Gdzie jest Maks? Po co zabawia się z policją w kotka i myszkę? Czy Charnwood mu powiedział, że jestem zdrajcą? Czy dlatego Maks ma do mnie żal?

Wstąpiłem do baru w hotelu Carlton. Pijąc jednego manhattana za drugim, przyglądałem się w jednym z lusterek swojemu odbiciu w kłębach papierosowego dymu. Przy stolikach rozmawiano o nowo utworzonym rządzie. Widocznie zamieszanie na Downing Street, którego byłem świadkiem, zaowocowało jakąś koalicją. Nie byłem jednak w stanie myśleć o niczym innym, tylko o twarzy Maksa w chwili, gdy nasze oczy spotkały się nad głowami gapiów. Wyczytałem w niej nieufność, podejrzliwość, a nawet coś bliskiego nienawiści. Gdybym go odszukał, wytłumaczyłbym mu wszystko. Ale on nie chciał, żebym go znalazł. Teraz było to jasne.

Wyszedłem z hotelu i poszedłem do kina Plaža. Z trudem przesiedziałem do połowy głupiego filmu pod tytułem "Ci uroczy ludzie". Cały czas zastanawiałem się, czy gdzieś w ciemnościach za moimi plecami nie siedzi Maks. Nikt jednak nie wyszedł jednocześnie ze mną. Żaden cień nie przesuwał się pod latarniami, gdy zbliżałem się do Berkley Square, i nie czyhał w mroku, kiedy przystanąłem pod drzewami, żeby zapalić papierosa i czekać... na próżno.

Rano budzimy się z nowymi pomysłami, które - niestety - nie mają długiego życia. Przejrzałem w gazecie ogłoszenia o hotelach. Doszedłem do wniosku, że mogę sobie pozwolić na wydatek rządu pięciu gwinei tygodniowo. Wierzyłem, że zanim skończą mi się pieniądze, znajdę jakieś wyjście z sytuacji. Hotel Eccleston niedaleko dworca Victoria zdawał się odpowiadać moim wymaganiom. Zameldowałem się tam przed południem. Nie był to Ritz, ale klientelę stanowili zamożni oficerowie i rozwodnicy z dobrych rodzin, mogłem więc czuć się tam swobodnie.

Przez całe popołudnie chodziłem po okolicznych hotelach, pokazując moje zdjęcie z Maksem wszystkim portierom i kasjerom, którzy zgodzili się rzucić na nie okiem. Zdjęcie zrobił Dick Babcock w klubie "Surf and Sand" w Palm Beach w 1925 roku. Staliśmy na nim uśmiechnięci. To były dla nas szczęśliwe czasy. Nikt nie poznał Maksa. Nie jestem nawet pewien, czy ktoś zauważył, że ten drugi mężczyzna to ja.

Pokonany i zmęczony, wróciłem do mieszkania, zabrać swoje rzeczy. Przed wyjściem zadzwoniłem na posterunek policji w Dorking, by podać swój nowy adres. Miałem nadzieję, że informację przyjmie ode mnie oficer dyżurny, ale połączono mnie z Vickersem.

- Hotel Eccleston, Eccleston Square, SW1. Zapisałem. Czy jest tam telefon?

- Victoria 8042.

-Dziękuję.

- Jeśli to wszystko...

- Jeszcze jedno, panie Horton. Skończyliśmy oględziny samochodu. Prosimy nas uprzedzić, gdyby zamierzał pan go sprzedać albo wywieźć z kraju. Możliwe, że będzie potrzebny jako dowód; sam pan rozumie. Tymczasem jednak może go pan odebrać z garażu w Winchesterze.

- W Winchesterze?

- Niestety, nie możemy wynająć dla pana szofera.

-Oczywiście.

- Do widzenia.

Odłożyłem słuchawkę i przypomniałem sobie, jak wyszliśmy z Maksem po raz ostatni z budynku uczelni w 1915 roku. Mieliliśmy na sobie piękne mundury strzelców królewskich. Puszyliśmy się jak pawie, z dumą stukając o bruk podkutymi butami. Uzgodniliśmy wcześniej, że nigdy tam nie wrócimy; że powrót byłby pomyłką. Jednak Maks wrócił. Wyglądało na to, że ja będę musiał zrobić to samo.

Winchester zdawał się pokryty patyną czasu. Stał niezmienny pod pogodnym niebem, gdy przyjechałem tam następnego dnia. Gdyby nie to, że nieoczekiwanie wróciło lato, odebrałbym pewnie samochód z policyjnego garażu i natychmiast wrócił do Londynu. Możliwe - chociaż nie byłem tego pewien. W obecnej sytuacji nie potrafiłbym nie skrócić w stronę uczelni. Zaparkowałem pod jej murami i poszedłem przed siebie Kingsgate Street, zastanawiając się, co też

przywiodło Maksa pod te wysokie mury i znane okna, gdy plamy krwi na kierownicy samochodu, której przed chwilą dotykałem, były jeszcze świeże.

Wszedłem na teren uczelni przez bramę poświęconą pamięci ofiar wojny. Za moich czasów, upamiętniała ona absolwentów uczelni poległych w wojnie burskiej. Kątem oka zauważyłem, że teraz w sąsiednim krużganku wyryto nazwiska ofiar wojny światowej. Czytałem prośbę o wpłacanie na ten cel pieniędzy, wydrukowaną w "The Wykehamist", gazecie dla absolwentów, która ścigała mnie i Maksa przez wiele lat po różnych kontynentach. Nie muszę chyba dodawać, że nie wpłaciłem ani pensa. Widać inni okazali się bardziej hojni, stałem bowiem teraz na ciekawie zaprojektowanym i kosztownie wykonanym czworokątnym dziedzińcu, zamkniętym z każdej strony łukiem wspartym na dwóch kolumnach. Środek pokrywał nieskazitelny trawnik, na którym stał krzyż. Na ścianach krużganków, znajdowały się płyty z nazwiskami kilkuset absolwentów Winchester College poległych na polu chwały, uszeregowane według roczników i pułków.

Spojrzałem na nazwiska z roczników przed dziewięćset dziesiątym zastanawiając się, jak wielu kolegów tu znajdę. Nie doszedłem nawet do roku 1900, gdy ktoś stanął w krużganku od północnego zachodu. Szczupła, elegancka młoda kobieta w czarnym stroju, z oczami przysłoniętymi kapeluszem - Diana. Na moment oboje znieruchomieliśmy. Po chwili uniosła dłoń i uśmiechnęła się do mnie.

- Cześć, Guy.

Podszedłem do niej. W słonecznym krużganku, w żałobie i bez biżuterii, wyglądała piękniej niż zwykle.

- To... Co cię tu sprowadza?

- A ciebie?

- Przyjechałem po samochód. Policja mi go oddała.

- Można powiedzieć, że jestem tu z tego samego powodu. Nadinspektor Hornby powiedział, że znaleźli go tutaj i chciałam... - pokręciła głową. - Miałam nadzieję, że podążając śladami Maksa zrozumie, o czym wtedy myślał.

- Udało się?

-Nie-

- Mnie również nie.- Westchnęła i spojrzała na pogodne niebo.

- Wiesz o liście?

-Tak.

- On myśli, że oboje go zdradziliśmy. W moim przypadku ma rację. Uległam przecież namowom papy, ale... - spojrzała mi prosto w oczy. - Zdrada to chyba zbyt mocne słowo, nie uważasz?

- Tak sądzę.

- Dlaczego oskarżył również ciebie?

-Ja... - Jeśli człowiek raz zacznie kłamać, jedno kłamstwo rodzi dziesiątki następnych. Pytanie Diany było początkiem nowego etapu w nieustannie się komplikującym rozwoju wydarzeń. - Nie mam pojęcia. Myślałem, że go rozumiem. Okazuje się, że byłem w błędzie.

- Kto go zrozumie, jeśli nie ty? Mieliście ze sobą tyle wspólnego! Przyjaźniliście się od lat.

- Tak. Wszystko zaczęło się tutaj.

- To urocze miejsce - powiedziała, rozglądając się. - Ale bardzo wyludnione.

- Tylko przez kilka tygodni. Kiedy zacznie się krótsza połówka... - Uśmiechnąłem się, widząc na jej twarzy

niezrozumienie. - Przepraszam. Tak tutaj nazywają pierwszy semestr. Pójdziemy na błonia? Na szkolne boisko?

Przez bramę z kutego żelaza wyszliśmy ze wschodniego krążanku prosto na łąkę, bardziej zieloną niż się spodziewałem. Platany stały nieruchomo, jakby pełniły tu wartę. Przypomniały mi się dni wcale nie tak idylliczne, jak zdawały się to sugerować roztaczające się przed nami widoki.

- Chętnie przyjechałabym tu z Maksem – powiedziała Diana. - W szczęśliwszych okolicznościach. . .

- Chciałbym, żeby twoje życzenie mogło się jeszcze spełnić. Ruszyliśmy wolnym krokiem ku szkolnemu dziedzińcowi. Przez kilka minut milczeliśmy. Potem Diana powiedziała:

- Pogrzeb papy będzie w piątek. Przyjedziesz?

- Jeśli chcesz. Odniosłem wrażenie... kiedy rozmawiałem przez telefon z twoją ciotką...

- Nie zwracaj uwagi na to, co mówi ciocia Vita. Będę ci wdzięczna, jeśli przyjedziesz.

- W takim razie przyjadę.

- Dziękuję...

Zatrzymała się, ujęła na moment moją dłoń i spojrzała mi w oczy z taką szczerością, że poczułem się onieśmielony i - muszę to powiedzieć - zauroczony.

- Myślę, że w najbliższym czasie nam obojgu będzie potrzebna przyjacielska pomoc. Maks mnie zostawił, ale ty tego nie zrobisz?

- Nie martw się. Na mnie możesz liczyć.

Spędziliśmy w Winchesterze kilka godzin. Zwiedziliśmy uczelnię, okolice katedry i poszliśmy na spacer nad rzekę. Przy herbacie w hotelu George Diana wspominała ojca. Ja -w podobny sposób - mówiłem o Maksie i o szkolnych czasach, jakbym nie spodziewał się już nigdy z nim widzieć. Było to dziwne, niepokojące i zaskakująco łatwe. Uroda Diany i jej ufna natura zmuszały mnie do szczerości. Powstrzymałem się, rzecz jasna, kryjąc swoje myśli, ale w powietrzu wisiała zaraźliwa prawdomówność, której za wszelką cenę się opierałem. Czyżby zrodziła się między nami przyjaźń? Oczywiście, że nie. Gdyby jednak Diana powiedziała, że ma nadzieję, iż tak jest, nie zaprzeczyłbym. Wiedziałem, że Maks patrzyłby na to jeszcze inaczej. "Nie ma przyjaźni między mężczyzną i kobietą" - mawiał. Miał rację.

Wyjechaliśmy z Winchesteru, gdy światło dnia zaczynało powoli gasnąć. Na początku tą samą, prostą i szybką szosą do Guilford. Tam nasze drogi rozchodziły się. Na Hog's Back jej imp przyspieszył i wkrótce był tylko małą kropką gdzieś z przodu. Nie goniłem jej. Obraz jej twarzy, wspomnienie jej głosu były jednak wyryte w moim umyśle niepokojąco wyraźnie. Przekonywałem sam siebie, że nasze spotkanie jest bez znaczenia. Mimo to Diana zostawiła we mnie swój ślad. To zaś znaczyło więcej, niż chciałem przyznać.

W Ecclestonie czekała na mnie wiadomość od Terencjusza Doyle'a. Spodziewając się usłyszeć, że Atkinson-White'owie obsypują go pieniędzmi i że w każdej chwili mogą otrzymać swoją część prowizji, z samego rana udałem się do jego biura w Holborn. Zanim Terencjusz zdążył otworzyć usta, wyraz jego twarzy, przypominającej buldoga z bolącym zębem, powiedział mi, że nowiny wcale nie są dobre.

- Twój przyjaciel Atkinson-White ma stracha i nie złoży swojego złotego jaja w moje ręce.

- Dlaczego?

- Ponieważ ty mnie poleciłeś, a twoje nazwisko trafiło ostatnio do gazet razem z nazwiskiem Maksa Wingate'a i nieodżałowanego Fabiana Charnwooda. Morderstwo nie budzi zaufania, nie sądzisz?

- Nie mam nic wspólnego z zabójstwem Charnwooda.

- Możliwe, ale w takich sprawach ludzie są podejrzliwi. Atkinson-White woli mieć do czynienia z ludźmi, którzy o dziesiątej wieczorem idą do łóżka z dobrą książką, a nie łążą po lasach Surrey i walą po głowach nadopiekuńczych rodziców.

-Nie mogłeś go namówić, żeby... przemyślał to jeszcze raz.

- On już to przemyślał. Muszę powiedzieć, że nie mam do niego żalu. Do diabła, w co wyście się z tym Wingate'em bawili?

- Wcale się nie bawiliśmy. Wszystko rozegrało się między Maksem a Charnwoodem.

- Daj spokój. Wypytywałeś mnie o Charnwooda. Powiedziałaś, że będziesz z nim robił jakieś interesy.

- Nic z tego nie wyszło. Terencjusz parsknął.

- Masz szczęście.

-Dlaczego?

- Słyszałem dziwne plotki o Charnwood Investments. Bez niego firma nie jest nic warta. Ludzie składali tam swoje pieniądze, bo ufali jego rozeznaniu. Teraz chcą odzyskać forszę. Wątpliwe, czy wszystkim się to uda.

Czyżby innych spotkało to samo, co mnie? Podejrzałem, że feralny czek był swoistą zemstą Charnwooda. Teraz zaczęłam myśleć, że mogło być inaczej.

- Zapewniałeś mnie, że on dobrze stoi - powiedziałem oskarżycielskim tonem.

Terencjusz szeroko rozłożył ręce, wypierając się odpowiedzialności.

- Tak było. Ale to był tajemniczy człowiek. Wszystkim zajmował się sam. Sam podejmował decyzje. Jego ludzie to marionetki. Bez niego nic nie potrafią. Firmę odziedziczy prawdopodobnie jego rodzina. Jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby powiedzieć, jak sobie poradzą. My mamy czas; możemy poczekać, żeby się przekonać, jak uda im się połapać w gąszczu międzynarodowych powiązań Charnwooda, ale niektórzy są bardzo nerwowi. Naprawdę bardzo.

Pogrzeb Fabiana Charnwooda odbył się nazajutrz w Dorking. Nic nie świadczyło o niepokoju, jaki podobno ogarnął tych, którzy zainwestowali w jego firmę. Kościół św. Marcii na był pełen. Wśród żałobników rodzina, pracownicy i miejscowe osobistości stanowili mniejszość. Znacznie więcej było - jak mi się zdawało - tych, z którymi Charnwood robił interesy: zamożnych mężczyzn w jego wieku, wśród których wielu wyglądało na przybyszy z Kontynentu, a niektórzy wydawali się dziwnie znajomi, jakbym już ich gdzieś widział, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach. Nie wiedziałem, do której kategorii zaliczyć Faradaya, który również przybył na pogrzeb. Wiercił się i wydymał usta, siedząc w ławce za Vitą i Dianą.

Zachowanie obu kobiet było krańcowo różne: Vita, zalana łzami, chwiała się niepewnie; Diana zaś, zamyślona i cicha, bardziej była zatroskana o ciotkę niż o siebie. Fragmenty z Pisma Świętego czytali wicehrabia i dwóch baronetów. Na zakończenie jakiś potężnie zbudowany Słowianin, któremu w wydrukowanym programie uroczystości przypisano rangę generała nieokreślonej armii, wygłosił górnolotną pochwałę

zmarłego. Rozwodził się nad cnotami zmarłego przyjaciela, ale nie wspominał ani słowem o tym, w jakich okolicznościach go poznał. Pewnie dlatego, że pogrzeb nie jest okazją do przypominania znajomości zawartej przy okazji podpisywania kontraktu dotyczącego dostawy dziesięciu tysięcy karabinów.

Pochówek na cmentarzu w Dorking trwał krótko. Trzymałem się z tyłu, za innymi żałobnikami, w nadziei, że uda mi się uniknąć spotkania z Faradayem. Udało mi się, za to stanąłem ramię w ramię z nadinspektorem Hornbym, który miał tego dnia twarz pokerzysty, chociaż zachował cięty język.

- Zerka pan na sąsiednie nagrobki, panie Horton, w nadziei, że za jednym z nich ukrywa się pan Wingate?

- Tak pan sądzi?

- To ja zadałem pytanie. Czy pański przyjaciel jest jeszcze w Anglii?

- Skąd miałbym wiedzieć?

- Koroner może spytać o pańskie zdanie w tej sprawie. Radziłbym wymyślić mniej sarkastyczną odpowiedź.

- Koroner?

- Podczas rozprawy. Nie ustaliliśmy jeszcze daty, ale z pewnością wezwiemy pana na świadka.

Ogarnęło mnie zniechęcenie. Wkrótce znów znajdę się w sytuacji, w której trudno mi będzie uniknąć świadectwa przeciw Maksowi i utwierdzenia go w przekonaniu, że go zdradziłem.

- To będzie dopiero przekąska. Danie główne podamy później

- pokiwał głową nadinspektor, kiedy na niego spojrzałem. - Postawimy go przed sądem. Niech pan zapamięta sobie moje słowa.

Pastor skończył. Patrząc nad skulonymi ramionami i pochylonymi głowami, zobaczyłem Dianę; zrobiła kilka kroków, żeby rzucić na trumnę garść ziemi.

- Nie najgorszy sposób odejścia na wieczny spoczynek, co? - mruknął pod nosem Hornby. - Z godnością. W dodatku okolica jest przyjemna. - Przerwał na moment, gdy ludzie zaczęli przesuwać się do przodu, w kierunku grobu. Potem dodał: - Dużo tu ładniej niż na więziennym cmentarzu, gdzie z pewnością zostanie pochowany jego morderca.

Na szczęście wśród tych, którzy po pogrzebie poszli do Bursztynowego Dworu na herbatę, kanapki i pełne szacunku rozmowy, nie było Hornby'ego. Dianę i Vitę otaczali znajomi, podszedłem więc do okna i wyjrzałem na ogród, po którym Charnwood oprowadzał kiedyś Maksa tłumacząc mu, dlaczego nie nadaje się na zięcia bogatego człowieka. Popijając herbatę i rozmyślając nad nieodwracalnością tego, co się stało, nie zwróciłem uwagi na zmierzającego w moim kierunku mężczyznę. Nagle dostrzegłem jego odbicie w szybie i prawie jednocześnie usłyszałem słodki głos.

- Kto by pomyślał, co, Horton? Że znów się spotkamy, i to w tak tragicznych okolicznościach.

Nawet nie próbowałem ukryć niezadowolenia. Odwróciłem się od okna, ale nie widziałem sposobu, żeby mu umknąć.

- Nie miałem żadnego wpływu na te okoliczności, panie Faraday.

- Ani nikt z tu obecnych. Wie pan, że blisko rok nie byłem w tym domu? Czas szybko leci.

- Rzeczywiście.

-I wszystko się zmienia. - Rozejrzał się wokół i ściszył głos: - Zastanawiam się, gdzie jest Barker.

- Kto?

- Lokaj pana Charnwooda. Spodziewałem się spotkać go tutaj.
- Nie wiedziałem, że miał lokaja.
- Dawniej miał. Może... Odniosłem wrażenie, że ostatnio pan Charnwood żył nieco oszczędniej. Biedny Barker, może i na nim trzeba było oszczędzić.

∴ - Możliwe. ..

- A więc zgadza się pan z moim odczuciem?

- Tego nie powiedziałem.

- Nie, ale... - uśmiechnął się i rozejrzał po pokoju. – Jak pan myśli, panie Horton, czy można się czegoś dowiedzieć o człowieku na podstawie żałobników, którzy przyszli na jego pogrzeb? Jeśli tak, to pan Charnwood musiał mieć barwne życie. Weźmy na przykład generała Visaricia, naszego elokwentnego mówcę. - Zwalisty generał stał niedaleko nas i mówił, czy też raczej ryczał, do otyłego, niskiego mężczyzny z monoklem i nadmiernie natłuszczonymi włosami, przedzielonymi pośrodku głowy, który przysuwał ucho tak, że prawie dotykał nim rozdwojonej na końcu brody generała. - Zaryzykowałbym stwierdzenie, że za jego rubasznym śmiechem i niezliczonymi anegdotami kryje się niejedna tajemnica. To jednak dobry żołnierz i wie, ile wart jest kamuflaż.

- W jakiej służy armii?

- Nie mam pewności. Mówi, że jest Jugosłowianinem. Cóż jednak by to miało znaczyć? - Faraday zrobił krótką przerwę, wykrzywił twarz i mówił dalej: - A propos, czy po przybyciu do ojczystego brzegu znalazł pan ujście dla swoich talentów? Starając się okazać niezadowolenie z tego pytania, wzruszyłem ramionami i odparłem:

- Za wcześnie o tym mówić.

- Nie chciałbym być wścibski. Chodzi o to, że mężczyzna, z którym rozmawia generał Visarić, mógłby mieć propozycję dla człowieka z pańskimi umiejętnościami. Jest właścicielem klubu Ambasador. Ach! Widzę, że pan o nim słyszał. Niedawno kupił hotel Deepdene w Dorking. Zdaje się, że z polecenia pana Charnwooda. Chciałby pan zostać mu przedstawiony?

Zawahałem się. Moje myśli pobiegły w różnych kierunkach. Charnwood nie robił tajemnicy z tego, jakim klubem jest Ambasador. Jego właściciel mógłby mnie wprowadzić w szeroki świat interesów. Był więc człowiekiem, na znajomości z którym powinno mi zależeć. Nie miałem jednak zaufania do Faradaya; szczególnie, gdy proponował pomoc. Z drugiej jednak strony, nie stać mnie było na zbyt dużą podejrzliwość. W londyńskim towarzystwie nie miałem zbyt wielu kontaktów. Wkrótce zabraknie mi pieniędzy. Nie mogłem - z lojalności wobec Maksa - wyrzekać się jedynej zajęcia, jakie mi zaproponowano. Maks - przekonywałem sam siebie - nie chciałby tego. Dlaczego miałbym się wahać?

- Sądzę, że może się okazać, iż macie z panem Gregorym wiele wspólnego - ciągnął Faraday. - Podobnie patrzycie na świat i kierujecie się tymi samymi zasadami. Ta znajomość może się okazać bardzo owocna.

- Gregory?

Słyszałem to nazwisko. Przypomniałem sobie, że właściciel Ambasadora zdobył ostrogi jako pośrednik, po Wielkiej Wojnie handlując zaszczytami w imieniu Lloyd George'a. Takie przynajmniej chodziły słuchy. Oczywiście, sprzedaż zaszczytów uznano później za nielegalną i pojawiła się potrzeba jakiegoś miejsca, gdzie można by przeprowadzać

takie transakcje w sposób dyskretny. Klub na Bond Street doskonale się do tego nadawał. Nielegalny handel przynosił znaczne zyski.

- Maundy Gregory?

- We własnej osobie.

- W takim razie bardzo proszę przedstawić nas sobie.

- Doskonale. Zaraz...

- Przepraszam, panie Faraday - między nami stanęła Diana. - Moja ciotka chciałaby z panem porozmawiać. Czy zechciałby pan...

- Oczywiście, moja droga. - W jego głosie słychać było lekką irytację. Zaciśnął wargi. - Jestem do usług.

Zanim odszedł, uniósł lekko jedną brew dając do zrozumienia, że żałuje, iż nam przerwano.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała Diana, prowadząc mnie do bardziej zaciszego okna w wykuszu. - Nie było ci łatwo.

- Nie martw się o mnie. Jak sobie radzisz?

- Dobrze, dopóki nie muszę znosić towarzystwa tego nieprzyjemnego małego człowieczka. Przykro mi, że ci się narzucał.

- Pytał mnie, co się stało z niejakim Barkerem.

-Barker? - skrzywiła się. - Był lokajem papy, ale papa doszedł do wniosku, że już nie potrzebuje lokaja. Mię rozumiem...

- Przepraszam. Dajmy temu spokój.

- Chciałabym zapomnieć o panu Faradayu. Nie rozumiem, dlaczego ciotka Vita tak się liczy z jego zdaniem.

- W jakiej kwestii?

Chciała odpowiedzieć na moje pytanie, ale po namyśle pokręciła głową.

- Nie chcesz przecież słuchać o naszych problemach.

- Gdybym mógł w czymś pomóc...

- Możesz mi pomóc, unikając pana Faradaya i jego znajomych. Chciałabym rozmawiać z kimś nieskalanym przez Świat, który oni zamieszkują.

- Nie znam tych ludzi. Jeśli zechcesz mnie uznać za nieskalanego...

Na moment przytknęła dwa palce do czoła.

- Czuję się taka samotna! Ciotka Vita ma najlepsze zamiary, ale niewiele rozumie. Papa odszedł. Maks praktycznie również. Trudno, bardzo trudno jest sobie poradzić... kiedy nie ma się do kogo zwrócić...

Wyglądała tak, jakby się miała za moment rozplakać. Przesunąłem się, zasłaniając ją przed gośćmi, uściśnąłem jej dłoń i uśmiechnąłem się pogodnie, kiedy podniosła na mnie wzrok. W jej oczach widać było obawę, nadzieję i smutek, przemieszane z niepewnym błaganiem. Nie wiedziała, o co prosi, a ja nie wiedziałem, co jej ofiaruję. Ale milczące pytanie zostało postawione. Odpowiedziałem na nie bez wahania.

-Kiedy nie będziesz mogła dłużej znieść samotności... Kiedy będziesz potrzebowała pomocy...

- Jakiś ty dobry!

- Mówię poważnie. Zawsze.

Miałem zamiar dotrzymać obietnicy, dopóki patrzyła mi w oczy i jeszcze przez kilka minut, gdy staliśmy blisko siebie i mogłem wpatrywać się w jej nieskazitelnie piękną twarz i wyobrażać sobie - nawet wtedy, niecałą godzinę po pogrzebie jej ojca - jak by to było, gdybym wyłuskał jej jasne, drżące ciało z czarnej szeleszczącej sukni.

Ale uroki ciała trwają krócej nawet niż czar bogactwa. Pozwoliłem Dianie wierzyć, że pogardzam Faradayem tak samo jak ona. Jednak po zakończeniu spotkania, gdy stanął przy mnie na ganku, żeby zamienić słówko, pozwoliłem mu mówić.

- Rozmawiałem o panu z panem Gregorym. Chętnie spotka się z panem w miejscu zapewniającym większą swobodę. Ma biuro na Parliament Street, numer trzydzieści osiem. Może wstąpi pan tam po niedzieli i umówi się na konkretny dzień? Jestem przekonany, że nie straci pan czasu na próżno.

Nie odpowiedziałem, ale powtarzałem sobie ten adres, wsiadając do talbota. Dałem Maksowi okazję; mógł wyjaśnić, czego ode mnie chce, ale nie zrobił tego. Nadszedł czas powrotu do zajęcia, które zawsze uważałem za swój zawód: do rozwijania kontaktów towarzyskich.

VI

W soboty i niedziele mieszkańcy Ecclestoneu grali w brydża i plotkowali. Dwa żalose dni wystarczyły, żeby utwierdzić mnie w postanowieniu powziętym w Dorking. Nic nie mogłem zrobić dla Maksa, który też niczego ode mnie nie oczekiwał. Wstyd i wyrzuty sumienia z powodu mojego udziału w jego nieszczęściu przybladły, a wartości, które kierowały nami przez ostatnie dziesięć lat, okazały się trwałe. Skoro nie mogłem pomóc Maksowi, zająłem się swoimi sprawami.

Pierwszą i najważniejszą sprawą było umówienie się na spotkanie z Maundym Gregorym, który musiał się liczyć z opinią Faradaya, gdyż zaproszono mnie już na następny dzień. Budynek pod trzydziestym ósmym na Parliament Street był siedzibą "Whitehall Gazette", miałem jednak podejrzenie, że prowadzi się tam działalność bardziej dyskretną i dochodową niż wydawnicza.

Biuro Gregory'ego urządzone było barokowymi meblami. Było tu mnóstwo zdjęć znanych osobistości i tyle nowoczesnej techniki, że można by wyposażyć kilku szpiegów. Była pora odpowiednia na koktajl. Gregory nalał martini. Czuję do niego niechęć z powodu gładkiego sposobu bycia, zapachu wody kolońskiej, modnego stroju, monokla, sygnetów, miękkiego głosu, szczególnie zaś rybich oczu. Zdarzało mi się już jednak pracować dla ludzi godnych pogardy i nigdy tego nie żałowałem. Nie było powodu, żebyśmy musieli się lubić.

- Zabójstwo Charnwooda przeraża mnie, panie Horton.

- To straszne.

116

- Pan Faraday mówił mi, z jaką dyplomatyczną zręcznością poradził pan sobie ze skutkami tego wydarzenia.

- Miło mi.

- To znaczy, że może się pan nadawać do pracy, w której potrzebuję pomocy. To delikatne przedsięwzięcie, pan rozumie? - Uśmiechnął się. - Ale bardzo opłacalne.

Odpowiedziałem uśmiechem.

- Jestem tym zainteresowany.

- Dobrze. - Przyglądał mi się przez chwilę; potem powiedział:

- Jestem wydawcą "Almanachu rodów ziemiańskich" Burke'a.

Wiedział pan o tym?

- Oczywiście.

- Zbliża się setna rocznica powstania dzieła, w związku z czym zamierzam dokonać w nim poprawek. Redaktor wydania sprawdza prawdziwość wszystkich danych.

- To niełatwe zadanie, jak sądzę.

- Właśnie. W dodatku wymaga wielkiej delikatności. Widzi pan, to dzieło jest nie tylko swego rodzaju encyklopedią, ale też służy tym, których życie opisuje. W nowym, poprawionym wydaniu powinniśmy podkreślić zasługi niektórych ludzi. W takich przypadkach nasze postępowanie musi być niezmiernie taktowne. Są ludzie, którzy zasługują na to, by ich nazwisko ozdobił tytuł, i chcieliby od nas informacji, jak to osiągnąć.

- Chodzi o to, że niektórzy mają nadzieję znaleźć się wśród wymienionych w almanachu parów, baronetów i szlachty?

Pozwolił sobie na dyskretnie chrząknięcie.

- Zwiąże pan to ujął, panie Horton. Niektórzy mają powody żywić taką nadzieję. Możemy wiele zrobić dla tych, którzy są gotowi pokryć związane z tym, niebagatelne koszty. Są to, oczywiście, sprawy poufne. Negocjacje, jeśli mają posuwać się do przodu, muszą być prowadzone bardzo dyskretnie. Z tego względu wolę zatrudnić jedną czy dwie starannie dobrane osoby, a odsunąć od tej sprawy redaktora.

- Doskonale to rozumiem, panie Gregory. Myślę, że mógłbym panu służyć pomocą w zbieraniu informacji.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Robiło mi się niedobrze, kiedy na niego patrzyłem.

- Tak, młody człowieku... Sądzę, że mógłby mi pan pomóc. - Nie spodobało mi się, że nazwał mnie "młodym człowiekiem", ale nie był to stosowny moment na tłumaczenie mu, jakich jego wad najbardziej nie znoszę. - Załóżmy, że wybiorę jednego czy dwóch... kandydatów... i poproszę pana o skontaktowanie się z nimi. Jak chciałby się pan do tego zabrać?

- Sądzę, że wysłałbym list i zaproponował spotkanie w celu omówienia pewnych kwestii, związanych z nowym, poprawionym wydaniem "Almanachu rodów ziemiańskich" Burke'a. Potem zadzwoniłbym i umówił się na konkretny termin.

- O to chodzi. Proszę wziąć ze sobą "Whitehall Gazette". Na przykład z czerwca. Jest tam doskonale zdjęcie zrobione podczas obiadu, który wydałem w Ambasadorze. Było tam wystarczająco dużo książąt, markizów i wicehrabiów, nie wspominając o ministrach, żeby przekonać nawet najbardziej sceptycznego rozmówcę o tym, ile mogę dla niego zrobić.

Z powagą pokiwałem głową.

- Gdyby chcieli spotkać się przy obiedzie... Może w Ambasadorze...

- ...Gdzie mógłbym wymienić z nimi uprzejmości... -mruknął pod nosem.

- ...A ja wspomniałbym mimochodem o kwocie, potrzebnej do naoliwienia stosownych trybów.

Gregory uśmiechał się szeroko, jego oczy przypominały wąskie szparki. Wstał, przeszedł na moją stronę biurka i poklepał mnie po ramieniu. Patrząc na pulchne paluszki, z których każdy ozdobiony był co najmniej jednym lśniącem pierścieniem, z trudem powstrzymałem odruchowy dreszcz obrzydzenia.

- Myślę, że nasza znajomość okaże się owocna, panie Horton. Ma pan ochotę na martini?

Pod koniec tygodnia wysłałem dwa listy do właścicieli ziemskich, o których Gregory wiedział, że mają dużą gotówkę i ambicje. Obiecywałem zadzwonić na początku następnego tygodnia. Chciałem jak najszybciej załatwić tę sprawę, ponieważ dopiero gdy pieniądź przejdzie z ręki do ręki, Gregory dostanie prowizję i wypłaci mi moją część. Musiałem

jednak okazać cierpliwość. Takie małpy - jeśli polowanie ma się udać - trzeba chwycić ostrożnie.

Nadeszły dwa dni wolne od pracy. Spędziłem je w Ecclestonie. Miałem dwóch gości. W sobotę, strasznie wcześnie rano, przyszedł policjant, budząc ciekawość i poruszenie wśród gości i niezadowolenie personelu. Wręczył mi wezwanie do stawienia się w roli świadka na rozprawie w sprawie śmierci Charnwooda w magistracie w Dorking, w środę, szesnastego września.

Wiedziałem, że ten dzień musi nadejść, a mimo to przygnębiła mnie myśl, że będę musiał publicznie powiedzieć, jaki wniosek - co prawda niechętnie - wyciągnąłem: to Maks zabił Charnwooda. Koroner nie musiał mnie o to pytać, obawiałem się jednak, że Hornby postara się, by mnie to nie ominęło.

Zamierzałem właśnie pójść na spacer, żeby choć na chwilę zapomnieć o tych ponurych sprawach, kiedy przyszedł 1 drugi gość. Była to Diana, zarumieniona i w dobrym humorze, w który wprowadziła ją szybka jazda impem z Dorking. Słoneczny poranek uczciła kwiecistą sukienką i figlarnym, prawie rozgorączkowanym nastrojem, jakby się zbuntowała przeciw ograniczeniom, jakie narzucała jej żaloba.

- Papa nie chciałby, żebym w taki dzień szlochała za zamkniętymi oknami Bursztynowego Dworu. Musiałam się wyrwać. Myślałam też o tobie. Pewnie niepokoisz się przed rozprawą. Sądzę, że dostałeś wezwanie?

- O, tak.

- W takim razie chodźmy gdzieś razem. Postarajmy się choć na kilka godzin zapomnieć o naszych zmartwieniach. Może nam się nie uda, ale...

- Warto spróbować. Nie musisz mnie namawiać. Uśmiechnęła się.

- To dobrze. Pojedziemy przed siebie, dokąd przyjdzie nam ochota.

Pojechaliśmy do Hampton Court. Spacerując po ogrodzie zastanawialiśmy się, czy Henryk VIII kochał którąś ze swoich żon. Obiad zjedliśmy w Weybridge, w pubie nad rzeką. Popołudnie spędziliśmy w Sandown Park, gdzie traciliśmy pieniądze, stawiając na każdego konia, który spodobał się Dianie. Przez sześć czy siedem godzin zabawialiśmy się swobodną rozmową, nie wspominając o jej ojcu, o Maksie, kłopotach Charnwood Investments ani rozprawie, na której za jedenaście dni będziemy się musieli obydwójce stawić. Diana sprawiała wrażenie szczęśliwej, beztroskiej; ku swojemu przerażeniu stwierdziłem, że i ja czuję się podobnie.

O zmierzchu szliśmy wzdłuż Bishop's Walk, brzegiem Tamizy w Putney. Zbliżała się chwila pożegnania. Obojgu nam było przykro, że musimy się rozstać. Gdyby nie mrok zalegający moją duszę, o wiele gęstszy od rzeczywistego, objąłbym Dianę i skradł jej całusa. Rozdzielały nas jednak zobowiązania wobec bliskiego człowieka. Kiedy zawróciliśmy ku mostowi Putney, powiedziałem głośno, że to był bardzo przyjemny dzień, nie odważyłem się jednak zaproponować, byśmy go powtórzyli.

- Było cudownie - odparła Diana. - Od pogrzebu prawnicy i księgowi nie dają mi chwili spokoju. Zdaje się, że papa zostawił po sobie niezły bałagan. Nie mogę zrzucić wszystkiego na ciocię Vitę, ale naprawdę musiałam się dzisiaj wyrwać. Dziękuję, że przyszedłeś mi z pomocą.

- Prawdę mówiąc, to ty mi pomogłaś.

- Tak? - uśmiechnęła się. - W takim razie może zechcesz mi się odwdziaczyć?

-Jak?

- Mam dwa bilety na balet na najbliższy wtorek. Aleksandra Daniłowa tańczy w Alhambrze. Chciałam pokazać Maksowi, jak piękny... - zamilkła, kiedy uświadomiła sobie, że pierwszy raz wspomina jego imię. Dalej mówiła bardzo cicho, prawie szeptem: - Nie musisz przyjmować tego zaproszenia. Nie musisz niczego udawać dla mojego dobra. Jeśli wolisz, żeby nasze drogi się rozeszły... jeśli chcesz zapomnieć...

Przystanąłem. Kiedy odwróciła się ku mnie, wziąłem ją za rękę. W jej oczach lśniły łzy. Doznałem uczucia, które mężczyźni o wyobraźni bujniejszej niż moja uważają czasem za szlachetniejsze niż pożądanie. Jednocześnie ogarnęły mnie wątpliwości. Może lepiej będzie rozluźnić więź między nami? Inaczej będę musiał świadomie zdradzać Maksa. Będę też oszukiwał Dianę, udając niewiniątko. Zawarłem przecież umowę z Maundym Gregorym. Oczywiście, istniało pewne niebezpieczeństwo, że Diana dowie się, iż moje nazwisko figuruje na jego liście płac. Jednak gdyby Faraday chciał się z tym zdradzić, musiałby przyznać, że sam jest przedstawicielem Gregory'ego, co nie byłoby dla niego korzystne. Mimo wszystko dalsze spotkanie się z Dianą byłoby niemądre, nieostrożne, nierozsądne. Była jednak taka śliczna! Jakże tu się wyrzec nadziei na dotknięcie czegoś więcej niż dłoni; na wejście w posiadanie - choćby na krótko - tego piękna?

- Obawiam się, że jest za późno, żeby cofnąć zaproszenie - powiedziałem z uśmiechem. - Pójdę z tobą na ten balet, nawet jeśli już tego nie chcesz.

Moje podwójne - a może nawet potrójne - życie toczyło się dalej. Adresaci moich listów zgodzili się na spotkanie. Jeden z nich, producent obuwia z Northamptonshire, któremu ambitna żona kazała się przenieść do budowli z epoki Tudorów w Middlesex, chwycił przynętę. Najpierw był obiad w Ambasadorze, potem herbatka w mieszkaniu Gregory'ego w Hyde Park Terrace. Rozmawialiśmy (bardzo taktownie) o tytule szlacheckim i opłacie w wysokości dziesięciu tysięcy funtów.

W międzyczasie poszedłem z Dianą na balet. Kolację zjedliśmy u Gattiego. W sobotę pojechaliśmy do Brighton. Zwiedziliśmy pawilon królewski, zjedliśmy obiad w Metropolu i przyglądaliśmy się białym koniom, przebiegającym obok nas na molo. Byliśmy jak odurzeni udawaniem, że możemy się oderwać od tego, co się stało i co jeszcze musi i się stać. Będąc razem, schroniliśmy się w mydlanej bańce i desperackie j wesołości Diany. Wystarczyłoby jednak, żebym poddał ją jakiegokolwiek próbie, a przysłaby natychmiast.

Z rodziną prawie się nie kontaktowałem. Razem z Maggie, na jej prośbę, odwiedziłem Feliksa. Pewnie żałowała, że wpadła na ten pomysł, gdyż Feliks, przestraszony nagłym zainteresowaniem, zamknął się w sobie. Nasz ojciec, ze zwykłą sobie niewrażliwością, zapełnił pustkę długim przemówieniem pochwalnym na cześć króla, który zrezygnował z pięćdziesięciu tysięcy funtów, przyznanych mu na utrzymanie przez parlament, żeby pomóc rządowi w trudnej sytuacji finansowej. Przeliczyłem sobie, że za te pieniądze można by kupić pięć tytułów szlacheckich. Ojciec ani w szpitalu, ani później, przy niesmacznej herbacie i nieświeżych bułeczkach w kawiarni "St Albans", nie wspominał o rozprawie, o której przecież wiedział. Wzorowy postępek króla wychwalał ad nauseam, a problemy syna skrupulatnie omijał. Problemy córki również. Pensja Maggie, tak jak wszystkich

nauczycieli zatrudnianych przez państwo, została obniżona o piętnaście procent. Siedząc w zatęchłej sali i patrząc na udręczoną twarz siostry, przysiągłem sobie, że podzielę się z nią tym, co zarobię u Gregory'ego. W ten sposób proceder sprzedawania godności posłuży też czyjemuś dobru.

Od Wingate'ów ani od nadinspektora Hornby'ego nie nadchodziły żadne wiadomości. Domyślałem się, że Maks nie przysłał więcej listów i nikt go nie widział ani w Londynie, ani nigdzie indziej. Często o nim myślałem, szczególnie nocami. Czasem wracałem do Ecclestoneu inną drogą, żeby sprawdzić, czy gdzieś na mnie nie czyha. Ale bez skutku. Tylko raz, kiedy wcześniej rano szedłem StranDEM, zobaczyłem kilkadziesiąt metrów przed sobą kogoś bardzo do niego podobnego. Nie zawołałem. Zacząłem go śledzić, ale zgubiłem na Adelphi Terrace. Stąpając ostrożnie wśród leżących, zwiniętych w kłębek pijaków i włóczęgów, śpiących w przejściach, przykrytych porwanymi workami, pomyślałem z przerażeniem, że może właśnie tutaj ukrywa się Maks. Jeśli tak, nie mogę mu pomóc. W nocy przekonałem samego siebie, że się pomyliłem i wziąłem za Maksa kogoś obcego.

Dwa dni przed rozprawą dostałem list od Diany. Ustaliliśmy, że w sądzie będziemy zachowywali się tak, jakbyśmy się prawie nie znali, i że spotkamy się w hotelu w Reigate, żeby porozmawiać o rozprawie. Późniejsze wydarzenia wyprzedziły jednak nasze zamiary.

Bursztynowy Dwór, Dorking, Surrey. 13.09.1931 r.

Drogi Guy! Nasze potajemne spotkania były dla mnie jedynym źródłem pociechy. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę jeszcze potrafiła odczuwać tak wielką przyjemność. Jednak problemy, przed którymi chroniłam się u Ciebie, nie przestały istnieć. Nie mogę ich dłużej ignorować. Tym bardziej, że zdają się mnożyć każdego dnia. W liście nie mogę o tym pisać, ale proszę, żebyś mnie zrozumiał. Czy mógłbyś po rozprawie przyjechać tutaj, zamiast do Reigate? Wszystko Ci wyjaśnię, kiedy się spotkamy. Nie bój się cioci Vity. Wie o naszej przyjaźni i pogodziła się z nią. Proszę, przyjeźdź. To bardzo ważne. Szczerze oddana Diana.

Zastanawiałem się nad tym listem przez kilka godzin. Czy sytuacja mogła być gorsza? Po co mamy się spotykać w Bursztynowym Dworze, gdzie obecność Vity - pogodzonej czy nie - nie pozwoli nam na szczerą rozmowę? Tylko w jeden sposób mogłem się tego dowiedzieć, ale ta myśl wcale nie uczyniła niepewności łatwiejszą do zniesienia.

W dniu rozprawy sala magistracka w Dorking była pełna ludzi. Miałem wrażenie, że koroner (bardzo podobny do wojskowego chirurga, którego poznałem w Macedonii) wolałby, żeby tłum nie był aż tak liczny. Nikt jednak nie mógł zakazać prasie i publiczności uczestnictwa w sensacyjnym procesie. Ja wyczekiwałem tego dnia z niepokojem, oni z niecierpliwością. Nadinspektor Hornby przywitał mnie ze zwykłą sobie, drażniącą uprzejmością. Potem podszedł do jednego z urzędników sądowych i szeptem przeprowadził z nim krótką rozmowę. Vitę i Dianę publiczność przywitała szmerem.

Ja udawałem, że ich nie zauważam. Nigdzie nie było widać Wingate'ów; widocznie zdecydowali się nie przyjeżdżać. Przynajmniej za to jedno mogłem być wdzięczny.

Rozprawa zaczęła się o dziesiątej trzydzieści. Zaprzysiężono kilku miejscowych obywateli o nieugiętych charakterach i wezwano pierwszego z pięciu świadków. Łagodny głos i ujmujący sposób bycia Diany wywarły na koronerze wielkie

wrażenie. Bez wahania opowiadała o wydarzeniach tamtej nocy: że zrezygnowała z ucieczki z domu, ojciec poszedł zamiast niej na spotkanie z Makssem, a ponieważ długo nie wracał, zaczęła go szukać i znalazła ciało. Koroner - w imieniu sędziów - powiedział kilka słów współczucia i Diana wśród wymownej ciszy wróciła na swoje miejsce. Vita potwierdziła wszystko, co powiedziała bratanica. Mówiła bez afektacji, w sposób typowy dla energicznej, zaradnej starej panny. Koroner pogratulował jej odwagi, jaką okazała, zostając sama w ciemnym lesie przy ciele brata. Jej odpowiedź (spełniła tylko swój obowiązek) wywołała ze wszystkich stron pomruki uznania.

Potem wezwano mnie. Kiedy przyznałem, że jestem przyjacielem Maksa, wszyscy zaczęli traktować mnie dość chłodno. Pod jego nieobecność stałem się uosobieniem zła. Koroner, łagodny i delikatny wobec pań, stał się nagle i surowy i rzeczowy.

- Czy ta eskapada nie wydała się panu nieodpowiedzialna, panie Horton?

- Nie.

- Co pan myślał, kiedy pański przyjaciel nie wracał? ; - Nie miałem pojęcia, co się stało. Dlatego poszedłem go szukać. Widział go pan, wracającego z miejsca przestępstwa?

- Słyszałem biegnącego człowieka. Nie wiem, kto to był.

- Ale ten ktoś odjechał pańskim samochodem. Kto, oprócz pana Wingate'a, mógł wiedzieć, że akurat w tym miejscu stoi auto? Kto to mógł być, jeśli nie pan Wingate?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Kiedy zbliżył się pan do ciała, panna Vita Charnwood i panna Diana Charnwood już tam były?

-Tak.

-I było oczywiste, że pan Charnwood został brutalnie zamordowany?

- Było oczywiste, że zmarł gwałtowną śmiercią. czyjej ręki?

- Nie wiem.

- Nie zastanawiał się pan, czy mógł to zrobić pański przyjaciel?

- Naturalnie, że się zastanawiałem.

- Do jakich doszedł pan wniosków?

- Nie potrafię uwierzyć, by Maks mógł kogoś zabić.

- A jednak mógł zabić pana Charnwooda? - Patrzył na mnie z uporem. - Wziąwszy pod uwagę okoliczności, prawda panie Horton?

Wiedziałem, że moja odpowiedź spotka się z nieprzychylnym przyjęciem. To, co powiedziałem, miało jednak znaczenie dla Maksa i dla mnie. Jego wina została już wykazana.

- Nie, nie zgadzam się z tym.

Przez moment panowała wymowna cisza; potem koroner powiedział:

- Dziękuję, panie Horton - ale w jego głosie nie było wdzięczności. - To wszystko.

Uratowałem swój honor, ale w niczym nie pomogłem Maksowi. Przez wzgląd na przyjaźń przeczyłem faktom. Nawet jeśli moje słowa wywarły na kimś wrażenie, szybko zatarł je Hornby, który bardzo obrazowo opowiedział o tym, co - jego zdaniem - wydarzyło się tamtej nocy.

- Pan Wingate szedł na spotkanie z panną Charnwood z zamiarem uprowadzenia jej. Tymczasem na umówionym miejscu czekał na niego pan Charnwood z nowiną, która z

pewnością nie została dobrze przyjęta. Pan Charnwood został zabity. Od tego czasu pan Wingate ukrywa się.

Powinien jeszcze dodać: quod erat demonstrandum. Nie wspomniał o plamach krwi na kierownicy naszego samochodu ani o liście Maksa do ojca. Pewnie chciał zachować te fakty na rozprawę przed sądem; było bowiem oczywiste, że jest pewien takiego werdyktu. Koroner podziękował mu za sumienność i wezwał patologa, który przeprowadził obdukcję post mortem.

Jego zeznania były ponure i jednoznaczne. Kilka bardzo mocnych ciosów, zadanych ciężkim przedmiotem o ostrych brzegach, zmiażdżyło prawy policzek, kość skroniową i ciemieniową zmarłego, powodując śmiertelny uraz mózgu. Grupa krwi denata była zgodna z grupą krwi znalezionej na leżącym nieopodal kamieniu o ostrych krawędziach, który - patolog nie miał co do tego wątpliwości - był narzędziem zbrodni. Śmierć nastąpiła między północą a drugą trzydzieści. Nie znaleziono śladów walki, co pozwala się domyślać, że pierwszy cios został zadany niespodziewanie i był bardzo silny. Pod pewnymi względami było to najbardziej brutalne zabójstwo, z jakim lekarz spotkał się podczas wielu lat praktyki.

Potem koroner dokonał pobieżnego podsumowania, w którym wprost powiedział sędziom przysięgłym, jaki powinni wydać wyrok. Zrewanżowali mu się posiedzeniem tak •krótkim, że nawet nie zdążyłem wyjść na papierosa.

- Uważamy, że zmarły został zamordowany przez Maksa Algernona Wingate'a.

Bez żadnych niedomówień i owijania w bawełnę. Nie dali Maksowi nadziei. Pozostawało tylko czekać, aż złapie go policja.

Po rozprawie pojechałem na Box Hill i wypaliłem papierosa, na co wcześniej nie miałem czasu. Patrzyłem z góry na Dorking i na pola w dolinie Mole. Cienie mknących po niebie chmur ścigały się po ziemi, a popychający je wiatr gwizdał w otwartym oknie samochodu. Przez chwilę wyobrażałem sobie, że pędzące cienie to różne sceny z życia mojego i Maksa; każda zdawała się najpierw zostawać w tyle za poprzednią tylko po to, żeby później okazać się jedynie rozmazanym śladem na drodze, po której pędziliśmy coraz szybciej. Nigdy dotąd nie myślałem o przeznaczeniu. Możliwe jednak, że teraz zbliżyliśmy się do niego bardziej, niż sami chcieliśmy w to wierzyć.

Stałem tam blisko godzinę. Po tym czasie uznałem, że Vi-ta i Diana miały dość czasu, by pozbyć się wielbicieli i doradców. Miałem rację. Czekają na mnie w salonie, ubrane tak samo jak na rozprawie. Kiedy wszedłem, poprzedzony przez pokojówkę, i odwróciły się, by mnie przywitać, pierwszy raz dostrzegłem, jak bardzo są do siebie podobne. Diana była wprawdzie młoda, szczupła i piękna, czego nie dałoby się powiedzieć o Vicie, w ich oczach było jednak coś, co zwracało uwagę na to niespodziewane podobieństwo: te same instynkty, pomimo różnicy wieku i usposobienia. Może - pomyślałem - właśnie to Diana nazwała w liście "pogodzeniem się".

- Dziękuję, że przyjechałeś - powiedziała tonem bardziej oficjalnym niż podczas kilku ostatnich spotkań. - Po tym, co miało miejsce dzisiaj rano, mogłeś wyjechać z Dorking przysięgając, że nigdy tu nie wrócisz.

- Gdybyś tak postąpił, byłaby w tym częściowo i moja wina - odezwała się Vita. - Potrafiłeś doskonale pogodzić obowiązki wobec przyjaciela ze współczuciem dla Diany; powinnam cię

za to pochwalić, a nie... - uśmiechnęła się. -Wybacz głupiej starej kobiecie, drogi Guy.

Pierwszy raz od dnia morderstwa zwróciła się do mnie po imieniu i znaczyło to dla mnie więcej niż przeprosiny.

- Nie muszę niczego wybaczać - odparłem serdecznie. - Ostatnie tygodnie były trudne dla nas wszystkich.

- Obawiam się, że trudniejsze niż sądzisz - powiedziała Diana.

- Usiądź, proszę; wytłumaczę ci to.

Zająłem miejsce na sofie. Ich fotele stały po drugiej stronie kominka. Za plecami miały wykuszowe okno, przez które widziałem chmury pędzące nad czubkami drzew porastających wzniesienie, po którym biegła droga na Dorking. Gdybym wcześniej poszedł za Maksem... Gdybym na rozstaju wybrał właściwą ścieżkę... Portret Matyldy Charnwood wiszący nad kominkiem dowodził, że jeden krok - zrobiony lub nie - natychmiast staje się nieodwracalny.

- Masz ochotę na herbatę? - spytała Vita.

-Jeśli...

- Guy nie chce herbaty, ciociu - przerwała mi Diana. -Chce usłyszeć, co mamy do powiedzenia.

Palce prawej dłoni wplotła między frędzle poduszki, szarpiąc jedwabne węzły to w tę, to w tamtą stronę.

- Wkrótce dowie się o tym cały świat - dodała.

- Masz rację. Pozwól...

- Nie. Pozwól, że ja to zrobię. - Puściła frędzle i położyła dłoń na spódnicy. - Charnwood Investments zbankrutował - powiedziała patrząc mi prosto w oczy. - Jutro zostanie to publicznie ogłoszone i spółka ulegnie likwidacji. Zostanie wyznaczony zarządca, a aktywa mojego ojca będą skonfiskowane.

- Wielki Boże! - Mimo że Tercjusz mnie uprzedzał, byłem zaskoczony. Teraz zrozumiałem, dlaczego zwrócono mi czek.

- Nie miałem pojęcia, że jest...

- My również nie. Zdaje się, że papa stracił mnóstwo pieniędzy podczas krachu na Wall Street i od tego czasu bez powodzenia próbował odbudowywać finanse firmy. Kilka miesięcy temu jakiś austriacki bank ogłosił niewypłacalność i...

- Credit-Anstalt?

Przypomniałem sobie, że w maju czytałem o jego upadku.

- Tak. Chyba właśnie tę nazwę wymienił księgowy. Papa złożył w tym banku duży depozyt. Podobnie w kilku niemieckich bankach, które upadły razem z tamtym. Nigdy nie wspominał, że ma jakieś trudności. Oczywiście, były pewne fakty... Ale nie zwracałam na nie uwagi. Na przykład, odejście Barkera. Papa powiedział, że nie potrzebuje już lokaja, a ja mu uwierzyłam. Mnie te oszczędności nie dotknęły. O większości z nich nie miałam zielonego pojęcia.

- Ja również - powiedziała Vita. - Fabian chciał nas chronić przed wszelkimi... nieprzyjemnościami. Taki już był.

- Sądzę, że w końcu poradziłby sobie - wtrąciła Diana. -Miał przecież doskonale wyczucie. Klienci darzyli go zaufaniem. Potrzebował tylko trochę czasu. Gdybym wiedziała, nigdy bym nie... - przerwała, gwałtownie mrugając powiekami, by powstrzymać łzy. - Teraz już tego nie zmienię. To już przeszłość.

- Bardzo mi przykro. Tym trudniej będzie wam pogodzić się z jego śmiercią.

- Tak - przyznała Vita. - Jakby nam go zabierano po raz drugi. Jego reputacja rozsypuje się w pył - rozejrzała się po pokoju. - Ten dom też jest zastawiony. W połowie jest moją własnością,

ale wierzyciele upomną się o swoją część. Nie ma wyjścia, trzeba go będzie sprzedać.

- Gdybym mógł w czymś...

- Nie zostajemy bez grosza - powiedziała z nieoczekiwaną siłą Vita. - Ojciec zabezpieczył mnie finansowo. Nie pozwolę, żeby Dianie czegokolwiek zabrakło.

- Mimo to, gdybym mógł...

- Już i tak wiele dla nas zrobiłeś, Guy - powiedziała Diana. - Od tej chwili musimy radzić sobie same.

- Co zrobicie?

- Będziemy chciały jak najszybciej wyjechać za granicę. Do Włoch, jak planował papa.

- Wynajęłam dom na weneckim Lido - wyjaśniła Vita. - Zostaniemy tam do końca października. Mam nadzieję, że wierzyciele mojego brata zdążą tymczasem zrobić wszystko, co uznają za konieczne, i będziemy mogły wrócić do Anglii.

- Chyba że zdecydujemy się pozostać we Włoszech - powiedziała Diana takim tonem, jakby już była setki kilometrów stąd. - Tak wiele się zmieniło. Wiele się skończyło. Musimy zacząć od nowa. Gdzie, z kim, jak... - nie patrzyła na mnie, tylko na portret matki. W spojrzeniu pełnym żalu było wszystko to, czego o niej nie wiedziałem i nie potrafiłem się domyślić. - Nie umiem powiedzieć. Nie potrafię powiedzieć, co przyniesie przyszłość - szepnęła.

Pożegnałem się z nimi. Diana odprowadziła mnie do samochodu. Zdaje się, że równie mocno jak ja pragnęła zamienić kilka słów na osobności. Chmur było już mniej, ale wiatr nie zelżał; szarpał czubami drzew, przyginał żywopłoty i rozrzucał liście. Słońce świeciło jasno, podkreślając całą piękność wpatrzonej we mnie Diany. Pierwszy raz poczułem, że rozumiem, dlaczego Maks zabił człowieka, który stanął między nimi. Utrata jej mogła się okazać zbyt trudna do zniesienia. Dlatego racjonalna część mojej istoty była zadowolona, że nie będzie więcej tajemnych spotkań. Cynizm może wytrzymać tylko określoną ilość szczęścia, a moje rezerwy zaczęły się gwałtownie wyczerpywać.

- Kiedy wyjeżdżacie do Wenecji? - spytałem.

- Jutro. Wyjechałybyśmy wcześniej, gdyby nie rozprawa. Nie mogłabym słuchać tych wszystkich okropnych rzeczy, jakie będą mówili o papie.

- Więc to jest nasze pożegnanie?

- Mam nadzieję, że nie; nawet jestem tego pewna. Jeszcze się spotkamy.

- W sądzie? - Gwałtownie odwróciła głowę. Pożałowałem swoich słów. - Przepraszam. Nie wiedziałem, że to zabrzmiało jak... wyrzut.

- Wiem. - Widziałem, że trudno jej zapanować nad emocjami.

- Zasłużyłam sobie na wymówki. Nie powinnam była pozwolić papie pójść na to spotkanie. Gdybym sama tam poszła, wyjaśniła wszystko Maksowi, nic takiego by się nie stało.

- Nikt nie może oskarżać ciebie o to, co zrobił Maks. On sam nie chciałby, żebyś tak myślała.

- Nie? Czego on chce, Guy? Przebaczenia? Mógłby je otrzymać, gdyby oddał się w ręce policji zaraz po tym wszystkim. Ale nie teraz. Ukrywa się tak długo i nie napisał do mnie ani słowa. Oskarżył mnie i ciebie o zdradę, a przecież to on nas zdradził.

- Nienawidzisz go?

- Nie. Ale zabił moją miłość, kiedy zamordował papę, i tego nic już nie zmieni - westchnęła ciężko. Potem uśmiechnęła się

do mnie. - Odwiedzisz nas w Wenecji? Może się okazać, że ty również potrzebujesz odmiany.

- Nieraz tego próbowałem; bez skutku. Nie, myślę, że tym razem zostanę.

- W każdym razie zapraszam.

- Dziękuję. Muszę już jechać. Guy...

-Tak?

Ujęła oburącz moją prawą dłoń.

- Wszystko pamiętaj. Niczego nie żałuj. Papa zawsze tak mówił. Sądzisz, że to możliwe?

- Nie jestem pewien.

- Ja również nie. Musimy próbować, prawda? Skoro zostaliśmy... - pocałowała mnie leciutko w usta. - Au revoir.

Zostawiłem ją na trawniku. Wiatr rozwiewał jej włosy i szarpał za spódnicę. Ostatni raz widziałem ją nieruchomą, ubraną na czarno, na tle rozkołysanych drzew, skapaną w światło, z uniesioną ręką, jakby mnie błogosławiła. Nagle zapragnąłem do niej wrócić, ale zacisnąłem zęby i uruchomiłem samochód. Nie chciałem powtórzyć błędu Maksa. Pokusa to jedno, ale poddanie się jej to całkiem co innego. Nie pojedę za nią do Wenecji ani nigdzie indziej.

Gazety poświęciły rozprawie i upadkowi Charnwood Investment mniej miejsca, niż się spodziewałem. Stale pogarszająca się sytuacja ekonomiczna zepchnęła te sprawy na gęsto zadrukowane środkowe strony. Nie było w tym nic dziwnego, skoro ludzie z Atlantic Fleet zbuntowali się na wieść o obniżce pensji, złoto zaczęło gwałtownie wypływać z Narodowego Banku Anglii, rząd brazylijski przestał spłacać długi, a City ogarnęła panika.

Gdzieś tam, w miejscu, które wybrał sobie na kryjówkę, Maks z pewnością przeczytał o werdykcie. Byłem przy nim myślami, kiedy musiał się uporać z myślą, że uznano go winnym zabójstwa. Nie mogłem jednak nic dla niego zrobić. Wybrał swoją drogę i musiał podążać nią samotnie. Wyobrażałem sobie, że podobne myśli chodzą po głowie Dianie i Vicie w Wenecji. Byłoby lepiej, gdyby się nigdy nie spotkali. Jej ojciec żyłby i prawdopodobnie byłby wypłacalny. Maks nie byłby poszukiwany jako morderca. Ona mogłaby żyć tak jak zawsze. Tymczasem Diana lizała swoje rany na wygnaniu, a Maks się ukrywał. Wbrew powiedzonku Charnwooda, trzeba było żałować wszystkiego; być może i on sam uświadomił to sobie w ułamku sekundy po pierwszym ciosie.

Mimo wszystko upadek jego spółki nie wzbudził większego zainteresowania, ponieważ rozpoczęła się rzeź, jaką było wygaśnięcie narodowego kredytu. Ci, którzy stracili pieniądze, skarżyli się mniej głośno niż obawiała się Diana. Jej ojciec stracił reputację wzorowego człowieka interesów, ale nikt nie podawał w wątpliwość jego uczciwości. Zwołano zebranie wierzycieli, ale nie wziąłem w nim udziału. Zostałem z czekiem bez pokrycia i w milczeniu pogodziłem się ze stratą.

Zresztą musiałem myśleć o większych pieniądzach. Pewien kandydat na szlachcica zamierzał podjąć decyzję o pożegnaniu się z dziesięcioma tysiącami funtów w zamian za noworoczną nobilitację, którą Gregory obiecał dla niego uzyskać. Ludzie wspinali się po drabinie społecznej, nie bacząc na stan gospodarki. Szerpa jest wart swojej zapłaty.

- Pan Horton?

Mężczyzna, który w sobotni wieczór czekał oparty o barierkę przed Ecclestonem, miał głos gburowaty, ale mówił jak

człowiek wykształcony. Był niski i cherlawy. Skórę miał bladą, spoconą, typową dla alkoholika, ubranie tak stare i brudne, że trudno się było domyślić jego koloru. Niemodny płaszcz nieprzemakalny przewiesił przez ramię, zniszczony melonik tkwił na głowie na bakier. Strzępiaste, szpakowate resztki niegdyś bujnej, rudej czupryny - jak się domyśliłem, patrząc na marchewkowe wąsy - stanowiły oprawę dla okrągłej twarzy naznaczonej troskami. Szare oczy mrugały nerwowo.

- Pan Guy Horton, prawda?

- Tak. O co chodzi?

- Czy moglibyśmy... chwilę porozmawiać? - Przerwał na moment, żeby zwinąć papierosa. - Chodzi o zabójstwo Charnwooda. Jestem dziennikarzem i...

- Przykro mi, ale nie chcę o tym rozmawiać. Pan wybaczy...

Kiedy go mijałem, z niespodziewaną siłą chwycił mnie za ramię i syknął mi do ucha:

- Chce pan pomóc przyjacielowi?

Zatrzymałem się, odtrąciłem jego rękę i spojrzałem na niego z góry.

- Oczywiście, że chcę. Może mi pan powiedzieć jak?

- Niezupełnie. Chodzi o to, że... Charnwood nie jest człowiekiem, którego można zamordować w afekcie. Coś mi się w tym wszystkim nie zgadza. Coś nie pasuje.

- Nie pasuje? Do czego?

- Do tego, co wiem o Fabianie Charnwoodzie.

- Mówi pan od rzeczy.

- Może się napijemy? Wyjaśnię to panu.

- Chyba raczej nie.

W oknie na parterze poruszyła się firanka. Pokój ten zajmowała panna Frew, najbardziej drapieżna z hotelowych plotkarek.

- Nie ma pan nic do stracenia.

- Rzeczywiście, nic. - Czyżby słońce odbiło się od szkieł lorgnon panny Frew? - Dobrze. Skoro pan nalega.

Zazwyczaj zaspokajałem pragnienie w Grosyenor, ale George Duggan - jak się przedstawił - nie należał do ludzi, z którymi chciałem się pokazywać w cywilizowanym miejscu. Zaprowadziłem go do pubu na Warwick Street i wybrałem stolik w rogu, ukryty za filarem i za wieszakiem na kapelusze. Duggan jednym haustem wypił rum i zabrał się do piwa. Przedstawił się jako dziennikarz nie zatrudniony na stałe w żadnej gazecie, posiadający jednak listy uwierzytelniające z Fleet Street. Gdybym chciał udawać dziennikarza, powiedziałbym to samo. Nie przyjął ode mnie papierosa, tylko zaczął zwijać swojego. Po pierwszym zaciągnięciu się dostał ataku gwałtownego kaszlu, który do końca rozmowy Czesiu przerywał jego wypowiedzi.

- Czytałem sprawozdanie z rozprawy, panie Horton. Czekałem na to od dnia śmierci Charnwooda. Myślałem, że może wszystko się wyjaśni. Powinienem być mądrzejszy. Nikt nie powiedział ani słowa prawdy, co?

- Ja mówiłem prawdę.

- Możliwe, ale wie pan więcej, niż powiedział przed sądem, zgadza się? Musi pan wiedzieć.

- Dlaczego?

- Nie chciał pan przyznać, że pański przyjaciel zabił

Charnwooda. Pewnie dlatego, że jest pan pewien, że on tego nie zrobił. Skąd może pan mieć pewność? Bo usłyszał pan o

tym, co się wydarzyło, z jego własnych ust. Wie pan, gdzie on jest, prawda?

Tego było za wiele. Odstawiłem gwałtownie kufel i podniosłem się z krzesła.

- Mam ciekawsze rzeczy do roboty, niż wysłuchiwanie oskarżeń...

- Niech się pan nie wścieka. - Znów zacisnął dłoń na moim ramieniu. - Proszę.

W jego głosie słychać było upór. Zamiast zrobić to, co mi dyktował zdrowy rozsądek, poddałem się i usiadłem.

- Dwie minuty, panie Duggan. Ma pan dwie minuty, żeby powiedzieć coś, czego warto słuchać.

- Dobrze. - Napił się piwa. - Pański przyjaciel, Wingate, ukrywa się, ponieważ jest przekonany, że nikt nie uwierzy w jego niewinność. Ma rację. Nie uwierzą mu, bo nie wiedzą, że istnieją ludzie, którzy mogli pragnąć śmierci Charnwooda. Ale Charnwood był wpływowym człowiekiem. Miał też wrogów. Niektórzy mieli powody, żeby go chcieć zabić.

-Kto?

- Nie znam nazwisk. Nikt ich nie zna. W każdym razie nie wszystkie. Charnwood je znał, to oczywiste. Pewnie wyuczył się ich na pamięć. Kogo kim zrobiłem... Tym się zajmował. Jednych wynosił na szczyty, innych niszczył. Na przykład mnie - skrzywił się na to bolesne wspomnienie i potarł brodę. - Może dowiedzieli się o jego kłopotach finansowych i bali się, że może ujawnić prawdę, jeśli uzna to za konieczne? A może mieli już dość liczenia na jego dyskrecję?

- Mówi pan o jego klientach?

- O klientach? Tak, można ich tak nazwać. Klienci i spiskowcy.

- Spiskowcy?

Przyglądał mi się chwilę, bezmyślnie skubiąc dolną wargę. Potem powiedział:

- Nic więcej nie powiem, dopóki się nie dowiem, kim jest pan i pan Wingate. Jeśli pracujecie dla nich... Chyba jednak nie - oczy mu się zwięziły. - Nie jest pan w ich typie. W dodatku jesteście zbyt młodzi, żebyście mogli być w tym od samego początku. Nie korzystaliby z ludzi z zewnątrz. -Zastanawiałem się nad tymi dziwnymi słowami, kiedy pochylił się nad stolikiem i powiedział: - Wingate mógł coś zobaczyć albo usłyszeć. Jakąś scenę. Szept. Może wydało mu się to bez znaczenia. Jakieś słowo, które Charnwood wypowiedział przed śmiercią. Znak, który zostawił. Ale to właśnie mogłoby się okazać brakującym ogniwem.

Jego natarczywość zaczęła mnie denerwować. Odsunąłem się.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie musi pan. Proszę powtórzyć Wingate'owi to, co panu powiedziałem. Możliwe, że będę mógł mu pomóc, ale pod warunkiem, że i on mi pomoże.

- Nic mu nie mogę powiedzieć. Nie widziałem go od dnia zabójstwa.

- Niech pan zmieni śpiewkę. Ktoś go kryje. To musi być pan.

- Ale to nie jestem ja.

Jęknął, opróżnił kufel i wytarł z wąsów pianę.

- Niech panu będzie, panie Horton. Jeszcze jednego?

- Dziękuję, już wychodzę.

- Nie wie pan jeszcze, jak się ze mną skontaktować.

- Dlaczego miałbym się z panem kontaktować?

- Ponieważ jestem ostatnią nadzieją pańskiego przyjaciela. Z moją pomocą, z tym, co wiem... - popukał się w skroń - co mam tutaj, mógłby ich zdemaskować. Sam sobie nie poradzi. Skończy tak jak ja. Więc gdyby go pan zobaczył, gdyby wasze ścieżki się przecięły, niech mu pan powtórzy to, co panu powiedziałem. Mogę o to prosić?

-Chyba tak.

- Można mnie znaleźć pod tym adresem.

Wyciągnął notes, który pękał w szwach, ponieważ do środka nawkładał mnóstwo różnych karteczek. Wyciągnął z tego bałaganu poplamioną nikotyną wizytówkę i położył ją przede mną na stoliku.

- Można napisać albo zadzwonić.

Wziąłem kartkę; ze zdziwieniem przyglądałem się temu, co tam było napisane: "Alnwick Advertiser", ul. Bondgate, Alnwick, Northumberland, telefon: 88, telegramy: Advertiser, Alnwick.

- Northumberland jest dość daleko od Fleet Street, panie Duggan. Zdawało mi się, że jest pan dziennikarzem, wolnym strzelcem.

- Bo też nie dostanę żadnej pensji, jeśli nie załatwię sześciuset słów ogłoszeń, tanich jak barszcz. Pracowałem na Fleet Street. Byłem korespondentem zagranicznym w "Topicalu". Niech się pan nie martwi, mam swoje znajomości. Jeśli pan Wingate będzie miał coś dla mnie, mogę mu zapewnić zainteresowanie dziennikarzy.

-I przyjechał pan aż z Alnwick, żeby mi to powiedzieć?

- Tak, bo to ważne. Nie tylko dla mnie. Walczył pan na wojnie?

- Rzeczywiście, walczyłem.

- Stracił pan wielu kumpli?

-Kilku.

- Dlatego to jest ważne. Co dwanaście miesięcy, w rocznicę zawarcia rozejmu, obiecujemy o nich pamiętać. Ale czy rzeczywiście dotrzymujemy słowa?

- Co więcej moglibyśmy zrobić? Oni nie żyją.

- Właśnie. Zginęły miliony. - Zapatrzył się w pusty kufel. - Muszę się napić.

- Pożegnaj się już z panem.

- Proszę, ale niech pan przekaże wiadomość ode mnie, panie Horton - w jego głosie znów było naleganie. - Możliwe, że zabijając Charnwooda popełnili błąd. Jeśli tak, to pożałuj tego.

Pokiwałem głową, włożyłem jego wizytówkę do portfela i wyszedłem. Był przy barze, kiedy obejrzałem się od drzwi. Całe to szalone gadanie byłem skłonny przypisać alkoholowi, który wypił, zanim przyszedł do Ecclestonu. Byłem już blisko hotelu, kiedy uświadomiłem sobie dziwny zbieg okoliczności. Obaj, dziennikarz i Charnwood, mówili o wojnie tak, jakby skończyła się zaledwie wczoraj. "Zawsze ta wojna" - powiedział Charnwood. "Czy rzeczywiście dotrzymujemy słowa?" -pytał Duggan w imieniu tych, którzy zginęli. Skąd to zainteresowanie konfliktem, który skończył się trzynaście lat temu?

Wstąpiłem go Grosvenora, żeby rozważyć ten problem nad szklaneczką manhattana. Wypiłem i zamówiłem drugi oraz gin dla kusicielki z mocnym makijażem, której spojrzenie napotkałem w wiszącym nad barem lustrze, i doszedłem do wniosku, że to nie ma znaczenia. Charnwood nie żyje, a

Duggan jest tylko gadatliwym moczymordą. Maks zniknął, a ja... zawsze znajdę sobie coś na pociechę.

Jednak odcięcie się od pośmiertnych spraw Fabiana Charnwooda nie było tak łatwe, jak sądziłem. Na poniedziałek po południu umówiłem się z Maundym Gregorym. Miałem nadzieję, że dostanę to, co mi się należy, za owocne negocjacje z producentem butów. Nie zawiodłem się. Gregory był punktualny i hojny. Okazało się jednak, że nagabywanie szlachty w sprawie rozmaitych przywilejów nie jest jedynym zadaniem, jakie dla mnie miał.

Wyplacił mi dwieście funtów gotówką, zanim zdażyłem o to poprosić, nalał mi szampana schłodzonego przed moim przyjściem i wmusił we mnie dwa hawańskie cygara: jedno musiałem wypalić, a drugie zabrać do domu. Tak serdeczne przyjęcie wprawiło mnie w doskonały nastrój. Uśmiechałem się pobłaźliwie, kiedy mówił, że dużo wcześniej wiedział o naruszeniu rezerw złota, który to fakt podano rano do publicznej wiadomości.

- Charnwood pierwszy powiedział, że wkrótce do tego dojdzie. Przepowiedział to wydarzenie co do dnia. "Do jesieni zabraknie im złota"; tak brzmiały jego słowa. Jaki dzień dzisiaj mamy?

- Dwudziesty pierwszy września.

- Pierwszy dzień jesieni - uśmiechnął się Gregory. -Dziwne, co? Szkoda, że nie może oglądać spełnienia swego proroctwa.

- Rzeczywiście.

- Tak, Fabian Charnwood był mądrym człowiekiem. Bardzo mądrym. Mógłbyś się od niego wiele nauczyć, drogi chłopcze. Zirytowany "drogim chłopcem", jak mnie zwykł nazywać, uznałem, że mogę sobie pozwolić na niewielką prowokację.

- Bankructwo jego spółki pokazuje, że nie był chyba aż tak mądry.

- Miałbyś rację, gdybym wierzył, że rzeczywiście stracił wszystkie pieniądze, swoje i inwestorów, na amerykańskiej giełdzie i w austriackich bankach. Ale ja w to nie wierzę. Podobnie jak inni, którzy finansowali jego działalność.

- Należy pan do tego grona?

- Przyznaję, że tak. Nigdy nie miałem powodu tego żałować, aż do tej chwili. Skoro już o tym mówimy... - przerwał na moment, żeby zaciągnąć się cygarem. - Możliwe, że będzie mi pan mógł pomóc. Mnie i tym, których reprezentuję. - Znów się zaciągnął, przechylił głowę i zmrużył oczy. - Słyszałem, że pozostaje pan w dobrych stosunkach z panną Charnwood.

Wypiłem odrobinę szampana, starając się wymyślić szybko jakąś zdawkową odpowiedź.

- Tak? Od kogo?

- Wszędzie mam szpiegów, drogi chłopcze. W dzień na wyścigach. Wieczorem na balecie. Takie rzeczy nie mogą ująć uwagi.

- To prawda, że spędziłem z nią trochę czasu, ale...

- Diana uciekła z ciotką w cieplejsze kraje. Pojedzie pan za nimi?

- Nie, oczywiście, że nie...

- Powinien pan. O to właśnie chodzi. Chciałbym, żeby pan to zrobił. Chcielibyśmy.

- Słucham?

Pochylił się nad biurkiem. W szkle monokla zwisającego na sznurku odbijało się światło lampy. Gregory ściszył głos, jakby się obawiał, że ktoś nas podsłucha.

- Zobowiązałem się zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby odzyskać pieniądze powierzone Fabianowi Charnwoodowi. Nikt z nas nie wierzy, że je stracił. Był zbyt dobrym finansistą. Możliwe, że popełnił jakieś błędy, ale nie stracił wszystkiego, jak usiłują wmówić jego klientom. Nie. Może my być pewni, że większą część swoich udziałów... naszych udziałów, złożył w bezpiecznym miejscu. A nawet w kilku bezpiecznych miejscach, jak sądzę. Pozostaje tylko pytanie: gdzie?

Rozumowanie Gregory'ego przypominało chwywanie się Ostatniej deski ratunku. Nie odważyłem się powiedzieć mu tego. Wzruszyłem tylko ramionami i rozłożyłem ręce.

- Ciotka i córka mają klucz do tajemnicy. Jedna z nich, a najprawdopodobniej obie, znają prawdę. Dlatego tak szybko wyjechały za granicę. Chciały uniknąć niewygodnych pytań. Charnwood z pewnością na wszelki wypadek powierzył tajemnicę jednej z nich. Sądzę, że wybrał raczej siostrę. Ta jednak do tego czasu z pewnością zwierzyła się bratanicy. Niestety, starsza panna Charnwood okazała się niewrażliwa na wdzięki pana Faradaya.

Nie było już wątpliwości co do tego, że Faraday również padł ofiarą niewypłacalności Charnwooda. W mojej głowie pojawiły się dwie niepokojące myśli. Po pierwsze zrozumiałem, że wysiłki, mające na celu zdobycie informacji dla klientów Charnwooda, rozpoczęły się zanim my z Maksymem wkroczyliśmy w ten zawikłany świat. Po drugie, potwierdziły się moje podejrzenia, że Faraday polecił mnie Gregory'emu bynajmniej nie z pobudek altruistycznych. Zniechęceni uporem Vity, postanowili spróbować szczęścia u Diany. A ja miałem być narzędziem w ich rękach.

- Niech pan pojedzie za nimi do Wenecji, drogi chłopcze. Niech pan wymyśli jakiś powód czy pretekst. Może być żaloty kochanek albo platoniczny przyjaciel; wszystko mi jedno. Zdobądź zaufanie córki i dowiedz się, ile wie. Gdzie są pieniądze? I jak możemy położyć na nich rękę?

Instykt kazał mi oburzyć się na taką propozycję. Oszukując Dianę miałbym wrażenie, że znów zdradzam Maksa; nawet jeśli Charnwood rzeczywiście ukrył pieniądze w szwajcarskim banku albo gdzie indziej.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, jak miałbym ją nakłonić do ujawnienia tych informacji, nawet jeśli je posiada.

- Ależ, drogi chłopcze! Jest pan młody, przystojny i czarujący. Piękna panna Charnwood będzie w swojej kryjówce potrzebowała jakiegoś pocieszenia. Wystarczy, że zaspokoi pan jej potrzeby. Niech pan ją zabawia i zaspokaja. Niech pan usypia jej czujność na wszelkie możliwe sposoby. Ja pokryję wszelkie koszty. Gdyby się panu udało... Mogę powiedzieć tylko, że kwoty, jakie otrzymywał pan za sprzedaż zaszczytów, w porównaniu z tym honorarium są wprost śmieszne.

- Śmieszne, mówi pan? Czyżby rzeczywiście chodziło o taką fortunę?

- Ależ tak - spoważniał. - Trudno dokładnie policzyć, jakie pieniądze wchodzi w grę. Kilka niewyobrażalnie bogatych osób ma w tym swoje udziały. W sumie nasze straty są... ogromne. Dlatego nie wydaje się nam możliwe, żeby wszystko przepadło.

Wahałem się, z bólem uświadamiając sobie, że każda zasada, każda moja wątpliwość mają swoją cenę. Jeśli odmówię, Gregory prawdopodobnie w ogóle zrezygnuje z moich usług. W kraju, gdzie trzy miliony osób pozostawały bez pracy, z zimną za pasem, bez pomysłów na to, jak zarobić pieniądze,

szlachetny gest z mojej strony mógł łatwo doprowadzić do nędzy i spóźnionego żalu. Nigdy nie gustowałem w jednym ani w drugim. Z drugiej strony czekała na mnie Wenecja, Diana i obietnica prawdziwych bogactw. Faraday i Gregory musieli to rozumieć. Z pewnością właśnie na to liczyli.

- Dobrze - powiedziałem w końcu. - Przekonał mnie pan. Ta gra rzeczywiście warta jest świeczki.

- Wspaniale - Gregory uśmiechnął się z zadowoleniem. - Byłem pewien, że w końcu dostrzeże pan zalety mojej propozycji.

Tłumiąc złe przeczucia, przygotowywałem się do odegrania swojej roli w spisku, o którym niewiele wiedziałem. Gregory nalegał, żebym wyjechał natychmiast, wymyśliłem jednak powody, dla których było to niemożliwe, i w końcu udało mi się go przekonać. Prawda zaś jest taka, że nie ufałem nikomu i niczemu, co wiązało się z moją misją. Musiałem mieć czas, żeby zdobyć jak najwięcej informacji. To, czego się dowiedziałem, niewiele mi pomogło.

Niby to dla zadośćuczynienia Tercjuszowi za wycofanie się Atkinson-White'ów z interesu, postawiłem mu obiad u Waldorfa. Niewiele mógł mi powiedzieć o rozmiarach strat poniesionych przez Charnwood Investments i o ludziach, którzy na tym ucierpieli.

- Było tam mnóstwo zagranicznego kapitału. Mnóstwo tajemnic. Mówi się, że część pieniędzy pochodziła z nielegalnych źródeł. To by wyjaśniało, dlaczego wierzyciele milczą. Pewnie są wściekli. Cóż jednak mają robić? Charnwood okazał się sprytniejszy od nich.

Jeśli chodzi o Duggana, to pod wpływem brandy i cygar obiecał się czegoś dowiedzieć. Jego kumpel pracował w dziale finansowym jednego z dzienników. "Topical", jak sobie przypomnieliśmy, został zamknięty w latach dwudziestych, ale wielu z jego dziennikarzy pracowało do dzisiaj w różnych gazetach. Od nich można się było dowiedzieć, czy George Duggan był korespondentem zagranicznym. Po tym, co powiedział mi Gregory, gadanina Duggana nie wydawała mi się już tak bezsensowna jak na początku, postanowiłem więc sprawdzić, ile warte są jego przechwałki o znajomościach na Fleet Street.

Nie napisałem do Diany i nie uprzedziłem o swoim przyjeździe w obawie, że mogłaby cofnąć zaproszenie. Dzięki temu nie musiałem też podawać przyczyny nagłej zmiany decyzji i mogłem z tym poczekać aż do ostatniej chwili. Nie dałem też nadinspektorowi Hornby'emu okazji do zatrzymania mnie w kraju ani do zażądania wyjaśnień dotyczących celu mojej podróży. Postanowiłem, że w dniu wyjazdu wyślę do niego list, obiecując informować konsulat brytyjski o miejscu mojego pobytu. Niech z tego korzysta, jeśli uzna za konieczne. Gregory zarezerwował mi miejsce w Orient Ekspresie wyjeżdżającym z Londynu w niedzielę, dwudziestego siódmego września. Do piątku Tercjusz nie przekazał mi żadnej informacji o Dugganie. Rano wstąpiłem do jego klubu w nadziei, że go tam zastanę. Miałem szczęście. Wyszedł z baru i wprowadził mnie do środka. Prawdę powiedziawszy, moje szczęście nie było aż tak wielkie; zdaniem portiera, nie obecność mojego kolegi o tej godzinie byłaby wielką niespodzianką.

- Pewnie chcesz spytać o tego sokoła z "Topicala"? - żartował Tercjusz, kiedy napełniono nam kieliszki. - Bóg jeden wie, dlaczego cię to interesuje.

- Niedawno spotkałem tego faceta. Chciałbym wiedzieć, czy to, co mi powiedział, jest prawdą.

- Czyżbyś się kręcił nocami w okolicy Clapham Common?

- Nie. Dlaczego o to pytasz?

- Wygląda na to, że ten George Duggan rzeczywiście był korespondentem zagranicznym w "Topicalu". Przed wojną. Był obiecującym młodzieńcem, ale nieoczekiwanie wypadł z łask. Policja przyłapała go na Clapham Common w niedwuznacznej sytuacji z jakimś marynarzem. Dostał wyrok, co oznaczało koniec kariery w "Topicalu". Od tego czasu nikt na Fleet Street o nim nie słyszał.

- Rozumiem.

- A ja nie. Chcesz mi coś wyznać? Coś, o czym nie powiedzieli mi w Winchesterze?

- Nie - uśmiechnąłem się nieszczerze. - Dziękuję za informacje.

Po spotkaniu z Tercjuszem poszedłem pieszo nad rzekę i ruszyłem w kierunku Mostu Waterloo. Ciemności opadały szybko z pochmurnego nieba i Tamiza coraz bardziej przypominała granatową przepaść. Stałem przy Cleopatra's Needle i wpatrywałem się w martwe lustro wody, przypominając sobie, dlaczego zdrowy rozsądek i dbałość o własne dobro kazały mi zgodzić się na wyjazd do Wenecji. Moje obawy były niejasne i niekonkretne. Najlepiej byłoby zignorować insynuacje Duggana. Były równie wiarygodne, jak jego reputacja. Jeśli zaś chodzi o Maksa...

Obróciłem się, przeświadczony, że ktoś mnie obserwuje, ale nikogo nie zauważyłem. Chodnik był pusty. Gdyby jednak ktoś ukrył się wśród drzew po drugiej stronie ulicy, w panujących ciemnościach nie mógłbym go zauważyć. Po drugiej stronie parku wznosił się, widoczny na tle ciemnego nieba, Adelphi Terrace, pod którym dwa tygodnie temu bezskutecznie szukałem Maksa. Czy rzeczywiście widziałem go na Strandzie? Czy to jego spojrzenie poczułem przed chwilą na plecach? Niemożliwe. Nie mógł przecież ukrywać się tak blisko. Skoro policja go dotąd nie złapała, to znaczy, że ukrył się skutecznie i z dala ode mnie. Mimo to nadal pozostawał cień podejrzania, nieprzyjemna wątpliwość, której nie dawało się rozwiązać. Może moja ucieczka jest najwłaściwszym rozwiązaniem? Może w Wenecji uda mi się pozbyć wyrzutów sumienia, jeśli tak można nazwać to, co wlecze się za mną krok w krok po Londynie.

- To twoja wina, Maks - mruknąłem, stawiając kołnierz i kierując kroki ku Westminsterowi. - Nie moja.

- Villa Primavera.

- Ach. Buon giorno. Czy mogę rozmawiać z panną Dianą Charnwood?

- La Signorina Charnwood? Chi parla?

- Ee... Nazywam się Guy Horton.

- Signor Horton. Un attimo, per favore. Minęło kilka minut, zanim usłyszałem w słuchawce głos Diany.

-Halo? Guy?

- Tak, to ja.

- Bardzo dobrze cię słyszać. Trudno uwierzyć, że jesteś w Anglii.

- Bo też jestem tutaj, w Wenecji.

- W Wenecji? To cudownie. Nie miałam pojęcia...

-Zdecydowałem się skorzystać z twojego zaproszenia. Mam nadzieję, że nadal jest aktualne.

- Oczywiście. Gdzie jesteś?

- W Danieli. Przyjechałem wczoraj.
- W takim razie wymelduj się stamtąd. Musisz zamieszkać z nami.
- Nie ma takie j...
- Nalegam. Nieładnie jest odmawiać damie, więc...
- Zgoda, przyjmuję.
- Przyjeżdżaj jak najszybciej. Albo ja po ciebie przyjadę. Spotkajmy się w Quadri, na Piazza, za godzinę. Może być?
- Jak najbardziej. Do zobaczenia.

Odłożyłem słuchawkę i uśmiechnąłem się zadowolony, że poszło mi tak gładko. Odniosłem wrażenie, że bardzo się ucieszyła słysząc mój głos. Teraz, kiedy nasze spotkanie było tak blisko, uświadomiłem sobie, że i ja bardzo pragnę znów ją zobaczyć. Podeszedłem do okna i otworzyłem je, wpuszczając do środka ciepłe, słone powietrze. W dole, na Riva degli Schiavoni, między budkami z gazetami i kramami sprzedającymi dzieła sztuki spacerowali weneccjanie, mrużąc oczy we wrześnie słońcu. Gondole kołysały się na cumach. Vaporetto, sapiąc, oddaliło się od pomostu i popłynęło przez połyskliwą lagunę ku Lido i ku Dianie. Piękna Wenecja czekała, żeby nas zaczarować. Byłem z tego zadowolony. Kiedy wreszcie znalazłem się tutaj, daleko od Anglii, od burzliwej przeszłości i niepokojącej teraźniejszości, poczułem się wolny od niepokoju i zmartwień, które dręczyły mnie ostatnio. Wiedziałem, że nadal istnieją. Przez chwilę jednak mogłem udawać, że ich nie ma.

Iluzja trwała jeszcze godzinę później, kiedy siedziałem w słońcu przy stoliku przed kawiarnią Quadri, przyglądając się gołębiom i przechodniom nieustannie przesuwanym się po Piazza San Marco. Wyciągnąłem nogi i zapaliłem papierosa. Zastanawiałem się, dlaczego kawa i tytoń smakują tutaj o wiele lepiej niż w Londynie i dlaczego czuję się tak cudownie nieodpowiedzialny. Kościoły, dzwonnice i inne cuda architektoniczne zwykle nie budzą we mnie żadnych emocji, a jednak subtelna wenecka radość wśliznęła się chyłkiem do mojej duszy, kiedy poprzedniego dnia wysiadłem na stacji i przyglądałem się urodzie Grand Canal.

Bywałem w Wenecji już wcześniej. Zawsze podążaliśmy z Maksem tam, gdzie zbierali się leniuchujący bogacze. Ale z tym miejscem nie wiązały się żadne wspomnienia złych uczynków. W otoczeniu śladów z przeszłości miasta moje wspomnienia i sumienie usuwały się w cień.

-Guy!

Sądziłem, że Diana nadejdzie od Piazzetta i ustawiłem krzesło tak, żeby patrzeć w tę stronę. Drgnąłem, słysząc jej głos tak blisko mojego ucha, że gdyby się schyliła, mogłaby w nie szeptać. Odwróciłem się i zobaczyłem ją, uśmiechniętą, rozbawioną moim zmieszaniem. Uśmiech, słońce, blad różowa sukienka i duży kremowy kapelusz - wszystko to stanowiło piękne tło dla jej urody.

- Nie zawsze chadzam prostymi drogami - powiedziała ze śmiechem. - Niech to będzie dla ciebie ostrzeżeniem.

Śmiejąc się razem z nią, podniosłem się, żeby ją pocałować na przywitanie.

- Nie mam o to pretensji. Sam też sprawiłem ci niespodziankę.

- Chodzi o twój telefon? - spytała, siadając obok mnie. - Rzeczywiście, byłam zaskoczona, ale i ucieszona. - Rozejrzała się po Piazza. Ja przyłapałem się na tym, że obserwuję grę światła i cienia na jej karku. - Nie sądziłem, że przyjedziesz. Myślałam, że uznasz to za... sama nie wiem... niestosowne. -

Znów spojrzała na mnie jasnymi, nieprzeniknionymi, niepokojąco spostrzegawczymi oczyma. - Cieszę się, że się namyśliłeś.

- Wystarczyło kilka zimnych dni w Londynie, żeby mnie przekonać. Napisałbym, ale... obawiałem się, że możesz zmienić zdanie.

- Głuptas.

- My, mężczyźni, często bywamy głupcami.

Obok stolika stanął kelner. Diana zamówiła czekoladę, a ja następną kawę. Kiedy odszedł, podałem jej ogień i po chwili powiedziałem:

- Szczerze mówiąc, nie tylko pogoda wprawiała mnie w ponury nastrój.

-Maks? Kiwnąłem głową.

-I to wszystko, co zniszczył: naszą przyjaźń, twoją rodzinę, życie ludzkie. Spuściła wzrok.

- Złamał mi serce, ale nie chcę pozwolić, żeby wskutek tego stwardniało na kamień. Ciocia Vita jest kochana, ale czułam się bardzo... - Uniosła głowę. - Nie mogę dłużej tkwić w żałobie. Papa by tego nie chciał. Nie przyjeżdżałam tu po to, żeby zapomnieć, ale żeby zostawić to wszystko za sobą.

-Ja chyba też.

- To dobrze. - Na jej usta wrócił olśniewający uśmiech. - Dopóki nie usłyszałam twojego głosu w telefonie, miałam wrażenie, że mi się nie uda.

-A teraz?

- Sądzę, że może się udać.

Nie od razu wyruszyliśmy na Lido. Diana zaproponowała spacer alejami i placami do Rialto. Przystałem na to z ochotą. Po drodze pozwoliła mi kupić sobie jedwabny szal, który ^spodobał się nam obojgu. Podziwialiśmy okolice z mostu Rialto, potem poszliśmy na obiad do pobliskiej restauracji. Rozmawialiśmy o Wenecji i weneccjanach, o Byronie i Casanovie, o podróżach i przyjazdach. Po obiedzie popłynęliśmy gondolą Wielkim Kanałem do Riva degli Schiavoni. Diana przyglądała się palazzi o pastelowych kolorach, a ja - udając, że robię to co ona - nie odrywałem od niej wzroku. W chwili, gdy przepływaliśmy pod mostem Accademia, uświadomiłem sobie zaskakującą prawdę. Przy równie pięknej pogodzie byłbym tak samo szczęśliwy i pobudzony zmysłowo, nawet gdybyśmy znajdowali się na barce na Manchester Ship Canal, jeśli tylko byłaby przy mnie Diana.

Herbatę wypiliśmy w Danieli. Kiedy wymeldowywałem się z hotelu, Diana zadzwoniła do willi i poprosiła, żeby przysłano po nas motorówkę. Wkrótce siedzieliśmy na rufie i płynęliśmy po spienionym śladzie na wodzie zostawionym przez jakiś statek, a Wenecja oddalała się coraz bardziej, pozostając na złocistym horyzoncie. Popołudniem w powietrzu czuło się delikatny chłód, zapowiadający piękny wieczór. Spoglądając na Dianę, z kapeluszem w ręce i włosami rozwiewanymi przez wiatr, wbrew sobie poczułem żal, że w willi czeka Vita, a nie samotność, którą moglibyśmy wy-korzystać według własnego uznania.

Vita czekała. Villa Primavera również. Łososiowa, porośnięta pnączami, otoczona bujnym ogrodem, przy jednym z kanałów przecinających Lido. Razem z willą wynajęto służbę. Zabrano mój bagaż i zaproszono mnie do dużego, bogato zdobionego salonu. Vita czuła się tuł jak u siebie, chociaż ubrana w tweedy stara panna z Anglii wyglądała w tym miejscu obco.

Diana zostawiła mnie i poszła się wykapać i przebrać. Na myśl o nudnej godzinie[^] w towarzystwie ciotki ogarnęło mnie zniechęcenie. Niepotrzebnie się martwiłem. Wenecja ją odmieniła. Odzyskała doskonały humor, który podczas podróży "Empress of Britain" nigdy jej nie zawodził.

- Bardzo się cieszę, że tu jesteś. Towarzystwo osoby w jej wieku jest Dianie bardzo potrzebne. Zostaniesz z nami jakiś czas, prawda?

- Nie jestem jeszcze pewien.

- Proszę cię, zrób, co będziesz mógł. Zabieraj Dianę w ciekawe miejsca, żeby uśmiech wrócił na jej usta. Nie pozwól się jej smucić.

- Postaram się.

- Udało mi się ją namówić na wyprawę do opery. Oddam ci swój bilet i pójdziecie razem.

- To bardzo miło z pani strony, ale...

- W operze śmiertelnie się nudzę, więc wyświadczysz mi przysługę. Robiłam to z myślą o tym, żeby rozerwać Dianę, a ty zrobisz to lepiej niż ja.

- W takim razie - powiedziałem z uśmiechem - zajmę się tym z przyjemnością.

- Wspaniale. Zanim Diana wróci... - poklepała poduszkę na sofie. Posłusznie usiadłem obok Vity i wysłuchałem tego, co szeptała. - Co mówili w Anglii o biednym Fabianie?

- Mniej niż się panie obawiały. Opinia publiczna szybko przeszła nad tą sprawą do porządku.

- Całe szczęście. A... pański przyjaciel?

- Jeszcze go nie znaleźli.

Vita głośno mlasnęła językiem.

- To straszne. Cóż, musimy czekać. - Jej piersi uniosły się niepokojąco, gdy wyprostowała ramiona, jakby się przygotowywała do walki z wrogim światem. - Oczekuję, że tak długo, jak będziesz z nami, nie pozwolisz nam się smucić. Sądziś, że potrafisz wypełnić to zadanie?

- Nie wiem, ale chcę spróbować.

W ciągu następnych czterech dni coraz bardziej ulegałem czarowi. Codziennie na błękitnym niebie świeciło słońce. W przestronnych pokojach utrzymanej w barokowym stylu Villi Primavera i wśród podzwrotnikowej zieleni ogrodu spokój był prawie namacalny. Wygody i ciepło usypiały moje zmysły, zostawiając tylko tyle przytomności, bym mógł cieszyć się towarzystwem Diany, jej zaufaniem, szczerością i bliskością. Wyprawa łódką na lagunę, gra w tenisa, obiad w jednym z luksusowych hoteli na Lido, popołudniowa kąpiel w morzu, prysznic, po powrocie do domu kolacja, po której Vita kładła się spać, a my z Dianą wychodziliśmy na werandę... Wszystko to wydaje się nieistotne i niepoważne, chociaż w rzeczywistości było wręcz przeciwnie. Zobaczyłem w niej to, co wcześniej musiał dojrzeć Maks. Ona zaś widziała we mnie wiele z tego, co pokochała w Maksie, zanim odrzucił jej miłość. W tych odległych echach można było dostrzec zapowiedź niebezpieczeństwa; oboje smakowaliśmy je potajemnie. Dlatego hamowaliśmy się, chociaż doszliśmy do momentu, w którym, w normalnych okolicznościach, wyznalibyśmy sobie uczucia i postępowali w zgodzie z nimi. Hamowaliśmy się, ale i tak posuwaliśmy się naprzód.

Jeśli idzie o mnie, zdradzona przyjaźń nie była jedyną rzeczą, którą musiało ignorować moje sumienie. Była jeszcze drobna kwestia misji, z którą zostałem przysłany do Wenecji. Maundy

Gregory i stojący za nim ludzie słono płacili za dni, które spędzałem w słońcu, i nie byliby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, jak niewiele wysiłku poświęcam ich sprawie. Prawdę mówiąc, nie robiłem nic, żeby poznać tajemnicę Charnwooda. Wmawiałem sobie, że to dlatego, iż nie ma żadnej tajemnicy, ale w rzeczywistości kierowały mną inne pobudki. Nie chciałem stracić uczucia Diany. Nie mogłem ryzykować, że zaczniesz patrzeć na mnie innym okiem. Chwilowo możliwość utracenia jej w zamian za udział w wielkiej fortunie nie wydawała mi się atrakcyjna, chociaż jeszcze niedawno byłoby inaczej.

Wieczór w operze był ukoronowaniem kilku dni spokoju. Diana włożyła suknię z niebieskiego aksamitu i wisiorek z topazem, który ostatni raz widziałem podczas przyjęcia na "Empress of Britain". Po południu, kiedy zrobiło się chłodniej, przepełniliśmy motorówką lagunę, wstąpiliśmy na koktajl do baru Harry, po czym popłynęliśmy gondolą po licznych kanałach do teatru Fenice. Wenecjanie przybyli gromadnie, odświętnie postrojeni, żeby napawać się melodyjną operą Rossiniego, napisaną na podstawie bajki o Kopciuszku. Normalnie pograżyłbym się w pełnej obojętności, ale zdobiące salę złocenia błyszcząły tajemniczo w świetle gazowych lamp, a obok mnie siedziała, zauroczona śpiewem, kobieta o wiele piękniejsza od wszystkich driad swawolących na ściennych malowidłach wokół nas.

Podczas przerwy wyszliśmy z szampanem na zewnątrz. Wieczorne powietrze rzeźwiło nie gorzej niż trunek, gdy stanęliśmy na jednym z mostów przerzuconych nad kanałem za teatrem. Odbijające się echem od wody odgłosy nocnego życia Wenecji przywodziły na myśl muzykę. Diana nuciła jedną z arii Kopciuszka. Nagle przerwała i spojrzała na mnie tak poważnie i badawczo, że uległem nagłemu impulsowi i pocałowałem ją namiętnie. Nie opierała się, tylko przyłgnęła do mnie, jakby tonęła. Kiedy się od siebie oderwaliśmy, spostrzegłem, że ma w oczach łzy.

- Co się stało?

-Nic, tylko... Czy mamy prawo do szczęścia? Po tym wszystkim?

- Moim zdaniem, szczęście jest obowiązkiem, a nie prawem. Smutek nigdy niczego nie rozwiązał.

-Nie, ale... Znów ją pocałowałem.

- Cieszymy się tym, co mamy.

- Mamy siebie - powiedziała tak, jakby nie miała odwagi w to uwierzyć.

- Otóż to - przytaknąłem.

Wieczór nie miał się jednak skończyć równie przyjemnie, jak się zaczął. Kolację zjedliśmy w restauracji niedaleko teatru; potem poszliśmy na Piazza San Marco na czekoladę u Floriana, gdzie grała orkiestra. Było już dobrze po północy, kiedy wezwaliśmy motorówkę i wróciliśmy do willi. Spodziewaliśmy się (ja nawet na to liczyłem), że Vita już się położyła. Nie dość, że była jeszcze na nogach, to miała gościa - pana Faradaya we własnej osobie. Zauważyłem, że Diana drgnęła na jego widok. Ja z trudem przybrałem miły wyraz twarzy. Uśmiech Faradaya był szeroki i obojętny, jak zwykle.

- Przypląnąłem dzisiaj rano wodnopławcem, en route do Asolo, gdzie sir Karol i lady Hick-Morton mają willę, niewiele ustępującą urokiem temu domowi. Obawiałem się, że Vita nie wybaczylaby mi, gdybym będąc w Wenecji nie wstąpił z wizytą...

- Chciał mnie namówić, żebym pojechała z nim do Asolo - powiedziała Vita ze śmiechem, w którym słychać było nutę hysterii - chociaż nie znam Hick-Mortonów.

- Sami to zaproponowali - wyjaśnił Faraday - kiedy wspomniałem im, że jest pani tutaj. Jestem pewien, że polubi ich pani.

- Mimo to...

- Proszę to przemyśleć. Wyjeżdżam dopiero w poniedziałek.

Była niedziela, a mimo to miałem wrażenie, że do wyjazdu Faradaya jest bardzo daleko. Ani przez chwilę nie uwierzyłem, że podał prawdziwy powód swojej wizyty. Byłem pewien, że przyjechał do Wenecji przekonać się, jakie zrobiłem postępy. Ponieważ nie zrobiłem żadnych, wolałem, żeby wyjechał stąd jak najszybciej.

Faraday zatrzymał się w Excelsiorze, nad brzegiem morza, niecały kilometr od willi. Kiedy się podniósł, żeby wyjść, zaproponowałem, że go odprowadzę. Wspomniałem, że mam ochotę na spacer, w rzeczywistości jednak chciałem z nim porozmawiać na osobności. Ledwie wyszliśmy z willi, spytałem go:

- Co pan tu, do diabła, robi?

- Chciałem panu pomóc. Pomyślałem... pomyśleliśmy, że pańskie zadanie stanie się łatwiejsze, jeśli Vita wyjedzie na kilka dni.

- Nie potrzebuję pomocy.

- Nie? Ma pan jakieś informacje?

- Jeszcze nie, ale...

- W takim razie z przykrością stwierdzam, że nie mogę się z panem zgodzić. Nie możemy czekać bez końca. Potrzebuję pan pomocy.

- Ale nie takiej. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że Vita nie da się złapać na tę przynętę? Kim są ci Hick-Mortonowie? Następnymi wierzycielami?

- Nie musi się pan martwić ich sytuacją finansową. Oni odegrają swoją rolę, a pan powinien odegrać swoją.

- Staram się.

- To dobrze. Proponuję, żeby użył pan swojego mózgu... i czego innego, co może okazać się użyteczne, żeby pod nieobecność ciotki uspić czujność Diany.

- Ciotka nie wyjedzie.

- Nie? Wystarczy zaczekać; wkrótce zobaczymy, co zrobi.

Zostawiłem Faradaya przed podświetlonym wodnymi refleksami hotelem i wróciłem do willi, rozmyślając o tym, jak byłem głupi, łudząc się, że mogę ignorować życzenia swoich pracodawców. Nadszedł czas, by zadziałać z bezwzględnością, z której byłem znany. Nigdy jeszcze nie robiłem tego z większą niechęcią.

Wszedłem do ogrodu bocznym wejściem udając, że chcę jeszcze wypalić pod drzewkami brzoskwiniowymi papierosa. Rozważając i odrzucając kolejne plany strategiczne, zobaczyłem w jednym z okien salonu Dianę. Usłyszałem jej niespokojny głos. Mówiła coś do Vity. Zdusiłem papierosa o pień drzewa i zakradłem się bliżej okna.

- Przynajmniej opera ci się podobała, kochanie - powiedziała Vita.

Diana zaśmiała się.

- Tak, bardzo.

- A Guyowi?

- Chyba też. Prawdę mówiąc, jestem pewna, że tak. - Po krótkiej przerwie powiedziała: - Wiesz, Rossini wybrał dziwny

podtytuł dla "La Cenerentoli": La bond... in trionfo. Triumf dobra. Czy to nie ironia, że wychwalam muzykę poświęconą takiemu tematowi?

- Czemu nie?

Diana znów się zaśmiała, tym razem z odrobiną goryczy.

- Sama wiesz, jak wiele jest powodów. Obawiam się, że pan Faraday też wie.

- Niczego nie jest pewien.

- Miejmy nadzieję, że tak już zostanie. Dlatego uważam, że powinnaś przyjąć zaproszenie do Asolo. Vita ciężko westchnęła.

- Czy muszę? Ten człowiek nie przestaje mnie wypytywać. Dzisiaj miał czelność pytać, czy byłam w Trieście.

- Co powiedziałaś?

- Że byłam. Razem z tobą. Miałyśmy taki kaprys.

- To dobrze. Jest tak, jak sądziłyśmy.

- Bez wątpienia.

- Cieszę się, że nie traciłyśmy sił na próżno.

- Na pewno nie. Dlaczego uważasz, że powinnam pojechać do Asolo?

- Żeby nie przestali się zastanawiać. Niech snują fałszywe domysły.

Vita westchnęła z głębi serca.

- Dobrze. - W sofie jęknęła sprężyna. - Pójdę już do łóżka.

- - Ja zaczekam na Guya.

- Dobranoc, kochanie.

- Dobranoc, ciociu.

Zapadła cisza. Wiedziałem, że powinienem się wycofać, ale zostałem przy oknie jeszcze chwilę i w nagrodę zobaczyłem Dianę, wyglądającą na ogród. Oczy miała zamknięte; głęboko oddychała, ciesząc się chłodem i zapachami nocy. Patrzyłem na ciemne włosy, odgarnięte z twarzy, na jasne piersi, tylko częściowo zasłonięte przez głęboko wyciętą suknię, na połyskujący nad nimi wisiołek z topazem i z nagłym skurczem serca uświadomiłem sobie, że fałsz, do którego - jak się przed chwilą dowiedziałem - jest zdolna, czyni ją tym bardziej pociągającą.

Do tej pory sądziłem, że obie z Vitą najpewniej są niewinne, a Faraday i jemu podobni źle je oceniają, rozpaczliwie pragnąc uratować coś po upadku Charnwood Investments. Okazało się jednak, że to ja źle je oceniałem. O pobycie w Trieście mówiły tak, jakby był to celowy manewr, stanowiący element bardziej skomplikowanych planów. Najwyraźniej coś ukrywały.

To czyniło moje zadanie łatwiejszym. Zdobyłem nad nimi przewagę i nie zamierzałem z niej rezygnować. Zresztą, czy Diana namawiała Vitę na wizytę w Asolo tylko po to, żeby zwieść Faradaya? Czy też raczej miała inny powód, by zostać ze mną sam na sam? Ta ostatnia myśl dręczyła mnie jeszcze, kiedy Diana odwróciła się od okna, a ja zacząłem wycofywać się z ogrodu.

Nazajutrz Faraday przyszedł na obiad i powiedział, że jest bardzo zadowolony, iż Vita nabrała ochoty na wycieczkę do Asolo. Nie mógł nade mną triumfować, dopóki panie nie zostawiły nas samych w ogrodzie z kawą i cygarami, na wiklinowych krzesłach, w pełnej słońca altanie porośniętej dzikim winem. Kiedy wreszcie poczuł się swobodnie, trudno mu było nie wytknąć, że odniósł pyrrusowe zwycięstwo.

- Człowieku małej wiary - powiedział, uśmiechając się zgryźliwie. - Zdaje się, że moja interwencja okazała się bardziej skuteczna niż pan sądził.

- Rzeczywiście.
- Mam nadzieję, że uda mi się namówić Vi tę na przedłużenie pobytu. Wyraziła zgodę zaledwie na dwa dni.
- To dobrze.
- Oczyszcilem pole, żeby mógł pan poczynić tutaj postępy. Jeśli już o tym mowa - pochylił się ku mnie i ściszył głos -to powinienem panu powiedzieć o pewnych faktach dotyczących naszych czarujących gospodyń; dowiedziałem się o nich niedawno. Panie wyjechały z Anglii w czwartek, siedemnastego września, ale tutaj dotarły dopiero w sobotę, dziewiętnastego.
- I co z tego?
- Musiały się gdzieś zatrzymać. Prawdopodobnie w Szwajcarii. Tamtejsze banki słyną z dyskrecji. Mógłby pan się dowiedzieć, gdzie dokładnie się zatrzymały. I dlaczego kilka dni po przybyciu tutaj wyjechały do Triestu. Teraz miasto należy do Włoch, ale przed wojną było w imperium Austro-Węgierskim. Powiązania Charnwooda z Wiedniem, zarówno polityczne jak i handlowe, były liczne i długotrwałe. Możliwe, że polecono mu Triest jako bezpieczne miejsce, nadające się do ukrycia pieniędzy.
- Być może.
- Nie można jednak wykluczyć, że podróż do Triestu miała tylko odciągnąć naszą uwagę od Szwajcarii. Nie wolno nam posądzać pań o brak sprytu.
- Nie zamierzałem popełniać tego błędu. Faraday spoważniał. - Ostrzegani pana, Horton. Nie powinien im pan za bardzo ufać. Nielatwo będzie wydobyć prawdę od córki tak zręcznego oszusta.
- Nie - powiedziałem, starając się przybrać stosowny wyraz twarzy. - Myślę jednak, że znajdę na to sposób.
- Nazajutrz rano Diana odprowadziła Vitę na stację. Faraday czekał na nie z nedorzecznie wielkim bukietem kwiatów w ręce i z gotowymi zapewnieniami: samochód Hick-Mortonów będzie czekał w Bossano; droga do Asolo jest krótka, a widoki piękne; willa jest położona w uroczym miejscu, na wzgórzach; gospodarze przyjmą ich serdecznie i Vita poczuje się tam jak u siebie w domu. Nie wyglądała na przekonaną, ale to wkrótce przestało się liczyć. Pociąg uniósł ich w dal, a my z Dianą zostaliśmy na peronie, sami.
- Zabierz mnie do Accademii - powiedziała rozmarzonym głosem, patrząc na kłęby dymu unoszące się nad odjeżdżającym pociągiem. - Chcę ci pokazać pewien obraz.
- Popłynęliśmy gondolą przez Rio Nuovo. Nie pytałem, jaki obraz ma na myśli, wyjątkowo też nie chciało mi się ziewać na myśl o galerii. Przechadzając się z Dianą wśród znękanich obrazów sprzed kilkuset lat, tym wyraźniej uświadamiałem sobie wyższość ciała i krwi. W końcu podeszliśmy do dzieła, które chciała mi pokazać. Był to portret młodzieńca, pędzla Lotta. Bładolicy młody mężczyzna z epoki Renesansu bezmyślnie przerzucał karty książki; na stole obok niego leżał porzucony list, kilka pąków róży i błękitna wstążka, po której skradała się jaszczurka. W tle widać było mandolinę, róg i kasetkę z kluczykiem uwiązany na sznurku i odłożonym na wieczko.
- Rozumiesz te symbole?
- Nie jestem pewien.
- Chłopak lubi muzykę i polowanie, naukę i ryzyko. Ale ma swoje tajemnice, w pudełku i w listach; one psują przyjemność. Niektóre rzeczy wiedznią, jak różane paki. Inne

trwają, jak salamandra. Które? Młodzieniec nie zna odpowiedzi. Można to wyczytać w jego oczach. My, żyjący czterysta lat po nim, nie jesteśmy mądrzejsi.

- Wiemy przecież, w co wierzymy. - Odwróciła się powoli, czekając na moje credo, żeby ocenić, czy jest podobne do jej. - Przyjemności warto są ryzyka. Czym bez nich byłoby życie?

Nie odpowiedziała, tylko przyglądała mi się przez chwilę z powagą. Potem odwróciła się i odeszła. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na zadumanego młodzieńca Lotta i poszedłem za nią.

Obiad zjedliśmy w trattorii na Zattere. Uśmiechaliśmy się często, ale mówiliśmy niewiele. Piliśmy szampana i pozwalaliśmy słońcu znad Guidecca Canal rozgrzewać nasze ciała. Potem poszliśmy na Cypel Domu Celnego. Diana często wysuwała się do przodu, jakby chciała dać mi okazję do przyglądania się, jak wiatr przykleja liliową sukienkę do jej ciała. Milczeliśmy. Upalne popołudnie coraz bardziej przypominało płonący piec niespełnienia. Jeszcze mogliśmy zawrócić, ale oboje wiedzieliśmy, że tego nie zrobimy.

Na cyplu przyglądaliśmy się dzwonnicy i pałacowi dożów po drugiej stronie Grand Canal. Tłumy chodziły po molo tam i z powrotem, ale po naszej stronie było pusto.

- Wracamy do willi? - spytałem widząc, że Diana spogląda ku Lido.

- Tak - odparła, nie patrząc na mnie. - Chyba już czas.

- Możemy znaleźć jakiś bar i zadzwonić po motorówkę. Niestety, dałem Giacomowi wolny dzień. Biance i Carlocie też. - Spojrzała na mnie. - W domu nie ma nikogo.

Wezwaliśmy wodną taksówkę i kilka minut później byliśmy już na Lido. Zeszliśmy na ląd na prywatnym pomoście i szliśmy przez ogród wśród milczącej zieleni. Diana przekreśliła klucz w drzwiach i weszliśmy na przygotowaną przez nią scenę. Na wpół opuszczone żaluzje wpuszczały długie smugi światła, rozjaśniając kolorowe dywany, lakierowaną drewnianą balustradę i wypolerowany mosiądz uchwyty na schodach.

Kiedy weszliśmy do sypialni, Diana otworzyła porte-fene-tre i stała chwilę na balkonie, spoglądając na ogród. Potem odwróciła się i podeszła do mnie. Wziąłem ją w ramiona i pocałowaliśmy się pierwszy raz od dnia, gdy byliśmy w operze.

- Skończ z moją żalobą - szepnęła. - Nie mogę dłużej udawać chłodu.

Nagle wszystko stało się gorączkowym pożądaniem. Jedwab przesuwał się po białej skórze, palce dotykały i badały, usta muskały, nalegały. Leżeliśmy nadzy na łóżku. Chłodny len dotykał naszych ciał, wiatr wyduł zasłonki i słońce zalało nas złocistym strumieniem. Przez krótką chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, myśląc o potrzebach i słabościach, które ujawni to, co chcemy zrobić. - Nie przerywaj, Guy, proszę cię. Mój... Nie. Nie teraz.

- Jestem twoja. - Przycisnęła moją dłoń do swojej piersi i poczułem, jak jej brodawka twardnieje pod moimi palcami. - Cała twoja.

Była moja. Teraz, kiedy mogłem pieścić każdą wypukłość i fałdkę, wydała mi się jeszcze piękniejsza. To, co robiłem niezliczoną ilość razy - z prostytutkami w Salonikach, z przestraszonymi dziewczętami w Letchworth, z mizdrzącymi się gwiazdkami filmowymi w hotelach Los Angeles - zostało, skreślone i zapomniane w Villa Primavera. Posiadanie i zwycięstwo wymieszały się z przyjemnością, jaką dawaliśmy

sobie nawzajem. Milcząca świadomość, że to, co robimy, jest złe, że jest niewybaczalnym przekroczeniem granic, dodatkowo pomnażała rozkosz.

- Tak, tak - mruknęła, kiedy wszedłem w nią i poczułem, że spleta nogi na moich plecach. - Jak dobrze!

- Lepiej - wydyszałem. - Lepiej niż dobrze.

Rzeczywiście, było lepiej, niż na to zasługiwaliśmy. Nie powinniśmy na to pozwolić. Nie zwracaliśmy uwagi na skrzypiące pod nami łóżko. Pot spływał nam po włosach. Kołysząc się i jęcząc, ugniataliśmy świeżą pościel. Jej słowa w moim uchu i jej język w moich ustach przeprowadziły mnie przez granicę, za którą marzenia stają się ciałem, a zdrada - siebie i innych, tajemnych życzeń i gwałtownych pożądań - zlewa się z szaloną kulminacją.

- Tak! - zawołałem, jakbym odniósł zwycięstwo. - Dla ciebie - na przekór prawdzie.

Powoli zaczynaliśmy wracać na ziemię. Minał gwałtowny spazm, ciała zaczęły stygnąć. Odsunęliśmy się, patrząc na siebie oczyma pełnymi niewiary w to, co się przed chwilą wydarzyło.

.-Nigdy... nigdy nie sądziłam...

- Ja również... Ale teraz... rozumiem...

- Tak musiało być.

Położyła mi głowę na ramieniu. Objąłem ją. Gładkość jej skóry zapadała mi w pamięć jak coś zdobytego; coś, czego nigdy nie oddam. Ułożyła kolano między moimi nogami. Połyskujący w słońcu kurz opadał powoli na jej biodro i udo. Przykryłem nas, zamknąłem oczy i zacząłem przypominać sobie wszystkie doznania, od kiedy weszliśmy do tego pokoju, każdy fragment i aspekt nagrody, którą zdobyłem.

Poruszyłem się, zbudzony z krótkiego snu, zdziwiony cieniem, który padał na łóżko, chociaż nie powinno go tu być. Spojrzałem na okno zastanawiając się, jak długo spałem, i zobaczyłem go: nieruchomą postać ubraną na czarno, przyglądającą się nam ze środka pokoju. Mrugałem oczami, ale nie chciał zniknąć. Widywałem go często w snach, ale teraz nie śniłem.

-Maks?

Rzucił się na nas jak zwierzę. Złapał kołdrę i ściągnął jednym szarpnięciem. Diana obudziła się i odsunęła ode mnie. Krzyk zamarł jej w gardle, kiedy zobaczyła go z ustami wykrzywionymi wściekłością i oczami płonącymi

- Maks, na miłość boską...

Zadał mi cios, gdy próbowałem wstać. Trafił w brodę z taką siłą, że uderzyłem głową o mosiężny zagłówek.

- Nie! - wrzasnęła Diana.

- Dziwka! - krzyknął Maks, wyciągając mnie z łóżka i przyciskając do ściany. - Zajmę się tobą, jak tylko skończę z moim tak zwanym przyjacielem.

Oczy miał wytrzeszczone, twarz wykrzywioną, po skroniach płynęły mu strugi potu.

- Łajdaku! - ryknął i kopnął mnie kolanem w krocze. Z bólu zrobiło mi się niedobrze. Złapał mnie, zanim upadłem, i siłą wyprostował. - Zapłacisz mi za tę przyjemność, stary.

- Maks - powiedziałem niewyraźnie, bo trzymał mnie pod brodą. - Posłuchaj, proszę...

- To ty słuchaj! Myślałeś, że mnie oszukasz? Sądziłeś, że się nie domyśle, co zrobiłeś? Że nie będę cię śledził, żeby zdobyć dowody? Dowody na to, dlaczego pomogłeś im zrobić ze mnie mordercę?

Znów mnie kopnął. Przez chwilę z bólu nic nie widziałem. Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi na jego oskarżenia ani przeciwstawić się jego wściekłości.

- Więc dlatego to zrobiłeś, łajdaku!

- Zostaw go! - krzyknęła Diana. Obeszła łóżko i szarpała Maksa za ramię. - Na miłość boską, Maks, przestań!

- Przestanę - powiedział, puszczając mnie na moment, żeby cisnąć Dianę na łóżko. - Przestanę, jak już dostanie to, na co zasłużył.

Zacisnął dłonie na mojej szyi.

- Ile wiesz, Guy? Ile ci powiedziała? - Ścisnął mnie coraz mocniej. Zabrakło mi tchu. Zrozumiałem, że zabije mnie bez litości. - Zresztą, to nie ma znaczenia. Nieświadomość nie jest dla ciebie żadną wymówką. Nie powinieneś być mi tego robić. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Próbowałem rozluźnić uchwyt na moim gardle, ale bez skutku.

- Nie chodzi mi zresztą o tamte rzeczy. Zabiję cię za to. Skończę z tobą, a potem zajmę się...

Przerwał mu nieoczekiwany huk. Rozluźnił chwyt, otworzył usta; jego oczy patrzyły jak oczy ślepeca. Diana uderzyła go dzbankiem na wodę w głowę, nad lewym uchem. Teraz trzymała w ręce porcelanowy czerep, a skorupy dzbanka spadały na ziemię. Potem Maks zwałił się bokiem na łóżko i z hukiem osunął się na podłogę. W pierwszej chwili poczułem ulgę, ale zaraz ogarnął mnie strach. Często mu powtarzano - i mnie również - że uderzenie w lewą stronę czaszki może się dla niego okazać śmiertelne. Rana, jaką odniósł w Macedonii, spowodowała, że tę część czaszki miał cieniutką jak opłatek. Gdyby został uderzony w to miejsce...

- Maks? - Ukłąłem przy nim, nagle zapominając o wszystkim innym. Nie chciałem, żeby tak zginął. Nie chciałem, żeby przed śmiercią przeklinał mnie, swojego najlepszego, najstarszego i najbardziej niewiernego przyjaciela. - Nic ci nie jest? Maks, odezwij się.

Tylko białka oczu były widoczne. Jego powieki nawet nie drgnęły. Usta nie poruszyły się. Klepnałem go w policzek, ale nie reagował.

- Maks? - Przyłożyłem dwa palce do miękkiej skóry poniżej żuchwy. Szukałem pulsu, ale nie znalazłem.

- Co się stało? - spytała Diana, klękając przy mnie.

- Chyba... Obawiam się...

Szarpnąłem za jego koszulę. Guziki strzeliły na wszystkie strony. Przyłożyłem ucho do piersi, ale nic nie usłyszałem; nie unosiła się w oddechu.

- Mój Boże! On nie żyje.

- Niemożliwe. Nie... to niemożliwe...

- Uderzyłeś go tam, gdzie trafiła kula.

Nasze oczy spotkały się, pozbawione namiętności, której miejsce zajęło teraz przerażenie. Wszystko, co robiliśmy w tym pokoju, to zdyszane splatanie ciał, zostało zepsute i zdemaskowane przez nieruchomą postać leżącą obok.

-Kazali mu chronić tę stronę głowy, zawsze uważać... Lekarze mówili, że jest jak skorupka jajka. Łatwo ją zgnieść.

- Nie żyje?

W jej głosie słychać było niedowierzanie i pragnienie - dorównujące prawie mojemu - żeby to okazało się nieprawdą. Kiwnąłem głową i spojrzałem na Maksa. Twarz miał nieruchomą, prawie spokojną. Przypomniał mi się uśmiechnięty, z kieliszkiem w dłoni, gdy świętowaliśmy kolejny dochodowy zakład lub szwindel. Po policzkach

zaczęły mi płynąć łzy. Z trudem powstrzymywałem się, żeby nie szlochać. Dlaczego nie wstanie i nie poda mi z uśmiechem papierosa? "Nieży dowcip, co, stary? Nie masz do mnie żalu?" Dlaczego nie mogę cofnąć i odmienić ostatnich, szalonych chwil naszej przyjaźni?

Diana wstała i podeszła do drzwi. Były na wpół uchylone, tak jak zostawił je Maks. Pewnie szedł za nami i przez ogród dostał się do willi - myślałem. Pewnie zakradł się po schodach i słyszał nas; może nawet podszedł do drzwi i patrzył. Diana wzięła szlafrok z haczyka za drzwiami, otuliła się nim i zadrżała

- Zadzwoń na policję - usłyszałem swój głos.

-Guy...

- Idź i zadzwoń! - Mój wybuch zaskoczył ją. Wyczytałem tu w szeroko otwartych oczach. - Przepraszam. Zadzwoń, proszę. Teraz, zanim... - nie mogłem dokończyć tego zdania ani myśleć o tym, co nas czeka.

Diana wyszła. Drżącymi palcami zamknąłem Maksowi oczy i wyprostowałem się powoli, usiłując pozbierać myśli i zapanować nad emocjami. Łzy przestały płynąć, ale drżenie było o wiele gorsze. Obszedłem Maksa i oparłem się ciężko o mosiężny zagłówek łóżka. Ogarnęły mnie mdłości. Po chwili pozbierałem porzrzucone rzeczy i ubrałem się. Z dołu dochodził mnie głos Diany.

- La polizia? Per favore, venite subito alla Villa Pínmavera, Via Pusijua, Venezia Lido.

Nagle zrobiło mi się jej żal. Z pewnością czuła się winna, chociaż cała wina leżała po mojej stronie.

- E stato un incidente. Powiedziała, że to wypadek. Czy to prawda? Czy rzeczywiście był to zwykły wypadek?

- Qualcuno e morto.

Ktoś zmarł. Tak, ktoś... A razem z nim coś we mnie.

Przysiadłem na skraju łóżka i patrząc na ciało Maksa zastanawiałem się, co powiem, kiedy przyjedzie policja; jak wyjaśnię to, co się stało. Wszystko byłoby inaczej, gdybyśmy nie wsiedli na pokład "Empress of Britain", gdybym nie przyszedł Vicie z pomocą, gdyby Maks nie wymyślił tego głupiego zakładu. Wtedy przypomniałem sobie o naszym kontrakcie i o spisanych zobowiązaniach. Przeszukując ubranie Maksa znalazłem kopię z moim podpisem. Jedyna tajemnica, którą udało mi się zachować, zostanie ujawniona. Diana dowie się, jakim jestem draniem. Pamięć Maksa zostanie zbezczeszczona jeszcze i tym.

Nie miał na sobie marynarki, tylko koszulę i spodnie. Wsunąłem dłoń pod prawe biodro i poczułem wypukłość portfela. Odpiąłem guzik, wyjąłem portfel i otworzyłem go. Za grubym zwitkiem lirów zobaczyłem złożoną we czworo kartkę. Poznałem ją natychmiast. Wyciągnąłem ją, niezgrabnymi palcami przełożyłem do swojego portfela, potem wsunąłem portfel Maksa na powrót do kieszeni, ale nie mogłem zapiąć guzika. W końcu zrezygnowałem. Wyprostowałem się i dopiero teraz zauważyłem, że serce wali mi jak młotem i oddycham ciężko i szybko. Powoli jednak panika zaczynała mijać.

Znów spojrzałem na Maksa. Dziwne, że śmierć prawie go nie zmieniła, szczególnie w porównaniu z... W tym momencie przypomniałem sobie jego oskarżenia. "Sądziłeś, że się nie domyśle, dlaczego pomogłeś im zrobić ze mnie mordercę". Przecież on sam zrobił z siebie mordercę. Nie myślał chyba...

nie chciał powiedzieć... Ale powiedział. Był w błędzie, ale nie kłamał. Nie byłem winien, ale on również nie.

- Guy? - W drzwiach stała Diana, patrząc na mnie ze strachem.

- Zaraz przyjedzie policja.

- Dobrze. Ja...

- Co ci jest?

- On nie zabił twojego ojca.

-Jak to?

- Maks. Sama słyszałaś. Nie był mordercą.

- To musiał być on.

- Nie. To był... sprawiedliwy gniew. Nie czułaś tego?

-Uważał, że go zdradziliśmy... To, co robiliśmy... z nim

Zaczęła płakać. Przytuliłem ją, położyłem jej głowę na swoim ramieniu i słuchałem, jak szlocha.

- To było coś więcej - mruknąłem pod nosem. - On był niewinny. I kochał nas oboje. A my go zniszczyliśmy.

Szok wywołany śmiercią Maksa sprawił, że straciłem poczucie rzeczywistości. Pamiętam, że przykryłem jego ciało prześcieradłem i paliłem papierosa na balkonie, a ręce tak mi drżały, że popiół osypywał się na rękaw. Pamiętam, że patrzyłem na ogród, podczas gdy Diana się ubierała. Pamiętam, że szelest jedwabiu przesuwającego się po jej ciele przypominał syk węża. Pamiętam, jak stanęła obok mnie, zacisnęła dłonie na barierce tak, że kostki jej pobieleły, i szepnęła:

- Co im powiemy?

Pamiętam, że odpowiedziałem na jej pytanie, słysząc już dzwonek do drzwi:

- Prawdę. Całą prawdę.

Te wspomnienia są bardziej podobne do historycznych wydarzeń, w których nie miałem udziału, niż osobistych przeżyć. Moja dusza wróciła do dawnych czasów i innych miejsc: do pierwszego poranka w Winchesterze, kiedy patrzyliśmy z Maksem, jak mgła podnosi się z Itchen, podczas gdy prefekt wyczytywał nasze nazwiska, a rosa osiadła na trawie powoli przesiąkała nasze skarpetki; do zarekwirowanego domu w Salonikach, gdzie razem z czterema innymi chorymi na malarię snuliśmy ambitne plany na powojenne czasy; do Statuy Wolności, na którą patrzyliśmy z pokładu "Aquitanii", rozmawiając o Nowym Jorku, i kiedy Maks stwierdził: "W starciu z taką parą jak my, nie mają najmniejszej szansy".

Teraz nie tworzymy już pary. Straciłem przyjaciela, a z nim znaczną część swojej przeszłości. Trwała jeszcze uczepona moich myśli, jak urojona noga po amputacji, nawet gdy z willi wyniesiono na noszach skulone ciało. Maks nie opuszczał mnie, gdy ludzie w mundurach wchodzili i wychodzili, kiedy padły pierwsze pytania i odpowiedzi. Najdrobniejsze szczegóły jego śmierci dokładnie przesiewano i ważono.

Kilka minut po wejściu policji rozdzielono mnie z Dianą i zabrano nas do osobnych pokoi na przesłuchanie. Gdybyśmy wiedzieli, jak dużo czasu minie, zanim znów się zobaczymy, wymienilibyśmy może pożegnalne spojrzenie. Dopiero po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że celowo nie pozwalają nam na rozmowę, żebyśmy nie mogli niczego między sobą uzgodnić, jako że przedstawiony przez nas przebieg wypadków był tylko jednym z możliwych, rozpatrywanych przez policję.

Późnym popołudniem przewieziono nas oddzielnymi łodziami motorowymi do kwestury w Wenecji. Zmiana otoczenia pomogła mi ocknąć się z zamyślenia. Pokój, w którym mnie umieścili, miał tylko jedno małe, zakratowane okienko, wychodzące na hałaśliwy boczny kanał. Za całe umeblowanie służył chwiejny stolik do kart i dwa twarde krzesła. Jedyną dekoracją było wielkie zdjęcie Mussoliniego z dumną miną, wiszące na ścianie naprzeciw mnie, nad wychudzoną twarzą niestrudzonego śledczego, Varsiniego. Dla Diany był bardzo grzeczny, a nawet pełen szacunku, wobec mnie zachowywał ponury sceptycyzm, co było coraz bardziej męczące. Mówił bardzo dobrze po angielsku; powiedziałbym nawet, że nieprzyjemnie precyzyjnie. Swoje myśli wypowiadał jednak w rodzimym języku, komentując różne rzeczy na użytek kolegów w dialekcie, którego nawet nie starałem się zrozumieć. Upierał się, że z powodu bariery językowej musi wracać wiele razy do tych samych pytań, ale od początku wiedziałem, że ma ku temu inny powód.

- Zaczniemy jeszcze raz - mówił; dym z jego papierosa unosił się ku światłu jedynej żarówki. - Co pan i signorina Charnwood robiliście, kiedy signor Wingate wszedł do willi?

- Byliśmy w łóżku.

-Razem?

- Tak.

- Ale signorina Charnwood była dla signora Wingate'a... narzeczoną?

- Rzeczywiście, zamierzali się pobrać. Ale to było przed śmiercią jej ojca.

- Si, st. Signor Charnwood. Też został zabity uderzeniem w głowę.

-Tak, ale...

- Wiedział pan o delikatnym miejscu na czaszce pana Wingate'a?

- Tak.

- Ale signorina Charnwood nie wiedziała?

- Wiedziała, że był ranny podczas wojny, ale nie miała pojęcia, że z tego powodu ma osłabioną czaszkę.

- Nie powiedział jej pan o tym?

- Zdecydowanie nie.

- Ale nie może pan mieć pewności, czy signor Wingate jej o tym nie powiedział?

-Nie...

- W takim razie, mogła wiedzieć.

- Nie miała o tym pojęcia. Jestem tego pewien. Chciała tylko, żeby przestał mnie dusić.

- Dlaczego chciał pana udusić?

- Ponieważ... To chyba oczywiste!

- Si. Oczywiście. Ponieważ zastał was razem w łóżku. Uamico e la fidanzata.

- Mówiłem panu, że zaręczyny zostały zerwane.

- Ale nadal był pan jego przyjacielem.

- Oczywiście.

- Gdybym zastał swojego przyjaciela w łóżku z moją żoną... miałbym ochotę go udusić. I ją też.

- Ona nie była jego żoną, tylko narzeczoną. On chciał mnie zabić, a ona usiłowała go powstrzymać. Chciała odciągnąć go ode mnie, żeby miał czas nieco się uspokoić. Nie zamierzała go zabijać. To był wypadek.

- O tym zadecyduje sąd, signor Horton. Tymczasem mamy tylko śmierć i wiele pytań.

Rzeczywiście, miał ich wiele. Bardzo dużo. W końcu poproszono mnie, żebym został na noc w kwesterze. Z tonu prośby zrozumiałem, że zatrzymają mnie tam siłą, jeśli się nie zgodzę. Poinformowano mnie, że takie samo zaproszenie otrzymała signorina Charnwood i że je przyjęła. Policja w Asolo skontaktowała się z Vitą, która zapowiedziała, że przyjedzie nazajutrz rano. Do tego czasu - powiedział Varsini, wzruszając ramionami - nic się nie da zrobić.

Niewiele spałem w ciągu kilku godzin nocy, które pozostały po odprowadzeniu mnie do celi. Byłem jak silnik, którego nie można zatrzymać. Mój umysł pracował, zarzucając mnie z ciemności, w które się wpatrywałem, niezliczonymi wątpliwościami i oskarżeniami. Czy zeznania Diany były zgodne z moimi? Czy leży teraz bezsennie w swojej celi, płacząc i żałując Maksa? A może się cieszy? Może wiedziała, gdzie uderzyć, żeby zadać mu śmierć? Jeśli tak...

Jesteś niesprawiedliwy i niewdzięczny - napominał mnie co jakiś czas rozum. Uratowała cię od śmierci i nie miała zamiaru zabijać Maksa. W panice złapała dzbanek na wodę i uderzyła na osłep, nie celując. Śmierć Maksa - niezależnie od tego, co Varsini i niegodna część mojego umysłu mogła podejrzewać - była przypadkowa i Maks sam się do niej przyczynił.

A jednak... jednak... Co powiedział w ostatnich chwilach życia? "De wiesz, Guy? Ile ci powiedziała?" Gdybym tak mógł poprosić go o wyjaśnienie. Co powinienem wiedzieć? Co miała mi powiedzieć? "Nie chodzi mi zresztą o tamte rzeczy". O jakie rzeczy? Zdrada przyjaciela i narzeczonej to chyba wystarczająco wiele. O co jeszcze mogło mu chodzić?

Tylko o zabójstwo Charnwooda. Moje myśli wracały do tego wydarzenia jak pies do kości. Maks był niewinny. Teraz już wiedziałem. Ktoś inny zabił Charnwooda. Ale kto? I dlaczego? Odpowiedzieć na te pytania mógłby Duggan. Zaproponował mi to, ale nie chciałem go słuchać. Teraz go wysłucham. Już jest za późno, żeby ocalić Maksa, ale będę mógł oczyścić pamięć o nim. Kiedy wodniste światło weneckiego poranka rozciągnęło na ścianie celi cień zakratowanego okna, złożyłem sobie przysięgę: uhonoruję Maksa po jego śmierci, chociaż zhańbiłem go za życia. Wreszcie nauczę się, jak być prawdziwym przyjacielem.

Nawet najszersze przysięgi muszą ustąpić pierwszeństwa prawu. Minęło kilka godzin od świtu, zanim zaprowadzono mnie na górę, do biura Varsiniego. Pokój był duży, przestronny, z oknami wychodzącymi na Rio di San Lorenzo. Jediną rzeczą przypominającą pomieszczenie, w którym mnie wczoraj przesłuchiwał, był wielki portret H. Duce. Umebłowanie przypominało gabinet zamożnego lekarza. Ta zmiana otoczenia zdawała się korzystnie wpływać na Varsiniego, który na mój widok uśmiechnął się serdecznie.

- Buon giorno, signor Horton. Mam nadzieję, że... było panu wygodnie.

- Nie mam powodu do narzekań.

Dwie ubrane na szaro postaci podniosły się z krzesel. Był to niski, gruby jak beczka i łysy mężczyzna o niezdrowej cerze, z wąsikami przypominającymi Charliego Chaplina oraz Faraday, który spytał słodziutkim głósikiem:

- Jak się pan czuje, Horton?

- Dziękuję, bardzo dobrze.

Przez chwilę patrzył na mnie, wykrzywiając usta w zdziwieniu czy też zamyśleniu. Potem kiwnął głową, pokazując na swojego towarzysza.

- To jest signor Martelli, prawnik, którego Vita zatrudniła do obrony Diany. Z chęcią doradzi również i panu.

- Dziękuję; gdzie jest Diana?

- Została zwolniona. Vita zabrała ją do domu.

- Może pan odejść, panie Horton - powiedział Varsini. - Bardzo żałujemy, że musieliśmy pana zatrzymać na noc, ale w tych okolicznościach... - wzruszył ramionami. - Po wczorajszym przesłuchaniu dostałem telegram od policji z Surrey.

; Potwierdzono, że Maks Wingate był poszukiwany za wyjątkowo okrutne morderstwo. Otrzymałem też wyniki sekcji zwłok. Stwierdzono, że cios nie zabiłby go, gdyby nie wyjątkowa kruchość czaszki w tym miejscu. Mogę więc założyć, że zabójstwo było nieumyślne. Zawiadomię o tym sąd. Tam podczas rozprawy rozpatrzą rzecz z formalnego punktu widzenia. Spodziewam się jednak, że będą tego samego zdania co ja.

- Przypadkowa śmierć - mruknął Faraday, unosząc brew.

- Mi scusi - powiedział Martelli z lekkim ukłonem w moją stronę. - Powinienem chyba wyjaśnić, że w prawie włoskim nieumyślne spowodowanie śmierci nie jest tym samym, co w rozumieniu prawa angielskiego...

- To prawie to samo.

- Si, prawie.

- Kiedy odbędzie się rozprawa?

- Daty jeszcze nie ustalono - powiedział Varsini. - Powiadomimy pana.

- Chodzi o to... że muszę wyjechać z Wenecji. Jak najszybciej. Faraday zmrugał oczy, ale nic nie powiedział. Nie musiał.

- To niemożliwe - zaproponował Varsini. - Nie sądzę, żeby postawiono państwa przed sądem, ale pan i signorina Charnwood musicie pozostać w Wenecji do wyjaśnienia sprawy. Proszę o pański paszport.

Wyciągnął rękę. Nagle zniknęła cała uprzejmość. Nie wyjadę z Wenecji, dopóki nie otrzymam od niego pozwolenia. Odniosłem wrażenie, że jeśli będę się sprzeciwiał, to nie opuszczę nawet kwestury. Wyjąłem paszport z kieszeni i położyłem mu na dłoni.

- Grazie - powiedział i uśmiech wrócił na jego twarz. - Będzie pan mieszkał w Villa Primavera?

- Nie - odparłem, unikając wzroku Faradaya. - Znajdę sobie jakiś pensjonat.

- Muszę mieć pański adres, signor Horton. Inaczej...

- Dostarczę go panu jeszcze dzisiaj.

- Jeśli zechce pan o tym pamiętać... - pokiwał głową.

- Będę pamiętał.

- Va bene - wstał z krzesła i poprawił marynarkę. - Cóż signori, to wszystko. Nie będę panów dłużej zatrzymywał.

Martelli pożegnał się z nami na schodach kwestury, najpierw jednak, po krótkiej rozmowie po włosku, długo ścisnął Faradayowi rękę. Kiedy sobie poszedł, Faraday chwilę milczał, pukając się palcem w usta. Potem powiedział:

- Nie ma powodu sądzić, że nie zechcą pana gościć w willi.

- Zgadza się z panem.

- Dlaczego więc powiedział pan Varsiniemu...

- Ponieważ nie chcę tam mieszkać po tym wszystkim. Zatrzymał się, zmuszając mnie, bym stanął.

- Nie chce pan? Powinienem panu przypomnieć, Horton, że jest pan tutaj, by spełnić żądania swoich pracodawców, a nie dla zaspokojenia własnych kaprysów.

- A ja powinienem chyba przypomnieć, że wczoraj zginął mój przyjaciel.

- To rzeczywiście bardzo smutne, ale nie ma nic do rzeczy. Okoliczności śmierci Wingate'a pozwalają się domyślać, że udało się panu zdobyć przychylność Diany. Teraz dziewczyna będzie bardziej skłonna do szczerości, a ponieważ jest wrażliwa na pańskie wdzięki, proponowałbym...

- Niech pan tego nawet nie mówi! - warknąłem, łapiąc go za krawat; na jego twarzy odmalował się strach. - Niech pan milczy, jeśli zależy panu na własnej skórze. - Puściłem go; cofnął się szybko i poprawił wymiętoszony krawat. - Nie chcę dłużej brać w tym udziału. Rozumie pan? Nie będę szpiegował, śledził ani badał terenu ani dla pana, ani dla Gregory'ego.

Faraday chrząknął nerwowo.

- Pan jest zdenerwowany. To zrozumiałe. Kiedy tylko...

- To moja ostateczna decyzja.

- Z pewnością nie. - Na jego usta wrócił zwykły uśmiech i znów przemawiał do mnie z wyższością. - Proszę pomyśleć o pieniądzach, z których pan rezygnuje.

- Pieniądze mnie nie obchodzą.

- Ależ obchodzą. Udowadniał pan to przez całe swoje życie. Kiedy szok minie, przypomni pan sobie o tym. Zrozumie pan, ile traci, i przemyśli wszystko jeszcze raz.

-Nie.

- Niech mi pan wierzy, Horton, ja mam rację. Proszę przyjąć ode mnie jedną radę: niech pan nie zwleka z tym zbyt długo. Zechce mi pan teraz wybaczyć? Zdaje się, że idę w kierunku przeciwnym niż pan.

; Po tych słowach szybko odszedł. Ja zaś zapaliłem papierosa i spoglądałem za nim, dopóki nie zniknął za rogiem. Zastanawiałem się, czy miał rację, i modliłem się, żeby się Okazało, że nie musiałem długo szukać pensjonatu. La Casa di Pellica przycupnęła na cuchnącym końcu wąskiego mostu, w połowie drogi między kwesturą a San Marco. Potargowałem | się chwilę o jeden z najlepszych pokoi, poszedłem na Riva i Schiavoni i wsiadłem do pierwszego vaporetto, zdecydowany jak najszybciej wyprowadzić się z willi.

Vita przyjęła mnie w salonie. Z pozoru nic się nie zmieniło, ale wszystko wyglądało inaczej niż przed tygodniem. Miała poważną twarz, drżała, sprawiała wrażenie starszej, słabej i zmęczonej. Kolejna tragedia okazała się już zbyt ciężka do zniesienia.

- Diana odpoczywa. Jest bardzo zmęczona. Pan też, jak sędzę.

-Nie. Prawdę mówiąc... - słowa zamarły mi na ustach. Patrzyliśmy sobie w oczy, nie rozumiejąc się nawzajem. Chciałem ją przeprosić za to, że nadużyłem jej gościnności, ale wówczas musiałbym przypomnieć o tym, co się wydarzyło, a tego Vita nie chciała. - Przeprowadzam się do pensjonatu - powiedziałem nagle. - Biorąc pod uwagę okoliczności... Tak będzie chyba najlepiej.

- Nie musi pan tego robić. Nie będę udawała, że rozumiem moralność waszego pokolenia. Ja wyznaję inne wartości. Widzę jednak, że Dianie bardzo na panu zależy. W najbliższych tygodniach będzie potrzebowała przyjaciela jak nigdy dotąd.

-Będę przy niej. Ale... Trudno to wyjaśnić, czuję jednak, że ze względu na Maksę... Muszę się wyprowadzić.

- Maks nie żyje.

- Tak, ale nasza przyjaźń żyje. Proszę powiedzieć Dianie...

- Sam mi to powiedz, Guy.

Diana stała w drzwiach, czekając, aż spojrzę jej w oczy. Odwróciłem się ku niej. Była w białej sukience. Patrząc na mnie, składała dłonie jak do modlitwy. Twarz miała bladą, pod oczami sine cienie. Kiedy się odezwała, jej usta lekko drżały.

-Odchodzisz...

- Nie. To znaczy...

- Chwileczkę - powiedziała Vita. - Sądzę, że powinnam wyjść. Wstała i wyszła zdecydowanym krokiem. Zatrzymała się tylko na chwilę, żeby dotknąć niespokojną dłońią policzka Diany. Potem zamknęła za sobą drzwi.

W pokoju zapanowała cisza. Diana zrobiła kilka kroków w moją stronę, ale ja się nie poruszyłem.

- Przepraszam - mruknąłem i spuściłem głowę.

-Za co?

- Za wszystko.

- Dlaczego się wyprowadzasz?

- Ponieważ nie mogę zostać. Powinnaś to zrozumieć.

- Z powodu śmierci Maksy?

- Nie mogę o nim zapomnieć.

- Oczywiście, że nie. Ja również. Nie zapomnę też tego, co się wydarzyło, zanim Maks wdarł się do domu. To było ważne, istotne. Dla mnie. Policji, a może nawet cioci Vicie, wydało się to wstrętne i godne potępienia. Ale tak nie było, prawda?

-Nie

- Tak nie mogło być, prawda? Przecież między nami jest coś więcej, niż tylko... cielesne pożądanie.

- Masz na myśli miłość?

- Tak, miłość.

-Diano, ja...

Odwróciłem się do okna. Zanim zdążyłem coś powiedzieć, poczułem na łokciu jej dłoń. Dotyk jej palców przez rękaw marynarki przywiódł mi na pamięć jej nagie ciało na łóżku. Potem zobaczyłem twarz Maksy, wykrzywioną ze złości. I usłyszałem jego głos: "Sądziłeś, że nie będę cię śledził."

-Nie chciałam go zabić. Nawet policja mi uwierzyła.

- Wierzę ci.

- W takim razie, co jest nie w porządku?

- My. Ty i ja. To, co zrobiliśmy, ściągnęło na Maksę śmierć. Bez względu na to, co mówi prawo, jesteśmy winni.

- Chyba tak nie myślisz?

- Tak, Diano, właśnie tak myślę.

Zdjęła dłoń z mojego łokcia. Usłyszałem, że odeszła kilka kroków. Kiedy się odezwała, miałem wrażenie, że słowa dobiegają mnie z bardzo daleka, chociaż pokój nie był aż tak wielki.

- W takim razie powinieneś odejść. Nie zatrzymuję cię.

Przez resztę dnia, podobnie jak i większość następnego, na przemian: to spacerowałem, to piłem, usiłując o wszystkim zapomnieć. Uwieszony jak mucha w butelce, tęskniłem za światem zewnętrznym, żeby poznać prawdę i oczyścić Maksę. Ale nie mogłem stłuc butelki. Korek miał zostać wyjęty, kiedy wenecki sąd zezwoli mi na opuszczenie miasta. Nie mogłem uciec.

W środę po południu otrzymałem w Casa di Pellicani nieoczekiwaną wiadomość, że szukał mnie jakiś Anglik i że będzie na mnie czekał w Oliva Nera, nieprzyjemnym lokalu poleconym mu przez właścicielkę hotelu, siostrę właściciela spelunki. Zastanawiając się, kto to może być, poszedłem tam natychmiast, żeby z daleka rzucić okiem na swojego gościa. Siedział przy stoliku w ogródku, w płaszczu przeciwdeszczowym i meloniku, spoglądając podejrzliwie na piwo z pianką. Pasował do Wenecji tak, jak gondolier do stawu w londyńskim parku.

- Nadinspektor Hornby?

- Ach, to wreszcie pan, panie Horton. Proszę usiąść. Napije się pan piwa?

- Nie, dziękuję. Proszę o kawę. - Usiadłem i czekałem aż nadinspektor złoży zamówienie. Potem zapaliłem papierosa i poczęstowałem Hornby'ego. Skorzystał z okazji i zdusił włoskiego papierosa, którego palił kaszłąc. - Przykro mi, że mnie pan nie zastał. Gdybym wiedział o pańskim przyjeździe...

- Sam nic o tym nie wiedziałem, dopiero kiedy usłyszałem nowinę... - wyprostował ramiona. - Nie podróżowałem pierwszą klasą, więc proszę nie sądzić, że jestem zadowolony.

- Rozejrzał się po niewielkim placu i dodał: - Bardziej podoba mi się Bognor.

- Nie mógł pan zostawić tej sprawy w rękach miejscowej policji? Maks nie żyje. Myślę, że to powinno panu wystarczyć.

- Niezupełnie. Zagadką pozostaje, jak mu się udało opuścić Anglię.

- Nie mogę panu pomóc. Nic o tym nie mówił.

- A co panu powiedział? Nie wspomniał, gdzie przebywał od czasu popełnienia morderstwa?

-Nie.

- Albo dlaczego zabił Charnwooda?

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć, że Maks był niewinny, ale patrząc na Hornby'ego zrozumiałem, że na próżno traciłbym czas. Jeśli mam oczyścić pamięć Maksa, będę sobie musiał radzić bez pomocy detektywów w typie nadinspektora, który woli Bognor od Wenecji.

- Nic nie powiedział.

- Tylko oskarżył pana i pannę Charnwood o zdradę? Patrzyłem mu prosto w oczy, popijając kawę.

-Tylko tyle.

- To musiało mu leżeć na wątrobie. Przyjaciel i narzeczona... - powiedział to z taką samą intonacją jak Varsini. Pewnie chciał mnie rozzłościć, ale ja postanowiłem, że mu się to nie uda. - Pozwoli pan, że zapytam... Jak długo pan i panna Charnwood...?

- To nie pańska sprawa, nadinspektorze.

- Możliwe, ale jeszcze kilka tygodni temu miał pan być świadkiem na ich ślubie. Nie okazał się pan... lojalny.

-Nie.

- Jak pan to wytłumaczy jego rodzicom? Przyjadą tu jutro.

- Tak? - Nie myślałem o Wingate'ach ani o tym, co im powiem. Nagle dowiaduję się, że niedługo się spotkamy. Im nie będę mógł powiedzieć, że moja nielojalność wobec Maksa nie powinna ich obchodzić.

- Pewnie pan coś wymyśli. Pan to potrafi.

- Tak pan sądzi?

- Cóż, pan się śmieje ostatni. Na pogrzebie Charnwooda obiecałem, że postawię Wingate'a przed sądem i dopilnuję, żeby go powiesili za morderstwo. Myliłem się. Sprawa

zostanie zamknięta i nie będzie wyroku. Pańskiego przyjaciela pochowają w poświęconej ziemi. Wygląda na to, że wyświadczycie mu z panną Charnwood przysługę.

Hornby poinformował mnie, że Wingate'owie zarezerwowali sobie pokój w Danieli (nadinspektor wymówił tę nazwę z angielska) i przyjadą koło południa. Po szóstej stawilem się w recepcji, trzeźwy, elegancko ubrany i przygotowany, jak nigdy w życiu. Recepcjonista chyba mnie poznał, ale nie dał tego po sobie poznać. Zadzwoił do pokoju. Kiedy padło moje nazwisko, zapadła długa i znacząca cisza. Dopiero po dłuższej chwili otrzymał odpowiedź, że pan Wingate zejdzie na dół.

Patrzyłem na niego, gdy schodził po schodach. Sprawiał Wrażenie bardzo zmęczonego. Twarz miał pooraną zmarszczkami i ściągniętą. Nie uśmiechnął się, ale mechaniczne uściśnięcie dłoni było swego rodzaju gestem sympatii.

- Może przejdziemy do baru? - spytałem.

- Nie. Wolalbym wyjść na ulicę.

Wyszedłem za nim przez obrotowe drzwi na Riva degli [Schiavoni. Zachodzące słońce, przysłonięte chmurami, rozjaśniało różowym światłem lagunę i twarze przechodniów, ^udzielając wszystkim magicznego spokoju, którego żaden z nas nie chciał.

Ruszyliśmy powoli na wschód. Aubrey Wingate patrzył prosto przed siebie, z uniesioną brodą, jakby wypatrywał na horyzoncie czegoś lub kogoś. Kiedy dochodziliśmy do pierwszego mostu, powiedziałem:

- Bardzo mi przykro. - Nie odpowiedział, ani nawet na mnie nie spojrzał. - Dla pana i dla pańskiej żony to wielki... straszny wstrząs. Mogę powiedzieć tylko tyle, że... bardzo żałuję.

Po drugiej stronie mostu skręcił nad wodę. Zatrzymał się, oparł o słupek i przez chwilę pocierał dłonią czoło. Potem założył ręce i spojrzał na mnie.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Cecylia szaleje. Dla niej Maks pozostał małym dzidziusiem, którego teraz wyrwano z jej ramion. Ja nie mogę przestać myśleć o tym, co by było, gdyby go aresztowano, osądzono i skazano. Miesiące pełne strachu, wstyd i wszystkie inne przykrości - pokręcił głową. - Maks bardzo nas zawiódł, ale my nigdy nie zamknęliśmy mu drzwi przed nosem. Ten list... Chyba mu nie uwierzyłem. Musiałem jednak zrobić to, co zrobiłem. Na miłość boską, dlaczego musiałeś udowodnić, że on miał rację? Dlaczego go zdradziłeś? Gdyby policja to zrobiła, zrozumiałbym, a może nawet pochwalił. Ale ty z tą dziewczyną?

- Nie sędzę, żebym potrafił to wyjaśnić., a tym bardziej wytłumaczyć się z tego, co zrobiłem.

- Słyszałem, że jest piękna.

- Tak, jest piękna.

- Czy to dlatego? Nie było innego powodu? Westchnąłem.

- Chyba nie.

- Wojna was zepsuła. Staliście się chciwi i samolubni. Gdyby nie lata spędzone w Macedonii, wyroslibyście na porządnym młodzieńców. Nie mam co do tego wątpliwości. Stało się jednak inaczej...

- Przykro mi.

- Czy tej Charnwood też jest przykro?

- Tak.

- Ale to nie wystarczy, co? Jutro pochowają mojego syna. Tutaj, w obcej ziemi. Pochowają go i zapomną. Ale my będziemy pamiętali.

- Ja również.

Głośno wciągnął powietrze i w milczeniu przeżuwał jakąś myśl. Potem wyprostował się i spojrzał nad wodami laguny ku Lido.

- Nie chcę jej na pogrzebie. Cecylia by tego nie zniosła.

Wysłałem do niej list za pośrednictwem konsulatu, ale twojego adresu nie znali, więc...

- Chciał pan się ze mną skontaktować?

Kiwnął głową.

- W tej samej sprawie - odwrócił się, spojrzał mi prosto w oczy i zacisnął szczęki. - Pożegnamy naszego syna, mimo wszystkich jego błędów, na swój sposób. Nie chcemy, by towarzyszyli nam ci, którzy go zdradzili. Nie przychodź, Guy. Żadne z was.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Odmawia mi pan prawa uczestniczenia w pogrzebie Maksa?

- Niczego ci nie mogę odmówić. Mogę tylko prosić.

- Ależ... Maks był moim najlepszym przyjacielem.

- Tak twierdzisz. Jednak czy ty byłeś dla niego przyjacielem? - Zgrzytnął zębami. - Przepraszam. Chyba za dużo powiedziałem. Muszę wracać do hotelu. Wyjeżdżamy w sobotę. Nie widzę potrzeby, żebyśmy mieli się jeszcze spotykać.

- Rozumiem.

- W takim razie żegnam.

- Do widzenia.

Wyciągnąłem do niego rękę, ale albo tego nie zauważył, albo nie chciał jej przyjąć. Minał mnie i szybkim krokiem ruszył wrócił do Daniela. Nie patrzyłem za nim. Odwróciłem się ku ozłoczonemu słońcem horyzontowi. Zostałem okrutnie upokorzony za to, co zrobiłem. Nie będę mógł pójść na pogrzeb Maksa. Dobrze - szepnąłem do siebie i do nieobecnego przyjaciela. - Niech będzie. Nie pójdę na twój pogrzeb, ale na tym sprawa się nie kończy. Obiecuję ci, Maks. Nie wiedziałem, o której odbędzie się pogrzeb Maksa. Nie chciałem wiedzieć. Los zadbał jednak o to, żebym nie pozostawał nieświadomy. Wstałem późno, skacowany. Przedpołudnie było pogodne. Bardziej niż kiedykolwiek dokuczała mi myśl o gmatwaniu wąskich uliczek - bo teraz tylko tak myślałem o Wenecji. Niespokojny, wyszedłem z Casa di Pellicani i udałem się na Riva Schiavoni w nadziei, że przejażdżka motorówką mnie uspokoi.

Wystarczyło jednak, żebym wyszedł na Riva i spojrzał w stronę Daniela, żeby zrozumieć błąd. Z bocznego kanału, służącego hotelowi, wypływała czarna, żałobna łódź. Przez okienko widziałem ubranych na czarno Wingate'ów. Przyglądałem się jak zahipnotyzowany łodzi wpływającej powoli do kanału i kierującej się ku cmentarzowi na wyspie San Michele. Kiedy mnie mijala, myślałem o drugiej łodzi, wiozącej trumnę. Nie będę mógł podążyć w ślad za żadną z nich. Mogłem tylko patrzeć na lśniący, czarny dziób tnący wodę i modlić się w duchu za...

- Faraday - mruknąłem, kiedy przestonił mi oddalającą się łódź. Stał w odległości kilku metrów, cierpliwie czekając, aż go zauważę.

- Dzień dobry, Horton. Nie idzie pan na pogrzeb?

- Nie.

- Widocznie ostrzegli, że pana tam nie chcą. Tak samo jak biednej Diany...

- Zgadł pan.

Pokiwał głową.

- Tak myślałem. To znaczy, że nie jest pan teraz zajęty?

- Czego pan chce, Faraday?

- Informacji, którą obiecał pan zdobyć.

- Wycofałem swoją zgodę.

- Można by dyskutować, czy mógł pan to zrobić. Byłbym zadowolony, gdyby zechciał mi pan towarzyszyć w krótkiej wycieczce. Mam odwiedzić jacht zakotwiczony u brzegu Zattere. W San Marco czeka na mnie łódź. Mógłby pan pojechać? Ludzie, którzy na mnie czekają, chcieliby pana poznać.

-Kto to taki?

- Wpływowi obywatele..

- Tacy jak pan?

- Nie. Tych ludzi warto znać.

Instykt mnie ostrzegał, by mu nie ufać, ale nie chciałem być sam. Trudno sobie wyobrazić, żeby wszyscy znajomi Faradaya byli równie odrażający jak on.

- Dobrze - powiedziałem z wahaniem. - Czemu nie?

- Doskonale. Chodźmy więc. - Ruszył przodem, ja za nim. Przechodząc Ponte delia Paglia, powiedział: - Słyszał pan wiadomości z Anglii? Mają ogłosić wybory powszechne.

-Tak?

- Nie wydaje się pan zainteresowany.

- Bo też nie jestem.

-A powinien pan. Polityka jest sprawą życia i śmierci dla każdego z nas, nawet dla pana.

- Nie rozumiem.

- Nie? Chyba już czas, żeby pan zrozumiał – powiedział i zacisnął usta. - A może nie?

Doszliśmy do falochronów przy Gardinetti Reali. Cumowała tam tylko jedna, nieduża motorówka, w której czekał wysoki i muskularny mężczyzna. Kiwnął Faradayowi głową i pomógł nam wejść na pokład. Przy okazji posłał mi krótkie, niechętnie spojrzenie. Twarz miał surową, z dziobami po ospie, częściowo zasłoniętą zmierzwionymi siwoblond włosami. Nie spodobał mi się. Czuję, że ja jemu również nie.

Faraday nazywał go Klaus i rozmawiał z nim chyba po niemiecku. Odbiliśmy od brzegu, wypłynęliśmy na otwarte wody i minęliśmy Cypel Domu Celnego. Kiedy go okrążyliśmy i skierowaliśmy się ku Zattere, zobaczyłem elegancki trójmasztowy szkuner, zakotwiczony nieco dalej.

- To ten? - spytałem, przekrzykując ryk silnika.

- Tak! - odrzyknął Faraday. - "Quadratrice". Piękny, prawda?

Dopiero kiedy podpłynęliśmy całkiem blisko, zobaczyłem poniżej dziobu litery z połączanej miedzi: "Quadratrice". Dziwne słowo, brzmiące z francuska, mogło być jakimś terminem matematycznym albo nazwą mitycznego stworzenia; równaniem kwadratowym albo czterogłowym wężem. Zamierzałem spytać o znaczenie tego słowa, kiedy Faraday klepnął mnie po ramieniu.

- Kapitan na nas czeka. Zna go pan jako generała.

ośniewająco białym ubraniu Wisarić sprawiał wrażenie jeszcze potężniejszego. Uśmiechając się jak Zeus spoglądający z Olimpu, wyciągnął ku nam pomocną dłoń. Faraday wszedł pierwszy. Potem Klaus popchnął mnie, jakby chciał się upewnić, że nie ucieknę. Zacząłem mieć wątpliwości, czy mądrze postąpiłem, przyjmując to zaproszenie. Teraz mogłem już tylko robić dobrą minę do złej gry.

- Dzień dobry, generale - powiedziałem; gospodarz bardzo mocno ścisnął moją dłoń. - Słyszałem pańską mowę pożegnalną na pogrzebie Fabiana Charnwooda. Nie miałem okazji z panem rozmawiać...

- Teraz sobie porozmawiamy. - Klepnął mnie po ramieniu z taką siłą, że się zachwiałem. - Porozmawiamy w towarzystwie moich przyjaciół.

Przyjaciele czekali przy stole pod bezanem: Faraday i dwójka obcych. Jeden, którego w każdym innym towarzystwie z wyjątkiem Visaricia uznano by za wysokiego i potężnego, był przystojny, około pięćdziesiątki, ubrany w blezer i flanelowe spodnie. Obok niego stał prosty jak świeca starszy mężczyzna w kremowym garniturze i białym kepi. W tym nakryciu głowy, z bokobrodami, wyglądał na obywatela jakiegoś egzotycznego państwa. Za nimi, na rufie, opalała się długonoga brunetka w skąpym kostiumie kąpielowym. Leżała na ręczniku, na nosie miała wielkie okulary słoneczne i zdawała się na nic nie zwracać uwagi.

- To Horton, o którym wam tak wiele opowiadałem - powiedział Wisarić. - Najnowszy rekrut Noela.

Domyśliłem się, że Noel to Faraday, i z przerażeniem uświadomiłem sobie, że pierwszy raz słyszę jego imię. -Pierre, Karl, co myślicie?

Pierre, młodszy, był Francuzem. Jeśli chodzi o Karla, to doszedłem do wniosku, że z pochodzenia musi być Niemcem. Akcent, z jakim mówili, potwierdził moje domysły. Pierre przyglądał mi się chwilę, potem powiedział:

- Wygląda nieźle. Tylko czy potrafi działać?

- Wybrałem go właśnie ze względu na skuteczność działania - powiedział Faraday i uśmiechnął się do mnie. Visarić roześmiał się.

- Bardzo dobrze. Czy podoba się naszej pani?

- Przypuszczam, że tak - odparł Faraday.

- Nam potrzeba czegoś więcej, niż przypuszczenia - Pierre mówił bez uśmiechu. - Chcemy przecież poznać jej tajemnice.

- Przepraszam - przerwałem im, zmęczony niezrozumiałą wymianą zdań. - Obawiam się, że panowie nie...

- Horton się waha - powiedział Faraday przez zaciśnięte zęby.

- Doświadczył czegoś, czego dotąd nie znał: skrupułów.

- Jest pan bogaty? - spytał Pierre.

- Nie-

- W takim razie nie może pan sobie pozwolić na skrupuły. Są kosztowniejsze niż cnotliwa kobieta. I rzadsze. Visarić roześmiał się, ale nikt nie poszedł w jego ślady. Pierre wyglądał tak, jakby umiał się śmiać wyłącznie do lustra, a Karl, jakby pozbył się tej słabości pięćdziesiąt lat temu.

- Napije się pan, Horton? - spytał Wisarić, chwytając mnie za ramię. - Mamy tu różne trunki.

- Nie, dziękuję.

- Trzeźwość jest cnotą - zauważył Pierre.

- Niestety, Horton nie zawsze może się nią pochwalić - powiedział Faraday. - Pewnie jest zdenerwowany.

- Czym?

- Konsekwencjami nowo odkrytych skrupułów.

-Kiedy dostanie pan to, na czym nam zależy? - spytał Karl. Pierwszy raz odezwał się do mnie.

- Właśnie zamierzałem powiedzieć...

- Nie możemy czekać dłużej, niż do końca miesiąca.

- Niestety, to prawda - powiedział Faraday. - Przed końcem miesiąca musimy wiedzieć coś konkretnego.

- Nie mogę panom w tym pomóc.

- Szkoda - powiedział Pierre. - Dla niej byłoby lepiej, gdybyś ty to zrobił.

- Im szybciej, tym lepiej - warknął mi do ucha Wisarić. - Ze względu na dziewczynę.

- Jak to?

- Ach! - odezwał się Pierre. - Wreszcie okazał pan cię zainteresowania. Zależy panu na niej, Horton?

- Jeśli miał pan na myśli Dianę Charnwood - odparłem, nie spuszczać wzroku z Faradaya - to tak, zależy mi na niej. Nie sądzę, żeby Diana coś ukrywała.

- To za mało - powiedział Wisarić.

- Będzie musiało panom wystarczyć, ponieważ wkrótce wyjeżdżam z Wenecji i...

- Nie tak prędko - przerwał mi Faraday. - Dzisiaj rano rozmawiałem z Martellim. Powiedział, że rozprawa ma się odbyć dwudziestego szóstego.

- Dwudziestego szóstego? Dopiero za dwa tygodnie?

- Owszem. W ciągu tych dwóch tygodni może pan wyciągnąć od Diany Charnwood prawdę. I tak nie ma pan nic lepszego do roboty.

- Już panu powiedziałem...

- Niech pan nic nie mówi - przerwał mi Visarić - dopóki nie będzie pan mógł powiedzieć nam tego, co chcemy usłyszeć.

- Przypadkiem dowiedziałem się, że Diana zamierza odwiedzić dzisiaj po południu Isola di San Michele - powiedział Faraday.

- To stwarza doskonałą okazję do pojednania. Wystarczy kilka zręcznych słówek, żeby wrócił pan do Villa Primavera.

- Nie wrócę tam.

- Pomyśl o dziewczynie, Horton - wtrącił Visarić. Przeszedł obok nas, oparł się o reling na rufie i nie spuszczać ze mnie wzroku, położył dłoń na kształnym zadku brunetki. Dziewczyna odwróciła głowę i mruknęła jak kotka, gdy zaczął gładzić delikatną skórę między udem a pośladkiem. - Myśl o niej i ciesz się nią. Odkryj jej umysł, nie tylko ciało.

- Do końca miesiąca musimy dowiedzieć się prawdy - powiedział Karl.

- Co będzie, jeśli się nie dowiecie?

- Użyjemy innych metod - odparł Visarić głosem pozbawionym dotychczasowej dobroduszości. Nagle złapał brunetkę za włosy i szarpnął z całej siły. Dziewczyna krzyknęła raz i drugi. - Innych ludzi i innych metod.

- Nie spodobałoby ci się to - wyjaśnił Faraday. - Możesz mi wierzyć.

Wierzyłem mu. Visarić puścił dziewczynę. Przeniosłem spojrzenie na Karla i Pierre'a, ale oni udawali, że nic nie widzą. Podeszedłem do trapu. Klaus stał oparty o reling, z ramionami splecionymi na piersiach i nie spuszczał ze mnie oczu. "Inni ludzie i inne metody". Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, jacy to mogą być ludzie i jakich użyją metod. To nie były czcze pogroźki. Musiałem zdecydować o przyszłości Diany i swojej.

- Klaus, zawieziesz nas na San Michele - powiedział Faraday.

- Wolę sam tam pojechać.

- Ale pojedzie pan? - spytał Pierre.

- Tak - odparłem i każdemu po kolei spojrzałem w oczy, by się upewnić, czy mnie zrozumieli. - Pojadę.

Kiedy miałem już pewność, że pogrzeb się skończył i że Wingate'owie sobie poszli, wsiałem na Fondamenta Nuove do vaporetto i przepłynąłem na drugą stronę laguny, na Isola di San Michele. Na cmentarzu - jak na to liczyłem - nie było nikogo oprócz zmarłych. Od wiatru i ludzkich spojrzeń chronił go wysoki mur i cyprysy. W zarośniętym kącie, przeznaczonym dla cudzoziemców, protestantów i innych odstępców, zobaczyłem kopczyk świeżej ziemi i samotny wieniec z białych lilii. "Naszemu kochanemu synowi Maksowi - przeczytałem na szarfi. - Często przebywałeś z dala od domu, ale zawsze pozostawałeś blisko w naszych myślach". Ślepa rodzicielska miłość Wingate'ów zawstydziła mnie. Ja nie przyniosłem kwiatów i nie śpiewałem hymnów.

Nie wiem, jak długo stałem, patrząc na miejsce ostatniego spoczynku mojego przyjaciela, niezdolny powstrzymać wspomnień. Może pięć minut, a może pięćdziesiąt. Nagle poczułem, że nie jestem sam.

- Cześć. - Była ubrana na biało i patrzyła na mnie z dziwną, pełną zatroskania natarczywością. - Widzę - powiedziała prawie szeptem - że ty też nie potrafiłeś trzymać się z daleka.

Pochyliła się i złożyła na grobie niewielki wieniec z białych i czerwonych róż. Na szarfi nie było żadnego napisu. Widać zabrakło jej słów. Ja również nie wiedziałem, co powiedzieć.

-Przepraszam - zacząłem. - Przykro mi, że nie chcieli cię na pogrzebie.

- To nie twoja wina. Mam nadzieję, że nie z mojej winy nie mogłeś uczestniczyć w tej smutnej uroczystości.

- Trudno kogoś o to wszystko winić: ich, ciebie, Maksa. Przez chwilę stała obok mnie, ze spuszczoną głową, milcząc. Potem spojrzała na mnie i powiedziała:

- Co porabiałeś... przez tych kilka dni?

- Nic interesującego. A ty?

- Podobnie.

- Nie chciałem, żebyśmy się rozstali w taki sposób. Tysiące razy marzyłem, żeby móc naprawić to, co wydarzyło się w ciągu tych kilku minut po wyjściu Vity.

Sam nie wiedziałem, czy powiedziałbym te słowa, gdyby nie obietnica dana Faradayowi. Czy mówiłem to szczerze? Czy też z konieczności udawałem szczerłość?

- Pragnęłam tego samego. - Nasze palce splotły się mimochodem; trudno powiedzieć, kto pierwszy wyciągnął rękę. - Może spróbujemy jeszcze raz? Może potrzebujemy więcej czasu?

- Zgadzam się z chęcią.

- Obydwoje musimy tu zostać aż do rozprawy. Mamy ponad dwa tygodnie.

- Faraday mi o tym powiedział.

- Czy powiedział ci, że wyjeżdża z Wenecji?

-Nie.

- Jutro. Nie musisz się obawiać jego wścibstwa. Możesz wrócić do willi.

Nasze spojrzenia pierwszy raz spotkały się na dłużej niż jedna ulotna chwila. Patrząc na nią, przypomniałem sobie o tym, co zrobiliśmy. W jej oczach wyczytałem niepewną zapowiedź tego, co jeszcze możemy zrobić. Niech mi Bóg wybaczy. Maks na pewno by nie wybaczył.

-Nie będzie łatwo czekać na ten dzień, kiedy nasze... niemoralne... prowadzenie się zostanie publicznie ujawnione przed sądem. Może jednak we dwoje łatwiej sobie z tym poradzimy?

- To nie było niemoralne.
- Nie. Ale ludzie będą tak mówili.
- Niech sobie mówią.
- Niech sobie mówią, jeśli tylko dasz mi siłę, bym mogła pozostać obojętna
- Postaram się.
- Wrócisz do wili?
- Jeśli Vita nie będzie miała nic przeciwko temu.
- Ona nigdy nie ma nic przeciwko temu, co jest dla mnie dobre.
- Czy ja jestem dla ciebie dobry?
- Mam nadzieję, że jesteśmy dla siebie dobrzy.
- Tak - powiedziałem, odchodząc od grobu. - Ja też mam nadzieję.

IX

Wróciłem do Villa Primavera. Nie jestem pewien, czy gdyby zostawiono mnie w spokoju, nie uległbym pokusie w ciągu dwóch tygodni, które musiałem spędzić w Wenecji. I tak nie ma to żadnego znaczenia. Musiałem wrócić do willi dla dobra Diany. Skoro już się tam znalazłem, bez trudu udawało mi się przekonywać samego siebie, że ze względu na nią prawie każde oszustwo, pobbazanie każdej słabości, jest usprawiedliwione.

Po śmierci Maksa Diana przeniosła się do innego pokoju. Nie musiałem pytać dlaczego. Na szczęście w willi nie przechowała się pamięć tamtego popołudnia. Obecność Maksa była zbyt krótka, żeby jego duch żył tu po śmierci. Jeśli o nim myślałem - a zdarzało się to często - to w innych miejscach i okolicznościach, niż te związane z jego śmiercią. Drugiej nocy, kiedy nad ranem przyszła do mnie Diana, płacząca i zdenerwowana, mogłem wziąć ją w ramiona nie czując na sobie spojrzenia Maksa. Trzeciej nocy, kiedy stało się to, co - jak myślałem - nigdy już nie miało się stać, gdy ulegliśmy potrzebom i instynktom ciała, żadne skrupuły nie powstrzymały mojej ręki, przesuwałcej się po jej ciele.

Powiniennem się tego spodziewać. Dni wyczekiwania na Lido, gdy jesień przekradała się obok nas w słonych mgłach i coraz chłodniejszych świtach, były dziwne i niepokojące. Pragnąc uciszyć wątpliwości i niepewność, tuliliśmy się do siebie. Czy mogło być inaczej? Nie kochałem jej. Nie wierzyłem w miłość. Ale ona tak. Za każdym razem i na każdy sposób oddawała mi się z takim zapalem, że w przyszłości coraz trudniej byłoby się jej oprzeć.

Bez skrupułów zgłębiałem jej tajemnice. Chociaż sama o tym nie wiedziała, starałem się ją ustrzec przed tymi sposobami perswazji, jakich mogliby użyć przyjaciele Faradaya. Zdawało się, że bez oporów rozmawia ze mną o wszystkim, tylko nie o tym, czego koniecznie musiałem się dowiedzieć. Gdyby nie jej rozmowa z Vitą, którą podsłuchałem w nocy w ogrodzie, byłbym przekonany o jej niewinności i o tym, że Charnwood nie ukrył pieniędzy. Ale było inaczej. Cóż bowiem mogły mieć na myśli? Co zasługiwałoby na tak mistrzowski kamuflaż?

Kamuflowały się bowiem po mistrzowsku. Diana otworzyła przede mną duszę. Niczego mi nie odmawiała, z wyjątkiem tego, czego szukałem w szufladach w jej sypialni, na półkach, wśród ubrań i w torebkach, ilekroć nadarzała się ku temu okazja. Nie oszczędziłem również Vity. Otworzyłem jej biurko, czytałem jej listy, przeszukiwałem kieszenie. Czas i brak zajęcia stwarzały mi wiele sposobności. Korzystałem z

nich coraz bardziej gorączkowo, ale w końcu i tak zostałem z tym, co miałem na początku - z pustymi rękami.

Mijały dni. Doszedłem do smutnego wniosku: trzeba będzie im powiedzieć. Nie było innego sposobu. Będę musiał wytłumaczyć Dianie i Vicie, że zagraża im poważne niebezpieczeństwo; wówczas same wyjawią prawdę, żeby ratować skórę. Będę musiał wyznać, że jestem szpiegiem Faradaya, człowiekiem zasługującym na taką samą pogardę, jak on. Ratując Dianę, stracę ją. Tego nie wynagrodzą mi żadne pieniądze. Chociaż bowiem odrzucałem każdą myśl o miłości, musiałem jednak przyznać, że jestem zakochany, uzależniony, ogarnięty obsesją. Padłem ofiarą tych wszystkich słabości, a ona była tego przyczyną.

Cóż jednak miałem robić? Czy miałem wybór? Nie; mogłem tylko odwlekać tę chwilę. Potwierdzono, że rozprawa odbędzie się w poniedziałek, dwudziestego szóstego. Powiedział nam o tym Martelli przy okazji jednej z kilku wizyt. Uspokoił nas też co do werdyktu: zostaniemy uznani za winnych nieumyślnego zabójstwa i będziemy mogli wyjechać z Wenecji. Czekaliśmy na to z niecierpliwością. Co będzie potem? Nie martwiłem się tym, bo pod koniec października i tak będę musiał ujawnić prawdę. Do rozprawy postanowiłem trzymać język za zębami, dzięki czemu mogłem cieszyć się względami Diany. Ale tylko do rozprawy.

Często marzyłem o tym, żeby znalazł się jakiś sposób wywikłania się z kłopotu; żeby pojawił się ktoś, jak deus ex machina, i rozwiązał moje problemy. Nadzieja była jednak bardzo słaba i nie miała nic wspólnego z moją wiarą. Nie podejrzewałem, że jej spełnieniem okaże się Quincy McGowan, młodszy brat Maud Charnwood, wuj Diany, którego rzadko wspominano. Nieoczekiwanie przyjechał do Wenecji na pięć dni przed rozprawą.

Był wysokim mężczyzną po czterdziestce. Miał szerokie ramiona, dudniący głos, promienny uśmiech, skłonność do tycia i łysienia. Roztaczał chłopięcy urok. Postanowił - jak powiedział - przyspieszyć służbową podróż do Anglii, żeby pomóc Vicie i Dianie w trudnych dniach po śmierci szwagra. Wiadomość o ich ostatnich kłopotach otrzymał w Bursztynowym Dworze; prosto stamtąd pospieszył do Wenecji.

Vita i Diana były uszczęśliwione jego przyjazdem. Rozumiałem je. Wniósł ze sobą do willi powiew świeżości, rozpraszając w znacznym stopniu otaczające nas nienazwane obawy. Diana pamiętała z dzieciństwa potężnie zbudowanego, młodego wuja, zawsze chętnego do zabawy, który zniknął z jej życia po śmierci matki. On wspominał, jak po zatopieniu "Lusitanii" żył nadzieją, że Stany Zjednoczone wypowiedzą Niemcom wojnę, dając mu okazję do pomszczenia śmierci matki Diany. Musiał na to poczekać do roku 1918. Na froncie zachodnim przeżył kilka chwalebnych miesięcy. Opisywane przez niego walki nie zgadzały się z moimi wspomnieniami, ale był tak pełen entuzjazmu, że nie potrafiłem się na niego gniewać ani mu oponować. Cieszyłem się tylko, że ani ja, ani Maks nie mieliśmy okazji skrzyżować z nim szpady. McGowanowie z Pittsburgha plasowali się na amerykańskim rynku stali blisko Carnegie i Frick. Byliby trudnym przeciwnikiem, a wrogów nigdy mi nie brakowało.

Jedną z największych zalet Quincy'ego była skromność: "Ojciec zdobył dla mnie fortunę, kiedy byłem jeszcze w pieluszkach. Mój brat Theo pilnuje, żebym jej nie stracił.

Jestem tylko wdzięcznym beneficjentem ich przezorności. Theo ma rozum. Maudie miała urodę. Mnie pozostało tylko cieszyć się życiem". Do Wenecji przyjechał jednak nie w poszukiwaniu zabawy, ale po to, by pomóc: "Gdyby McGowan Steel Company się rozpadła, Fabian przyszedłby nam z pomocą. Jestem mu winien to samo".

Nie rzucał słów na wiatr. O Charnwood Investments nic nie wiedział: "Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, Fabian zawsze był skryty". Potrafił jednak zabawiać kobiety w każdym wieku i posmarować odpowiednią rękę we władzach sądowniczych. Zjednał sobie sympatię Martellego i nakłonił konsulat amerykański do udzielenia nam większej pomocy, niż oferował nam nasz własny. Kiedy nas nie zabawiał, dodawał otuchy. W dniu rozprawy jego obecność na sali była dla nas gwarancją tego, że wszystko się dobrze skończy. Nie miałem pewności, czy działało tu coś więcej niż urok osobisty; na przykład - łapówki.

Rozprawa nie była aż tak nieprzyjemna, jak się obawialiśmy. Prawie cały czas mówiono po włosku. Jeśli nawet przewodniczący powiedział coś nieprzyjemnego na temat okoliczności, w jakich zginął Maks, to nam tego nie przetłumaczono. Nie dowiedzieliśmy się też, co mówiono o samym Maksie. Oboje z Dianą zeznawaliśmy po angielsku. Pośrednictwo tłumacza w dziwny sposób neutralizowało nasze wypowiedzi, pozbawiając je całego ładunku emocjonalnego, nawet wstydu. Nie potrafiłem się domyślić, jak włoscy sędziowie reagują na wydarzenia, o których opowiadaliśmy, z pewnością jednak nie byli tak kwaśni jak angielscy sędziowie przysięgli, nieodrodni przedstawiciele klasy średniej. Wyrok odczytano bardzo spokojnym głosem. Omicidio involontario, jak przypuszczał Martelli. Możliwe, że Quincy zadbał o to, by na pewno nie był inny.

Po rozprawie poszliśmy do baru Harry'ego, potem wróciliśmy na Lido. Kolację zjedliśmy w Excelsiorze. Nadzieja na rychły wyjazd podnosiła nas na duchu, byliśmy więc w dobrych humorach. Pod koniec wieczoru, przyglądając się ludziom siedzącym przy stole, poczułem się wśród nich obco. Miałem wyrzuty sumienia, ponieważ z ulgą przyjąłem fakt zamknięcia księgi życia i śmierci Maksa Wingate'a. Przeprosiłem towarzystwo i wyszedłem na taras. Zapaliłem cygaro i zapatrzyłem się na białe grzywy Adriatyku, przewalające się z hukiem w mroku nocy. Zastanawiałem się, czy mógłbym coś zrobić - albo czego nie zrobić - żeby zmienić tak gorzki koniec dwudziestoletniej przyjaźni.

- Myślisz o Maksie, prawda? - spytała Diana, stając za moimi plecami. Wsunęła mi dłoń pod łokieć i położyła głowę na ramieniu. - Wyczytałam to z twojej twarzy, kiedy odchodziłeś.

- Nic na to nie poradzę.

- Nie chciałabym, żeby to się zmieniło. Nigdy o nim nie zapomnimy. Nawet nie będziemy próbowali.

- To nie była twoja wina.

- Nadal myślisz, że to nie Maks zamordował papę?

- Sam nie wiem i chyba nigdy się nie dowiem. - Poczulem na jej skórze gęsią skórkę. - Może wrócimy do środka?

- zaproponowałem.

- Za chwilę. W nocy morze jest... piękne.

- Nie dorównuje tobie. - Pocałowałem ją i zobaczyłem w jej oczach blask światła z jadalni. - Chcesz wracać do domu?

- Chyba tak.

- Nie jesteś pewna?

- Co będzie z nami? Czy po powrocie do Anglii zostaniemy razem?

Powinienem być jej wtedy powiedzieć. Powinienem ujawnić swoją tajemnicę, póki miałem odwagę. Wiedziałem jednak, że mogę jeszcze troszkę poczekać. Pocałowałem ją więc i szepnąłem "oczywiście" do pachnącego perfumami uszka. Nazajutrz odebraliśmy z kwestury nasze paszporty i popłynęliśmy motorówką na San Michele, żeby złożyć kwiaty na grobie Maksa. Pożegnałem się z nim bez słów. Wkrótce mieliśmy opuścić Wenecję. Maks miał tu zostać na zawsze. Zdjęto z nas winę za jego śmierć. On musiał zostać, a my mogliśmy jechać, dokądkolwiek zechcemy.

Zarezerwowaliśmy miejsca w Orient Ekspresie, opuszczającym Wenecję w środę po południu. Był dwudziesty ósmy października. Miałem coraz mniej czasu. Kiedy zasiedliśmy do śniadania, atmosfera pozbawiona była niepokoju. Dla pozorów schodziliśmy z Dianą osobno, każde ze swojej sypialni, chociaż nie sądzę, żebyśmy kogokolwiek oszukali. Dziesięć minut spędziłem przy stole sam na sam z Vitą. Diana była jeszcze u siebie, a Quincy - jak co dzień - poszedł na spacer po plaży.

- Cieszę się, że mamy okazję zamienić kilka słów na osobności - powiedziała Vita. - Powinnam cię spytać, jakie masz zamiary wobec mojej bratanicy.

Odstawiłem kawę i uśmiechnąłem się.

- Obawiam się, że sam jeszcze nie wiem.

- Powinieneś wiedzieć. Ona jest w tobie zakochana. Widzę to wyraźnie, nawet jeśli ty masz wątpliwości. Co zamierzasz zrobić?

- To nie jest takie proste. Widzi pani... - zawahałem się. Znów miałem okazję wyznać prawdę, ale nie zdążyłem z niej skorzystać.

- Dzień dobry! - zawołał Quincy, wchodząc do pokoju. Był nieco zdyszany. - Uroczy dzień, prawda?

- Tak - odparliśmy chórem. - Wspaniały.

- Spotkałem przed bramą listonosza. Dał mi list dla ciebie, Vito. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Nie rozumiem.

- Sama zobacz.

Położył przed nią kopertę, zaadresowaną do panny Charnwood, ale bez imienia.

- Wysłany z Wenecji - powiedziała Vita. - Jakie to dziwne.

- Nie otworzysz go?

- Może to do Diany?

- A może nie.

- To prawda, ale...

W tej chwili obok Quincy'ego stanęła roześmiana Diana.

- Coś się stało? - spytała.

- Przyszedł list do panny Charnwood - wyjaśniłem. - Nie wiadomo tylko, do której.

- Pokażcie mi go. - Wyciągnęła rękę po list. r Zaadresowano go na maszynie, więc pismo nam nic nie powie. To do jednej z nas.

- Otwórz go, kochanie - powiedziała Vita - i skończmy z tym wreszcie.

- Dobrze.

Diana wzięła nóż ze stołu, otworzyła kopertę, wyjęła ze środka pojedynczą kartkę i skrzywiła się na widok tego, co zobaczyła.

- Jakie to dziwne!

- Co to takiego? - spytałem.

-Nie wiem. Jakiś... rysunek. Nic z tego nie rozumiem. A ty, ciociu?

Podala kartkę Vicie, która patrzyła na nią przez chwilę, po czym położyła ją na stole, żebyśmy wszyscy zobaczyli.

Na kartce były tylko dwa koncentryczne koła, narysowane atramentem. Wewnętrzne miało około dwóch i pół centymetra średnicy, zewnętrzne było mniej więcej dwa razy większe. Nie wiem dlaczego, ale przypomniałem sobie sztuczkę z pięcioszylingową monetą, którą pokazał mi Charnwood. Tym razem miałem dwa koła, zabrakło jednak magika, który wyjaśniłby ich znaczenie.

- Co o tym myślisz, Vito? - spytał Quincy.

- Nic - odparła. Gardło miała ściśnięte, jakby czegoś się bała. Krew odpłynęła jej z twarzy, a w oczach można było wyczytać obawę. - To chyba jakiś głupi dowcip.

- Bezsensowny, skoro nikt z nas nie rozumie jego znaczenia.

- Na to wygląda.

Diana wzięła kartkę do ręki, przyglądała się jej przez chwilę, potem znów obejrzała kopertę.

- Wysłany wczoraj w Wenecji - mruknęła. - Co to może znaczyć?

- Nie wiem - powiedziała Vita. - Nie zamierzam sprawiać autorowi tego żartu przyjemności, łamiąc sobie nad tym głowę. Wybaczcie mi, muszę dopilnować, żeby wszystko należycie spakowano.

Wstała od stołu i przeżuając resztki chleba, wyszła szybkim krokiem. Zostaliśmy we trójkę. Patrzyliśmy po sobie ze zmarszczonymi brwiami.

- Biedna ciocia - powiedziała Diana. - Zdaje się, że to ją zdenerwowało.

- Anonimy zawsze są niepokojące - szukałem jakiegoś wyjaśnienia.

- Ale to nawet nie jest list - zauważył Quincy - tylko jakiś rysunek. Nie jest wulgarny ani groźny... Chyba, że czegoś nie rozumiem.

- Nie wiadomo nawet, czy był adresowany do cioci Vity - powiedziała Diana. - Równie dobrze mogło chodzić o mnie.

- Przecież ty nic z tego nie rozumiesz? - spytałem.

- Nic.

- W przeciwieństwie do Vity. - Quincy w zamyśleniu pokiwał głową.

Diana spoglądała to na niego, to na mnie. Najpierw była zaskoczona, teraz zaczęła się martwić o ciotkę. Włożyła kartkę do koperty, przez chwilę zastanawiała się, co z nią zrobić, potem podała ją mnie.

- Zechcesz to przechować, Guy? Na wszelki wypadek.

- Oczywiście. - Wziąłem list. - Ale.

- Zobaczę, gdzie jest ciocia. Może będzie chciała ze mną porozmawiać. Przepraszam.

- A co z... - wyszła, zanim zdążyłem dokończyć zdania -...ze śniadaniem? - powiedziałem w chwili, gdy zamknęła za sobą drzwi.

- Zdaje się, że Diana straciła apetyt - powiedział Quincy i uśmiechnął się bez cienia wesołości.

- Chyba tak. - Włożyłem do kieszeni kopertę z tajemniczym rysunkiem. - Przez autora tego rysunku.

- Anonimowego kreślarza z Wenecji? Dobrze, że stąd wyjeżdżamy.

- Tak. Pod każdym względem dobrze.

Zamieszanie związane z wyjazdem sprawiło, że całkiem zapomniałem o autorze listu i o dziwnym zachowaniu Vity. Późnym popołudniem siedzieliśmy już w Orient Ekspresie, powoli ruszającym ze stacji Santa Lucia. Przez okno swojego przedziału spoglądałem na uciekającą w tył lagunę i myślałem o tym, o ile byłbym szczęśliwszy, gdybym mógł wyjechać trzy tygodnie wcześniej, zaraz po śmierci Maksa, kiedy myślałem tylko o tym, żeby poznać prawdę. Teraz wszystko się skomplikowało. Zostałem kochankiem Diany. Wkrótce wierzyciele upomną się o fortunę jej ojca. Zawisł nad nami miecz Damoklesa, który tylko ja widziałem. Wkrótce będę musiał powiedzieć prawdę o sobie, albo bezradnie patrzeć, jak miecz spada na głowę Diany.

Nadeszła noc. Dojeżdżaliśmy do Werony. Poszedłem do wagonu restauracyjnego. Panie potrzebowały godziny na przygotowanie się do kolacji. Pomyślałem, że najłatwiej zapomnę o swoich zmartwieniach przy dobrym manhattanie. Pianista rozgrzewał palce, grając muzykę taneczną. Miałem ochotę spędzić trochę czasu tylko we własnym towarzystwie. Niestety, Quincy McGowan był innego zdania.

- Doskonały pomysł. Porządny, zimny koktajl zanim zaczniesz się ruch. Do tego odrobina... conversazione... zanim opuścimy Włochy. Założę się, że się ucieszysz, kiedy przekroczysz granicę szwajcarską.

- Przyznam, że tak.

- Najpierw jednak chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

- O czym?

- O mojej wspaniałej siostrzenicy, Dianie. Coraz bardziej przypomina Maudie. Przyznam, że chciałabym ją... chronić.

- To zrozumiałe.

- Dlatego przyjechałem do Wenecji. Z tego powodu opuściłem Pittsburgh. Widzisz... - ściszył głos aż do szeptu - mój brat Theo dowiedział się, że amerykańscy wierzyciele są źli na Charnwood Investments. Staraliśmy się czegoś dowiedzieć. Pytaliśmy o te sprawy pewnych ludzi. Odpowiedzi, które uzyskaliśmy, byłyby... niepokojące dla każdego, komu dobro Diany i Vity leży na sercu. Udawałem zdziwionego.

- Z jakiego powodu? - spytałem, unosząc brwi.

Quincy skrzywił się.

- Zdaje się, że garstka bardzo wpływowych ludzi nie wierzy, iż Fabian rzeczywiście stracił aż tyle pieniędzy, ile się im mówi. Sądzą chyba, że gdzieś je ukrył. To są ich pieniądze, ale nie mają do nich dostępu; podejrzewają natomiast, że jego córka i siostra korzystają z tego majątku.

- Bzdura.

- Możliwe, ale oni w to wierzą. Uważają, że zostali oszukani. Trudno się im dziwić.

- Co... proponują?

- Nie zasypiali gruszek w popiele. - Quincy zamilkł, a ja, pełen poczucia winy, miałem wrażenie, że ta cisza jest bardzo wymowna. - Informatorzy Thea donoszą, że nasłali na Dianę i Vitę szpiegów.

- Szpiegów?

- Mam wrażenie, że ten Faraday, o którym opowiadała mi Vita, jest jednym z nich.

- Wielki Boże. Nigdy go nie lubiłem, ale...

- Są też inni.

- Naprawdę?

Pokiwał głową...

-Oczywiście - Jego słowa były bardzo dwuznaczne. Chrząknąłem.

- Ale Diana i Vita nic nie wiedzą o pieniądzach Charnwooda. Nawet jeśli coś ukrył, one nie doprowadzą wierzycieli do tej fortuny.

- Zgadzam się z tobą, ale jesteśmy w mniejszości. Klienci Fabiana chcą odzyskać pieniądze. Jeśli nie osiągną tego przez szpiegów, spróbują innych metod. Zdaje się, że Faraday się poddał i wyjechał. Mam przeczucie, że teraz nie będą już tak subtelni. Obawiam się, że mogą się uciec do bardziej brutalnych metod. - Ostatnie słowa zawisły na moment w zadymionym powietrzu; po chwili Quincy wskazał moją szklankę i spytał: - Jeszcze jednego?

- Niezły pomysł. Jeszcze jeden koktajl dobrze mi zrobi.

Byłem zadowolony, bo nadejście kelnera spowodowało krótką przerwę w rozmowie. Muzyk przy fortepianie nie przestawał grać. Głosy siedzących przy sąsiednich stolikach zlewały się w jednostajny szmer. Stukotanie kół odmierzało rytm moich myśli. Nie wiedziałem, że już zostałem przechytrzony.

- Powiedz to, Guy, zanim sam to zrobię.

- Co mam powiedzieć?

- Że jesteś jednym z ich szpiegów. - Patrzył na mnie z takim spokojem, że nawet nie próbowałem przeczytać. Nie spuściłem jednak wzroku. Miałem wrażenie, że wyraz mojej twarzy pozostał nie zmieniony. Milczałem. - Wiedziałem o tym, zanim cię poznałem. Twoje nazwisko... I Wingate'a... zapisane drobnym drukiem na prawie wszystkich aktach oskarżenia przedstawionych Hiramowi i Ryszardowi Babcockom. Będą sądzeni w przyszłym miesiącu. Byliście dyrektorami Serendipity and Happenstance Investment Trust, Blue Hills Corporation, Tuscarora Corporation, Wide Horizon Investment i Disbursement Company... Chyba nie muszę kontynuować?

- Nie. - Było jasne, że zanim przyjechał do Anglii, wiedział o tej sprawie wszystko. Zanim mnie poznał, wyrobił sobie o mnie niepocholebną opinię. - Nie musisz.

- Oczywiście, nie uda się udowodnić, że otrzymaliście te lukratywne posady w zamian za pośredniczenie w nielegalnych transakcjach Babcocków z kanadyjskimi piwowarami. Nie wyobrażam sobie jednak, żebyście mieli inne kwalifikacje. Nie można udowodnić, że wiedzieliście, iż Babcockowie od początku kryzysu zasilali finanse firmy sprzeniewierzając fundusze Housatonic Bank, którego Hiram był prezesem. Ale ja potrafię czytać między wierszami. Wyjechaliście ze Stanów, żeby nie pociągnęli was za sobą na dno. Przypuszczam, że szukałeś jakiegoś źródła pieniędzy. Przypuszczam też, że je znalazłeś. Mam nadzieję, że dobrze ci zapłacili, kiedy pojechałeś za Dianą do Wenecji.

-Posłuchaj...

- Chwileczkę! - uniósł dłoń. - Pozwól mi skończyć. Potem będziesz mógł powiedzieć, co tylko zechcesz. Nie mam pretensji o to, że w taki sposób zarabiasz na życie. Nie chcę nawet, żebyś się przyznawał do szpiegowania Diany. Tylko mi nie zaprzeczaj. W zasadzie to nie jest aż takie ważne. Podobasz się jej. To widać. Jakie ty żywisz wobec niej uczucia? Takie same?

Odpowiadając, starałem się zachować odrobinę godności:

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale jestem nią zainteresowany.

- Tak też sądziłem. Co zamierzasz zrobić? Grozi jej niebezpieczeństwo. Jak zamierzasz ją chronić?

Zaciągnąłem się papierosem. Chciałem wyglądać na spokojnego. Usiłowałem uporządkować myśli, wirujące w mojej głowie. Quincy mnie przejrzał. Jeśli mu powiem, że jestem prawie pewien, iż Vita i Diana coś ukrywają, pewnie mi nie uwierzy. A przecież dzisiaj rano jego zaufanie do Vi-ty zostało wystawione na próbę. Postanowiłem się dowiedzieć, ile to zaufanie jest warte.

- Zaczniemy od rzeczy najważniejszych - powiedziałem po krótkim namyśle. - Vita zrozumiała intencje nadawcy anonimu. Jesteś pewien, że ona nic nie ukrywa?

- Dała mi słowo, że nie. Ręczy też za Dianę. To mi wystarcza. Jeśli chodzi o ten rysunek... Możliwe, że Vita, w przeciwieństwie do Diany, rozumie powagę sytuacji. Odebrała to jako pogroźkę. Niewykluczone, że ma rację. W takim razie należy jak najszybciej coś z tym zrobić.

- Tylko co? - Zawahałem się. Ostrożnie ważyłem słowa. Byłem przekonany o jego szczerości. Wiedziałem, że jest bogaty. Odniosłem wrażenie, że przygotował grunt pod jakąś propozycję, która mogłaby rozwiązać wszystkie nasze problemy.

- Skoro, jak mówisz - ciągnąłem, nadal zachowując czujność - klienci Charnwooda nie chcą uwierzyć w to, w co my wierzymy: że Diana i Vita są niewinne... - spojrzałem mu prosto w oczy - to nie widzę żadnego wyjścia.

- Zawsze jest jakieś wyjście - uśmiechnął się. - Jeśli się ma dużo pieniędzy.

- Co masz na myśli?

- Moje udziały w McGowan Steel Corporation mogłyby stanowić jakąś... rekompensatę. Określona kwota ze sprzedaży akcji McGowan Company w zamian za spokój mojej siostrzenicy i jej ciotki.

Z trudem się powstrzymałem, żeby się nie roześmiać. Nie spodziewałem się takiej hojności.

- Chcesz to zrobić?

- Jestem gotów negocjować w tej sprawie. Muszę z nimi porozmawiać. Sęk w tym, że nie znam tych ludzi. Fabian nigdy nie chciał rozmawiać o swoich klientach. Najważniejsi z nich, ci, którzy mogą decydować za wszystkich, chcą pozostać anonimowi. Mogę się z nimi skontaktować tylko przez ich agentów. Przez ciebie.

Przyglądaliśmy się sobie spokojnie i badawczo, jak dwaj światowcy. Jeśli pomogę Quincy'emu, będzie miał mnie w garści i zostanę jego dłużnikiem. Jeśli odmówię, miecz nadal będzie wisiał tuż nad moją głową. Doszedłem do wniosku, że właściwie nie mam wyboru. Najpierw jednak musiałem ustalić, jakie są jego zamiary wobec mnie.

- Chcesz powiedzieć Dianie i Vicie, o co mnie podejrzewasz?

:-
- Jeśli zgodzisz się na współpracę, nie.

- Chcesz, żebym cię umówił?

- Chyba nie żądam zbyt wiele?

- Nie. Raczej nie. - Rozejrzałem się po wagonie i znów spojrzałem mu w oczy. - Kiedy?

- Jak najszybciej. Zależy mi na czasie.

-Dobrze. Skoro tylko przyjedziemy do Londynu... Zadzwoń.

- Cieszę się. Dziewczęta wyślemy do Dorking.

- Nie wiem jednak, jak twoja propozycja zostanie przyjęta.

- Zostaw to mnie. - Pochylił się nad stolikiem. - Gdybyś dowiedział się czegoś od Diany... Czegoś, co pozwalałoby się domyślać, że one nas oszukały, chcę o tym wiedzieć.

- To oczywiste.
- Nie spodziewam się, żebyś..
- Rozumiem. - Znow przypomniały mi się słowa podsłuchane w ogrodzie: "Cieszę się, że nie traciłyśmy sił na próżno... Niech snują fałszywe domysły". Rozumiałem lepiej, niż Quincy podejrzewał. - Musimy zachować ostrożność.
- No właśnie - z powagą pokiwał głową i uśmiechnął się nieoczekiwanie. - Umowa stoi?

-Tak.

- Doskonale - poklepał mnie po ramieniu. - Nie pożałujesz tego.

Dlaczego nie? Ostatnio często zdarzało mi się słyszeć to zapewnienie i zbyt często okazywało się ono bezpodstawne. Jednak każdy kryzys kiedyś się kończy i zły los musi się w końcu odmienić. Podnosząc kieliszek, spojrzałem przez szkło na zniekształconą twarz Quincy'ego i pomodliłem się) żeby odmiana nastąpiła w tej chwili.

Przy kolacji panowała tak beztraska atmosfera, że by przypuszczać, iż moja conversazione z Quincym wcale się nie odbyła. Jednak ukradkowe spojrzenia jego okrągłych oczu upewniały mnie, że jest inaczej. Świadomość, że wie, jakim jestem człowiekiem, była łatwiejsza do zniesienia, kiedy myślałem o tym, co musiałbym zrobić, gdyby nie jego interwencja. Dzięki niemu Diana nie dowie się o mojej zdradzie.

Koło północy, kiedy odprowadzałem ją do przedziału, po. ciąg zaczął inaczej turkotać i rozległ się gwizdek: wjeżdżałyśmy do tunelu Simplon i do Szwajcarii. Zostawiliśmy za ba Włochy i Maksa. Diana pocałowała mnie i szepnęła do ucha:

- Teraz jesteśmy bezpieczni.

Nie odpowiedziałem, pozwalając jej żyć złudzeniami.

- Quincy mówi, że musi spędzić kilka dni w Londynie - wiedziała Vita. Siedzieliśmy na pokładzie promu i przyglądaliśmy się białym skałom Dover. Było popołudnie. Niebo nad Anglią było błękitne. Gazeta, leżąca obok nas na i powiewająca na wietrze, donosiła, że rząd narodowy grał wybory, zyskując znaczną większość głosów, i że nad stolicą pojawiły się pierwsze jesienne mgły. - Ma jakieś sprawy do załatwienia. Obie z Dianą mamy nadzieję, że przynajmniej ty pojedziesz z nami do Dorking.

- To bardzo miło z waszej strony, ale...

- W Bursztynowym Dworze jest dużo miejsca. Po tych kilku tygodniach spędzonych w Wenecji nie chciałybyśmy się o ciebie martwić. Nie możesz mieszkać samotnie w jakimś obcym hotelu.

- Pojedź z nami - szepnęła Diana, wsuwając swoją dłoń w moją.

- Bardzo bym chciał, ale najpierw powinienem odwiedzić ojca i siostrę. Mam im wiele do powiedzenia.

- Słusznie - powiedziała Vita. - Ale potem...

- Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia.

- Świetnie. - Vita wstała i przez chwilę wdychała morskie powietrze. - Zechciejcie mi teraz wybaczyć, moi drodzy. Zrobiło się zimno. Zejdę na dół i zobaczę, co porabia Quincy. Kiedy odeszła, Diana pocałowała mnie w policzek i powiedziała:

- Chciałabym poznać twojego ojca i siostrę.

- Poznasz ich, ale najpierw muszę ich przygotować na tę miłą niespodziankę.

- Po to jedziesz do Letchworth? Żeby ich przygotować?

- Tak; i wyjaśnić to, co się stało. - Uśmiechnąłem się do niej, świadomy, że kłamię jak z nut. Nie czułem z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Kłamałem dla dobra wszystkich zainteresowanych. - Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Później po południu razem z Quincym odprowadziłem Dianę i Vitę na dworzec Victoria. Panie sądziły, że każdy z nas zamierza pójść w swoją stronę, ale obaj zameldowaliśmy się w hotelu Grosvenor. Skoro tylko portier wprowadził mnie do mojego pokoju, zatelefonowałem do biura Gregory'ego i umówiłem się, że przyjdę do niego za godzinę. Quincy był chyba zadowolony.

- Czym zajmuje się Gregory?

- Sprzedaje zaszczyty: tytuły hrabiowskie i inne.

- Tytuły można kupić?

- Ależ tak. Można je kupować i sprzedawać.

Quincy gwizdnął.

- Więc to tak się rzeczy mają z tytułami brytyjskiej arystokracji? To nam ułatwi zadanie. Najwyraźniej facet potrafi rozmawiać o pieniądzach.

- Potrafi? - uśmiechnąłem się pod nosem. - Pieniądze to jego żywioł.

I mój również. Jeśli Quincy'emu uda się przekonać wierzycieli Charnwooda, że stary spryciarz nie ukrył pieniędzy, i jeśli zadowolą się akcjami McGowana; jeśli Diana i Vita wiedzą, gdzie pieniądze zostały ukryte, a ja jestem jedynym, który o tym wie; jeśli związę się z Dianą na dłużej... wówczas rzeczywiście mogę stać się bogaty. "Dowiesz, Guy? Hę ci powiedziała?" - pytał Maks. "Nic - powinienem odpowiedzieć. - Jeszcze nic".

Godzinę później szliśmy otulonym mgłą Parliament Square. Pałac westminsterski był tylko zamazaną bryłą, z tarczą Big Bena połyskującą w górze. Weszliśmy przez obrotowe drzwi z napisem "Whitehall Gazette", minęliśmy portiera, sekretarkę i znaleźliśmy się w gabinecie Gregory'ego. Gospodarz spodziewał się tylko jednego gościa. W obawie, że nie zgodzi się na spotkanie z Quincym, nie uprzedziłem, iż nie będę sam. Ta drobna nieuprzejmość nie spodobała mu się.

- Kim jest ten dżentelmen, mój chłopcze? - spytał ze złowroźbnie zachmurzoną twarzą. Kiedy przedstawiłem Quincy'ego i wyjaśniłem jego powiązania z rodziną Charnwoodów, Gregory zrobił jeszcze groźniejszą minę. - Jest pan szwagrem Fabiana Charnwooda? - spytał Quincy'ego. - Szczerze mówiąc, mój panie, nie sądzę, żebyśmy mieli sobie coś do powiedzenia.

Quincy uśmiechnął się.

- Myli się pan, Gregory. Mam dla pana propozycję. Guy powiedział, że interesują pana ciekawe propozycje, szczególnie gdy w grę wchodzi duże pieniądze.

Po tych słowach wyraz twarzy Gregory'ego złagodniał.

- O jakiej propozycji pan mówi?

- Korzystnej dla obu stron.

- Sądzę, iż zasługuje ona na poważne rozważenie - wtrąciłem.

- Jestem przekonany, że ani Diana, ani jej ciotka nie doprowadzą nas do pieniędzy, choćby dlatego, że te nie istnieją.

Gregory skrzywił się.

- Nie chodzi o to, żeby pan był przekonany, ale żeby przekonać tych, których Charnwood obrabował. Quincy nie przestawał się uśmiechać.

- Zechce mi pan wybaczyć, ale znów jest pan w błędzie. Chodzi o to, jaka kwota ich zadowoli; to, skąd będą pochodziły pieniądze, nie ma większego znaczenia. Gregory patrzył na nas zaskoczony. Nie spodziewał się tak bezpośredniego podejścia do sprawy. Szybko się jednak opanował i zaczął myśleć o tym, jak najlepiej wykorzystać tę sytuację.

- Być może - powiedział powoli. - Być może.

- MacGowan Steel Corporation chce wypłacić rozczarowanym klientom mojego świętej pamięci szwagra stosowną kwotę tytułem rekompensaty, jeśli tylko żądania będą rozsądne.

- Rozumiem.

- Poza tym pośredniczący w tej transakcji może liczyć na hojną zapłatę.

- Ach tak... Pośrednik. - Kąciki ust Gregory'ego drgnęły leciutko. - Nie powinniśmy o nim zapominać.

- Od mojej siostrzenicy i jej ciotki nic nie dostaniecie. Nie chcę jednak, żeby stała im się jakaś krzywda, zanim się o tym przekonacie.

- Postawa godna pochwały. - Teraz Gregory zaczął się uśmiechać. Wyobrażał sobie pewnie, jak przedstawi propozycję Quincy'ego swoim mocodawcom i ile za to dostanie. - Sądzę, że znaleźliśmy podstawę do owocnej dyskusji, McGowan - powiedział i spojrzał na mnie. - Zechcesz nas teraz zostawić, chłopcze?

Domyśliłem się, że chce rozmawiać z Quincym w cztery oczy, żebym nie poznał szczegółów umowy i nie wiedział, czy dostałem uczciwą część z jego prowizji. Nie miałem nic przeciwko temu. Liczyłem na coś znacznie bardziej wartościowego niż okruchy ze stołu Maundy'ego Gregory'ego.

- Zaczekaj za drzwiami, a my omówimy szczegóły.

- Oczywiście.

Wstałem. Mijając Quincy'ego, puściłem do niego oko. Byłem pewien, że się dogadają.

Okazało się, że miałem rację. Dwadzieścia minut później Gregory otworzył drzwi swojego biura i zaprosił mnie do środka. Pojawił się szampan i cygara. Świąteczny nastrój, alkohol i tytoń działały upajająco.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby przekonać do pańskiej propozycji tych, których reprezentuję - paplał Gregory. - Zrobię to w duchu kompromisu, który powinien, moim zdaniem, kierować poczynaniami każdego uczciwego człowieka.

- Nie proszę o nic więcej - odparł Quincy, ukradkiem uśmiechając się do mnie.

- Faraday dał mi czas do końca miesiąca - zauważyłem ostrożnie.

- Tymczasem odłożymy tę sprawę na bok - wyseplenił Gregory, nie wyjmując cygara z ust. - Dopóki nie osiągniemy porozumienia.

- Co, mam nadzieję, nastąpi wkrótce - wtrącił Quincy.

- Oczywiście - odparł Gregory, na moment wyjmując z ust cygaro. - Zdaje mi się, że mówiliście, panowie, iż w przyszłym tygodniu będziecie obydwać w Bursztynowym Dworze.

- Rzeczywiście.

- W takim razie zjedźmy razem kolację w należącym do mnie hotelu Deepdene w Dorking; za tydzień od dzisiaj. Mam nadzieję, że będę mógł poinformować panów o pozytywnym wyniku moich rozmów.

- Niech będzie - powiedział Quincy. - Zgadzasz się, Guy?

- Ależ tak.

Czułem, że zaprosili mnie tylko po to, by podkreślić moją rolę pośrednika w ich spotkaniu. Nie potrzebowali już moich usług. Przy odrobinie szczęścia, ja również nie będę ich potrzebował. Podczas późnej kolacji w Grosvenor Hotel omówiliśmy z Quincyem niedawne spotkanie. Zwróciłem uwagę, że wierzyciele Charnwooda nie muszą się zgodzić ze zdaniem Gregory'ego, ale Quincy był dobrej myśli.

- Za pieniądze, jakie mu obiecałem, Gregory zrobi wszystko, żeby ich przekonać. Mogę się założyć, że mu się uda.

- Mam nadzieję.

- Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie można powiedzieć, że już jesteśmy w domu, ale zbliżamy się do portu.

Nagle skrzywił się i przyłożył dłonie do czoła. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać.

- Co się stało?

- Przepraszam - uśmiechnął się z trudem. - Kiedy myślę o Dianie, przypomina mi się Maudie... Od dawna nie myślałem o niej tak często. Pragnę uratować siostrzenicę, skoro nie udało mi się uchronić siostry.

- Cóż mogłeś zrobić? Nikt nie wiedział, że Niemcy zatopia "Lusitanię".

- Nikt? W dniu, kiedy odpływała, niemiecka ambasada w Waszyngtonie zamieściła w prasie ogłoszenie, ostrzegając podróżnych, że każdy statek płynący pod angielską banderą może stać się celem ataku. Powinienem był... - zamilkł na chwilę, żując w zamyśleniu koniuszek cygara. - Maudie już nie uratuję. Musimy myśleć o żywych.

- Kiedy pojedziesz do Dorking?

Westchnął i znów przywołał na usta uśmiech.

- Jutro. A ty? Vita wspomniała, że chcesz najpierw odwiedzić rodzinę.

- Tak. Spędzę z nimi kilka dni.

- Chcesz może przygotować ich na nowinę, dotyczącą ciebie i Diany?

Uśmiechnąłem się nieśmiało.

- Być może.

- Musisz przyjechać przed kolacją.

- Nie martw się, przyjadę.

Leżąc w łóżku, długo rozmyślałem o życiu. Gdybym wyjechał z Wenecji - tak jak chciałem - zaraz po śmierci Maksa, wszystko potoczyłoby się inaczej. A może nie? Nie mogłem wiedzieć, czy przybity tym, że nie udaje mi się oczyścić pamięci przyjaciela, nie wróciłbym do Diany, by w jej ramionach szukać pociechy. Straciłem nadzieję na to, że uda mi się odkryć coś, co uwolni Maksa od stawianych mu zarzutów. Czas nadwątlił moją wiarę w jego niewinność; czas i wszystkie cechy mojego charakteru. Po cóż więc miałbym robić to, co sobie obiecałem, gdy jeszcze zamierzałem przywrócić mu dobre imię? Czy nie lepiej będzie zrezygnować z próżnych wysiłków i zatracić się w ponętej przyszłości, jaka mnie czekała dzięki Quincy'emu? Zasypiając byłem przekonany, że tak zrobię.

Śnił mi się Maks. Widziałem go tak wyraźnie, jak nigdy podczas nocy spędzonych z Dianą w Villa Primavera. W moim śnie krył się w mroku, podczas gdy my splataliśmy się ze sobą, ogarnięci szalem przekraczającym wszystko, czego dotąd doświadczyliśmy, ale wyszedł z cienia w momencie, gdy wbiłem się w nią, i krzyknął w tej samej chwili co ja. Obudziłem się z walącym sercem, szybko oddychając; z

trudem oddzielałem pożądanie od strachu. Nagle zrozumiałem. Nawet moje sumienie nie mogło zlekceważyć tego wezwania. Musiałem na nie odpowiedzieć.

Wymeldowałem się z hotelu przed śniadaniem. W recepcji zostawiłem liścik zaadresowany do Quincy'ego. Odebrałem samochód z garażu przy Ecclestonie, w którym zostawiłem go przed wyjazdem do Wenecji, i ruszyłem na północ. Nie jechałem do Letchworth. Wybierałem się znacznie dalej, w dość dziwnym celu.

Przez cały długi, jesienny dzień jechałem na północ, skrajem krainy równinnych moczarów, potem przez samo serce ospałego zagłębia węglowego w Vorkshire, ku tej części Anglii, której dotąd starałem się za wszelką cenę unikać: do surowego i niegościnnego królestwa dymiących kominów i zaciętych twarzy, gdzie trudy życia i niebezpieczeństwo zwieszają się nad każdym miastem niewidzialną chmurą. Noc zapadła wcześniej i straciłem nadzieję, że uda mi się dotrzeć na miejsce w ciągu jednego dnia. Schroniłem się w hotelu w Durnham. Dopiero nazajutrz przed południem dotarłem do celu, leżącego prawie pięćdziesiąt niegościnnych i pustych kilometrów za Newcastle: do nieładnego miasteczka targowego Alnwick, kryjówki byłego korespondenta z Fleet Street, George'a Duggana. Długo z tym zwlekałem, ale musiałem odbyć tę długą drogę, żeby wysłuchać tego, co miał mi do powiedzenia. Spodziewałem się - a nawet w głębi ducha żywiłem taką nadzieję - że będzie to coś bezsensownego, ale gdy byłem już blisko, poczułem dziwny niepokój.

Na ulicach panował duży ruch. Bez trudu znalazłem biura "Alnwick Advertiser". Znajdowały się na zatłoczonym pierwszym piętrze budynku, w którym - jak głosiły tabliczki na drzwiach - mieściły się jeszcze "Morpeth Mercury" i "Coquetdale Clarion". Było oczywiste, że jest to samo dno dziennikarskich ambicji. Dwaj ziewający i drapiący się pracownicy, ukryci za leżącymi na biurkach nierównymi stertami starych egzemplarzy przeróżnych gazet, z pewnością nie czuli nieprzepartego pragnienia zdobywania dla czytelników ciekawych informacji. Gdy usłyszeli nazwisko George'a Duggana, byli wyraźnie rozbawieni.

- Był tutaj, ale koło jedenastej coś mu nagle wypadło.

- Tak, otwarto puby.

- Gdzie mogę go znaleźć? - spytałem, kiedy przestali się śmiać.

- Możliwe, że znajdzie go pan w Czarnym Łabędziu.

- Albo w Brudnej Flaszce.

- Mogę się jednak założyć - powiedział jeden z nich, zerkając na zegarek - że będzie teraz w Królewskiej Piance.

Spytałem o drogę i przeszedłem na drugą stronę placu targowego, na którym roiło się od kramarzy i kupujących. Można by sądzić, że całe Northumberland przyjechało tego dnia do miasteczka. Bar Królewska Pianka zasnuwał gęsty dym z papierosów; poza tym widok przesłaniał mi rząd zwróconych do mnie plecami gości. Powoli wszedłem między nich, usłyszałem znajomy kaszel, ruszyłem w tym kierunku, minąłem wysokie przepierzenie i znalazłem za nim George'a Duggana, siedzącego na wysokim stołku i pijącego rum. W przerwach pociągał niedokładnie zwiniętego papierosa.

- Duggan! - Musiałem krzyknąć, żeby mnie zauważył. Przesłonięte pijacką mgiełką oczy przyglądały mi się długą

chwilę, zanim dostrzegłem w nich błysk świadczący o tym, że mnie poznał. - Jestem Guy Horton. Pamięta mnie pan?

- Pan Horton - odparł. - Proszę, proszę. Nie spodziewałem się zobaczyć pana w Alnwick.

- Ja zaś nie sądziłem, że tu przyjadę. Skoro już tu jestem, czy moglibyśmy porozmawiać?

- O czym?

- O Fabianie Charnwoodzie.

- Nie mam ochoty - kapryśnie pokręcił głową.

- Po co więc zostawił mi pan swoją wizytówkę? Dlaczego pan nalegał, żebym się z panem skontaktował, jeśli zdobędę nowe informacje?

- Wtedy myślałem, że pan pomaga Wingate'owi. I że Wingate pomoże mnie.

- Maks Wingate nie żyje.

- Wiem. Czytałem o tym. Zabiła go córka Charnwooda, prawda? Jakaś bzdurna bajeczka o tym, że on pana dusił, a ona przypadkiem uderzyła go w głowę, w miejscu, gdzie miał nadwerżoną czaszkę. Chce pan, żebym w to uwierzył?

- To prawda.

- A ja jestem lordem Beavebrookiem w przebraniu. -Przerwał, zaciągnął się papierosem, zakaszłał i dźgnął mnie w pierś niepewnym palcem. - Kupili cię, co Horton?

- Nikt mnie nie kupił.

-Myślałem, że jesteśmy po tej samej stronie. Dlatego pojechałem do Londynu, żeby z tobą porozmawiać. Pomyliłem się. Jesteś jednym z nich.

- Z jakich "nich"?

- Jednym z tych drani, którzy... - przerwał, żeby przyjrzeć mi się z uwagą. - Nic więcej nie powiem - rzekł z uporem.

- Wcześniej chciałeś mi opowiedzieć.

- To było zanim pomogłeś panie Charnwood pozbyć się Wingate'a.

- Nikt się go nie pozbywał. To był wypadek.

- Taki sam wypadek, jak to - powiedział, pukając w przypięty do klapy marynarki mak, przypominający o ofiarach wielkiej wojny. Znowu przypomniano mi o wojnie. Dlaczego? Co to może znaczyć?

Miałem go o to zapytać, ale podszedł do nas właściciel baru, napełnił kufel Duggana piwem z rumem i spojrzał na mnie pytająco. Zamówiłem szkocką whisky i zapłaciłem za siebie i za swojego towarzysza, ale nie doczekałem się podziękowania.

- Jestem pewien, że Maks nie zabił Charnwooda - powiedziałem. - Chciałbym go zrehabilitować, chociaż jest za późno, żeby mu pomóc. Nie siedzę u nikogo w kieszeni i nikt mi nie płaci. Nie mam pojęcia, w jakich kręgach obracał się Charnwood, ale...

- Kręgi! - Duggan zakrztusił się piwem; minęła długa chwila, zanim znów mógł mówić. - Jeśli... rzeczywiście nie wiesz... o co w tym wszystkim chodzi... to masz szczęście. -Kaszel co chwilę przerywał jego słowa.

Coś mi się przypomniało. Wyjąłem anonim, który Diana dała mi na przechowanie i pokazałem go Dugganowi. Szczeka mu opadła, a oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Przysłano to siostrze Charnwooda i jego córce do Wenecji. Dwa koncentryczne koła na czystej kartce. Nic więcej. Żadnego wyjaśnienia. Tylko ten... symbol. Jego siostra... była chyba przestraszona.

- Możliwe.

- Dlaczego? Rozejrzał się w koło.

- Schowaj to, na miłość boską - szepnął.
- Dobrze - powiedziałem, wkładając list do kieszeni marynarki. - Odpowiedz na moje pytanie.
- Ani mi się śni.
- Dlaczego?
- Im mniej będziesz wiedział, tym lepiej. Szczęśliwi ci, którzy nie wiedzą.
- Sześć tygodni temu byłeś innego zdania. Chciałeś zdobyć jak najwięcej sojuszników.
- Wingate mógłby być świadkiem. Chciałem się dowiedzieć, co on wie. Mogłeś mnie do niego doprowadzić. Tymczasem pomogłeś im zamknąć mu usta na zawsze.
- To nie tak.
- Już to mówiłeś.
- Powiedziałem prawdę. Pokiwał głową.
- Możliwe. Kłopot w tym, że nie mam pewności.
- Ja również nie. Będziemy musieli sobie zaufać.
- Zaufać? - wytrzeszczył oczy. - Chyba żartujesz.
- Nie. Jeśli wolisz, żebym przekonał cię w inny sposób... Zmrużył oczy.
- Grozisz mi, Horton?
- Tylko tym, co kryje twoja przeszłość. Czy wydawca "Advertisera" wie, co się stało na Clapham Common? A właściciel tego pubu? Albo szacowna wdowa, u której pewnie wynajmujesz pokój? A inni mieszkańcy tego plotkarskiego miasteczka?
- Nie - mruknął. - Nie wiedzą.
- Sądzę, że wolałbyś zachować to w tajemnicy.
- Tak.
- W takim razie, musisz mi opowiedzieć wszystko, co wiesz o Gharnwoodzie.
Zaciągnął się papierosem, z trudem stłumił kaszel i powiedział:
- To szantaż.
- Szantażysta chce pieniędzy, Duggan. Ja chcę informacji.
- Jak dowiedziałeś się o Clapham Common?
- Pamiętają cię jeszcze na Fleet Street.
- Tak? Powinienem się spodziewać, że moi koledzy po fachu nic z tego nie rozumieją. To było bezpodstawne oskarżenie. Można powiedzieć, że to ja zostałem zgwałcony. Wrobili mnie w to. - Widząc na mojej twarzy drwinę, dodał: -Nie wierzysz mi. Gdybyś rozumiał, uwierzyłbyś.
- Wytłumacz mi to.
Zacisnął zęby i przyglądał mi się przez chwilę. Wokół nas unosił się dym papierosowy i gwar pijackich rozmów.
- Dobrze - zgodził się po chwili. - Niech ci będzie. Powiem, ale nie tutaj. Nie w Alnwick. W tym miasteczku ściany mają uszy.
- Możemy pojechać na wrzosowiska.
- Lepiej na wybrzeże. Tam czuję się bezpieczniej.
- Niech będzie, chociaż jestem przekonany, że nie ma potrzeby...
- Jest potrzeba! - Patrzył mi prosto w oczy. - Szybko się o tym przekonasz, możesz mi wierzyć.
Jednym haustem dopił piwo, zlął ze stołka i obrzucił podejrzliwym spojrzeniem barowych gości.
- Chodźmy - mruknął. - Zanim zmienię zdanie.
Wyjechaliśmy przez wąską bramę w średniowiecznym murze obronnym. Duggan skierował mnie na wschód, na drogę do Alnmouth. Na łagodnym wzniesieniu po lewej stronie stała

kamienna kolumna, z której spoglądał lew z zadartym ogonem. Duggan podążył wzrokiem za moim spojrzeniem i przerwał zwijanie papierosa, żeby powiedzieć:

- Lew jest w godle rodziny Percych, książąt z Northumberland. Przez sześćset lat rządili Alnwick, z zamku po drugiej stronie miasta. Kolumnę zbudowano z dobrowolnych składek dzierżawców, jako wyraz powszechnego szacunku.

- Z twoim wyjątkiem? - spytałem, wyczuwszy w jego głosie sarkastyczną nutę.

- Nie mam powodu do narzekań. Książę namówił wydawcę "Advertisera", żeby mnie przyjął, kiedy wyszedłem z więzienia. Żadna inna gazeta nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

- Okazał się wielkoduszny.

- Zrobił to na prośbę lorda Greya.

- Masz na myśli wicehrabiego Greya? Niegdyś ministra spraw zagranicznych?

- Mieszka kilka kilometrów stąd, w Fallodon. - Duggan spojrział na mnie i skrzywił się. - Właśnie mi się przypomniało, że jest absolwentem Winchester. Jak ty.

- Musiał tam studiować na długo przede mną.

Znany mąż stanu słynny był z powściągliwości. Mało prawdopodobne, żeby wstawiał się za kimś takim jak Duggan. Na mojej twarzy zapewne odmalowało się niedowierzanie.

..

- Masz wątpliwości, Horton? Myślisz, że mydlę ci oczy?

- Dlaczego lord Gray miałby ci pomagać?

- Bo zorientował się, że mnie wrobili.

- Chcesz powiedzieć, że wierzył w twoją niewinność?

- Podejrzewał, że jestem niewinny. Obawiał się, że jestem. Bał się tego, co się z tym wiąże.

- A co się z tym wiąże?

Duggan zapalił papierosa, zaciągnął się i długo kaszłał, zanim się odezwał.

- Wkrótce będziemy w Alnmouth. Tam skęcimy na plażę. Pilnij drogi.

Musiałem więc jeszcze trochę zaczekać. Wjechaliśmy do miasteczka zbudowanego na piaszczystym cyplu, u ujścia rzeki Aln, podjechaliśmy pod same wydmy i zesliśmy na plażę, gdzie ostry wiatr wiejący od Morza Północnego porwał nam słowa z ust i unosił w niebieskie, słone powietrze. Tu nikt nas nie mógł usłyszeć i Duggan wreszcie poczuł się bezpieczny.

- Dwadzieścia lat temu byłem innym człowiekiem, Horton. Pewnie każdy z nas mógłby to o sobie powiedzieć. Ale ja zmieniłem się bardziej niż inni. Mogliby to potwierdzić ci, którzy pracowali ze mną w "Topicalu". Więzienie to zrobiło. I wojna. Dla mnie jedno niczym się nie różni od drugiego. Z jednego powodu.

- Jakiego?

- Przez Charnwooda. - Rzucił niedopałek na piasek i wcisnął rękę głęboko w kieszenie. - Boże, jak ja żałuję, że w ogóle usłyszałem to przekłętą nazwisko.

- Gdzie usłyszałeś je po raz pierwszy?

- W Wiedniu. Dwudziestego lipca 1914 roku. Tak, pamiętam czas i miejsce. Nie ma obawy, nigdy tego nie zapomnę. - Westchnął głęboko, zaczął kaszleć i dopiero po chwili się wyprostował. - Od ośmiu lat pracowałem w "Topicalu". Od kiedy kupił go lord Northcliffe. Chciał z niego zrobić coś na kształt "Daily Mail", ale mu nie wyszło. Wszyscy właściciele

gazet cierpią na megalomanię, ale w przypadku Northcliffa był to prawdziwy kompleks Napoleona. Na szczęście rzadko się z nim widywałem. Nieustannie wyjeżdżałem do takiej czy innej europejskiej stolicy, skąd donosiłem o kolejnych kryzysach międzynarodowych. Wybuchaly jak pożary podczas suszy. Najgorzej było na Bałkanach. Nie miałem jednak wątpliwości, że wszystko da się uspokoić. Żaden z dyplomatów i polityków, z którymi przez te lata rozmawiałem, nie chciał wojny. Dlaczego więc miałyby wybuchnąć?

- Zdawało mi się, że Niemcy tylko czekali na pretekst. Jęknął.

- Niewiele rozumiesz. Cóż, nie ma się czemu dziwić. To jakos tłumaczy śmierć dziesięciu milionów żołnierzy. Winę można zwalić na Kaisera.

- A ty na kogo zważyłbyś winę?

Spojrzał na mnie; po jego ustach przebiegł skurecz: ni to uśmiech, ni grymas. Potem, patrząc przed siebie, zaczął mówić:

- Kiedy ty wysługiwałeś się starszym uczniom w Winchesterze, Europa dzieliła się na dwa zbrojne obozy. Żaden z nich nie chciał wojny, ale nie chciał też stracić twarzy. Trudno jest raz za razem odsuwać niebezpieczeństwo, ale oni robiliby to do dzisiaj. Powinni tak robić.

- Powiesz mi, dlaczego tak się nie stało?

- Tak.

- Czy to ma coś wspólnego z Charnwoodem?

- Coś? Można tak powiedzieć, jak sądzę - pokręcił głową z niezadowoleniem. - Może mnie wreszcie wysłuchasz? Zamknij usta i nastaw uszu.

Z trudem się powstrzymałem, żeby nie powiedzieć mu czegoś do słuchu, wiedziałem jednak, że jeśli go obrażę, niczego się nie dowiem. Obiecał, że wszystko mi powie, ale chciał to zrobić po swojemu; musiałem przyjąć jego warunek.

- Dobrze - odparłem.

- W porządku. To było tak. W cesarstwie Austro-Węgierskim było więcej Serbów niż w samej Serbii. Cesarz Franciszek Józef i jego doradcy obawiali się rewolucji w granicach cesarstwa, a szczególnie w Bośni, gdyby Serbia wzrosła w siłę. A może nawet, gdyby nadal istniała. Cóż mieli robić? Gdyby napadli na Serbię, mieliby wojnę z Rosją. Niemcy wsparłyby Austrię, ale Francja stałaby po stronie Rosji. Gdyby Niemcy zaatakowały Francję, Wielka Brytania przy-szłaby jej z pomocą. To oznaczałoby wojnę światową. Zresztą, gdyby nawet liczyli, że wyjdą z takiej wojny zwycięsko, to gdzie mieli szukać pretekstu, żeby zacząć? Gdzie znaleźć słuszny i honorowy powód?

Nawet ty znasz odpowiedź. Zamordowanie następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie, dwudziestego pierwszego czerwca 1914 roku. Nazajutrz po tym wydarzeniu wysłano mnie do Wiednia, żebym opisał pogrzeb i jego dyplomatyczne reperkusje. Wszystko zdawało się oczywiste. Serbski student oddał śmiertelny strzał. Jeśli nasłał go rząd serbski, cesarz musiałby wypowiedzieć wojnę, by pomścić śmierć bratanka. Ale w polityce Austro-Węgier nic nigdy nie było oczywiste. Byłem tam kilka razy i wiedziałem o tym. Franciszek Ferdynand był człowiekiem trudnym i nie lubianym. Wielu ludzi ucieszyła jego śmierć. Gdyby udało się udowodnić, że rząd serbski ma czyste ręce... - Wzruszył ramionami. - Ogień nie był większy od innych, wcześniejszych. Na pogrzebie nie było słyhać szlochania. Jeden z członków ochrony osobistej arcyksięcia popełnił

samobójstwo; podobno z rozpaczy, że nie zginął w obronie następcy tronu. Poza tym jednak nie było wielkich gestów ani domagających się krwi przemówień. Oficjalna reakcja na to smutne wydarzenie była spokojna i wyważona. W Sarajewie policja rozpoczęła śledztwo. Wielu żołnierzy było na przepustkach, ponieważ zaczynały się żniwa, ale nie odwoływano ich z urlopów. Szef sztabu i minister wojny przeprowadzili się na lato do wiejskich rezydencji. My, dziennikarze, wysiadaliśmy po wiedeńskich kawiarenkach pijąc kawę, czytając uspokajające oświadczenia biura prasowego ministerstwa spraw zagranicznych i zastanawialiśmy się, o co w tym wszystkim chodzi. W poniedziałek, dwudziestego lipca, dowiedziałem się wreszcie. Poprzedniego wieczoru, gdy wróciłem do hotelu, wręczono mi list od pułkownika Aleksandra Broscha von Aarenaua, jeszcze niedawno szefa kancelarii wojskowej Franciszka Ferdynanda. Poznałem go podczas kryzysu spowodowanego aneksją Bośni w 1908 roku. Był najbardziej lojalnym i bystrym doradcą arcyksięcia, nawet po odejściu z kancelarii. Razem z następcą tronu snuł dalekosiężne plany zreformowania cesarstwa po śmierci Franciszka Józefa. Brosch odznaczał się taktem i delikatnością, których brakowało Franciszkowi Ferdynandowi. Potrafił doskonale wykorzystywać prasę; używał takich sokołów jak ja, żeby wygrywać sprawy dla swojego pana. Nie miałem o to żalu. Był szlachetnym człowiekiem. Poza tym, żyłem nadzieją, że kiedyś dostanę od niego coś prawdziwie interesującego. Listu od Broscha nie mogłem zignorować. Nabazgrał go w pośpiechu, prosząc o spotkanie o północy, na jednym z mostów na Dunaju. Było to niezwykle. Broscha spotykało się o trzeciej po południu, spacerującego po Belwederze z cygarem w zębach. Ale żeby miał się czaić o północy na moście? Nigdy!

Przynajmniej ja tak sądziłem. A jednak dostałem to dziwne wezwanie. Nie wiedziałem, co o tym sądzić, ale poszedłem na wskazane miejsce.

Czekał na mnie w cywilnym ubraniu. Cały czas rozglądał się ostrożnie, a może nawet podejrzliwie. Był bardziej zdenerwowany niż inni żałobnicy, co było przecież naturalne, ale... znać było po nim coś więcej niż smutek. Zachowywał się... dziwnie, niepokojąco. Chciał ze mną rozmawiać, więc - jako dobry reporter - zgodziłem się go wysłuchać. Poprowadził mnie okrężną drogą do katedry Świętego Szczepana. Nie znałem tych uliczek. Co chwila oglądał się przez ramię, jakby się bał, że ktoś może nas śledzić. Na początku myślałem, że to zbytek ostrożności z jego strony. Wkrótce jednak i ja zacząłem się oglądać za siebie.

Brosch zdradził mi tajemnicę państwową. Po południu zebrała się rada ministrów i uzgodniono treść ultimatum, które miało być dostarczone Serbii we wtorek, dając zaledwie czterdzieści osiem godzin na udzielenie odpowiedzi. Warunki ultimatum były nie do przyjęcia. Brosch był pewien, że Serbia je odrzuci i że najdalej za tydzień wybuchnie wojna. Nie wierzyłem własnym uszom. To była najbardziej sensacyjna wiadomość, jaką mogłem usłyszeć. Dlaczego mi o tym powiedział? Ponieważ było coś jeszcze.

"Dlaczego mi pan o tym mówi, pułkowniku?" - spytałem.

"Ponieważ jest pan jedynym angielskim dziennikarzem przebywającym w Wiedniu, do którego mam zaufanie - oparł swoim piskliwym głosikiem. - Potrzebuję pańskiej pomocy. A

pan mojej. Słyszał pan o samobójstwie majora Kószegei?"

Odparłem, że tak.

"To był dobry człowiek. Nie możemy sobie pozwolić na takie straty. Przyszedł do mnie nazajutrz po pogrzebie, żeby wyznać, iż odegrał pewną rolę w spisku. Żałował tego".

"W jakim spisku?" - spytałem.

"W zamordowaniu arcyksięcia" - odparł.

"Kószegei pracował dla Serbów?" - spytałem.

"Nie, panie Duggan - odparł Brosch. - To nie Serbowie go zabili".

"A kto?"

"Tajna międzynarodowa organizacja. Nazywa się Stowarzyszenie Koncentryczne. Kieruje nią Anglik. Dlatego przychodzę do pana. Muszę wiedzieć o nim jak najwięcej, zanim będzie za późno. Nazywa się..."

Duggan przerwał, wyprostował się i spojrzał na mnie. Wspomnienia przywróciły jego oczom blask i dodały mu sił. Wiedziałem, jakie nazwisko zamierzał wymienić. Miałem w kieszeni kartkę z dwoma koncentrycznymi kołami. Przypomniały mi się słowa Charnwooda, gdy wprawił na swoim biurku w wirujący ruch srebrną pięcioszylingówkę: "Tak więc okrąg i prosta mogą być tym samym, zależnie od punktu patrzenia". Krag jego władzy. Linia prosta jak tor lotu pocisku. Tutaj, na plaży w Northumberland. I tam, na zatłoczonej uliczce w Sarajewie.

- Nie wierzę - powiedziałem.

- To samo powiedziałem Broschowi - odparł Duggan. - "Nie wierzę". To samo on mówił Koszegiemu. Ale zmienił zdanie. Ja również. Teraz kolej na ciebie.

- Niemożliwe.

- Ale prawdziwe. Równie prawdziwe, jak ja i ty, Horton. "Nazywa się Fabian Charnwood", powiedział wtedy Brosch.

Od strony miasta szedł ku nam jakiś człowiek; zabawiał się rzucaniem patyka swojemu psu. Ledwo Duggan go zobaczył, zawrócił i szybkim krokiem ruszył w przeciwnym kierunku. Poszedłem za nim. Z trudem dotrzymywałem mu kroku. Starłem się uporządkować pytania, kłębiące się w mojej głowie. Charnwood miałby być odpowiedzialny za zabójstwo w Sarajewie i za wielką wojnę? Za te nędzne lata, które spędziliśmy z Maksym w Macedonii? Za chory umysł mojego brata Feliksa? Za śmierć ludzi, którzy trafili na listy poległych wszystkich krajów biorących udział w wojnie? Niemożliwe, niewiarygodne, nie...

- Brosch kazał Koszegiemu wziąć się w garść i przestać pleść głupstwa. Jakie miał dowody? Jakie mogły być przyczyny? Kószegei starał się odpowiedzieć na te pytania. Do udziału w spisku namówił go następca Broscha na stanowisku szefa kancelarii wojskowej Franciszka Ferdynanda, pułkownik Karl von Bardolff.

- Karl von Bardolff? - przerwałem, przypominając sobie staruszkę w kepi, którego widziałem na jachcie Visaricia.

- Tak. Dlaczego cię to dziwi?

- Bo... On żyje do dzisiaj.

- Możliwe. I co z tego? -

Żyje do dzisiaj. I współpracuje - zakładając, że to ten sam człowiek - z Francuzem, Anglikiem i Jugosłowianinem. Czy aby Visarić rzeczywiście jest Serbem? "Mówi, że jest Jugosłowianinem - powiedział mi Faraday - cokolwiek by to miało znaczyć".

- Przepraszam - powiedziałem. - Mów dalej.

- Bardolff dowiedział się o wątpliwościach Kószegego odnośnie do reform planowanych w cesarstwie po śmierci panującego władcy, oznaczających koniec węgierskiej autonomii, wypędzenie z cesarstwa Żydów, masonów i liberałów i uspokojenie narodów słowiańskich. Franciszek Józef miał już dobrze po osiemdziesiątce i wszystko to mogłoby zostać zrealizowane w najbliższej przyszłości. Kószegiemu nie podobały się te plany, szczególnie zaś ograniczenie praw Węgrów. Lojalność wobec ojczystego kraju przedkładał ponad lojalność wobec księcia. Kierując się pobudkami patriotycznymi, zgodził się odegrać swoją rolę. Bardolff był przewodniczącym komitetu, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo arcyksięcia podczas wizyty w Sarajewie; powiedział, że celowo nie podejmie niezbędnych kroków, by dać szansę zamachowcom gotowym zabić następcę tronu podczas przejazdu przez miasto. Kószege, członek straży przybocznej, miał zachować bierność i udawać, że nic nie widzi. Potem winę za zabójstwo miano przypisać Serbii i w ten sposób uratować cesarstwo przed niepewną przyszłością. Kószege przystąpił do spisku.

- Nie rozumiem. Dlaczego Charnwood miałby brać udział w spisku, którego celem było zachowanie autonomii Węgier?

- To nie miało nic wspólnego z rzeczywistym celem spisku. Kószege zrozumiał to, kiedy było już po wszystkim. Po pogrzebie inny członek straży przybocznej upił się i wygadał Kószegiemu prawdę. Franciszka Ferdynanda nie zabito dla ratowania Węgier. Został zabity, żeby dać pretekst do rozpętania wojny światowej. Spiskowcy działali na rzecz organizacji o nazwie Stowarzyszenie Koncentryczne. Chodziło im o pieniądze. Fabian Charnwood obiecał im mnóstwo pieniędzy z zysków, jakie przyniesie wojna.

- Nadal nie rozumiem. Jakie zyski? Jak zamierzał na tym zarobić?

- Tego Kószege nie wiedział. Nie chciał wiedzieć. Był współwinny morderstwa. Ideały, które w jego mniemaniu usprawiedliwiały ten czyn, posłużyły za pretekst. Tego było mu dość. Nazajutrz po rozmowie z Broschem zastrzelił się. Dopiero teraz Brosch zaczął poważniej traktować jego wyznanie. Zawsze miał wątpliwości co do zdrowia psychicznego Bardolffa. W Sarajewie władze porządkowe dopuściły się karygodnych zaniedbań. Czyżby rzeczywiście wchodziło w grę coś poważniejszego niż zwykła niekompetencja? Zaczął zadawać pytania i sprawdzać różne możliwości. Pojechał do Sarajewa, żeby zapoznać się z okolicznościami zabójstwa. Im więcej wiedział, tym bardziej był skłonny wierzyć w to, co powiedział mu Kószege. Dwudziestego ósmego czerwca w pobliżu miasta znajdowało się siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy. Franciszek Ferdynand pojechał do Bośni, żeby przyjrzeć się manewrom. Gubernator Bośni, generał Potiorek, mógł na czas wizyty arcyksięcia obstawić ulice wojskiem. Tak postąpili jego poprzednicy podczas wizyty cesarza w 1910 roku. Mógł wezwać tajną policję i oczyścić miasto z dysydentów i cudzoziemców; tak było w 1910 roku. Ale nie zrobił tego. Kiedy w niedzielny poranek arcyksiążę z żoną wjeżdżali do Sarajewa, rzucono w nich bombę, ale niecelnie, tak że raniono tylko adiutanta. Książęca para pojechała do ratusza, gdzie zjadła obiad. Arcyksiążę pytał Potioreka, czy nie obawia się kolejnej bomby. Potiorek odparł, że nie. Cóż było warte jego słowo? Powinien nalegać, żeby arcyksiążę nie ruszał się z ratusza, dopóki nie

przybędzie wojsko, zdolne go ochronić. Ale nie zrobił tego. Sztywno trzymał się ustalonego programu. Wręcz upierał się przy tym, ale żona arcyksięcia chciała odwiedzić w szpitalu rannego adiutanta. To zmusiło ich do zmiany trasy. Tak się jednak dziwnie stało, że nikt nie uprzedził kierowcy o zmianie. Pojechał ustaloną wcześniej drogą i skręcił gwałtownie, gdy Potiorek zwrócił mu uwagę, że nastąpiła zmiana planów. Stało się to dokładnie w miejscu, gdzie stał jeden z zamachowców, Princip, z rewolwerem gotowym do strzału. Princip podszedł do samochodu i zastrzelił najpierw arcyksięcia, potem jego żonę. Ona zmarła natychmiast, on po kilku minutach.

- Co zrobił Brosch, gdy się o tym dowiedział?

- Odwiedził Potiorka i zażądał wyjaśnień. Ale Potiorek nic nie powiedział, tylko narysował na kartce koncentryczne kręgi i pokazał je gościowi. Pewnie myślał, że Brosch jest członkiem Stowarzyszenia Koncentrycznego, albo wie o jego działalności. Sądził iż wystarczy dać do zrozumienia, że Stowarzyszenie jest zadowolone z tego, co się stało. Do chwili opuszczenia Sarajewa Brosch udawał, że rzeczywiście jest jednym z nich. Doszedł do wniosku, że skoro nie wahali się zabić arcyksięcia, nie będą mieli litości dla pułkownika. Fakt, że Potiorek użył ich znaku, przekonał go, że Stowarzyszenie Koncentryczne rzeczywiście istnieje i ma ogromne wpływy.

- Chwileczkę - zaprotestowałem, szarpiąc Duggana za łokieć, żeby zwolnił kroku. - Chcesz powiedzieć, że Potiorek też w tym siedział?

- Oczywiście.

- Ależ on jechał w tym samochodzie. Bomba mogła zabić nie tylko arcyksięcia, ale i jego.

- Brosch nie uważał Potiorka za typ męczennika. Jego zdaniem generał sądził, że sprawę mają załatwić strzelcy wyborowi. Musiał być bardzo zdziwiony, że użyto młodzieńców o gorących sercach. Zanim jednak zdążył zrozumieć, że jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie...

- Młodzieńcy o gorących sercach? Rzeczywiście. Zabójcy (Princip i reszta) byli bośniackimi nacjonalistami, uzbrojonymi i wyszkolonymi w Serbii. Wydawało mi się, że to | wszystko ustalono ponad wszelką wątpliwość wiele lat temu.

- Tak. Podczas przesłuchań przyznali, że są agentami tajnego serbskiego stowarzyszenia Czarna Ręka. Przywódca Czarnej Ręki, pułkownik Dimitrijević, był oficerem serbskich służb wywiadowczych. Z jego rozkazu Principa i dwóch innych młodych ludzi przeprowadzono pod koniec maja do Bośni i uzbrojono ich w bomby, pistolety i kwas pruski, na wypadek aresztowania. W Sarajewie czekało na nich czterech współtowarzyszy. W sumie siedem osób. W dniu wizyty rozstawili się wzdłuż trasy przejazdu i czekali na sposobną okazję. Sześcioro z nich aresztowano bezpośrednio po zamachu. Ci, którzy mieli kwas pruski, połknęli go, ale bez skutku. Prawdopodobnie dostali zwykłą wodę. Mieli przeżyć i po schwytaniu zeznać, że działali z polecenia Serbii.

- Ależ... żeby to osiągnąć... Charnwood musiałyby...

- Musiałyby wprowadzić do Czarnej Ręki członków Stowarzyszenia Koncentrycznego. Tak, Horton. Zaczynasz rozumieć, na jaką skalę zakrojona była ich działalność. Dlatego nazwali się Stowarzyszeniem Koncentrycznym. Jeden krąg, wokół niego następny, i jeszcze jeden, i jeszcze...

- Po to, żeby wywołać wojnę światową?

- Takiego zdania był Brosch. Ja mu wierzyłem.

- Dlaczego? W jakim celu?

- Nie potrafiliśmy wymyślić wiarygodnego motywu. Nie mieliśmy czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Brosch wrócił do Wiednia niepewny, czy może ufać swoim podejrzeniom. Mimo tego, co wydarzyło się w Sarajewie, nikt nie chwycił za szablę. Źle interpretował rzeczywistość; tak jak wszyscy. Myślał, że dojdzie do kompromisu. Dopiero gdy dowiedział się o wyniku tajnego posiedzenia rady ministrów z dziewiętnastego lipca, zrozumiał, że jest inaczej.

- I przyszedł do ciebie prosić o pomoc?

- Nie miał do kogo pójść. Oprócz angielskiego dziennikarza nie znał nikogo, o kim wiedziałby na pewno, że nie uczestniczy w spisku. Chciał dowiedzieć się więcej o Charnwoodzie. Spotykał go kilkakrotnie na przyjęciach w ministerstwie handlu. Wiedział, że prowadzi jakieś interesy na skalę międzynarodową. Chciał jednak wiedzieć dużo więcej; i to szybko.

- Przez ciebie?

- Przez "Topical". Obiecałem, że zrobię, co w mojej mocy. Nie byłem do końca przekonany, ale wiedziałem, że warto pójść tym tropem. Konsekwencje takiego spisku byłyby straszne. Gdyby to wszystko było prawdą, zostałyby nam tylko tygodnie, żeby zapobiec katastrofie.

- Co zrobiłeś?

Duggan stanął i spojrzał mi w oczy.

- Nie dość, Horton. Nie zapobiegliśmy katastrofie. Stało się. Świat runął pod gruzami. - Zadrzał. - Wracajmy do samochodu. Robi się zimno. Muszę zapalić, a na tym wietrze nie uda mi się.

Zawróciliśmy w kierunku wydm.

- Zatelegrafowałem do biura "Topicalu" w Londynie, żeby przysłali mi wszystko, co mają o Charnwoodzie. Czekaając na odpowiedź starałem się dowiedzieć, jakie ma znajomości w Wiedniu. I nic. Ambasada brytyjska nie chciała ze mną rozmawiać. We wtorek otrzymałem odpowiedź z Londynu, ale niewiele mi to pomogło. Charnwood jest godnym szacunku finansistą. Jego ojciec był właścicielem fabryki zbrojeniowej, ale Fabian Charnwood ją sprzedał. Produkcja na potrzeby wojska uzasadniałaby jakoś zainteresowanie wojną, ale nawet ta nadzieja zawiodła. Nie znalazłem żadnego punktu zaczepienia.

Wieczorem spotkałem się z Broschem. Był rozczarowany, że zdobyłem tak niewiele informacji, i bardzo zaniepokojony. Ultimatum miało zostać wręczone Serbom przez ministra spraw zagranicznych Austro-Węgier w Belgradzie we wtorek, o szóstej po południu. Czterdzieści osiem godzin później Austro-Węgry miały wypowiedzieć Serbii wojnę. Wkrótce potem wszystkie kraje europejskie podzieliły się na dwa wrogie obozy. Brosch błagał, żebym coś zrobił. Cokolwiek. Dałem mu do zrozumienia, że "Topical" mógłby nam pomóc, gdybym przesłał do redakcji żądania postawione w ultimatum. Brosch odparł, że robiąc to, zdemaskowałby ministra, który był jego informatorem, i siebie samego, za co obaj zostaliby ukarani śmiercią. Zresztą, Brosch nie był zdrajcą. Gdyby doszło do wojny, walczyłby za swój kraj. Póki jednak istniała szansa uniknięcia wojny, dla dobra ludzkości... - Duggan przerwał, pokręcił głową i kopnął z wściekłością, wzbijając fontannę piachu.

- Dla dobra ludzkości! Wyobrażasz sobie? Tak mi powiedział. Mnie, dziennikarzynie! Co ja wiedziałem o ludzkości?

- Tyle samo co inni.

Spojrzał na mnie surowo, jakby nie miał pewności, czy mówię poważnie. Potem jęknął i znów ruszył przed siebie.

- Przekonał mnie. A może sam chciałem dać się przekonać? Dzisiaj to bez różnicy. Doszedłem do wniosku, że muszę coś zrobić dla ludzkości. Charnwood był centralną postacią spisku i przebywał w Anglii. Nazajutrz wyjechałem z Wiednia i wróciłem do kraju w nadziei, że uda mi się namówić wydawcę 'na udzielenie mi poparcia. Miałem nadzieję, że w ciągu kilku dni, jakie mi jeszcze zostały, poznam podstawowe fakty i ujawnię prawdę o tym spisku.

Do Londynu dotarłem w czwartek po południu. Zostało kilka godzin do doręczenia ultimatum. Poszedłem prosto do biura "Topicalu" na Shore Lane. Koło czwartej przyjął mnie redaktor Jack Glenister. Spytał, dlaczego wyjechałem z Wiednia. Opowiedziałem mu o wszystkim. Nie wymieniłem tylko nazwiska Broscha. Widziałem, że mi nie wierzy. Nic dziwnego. W wygodnym biurze na Fleet Street brzmiało to śmiesznie. Robiłem, co mogłem, żeby go przekonać. Przypochlebiałem się. Padłem przed nim na kolana. To zrobiło na nim wielkie wrażenie. Wiedział, że nie jestem lizusem. Pod warunkiem, że informacja o ultimatum okaże się prawdziwa, obiecał dać mi dwóch pomocników i dwa dni na to, żebym zniszczył Charnwooda. Na nic więcej nie liczyłem. Zgodziłem się. Umówiliśmy się na spotkanie nazajutrz w południe; był czwartek, dwudziesty trzeci lipca.

Nazajutrz wszyscy już wiedzieli o ultimatum. Zostało doręczone o szóstej. Postawiono w nim tak surowe warunki, że nie było mowy, by zostały przyjęte. Poszedłem na spotkanie z Glenisterem, ale czekała mnie niespodzianka. Był u niego szef, Northcliffe.

"Przesadziłeś, Duggan - powiedział. - Zbyt wiele czasu spędziłeś w Wiedniu. Tutaj, w Londynie, nie będziemy zniesławiali angielskiego patrioty, gdy krajowi grozi wojna. Bóg jeden wie, że będziemy mieli ręce pełne roboty naciskając na rząd, by nie wycofywał się z podjętych zobowiązań; nie potrzeba nam teraz jakichś wymyślonych spisków".

Powiedziałem mu, że spisek nie jest wymyślony. Powtórzyłem mu całą historię. Northcliffe na to, że wszystkie jego gazety domagają się niemieckiej krwi i że nie chce, żeby "Topical" wyłamywał się z szeregu. W końcu stracił cierpliwość i wpadł w złość.

"Daj temu spokój, Duggan! Natychmiast! - ryczał. - Jeśli nie, to zapewniam cię, że stracisz pracę na Fleet Street".

Ja jednak chciałem ciągnąć tę sprawę dalej. Northcliffe wyszedł, wróżąc mi czarną przyszłość. Chodziło jednak o przyszłość nas wszystkich. Tym razem przedłożyłem dobro wspólne nad własne.

Kiedy szef wyszedł, Glenister próbował mnie udobruchać.

"Zrozum - powiedział - musiałem się skontaktować z właścicielem. Całe szczęście, że tak zrobiłem, inaczej obaj stracilibyśmy pracę. On uważa - i jestem tego samego zdania - że powinieneś się zająć konfliktem w szkockich kopalniach. Potrzebujemy kogoś, kto tam pojedzie i sprawdzi, czy górnicy zamierzają zażądać od króla i od kraju gwarantowanych płac minimalnych".

Chcieli usunąć mnie z drogi; wysłać do Szkocji, daleko od Wiednia. Przejrzałem ich bez trudu. Zrozumiałem, że muszę wybierać: albo zrezygnuję, albo nadal będę próbował coś zrobić, nie licząc się z konsekwencjami.

Doszliśmy do samochodu i wsiedliśmy. Duggan patrzył prosto przed siebie, na szeroką plażę i wysokie niebo, bawiąc się bibułką papierosową i ciężko dysząc.

- Co zrobiłeś?

- He? - Odwrócił głowę i skrzywił się. - Oczywiście, uparłem się przy swoim. Cholerny dureń! Glenisterowi powiedziałem, że dam spokój Charnwoodowi i w poniedziałek pojedę do Szkocji. Pożegnał mnie uradowany. Był z siebie zadowolony. - Duggan otworzył puszkę z tytoniem i wysypał trochę na bibułkę. - Łatwo było oszukać Glenistera. Pozostało jednak pytanie: co dalej? Pozbawiony pomocy "Topicalu", byłem zdany na siebie. Niewiele wiedziałem o świecie biznesu, a o Fabianie Charnwoodzie właściwie nic. Długo chodziłem po City zastanawiając się, co robić. Poszedłem do pubu niedaleko katedry Świętego Pawła; pewien znajomy facet z "Financial Times" często tam bywał. Zostałem go w lokalu. Był zadowolony, że ma z kim pogadać. Słyszał o Charnwood Investments i jego tajemniczym założycielu, ale nic więcej nie wiedział. Niewiele mógł mi powiedzieć.

Duggan fachowo poślinił bibułkę, zwinął papierosa, starannie strzepnął nadmiar tytoniu do puszek i zapalił. Zgodnie z moimi przewidywaniami, długo potem kaszłał. Papieros pomógł mu jednak uspokoić skołatane nerwy. Rozsiadł się wygodnie.

- Minęła ponad połowa z czterdziestu ośmiu godzin. Co osiągnąłem? Tylko ich rozwścieczyłem. Przez całą noc rzucałem się na hotelowym łóżku; rano wsiałem w pociąg do Dorking w nadziei, że dopadnę Charnwooda w jego legowisku. Adres znalazłem w "Who's Who". Nie muszę ci mówić, jak wygląda Bursztynowy Dwór. Znasz ten dom lepiej niż ja. Miałem szczęście. Przynajmniej w pewnym sensie. Zostałem Charnwooda. Zgodził się mnie przyjąć. Nie zdążyłem się nawet zastanowić, a już stałem przed nim w jego gabinecie. Sprawiał wrażenie łagodnego, niegroźnego, kulturalnego, podczas gdy ja spodziewałem się zobaczyć jakiegoś potwora. Byłem zaskoczony.

"Ma pan jakąś sprawę nie cierpiącą zwłoki, panie Duggan? - spytał; tak wytłumaczyłem lokajowi swoją wizytę. - Ciekaw jestem, coż to takiego?"

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Jeśli mam rację, nie przyzna się przecież do niczego. Jeśli jestem w błędzie, weźmie mnie za wariata. Niepotrzebnie wystawiłem się na niebezpieczeństwo. Zacząłem tłumaczyć, że jestem dziennikarzem i usiłuję dociec, czy za zabójstwo w Sarajewie nie jest przypadkiem odpowiedzialna międzynarodowa grupa handlarzy bronią. Spytałem go, jako eksperta, jakie jest jego zdanie. Powiedział, że nie mieliby ku temu ani wystarczających środków, ani powodów. Sugerował, że jestem przemęczony. Możliwe nawet, że bym mu uwierzył, gdyby nie coś, co dostrzegłem w jego oczach. Przyglądał mi się spokojnie, z zainteresowaniem. Miałem wrażenie, że ta sytuacja go bawi, a przecież w tym nie było nic do śmiechu. Chyba że...

- Chyba że miałeś rację, ale nie byłeś w stanie tego udowodnić?

- Tak. Później doszedłem do tego samego wniosku. Charnwood nie powinien był mnie wpuścić do gabinetu. Powinien wyrzucić mnie z domu. Ale on wolał zabawić się moim kosztem. Przez kilka minut wodził mnie na sznurku, by potem wylać na mnie kubek zimnej wody. Żałowałem, że do niego poszedłem.

- Co było potem?

- Zagrałem ostatnią kartą. Sam niewiele mogłem osiągnąć. Wreszcie to zrozumiałem. "Topical" nie chciał mi pomóc. Postanowiłem spróbować szczęścia w ministerstwie spraw zagranicznych.

- U lorda Greya?

- Wtedy był sir Edwardem Greyem, ministrem spraw zagranicznych. Człowiek o bystrym umyśle i niezłomnych zasadach. Był z tego znany na Fleet Street. W dzień wolny od pracy z pewnością nie zastałbym go w gabinecie w Whitehall. Nie! Był w swoim domku nad brzegiem Itchen w Hampshire, gdzie łowił pstrągi i słuchał śpiewu ptaków. Co więcej, był tam sam. Istniała szansa, że uda mi się przedstawić moją sprawę i że nikt nam nie będzie przeszkadzał. Gdyby udało mi się go przekonać...

Podróż dłużyła mi się niemiłosiernie. Trzy pociągi wlokące się godzinami przez Surrey i Hampshire w upalne sobotnie popołudnie, z długim oczekiwaniem w Guilford i Farnham. W końcu, koło wpół do piątej, dotarłem do Itchen Abbas. Konduktor pokazał mi drogę do domu Greya na moczarach nad rzeką, porośniętego powojnikiem i kapryfolium. Prowadziła do niego obsadzona drzewami droga. Wyglądał jak z obrazka. Greya znalazłem w ogrodzie. Spał na leżaku, jakby nie miał żadnych zmartwień. Kiedy powiedziałem, że jestem dziennikarzem, zmartwił się, ale uspokoiłem go, że nie chodzi mi o wywiad. Moje zachowanie dowodnie o tym świadczyło. Zaprosił mnie do środka, poczęstował herbatą i wysłuchał wszystkiego, co miałem do powiedzenia. Trudno powiedzieć, co sobie myślał. Zachował się jak prawdziwy dyplomata: był ciepły, ale nieprzenikniony.

"Zdaje pan sobie sprawę z tego, co to może znaczyć?" - spytałem.

"Rozumiem ewentualną powagę sytuacji, panie Duggan - odparł. - Proszę się nie martwić. Przed wyjazdem z Londynu widziałem się z ambasadorem Niemiec, księciem Lichnowskym, i prosiłem, żeby dał znać swojemu rządowi, że Wielka Brytania i Niemcy powinny wspólnie starać się o przedłużenie terminu wyznaczonego przez Austro-Węgry, w celu umożliwienia międzynarodowych mediacji".

"Nie zgodzą się".

"Dlaczego mieliby się nie zgodzić? To rozsądna propozycja".

"Ponieważ Stowarzyszenie Koncentryczne wszędzie ma swoich agentów. Oni do tego nie dopuszczą".

"Ależ, panie Duggan! Niech pan nie będzie aż tak podejrzliwy. Proszę zostawić te sprawy tym, którzy się znają na rzeczy. Nie zawieziemy pana".

Pewnie wziął mnie za wariata. Rozwiały się moje nadzieje. Jakaś organizacja, o której on nigdy nie słyszał, miałyby mieć wpływ na wszystko, co się dzieje? Tak właśnie mówi paranoik, prawda? Grey był jednak ujmująco uprzejmy. zaproponował, żebym przenocował w miasteczku i odwiedził go nazajutrz rano. Spodziewał się, że będzie mógł mi przekazać dobre wiadomości. Uśmiechając się, odprowadził mnie do drzwi i pomachał kapeluszem na pożegnanie.

Zrobiłem tak, jak powiedział. Czy mogłem postąpić inaczej? Moją ostatnią szansą było trzymać się blisko niego. Nie miałem jednak wielkich nadziei. Z każdą chwilą rozumiałem to coraz lepiej. Przez cały wieczór wbijałem wzrok w kufel piwa w gospodzie, przysłuchując się niewinnym małomiasteczkowym plotkom i sprzeczkom. Nikt nie

wspominał o Sarajewie ani o ultimatum, które Serbia już pewnie odrzuciła.

Nazajutrz z samego rana poszedłem do domku sir Edwarda. Nastrój gospodarza bardzo się zmienił. Był poważny, a nawet ponury.

"Wygląda na to, że odrzucono moją propozycję - powiedział. - Również odpowiedź Serbii na ultimatum. Austro-Węgry zerwały stosunki dyplomatyczne i zarządziły mobilizację. Proszę się jednak nie obawiać. Rozmawiałem przez telefon z moim zastępcą. Zaproponuje wszystkim europejskim rządów zwołanie w Londynie konferencji ambasadorów w celu zażegnania konfliktu".

"Kolejna propozycja?" - spytałem z goryczą.

"Nic więcej nie możemy zrobić - odparł. - Po południu wracam do Londynu i skoncentruję wysiłki na tym, by doprowadzić do porozumienia".

"A co ze Stowarzyszeniem Koncentrycznym?"

"Nie mogę się tym' zajmować. Bardzo mi przykro, panie Duggan".

Poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Pierwszym pociągiem wróciłem do Londynu. Sir Edward wolał wolniejsze tempo. Nie wierzyłem, że wyprowadzi kraj z pułapki zastawionej przez Charnwooda. Prosto ze stacji Waterloo pojechałem na Shoe Lane. Tam mogłem otrzymać najświeższe wiadomości. W "Topicalu" nikt nie wiedział nic ponadto, niż powiedział mi sir Edward. A jednak coś było. Ktoś dzwonił kilkakrotnie, usiłując się ze mną skontaktować. Nie zostawił swojego nazwiska ani żadnej wiadomości. Tylko numer telefonu w Mansion House, w City. W soboty City pustoszało, ale kiedy tam zadzwoniłem, ktoś podniósł słuchawkę; jakiś nieznajomy mężczyzna, mówiący prawie szeptem.

"Zdaje się, że wypytywał pan o Fabiana Charnwooda? - spytał.

- Nie dowiedział się pan wiele. Ja mogę panu sporo powiedzieć, ale to będzie kosztowało".

Spytałem, z kim mówię.

"Żadnych nazwisk. Mam trochę ogólnych informacji. Rozumie mnie pan?"

Powiedziałem, że tak, i spytałem, gdzie możemy się spotkać.

"Koło estrady na Clapham Common. Dzisiaj, o jedenastej wieczorem. Jeśli to pana interesuje, nich pan przyjdzie".

Poszedłem. Domyślasz się, co było dalej? Przy estradzie stał jakiś człowiek w kapeluszu nasuniętym na oczy. Powiedział, że zaprowadzi mnie w bezpieczne miejsce. Poszliśmy ścieżką w jakieś krzaki. Nagle od tyłu złapało mnie dwóch mężczyzn. Trzeci ściągnął mi spodnie. Przede mną stanął uśmiechnięty chłopiec i zaczął zdejmować z siebie mundur marynarski. Kiedy był już nagi, ukląkł. Wepchnęli mnie na niego. Potem pojawiły się pochodnie; były gwizdki i krzyki. Złapała mnie policja. Chłopak uciekł, pozwolili mu uciec. Mieli już to, co chcieli.

Nazajutrz stanąłem przed sądem, ale najpierw upadła propozycja zwołania konferencji ambasadorów. Nikt nie chciał słuchać zapewnień o mojej niewinności. Odstawiono mnie do więzienia Wandsworth. Wiedziałem już, że nikt mi nie da wiary. Rozprawa odbyła się we wtorek, czwartego sierpnia. Domek z kart zaczął się już rosypywać. Niemcy i Austro-Węgry walczyły z Rosją i Francją. W nocy do wojny przystąpiła Wielka Brytania. Gdyby wówczas ktoś chciał ujawnić prawdę, oskarżono by go już nie o szaleństwo, lecz o zdradę. Mnie skazano za rzecz wstrętną. Dostałem pięć lat.

Kary nie skrócono nawet o jeden dzień; może dlatego, że nie zachowywałem się nienagannie. A może dlatego, że ktoś miał znajomości w ministerstwie spraw wewnętrznych? W sumie jednak nie było ze mną aż tak źle jak z tymi biedakami, którzy ginęli we Flandrii. Nie sądzisz?

- Chyba tak - powiedziałem, myśląc o Feliksie i jego nieruchomej twarzy.

- Napijemy się? W miasteczku jest pub, w którym zawsze można znaleźć wolny stolik. Teraz mogą nas podsłuchiwać, jeśli chcą. To wszystko, co miałem do powiedzenia.

Czerwony Lew był ciepłym, zadymionym, przytulnym barem; żaden z gości nie okazywał zainteresowania parą nieszczęśników, na jakich z pewnością wyglądaliśmy. Nawet po dwóch kieliszkach rumu Duggan sprawiał wrażenie zmęczonego. Zacząłem żałować, że pytałem go o to wszystko, nie pozwalając zbliżyć się starym ranom. Zaczynałem już podejrzewać, że ani dla niego, ani dla mnie nie wyniknie z tego nic dobrego. Czasem można wiedzieć zbyt wiele; teraz się o tym przekonałem. Wyzbyłem się lekkomyślności i egoizmu, dzięki czemu umysł miałem jaśniejszy, ale ponury. Czuję się tak, jakbym już nigdy nie miał się śmiać.

- Przyjechałem tutaj latem 1919 roku - powiedział Duggan. - Po wyjściu z więzienia. Sir Edward był już lordem Greyem i zrezygnował z polityki, żeby resztę życia spędzić w Fallodon. Spytałem go, czy nie sądzi, że jednak mogłem mieć rację. Nie sądził; tak mi przynajmniej powiedział. Potwierdził jednak moje wcześniejsze podejrzenia: kiedy go odwiedziłem nad Itchen, wziął mnie za wariata. Poprosił, żebym został w Plough, tylko po to, żeby miał czas zatelefonować do lorda Northcliffe'a i spytać, co powinien ze mną zrobić. Northcliffe powiedział, że jestem zbzikowany, ale nieszkodliwy. Radził mi zignorować. Grey posłuchał go. Tylko jedno dowodziło mojej racji. Po wojnie okazało się, że jego propozycja mediacji została przekazana Wiedniowi przez niemieckiego ministra spraw zagranicznych dopiero po wygaśnięciu terminu wskazanego w ultimatum. Ktoś gdzieś zadbał o to, by nic z tej propozycji nie wyszło. Oczywiście Grey nadal nie był przekonany o istnieniu Stowarzyszenia Koncentrycznego. O tym, że spędziłem pięć lat w więzieniu, wcale nie wiedział. Coś jednak nie dawało mu spokoju. Pewnie dlatego zaproponował mi pomoc przy szukaniu pracy. Chciał mi w jakiś sposób zadośćuczynić za to, że nie potraktował moich słów poważnie.

- Skorzystałeś z jego propozycji?

- Oczywiście. Innej bym z pewnością nie dostał. Na Fleet Street nie witaliby mnie fajerwerkami. Nie mogłem liczyć na nic lepszego niż "Alnwick Advertiser". Zagrzebałem się więc w zaściankowym mroku i starałem się zapomnieć. Po co miałbym wspominać? Wojna się skończyła. Nic nie zmieni przeszłości.

- Co się stało z Broschem?

- Wysłałem wiele listów do ambasady austriackiej, zanim się dowiedziałem o jego losach. W końcu mi się udało. Zrobił tak, jak powiedział. Kiedy wybuchła wojna, został dowódcą pułku na froncie galicyjskim. Zginął podczas bitwy o Rawę Ruską, szóstego września 1914 roku. Chwalebny koniec, chociaż czasem zastanawiam się, czy rzeczywiście trafiła go nieprzyjacielska kula, czy też...

- Dostał w plecy?

- Coś w tym rodzaju. Nikomu nie zdradziłem jego nazwiska, nawet Greyowi, gdyby mimo to się dowiedzieli, z pewnością by go zabili.

- Ciebie nie zabili.

- Trudno byłoby wyjaśnić śmierć dziennikarza. Jeśli wiedzieli, że rozmawiałem z Greyem, mogli się obawiać, że uciszenie mnie dałoby sprytnemu dyplomacie do myślenia. Incydent z marynarzem na Clapham Common zdyskredytował mnie i moje słowa. To było bardziej skuteczne.

- Potem dali ci spokój?

- Ja dałem im spokój. Przez dwanaście lat trzymałem się na uboczu. Nikomu nie szkodziłem.

- Aż do tej chwili. Dlaczego podjąłeś ryzyko i skontaktowałeś się ze mną?

- Po śmierci Charnwooda nie muszę się tak bać. Poza tym okoliczności jego śmierci dały mi nadzieję, że uda się jeszcze dopaść tych łajdaków. - Popatrzył na mnie butnie; widocznie rum dodał mu odwagi. - Czemu nie? Przejrzałem ich. Wiem, po co to zrobili i co z tego mają: pieniądze, Hor-ton. Sam widziałeś, jak płynęły strumieniami do kieszeni handlarzy broni, producentów amunicji, dostawców wojskowych... Wojna jednych pogrążyła w żałobie, innych zrobiła bogaczami. U nas i w całej Europie. Ich zyski są niewyobrażalne. I o to im chodziło.

- To jeszcze nie dowód, że przyłożyli rękę do zamordowania arcyksięcia Ferdynanda.

- Nie. Nie dowód też, że to oni zabili Charnwooda. Ale jestem pewien, że tak jest.

- Dlaczego? Po co mieliby niszczyć swojego człowieka?

- Kto wie? Może za dużo wiedział? Może, znalazłszy się w finansowych tarapatkach, zadzwonił i upomniał się o zwrot zadawnionych długów? Uważam, że zabiła go organizacja, którą stworzył, a winą celowo obarczono pańskiego przyjaciela. Jestem przekonany, że tak jest.

Teraz i ja podzielałem jego przekonanie. To było jedyne sensowne wyjaśnienie. Jeśli jednak Stowarzyszenie Koncentryczne istnieje, żaden z nas nie miałby dość siły, żeby je zniszczyć. Śmierć Charnwooda była dowodem, że organizacja może zniszczyć każdego, nawet najbardziej przebiegłego. A więc Maks stał się mimowolną ofiarą, której nigdy nie pomszczę i nie oczyszczę z zarzutu. Nigdy też nie udowodnię światu tego, co zrobił Charnwood.

- No i jak, wiesz już wszystko, co chciałeś wiedzieć, Horton? Czy też masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie mam - mruknąłem.

- Całe szczęście. Co teraz zrobisz?

Spojrzenie Duggana stało się twarde. Przyglądał mi się bacznie. Nie potrafiłem ukryć bezradności, która była odbiciem jego własnej niemocy.

- Tak myślałem - powiedział. - To samo co ja: nic.

Zmierzchało już, kiedy wysadziłem Duggana przed jego domem w Alnwick. Obaj chcieliśmy się jak najszybciej pożegnać. Żaden z nas nie był zadowolony z poczucia bliskości, które zrodziło się między nami, kiedy Duggan podzielił się ze mną swoją tajemnicą. Teraz nie mogłem się wycofać. Nie można wyrzucić z pamięci tego, czego się już dowiedziało. W tej sytuacji pozostawało tylko jak najszybciej się pożegnać.

Dałem Dugganowi do zrozumienia, że wracam do Londynu. Najpierw jednak musiałem się upewnić, czy powiedział mi prawdę. Dopiero potem będę mógł spokojnie pogodzić się z własną bezradnością. Potrzebne mi było słowo absolwenta Winchester. Pojechałem więc na północ, nie na południe. Jedenaście kilometrów przez monotonne, coraz mgliściej rysujące się w mroku pola, do Christon Bank. Duggan wspomniał, że lord Grey mieszka w pobliżu. Mówił prawdę. Urzędniczka na poczcie powiedziała, że dwór Fallodon leży niecały kilometr za miastem.

Kiedy tam dotarłem, tylko w kilku oknach się świeciło. Pod gęstymi drzewami ogrodu panowały ciemności. Stałem przed solidną, bezpretensjonalną, wiejską rezydencją. Wszędzie panowała cisza i spokój. Pomyślałem, że gospodarza nie ma. Myliłem się. Pokojówka, która otworzyła drzwi, powiedziała, że lord Grey jest w domu. Gdy spytałem, czy absolwent Winchester może złożyć wyrazy szacunku, otrzymałem odpowiedź, że jestem mile widziany.

Sir Edward wicehrabia Grey z Fallodon, polityk, mąż stanu, ornitolog i doskonały wędkarz, znany z łowienia na muchę, był szczupłym, mizernym staruszkiem koło siedemdziesiątki. Przywitał mnie drżącym głosem, nie podnosząc się z krzesła stojącego przed ogniem płonącym w kominku. Pokojowa uprzedziła mnie, że lord Grey jest niewidomy. Trudno było się tego domyślić, ponieważ dobrze ukrywał swoje kalectwo. Zdradzały go jednak krzywo zapięte guziki.

- Rzadko miewam gości na tym odludziu, panie Horton - powiedział; najpierw jednak poprosił o herbatę i posadził mnie w wygodnym fotelu. - To miło z pańskiej strony, że pan tu przyjechał. Co najmniej raz w roku bywam w Winchesterze. Czy pan często odwiedza swoją starą szkołę?

- Nie tak często, jak powinienem. Ostatnio zwiedziłem krużganek poświęcony ofiarom wojny. Bardzo gustowny pomnik. Zdaje się, że to pan położył kamień węgielny? (Nie na darmo czytałem "The Wykehamist", który uporeczywie przysyłało mnie i Maksowi przez te wszystkie lata.)

- To prawda.

- Znalazłem tam nazwiska wielu kolegów.

- Tak? Przykro mi, Horton. Jesteście pechowym pokoleniem.

- Chyba tak. Dopiero ostatnio to sobie uświadomiłem.

- Ostatnio? Nie...

- W sierpniu tego roku poniósł śmierć finansista Fabian Charnwood.

- Mówi pan: Charnwood? Nie sądzę...

- Ależ z pewnością go pan pamięta. Rozmawiałem niedawno z George'em Dugganem. Opowiedział mi niewiarygodną historię. Zdaje się, że przed laty pan pierwszy jej wysłuchał.

- Możliwe. Chyba zdaje pan sobie sprawę, jak bujną wyobraźnię miewają dziennikarze.

- Oczywiście. Mimo to uwierzyłem mu. Sądzę, że pan również.

Grey skrzywił się.

- Jeśli Duggan powiedział panu to, co, jak sądzę, powiedział, to muszę przyznać, iż jestem zdziwiony. Sądziłem, że będzie o tym milczał.

- Milczał do dnia śmierci Charnwooda.

- A pan zainteresował się tą sprawą ze względu na...

- Ze względów osobistych. Mężczyzna oskarżony o zamordowanie Charnwooda, który zresztą też już nie żyje, był moim przyjacielem. On również skończył Winchester, a

nazywał się Maks Wingate. Walczyliśmy razem na wojnie. Jak pan powiedział, jesteście pechowym pokoleniem.

Grey skrzywił się, jakby te słowa obudziły w nim wyrzuty sumienia. Kiedy przejechał dłonią po twarzy, myśląc prawdopodobnie o tym, że w 1914 roku powinien był zrobić znacznie więcej, by odwrócić bieg wydarzeń, wiedziałem już, że powie mi wszystko, co wie. Absolwenci Winchester nie mają przed sobą tajemnic.

Przyniesiono herbatę i posprzątało nakrycia, zanim zdążyłem opowiedzieć lordowi Greyowi o tym, co mnie do niego sprowadziło. Słuchał cierpliwie, od czasu do czasu kiwając głową ze współczuciem; przez większość czasu oczy miał zamknięte. Nie przerwał mi ani razu, tylko pochylił się w fotelu, żeby mnie lepiej słyszeć. Odezwał się jednak, zanim zdążyłem postawić dręczące mnie pytania, i odpowiedział na nie.

- Będzie pan chciał wiedzieć, czy Duggan powiedział prawdę o spotkaniu ze mną. Tak. W dni wolne od pracy uciekałem do domu w Itchen Abbas, chroniąc się tam przed troskami nie dającymi mi spokoju w Whitehall. W Itchen mogłem łowić ryby, jak w Winchesterze. Okolice była... urocza. Ale te lipcowe dni w 1914 roku nie sprzyjały wypoczynkowi. Co pięć minut dzwonił Nicolson z biura. Potem w ogrodzie pojawił się Duggan. Może lepiej by było, gdybym został w Londynie. Wtedy nie mógłbym podzielić się ze mną swoimi domysłami. Może nie poszedłby do więzienia, a mnie zaoszczędziłby... wielu godzin myślenia i badania własnego serca. Może wcześniej dowiedziałbym się, że moja propozycja mediacji została przekazana do Wiednia dopiero po wygaśnięciu terminu wyznaczonego w ultimatum. W pewnym sensie Duggan miał rację. Zewsząd otaczała nas zdrada. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Gdybym o tym wiedział... Cóż, spóźnione żale niczego dzisiaj nie zmieniają.

Starłem się, jak mogłem. Nie wiedziałem, że są inni, którzy robią, co mogą, by zrealizować swoje złe zamiary. Mimo to w długie, zimne, bezsenne noce zastanawiam się czasem, co by się stało... Czy sprawy mogły potoczyć się inaczej... gdybym posłuchał Duggana.

Zapewne chce pan wiedzieć, czy wierzę w istnienie Stowarzyszenia Koncentrycznego. Sam nie wiem. Wówczas w to nie wierzyłem. Jednak po wojnie poznaliśmy tyle dwuznacznych i wykluczających się wzajemnie faktów, że niczego nie czuję się pewny. Badałem tę sprawę kilka lat temu, pisząc wspomnienia. Dotarłem do bardzo niepokojących faktów. Na przykład, jeden ze współników Principa, chłopak nazwiskiem Cabrinović, był znany policji w Sarajewie. W 1912 roku wydalono go z kraju. Dwa dni przed zabójstwem ktoś go widział i rozpoznał, ale naczelnik policji kazał zostawić go w spokoju. Człowiek się zastanawia, dlaczego. Wątpliwości rodzi sprawa kwasu pruskiego. Dlaczego Czarna Ręka miałaby chcieć, żeby jej agenci przeżyli i byli przesłuchiwanymi, skoro Serbia nie miała nadziei na wygranie tej wojny; nie miała żadnych szans wyjść z niej bez uszczerbku. Nie rozumiem tego. Tak czy inaczej, przyszło im ciężko za to zapłacić. Oficer, który szkolił Principa i Cabrinovicia, major Tankosić, zginął na wojnie w 1915 roku. Przywódca Czarnej Ręki, pułkownik Dimitrijević, został w 1917 roku skazany za zorganizowanie spisku mającego na celu zamordowanie serbskiego księcia regenta. Mówiąc oględnie, dowody przeciw niemu były nieprzekonujące. To dziwne, ale jednym z jego

obrońców był młody człowiek nazwiskiem Mehmedbasić, jedyny z zamachowców, któremu udało się uciec z Sarajewa. Dimitrijevicia skazano na dwadzieścia lat więzienia, ale został zwolniony po kilkunastu miesiącach. Wszędzie zdrada, Horton. Rozumie pan? W jakim celu? Nie wiem. Nie mam też pojęcia, jak poznać odpowiedź na to pytanie. Mogę powiedzieć tylko to, co już napisałem w swoich wspomnieniach. Może przypadkiem czytał je pan?

- Niestety nie.

- Nieważne. Pamiętam każde swoje słowo. Dzisiaj każde z nich nadal wydaje się stosowne: "Świat prawdopodobnie nigdy nie dowie się wszystkiego, co wiąże się ze śmiercią arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Przypuszczam, że nie ma i nie było człowieka, który wiedziałby wszystko na ten temat".

- Chyba że Fabian Charnwood.

- Zgadza się. Chyba że Fabian Charnwood. Ale teraz i jemu przyszło zapłacić.

- Wierzy pan, że on był za to wszystko odpowiedzialny?

- Szczerze mówiąc, nie. Nie dlatego, żebym wątpił w historię Duggana. To człowiek, który w dobrej wierze przyjął wszystko, co mu powiedziano. Fakty również nie wykluczają takiej możliwości.

- W takim razie dlaczego?

- Ponieważ człowiek, który byłby dość bystry i dalekowzroczny, żeby przewidzieć skutki zabójstwa Franciszka Ferdynanda, przewidziałby i to, że ta wojna będzie straszna. Nikt nie chciałby się przyczynić do takiej rzezi. To byłoby... - Przez moment brakowało mu słów. Po chwili powiedział: - Okropne. Diaboliczne. To nie do pomyślenia.

Rozmawialiśmy jeszcze długo. W końcu Grey zaprosił mnie na kolację i na noc. Przyjąłem zaproszenie. Grey był uroczym i samotnym reliktem minionego wieku. Chciał jak najszybciej zapomnieć o przykrym temacie, który poruszyłem, żeby opowiadać o Winchesterze, takim jakim go pamiętał sprzed z górą pięćdziesięciu lat: pogodnym i spokojnym, pod bezchmurnym niebem młodości. Z przyjemnością poddałem się temu nostalgicznemu nastrojowi; nie dlatego, że Grey był moim gospodarzem, ale z tego powodu, że i mnie przygnębiło to, czego się dowiedziałem. Pierwszy raz zawiłe zaułki wspomnień z przeszłości Winchesteru wydawały mi się lepsze od czegokolwiek innego.

Wbrew swoim oczekiwaniom, spałem smacznie i obudziłem się rześki. Zagadki i zawiłości związane z przeszłością Fabiana Charnwooda wykryzalizowały się w moim umyśle na tyle, że mogłem unieść ich ciężar. Na dole czekało na mnie śniadanie, ale jego lordowska mość - jak poinformowała mnie służąca - już wstał i wyszedł z domu. Nie należał do ludzi lubiących wylegiwać się w łóżku.

Znalazłem go przy moście, na terenie posiadłości. Siedział na ławce w wytartym tweedowym ubraniu i w kapeluszu charakterystycznym dla Norfolk; karmił chlebem rozkwakane stadko kaczek. Mimo hałaśliwego zachowania ptaków usłyszał moje kroki i serdecznie mnie przywitał.

- Muszę się już pożegnać - tłumaczyłem się. - Do Londynu kawał drogi.

- Oczywiście, oczywiście; miło mi było pana poznać, Horton. - Wstał. Uścisnęliśmy sobie dłonie; jego była zimna jak marmur. - Mam nadzieję, że nie znudziłem pana wczoraj za bardzo.

- Bynajmniej.

- Jeśli chodzi o sprawę, o której rozmawialiśmy... Lojalność wobec przyjaciela jest cnotą godną pochwały. Czasem jednak lepiej jest zapomnieć o przeszłości i zostawić tych, którzy odeszli, w spokoju. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy to, co powiem, ale zrobił pan już wszystko, co mógł i co powinien, żeby oczyścić pamięć przyjaciela.

- Ale nie zrehabilitowałem go.

- Nie przed światem, ale w swoich oczach. Właściwie to jest najważniejsze. Niech pan uwierzy staremu człowiekowi na słowo. - Uśmiechnął się. - Zrobił pan wystarczająco wiele.

Zastanawiałem się nad pożegnalnymi słowami Greya, jadąc na południe w ten krótki, listopadowy niedzielny dzień. Charnwood nie żyje. Maks również. Potępienie jednego będzie równie daremne, jak oczyszczenie z zarzutów drugiego. Wierzyłem każdemu słowu Duggana, szczególnie zaś temu, co wiązało się ze śmiercią Charnwooda. Nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć, ale byłem pewien, że Stowarzyszenie Koncentryczne - czymkolwiek jest i kimkolwiek są jego członkowie - odegrało w tym wydarzeniu decydującą rolę. Winę zrzucili na biednego Maksa.

Nie mogłem jednak tego udowodnić. Będę musiał zadowolić się wiarą w jego niewinność; tak jak powiedział Grey.

Nawet Diana będzie nadal wierzyła w jego winę. Diana nie wiedziała o Stowarzyszeniu Koncentrycznym. Przekonała mnie o tym jej reakcja na tajemniczy symbol; tak jak reakcja Vity zdradziła, że wiedziała o działalności brata, nawet jeśli nie była jego współniczką. Diana była niewinna. Gdybym chciał oczyścić Maksa, musiałbym obarczyć jej ojca odpowiedzialnością za masowe mordy i za śmierć jej matki. Zatopienie "Lusitanii" było jednym z owych skutków śmierci Franciszka Ferdynanda, których Charnwood nie mógł przewidzieć...

Wybór był prosty. Mogłem pojechać prosto do Bursztynowego Dworu, zapomnieć o tym, co wiem, pławić się w rozkoszy i czerpać z zasobów materialnych, których Diana mi nie poskapi, usprawiedliwiając swoje postępowanie tym, że skoro nie mogę już pomóc Maksowi, powinienem przynajmniej zadbać o siebie. Z drugiej jednak strony, mogłem ciągnąć swoją ryzykowną kampanię po to, by zdemaskować dawne - lecz potworne - przestępstwo, którego główny autor już nie żyje, występując przeciwko jego bezwzględny i potężny współnikom. Wybór wydawał się prosty.

Mogłem tylko odciągać moment podjęcia decyzji. Zatrzymałem się na herbatę u George'a w Stamford. Nadzieja na coś mocniejszego okazała się płonna ze względu na zakaz wyszynku w niedziele. Byłem zbyt zmęczony, żeby się kłócić. Siedząc wśród palm w donicach i rodzin w niedzielnych strojach, zdecydowałem się jechać do Letchworth. Ojcu i siostrze należało się wyjaśnienie wydarzeń, które rozegrały się w Wenecji, oraz moich zamiarów wobec Diany. Poza tym, jeśli przenocuję w Letchworth, nazajutrz będę mógł odwiedzić Feliksa. Jeśli patrząc mu prosto w oczy, potrafię utrzymać język za zębami, stanie się dla mnie oczywiste, że już podjąłem decyzję. Zdobędę pewność, że powinienem wybrać łatwiejszą drogę.

Do Pogodnej Polany przyjechałem przed dziewiątą. Siostra przywitała mnie ze zdziwieniem i powściąganą radością, ojciec zaś ze skwaszoną obojętnością. Po śmierci Maksa napisałem do nich z Wenecji list niegrzeczny i wyniosły. Ojcu to wystarczyło. Im mniej będzie wiedział o tym, co robię, tym

lepiej dla niego. W kilka minut po przyjeździe uleciały mi z głowy wszelkie myśli o szczerości i uczciwości.

- On cię nie rozumie, Guy - powiedziała Maggie, kiedy poszedł do łóżka. - Nigdy cię nie rozumiał i już nie zrozumie.

- Chyba nie....

- Jakie masz plany na... najbliższą przyszłość?

- Sam nie wiem.

Powiniennem powiedzieć Maggie o Dianie. Może otrzymałbym od niej siostrzane wsparcie, ale skrzywienie desek w podłodze w sypialni ojca, znajomy wzór na tapecie pokrywającej ścianę, przy której stało moje krzesło, i zdjęcia na pianinie zmusiły mnie do milczenia. Chciałem powiedzieć, ale nie mogłem. Na ścianie, od lat w tym samym miejscu, wisiała wyszywanka mojej matki, przyciągająca moje spojrzenie: "Szeroka brama i przestronna droga wiedzie ku zniszczeniu; wielu pójdzie nią na zatracenie".

- Chciałem - bąknąłem - odwiedzić jutro Feliksa.

- Dobry pomysł.

- Jak się czuje?

- Tak jak zawsze.

- Czyja to wina, co?

- Ależ niczyja - zdziwiła się. - Chyba nie sądzisz, że ojciec ma o to żal do ciebie? To... był wypadek podczas wojny.

- Jeśli wojnę można nazwać wypadkiem.

Zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem. O co ci chodzi?

- O nic - uśmiechnąłem się i zapaliłem papierosa. - Co słychać w szkole?

- Mogło być gorzej. Rząd zgodził się łaskawie obciąć nam pensje o dziesięć procent, a nie o piętnaście. Chyba powinniśmy być za to wdzięczni.

- Co mówisz swoim wychowankom o wojnie? Natychmiast pożałowałem tego pytania. Uparte wracanie do tego tematu zaniepokoiło ją.

- Przepraszam - powiedziałem. - Zapomnij, że cię o to pytałem. Porozmawiajmy o czymś innym.

Maggie jednak koniecznie chciała mi odpowiedzieć.

- Mówię im, że to nie może się powtórzyć i nigdy nie powinno się wydarzyć. Co miałabym mówić? Są zbyt młodzi, żeby mogli zrozumieć dlaczego i po co. Zresztą, sama nie jestem pewna, czy to rozumiem. A ty?

Przyglądałem się jej chwilę, potem spróbowałem przywołać na usta beztrouski uśmiešek.

- Oczywiście, że nie. Tylko że ja nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Zresztą, po co miałbym to robić? Przecież nic na to nie można poradzić, prawda?

Nazajutrz wstałem wcześniej, żeby zjeść śniadanie z Maggie. W nadziei, że zmiana otoczenia dobrze nam zrobi, zaproponowałem, żebyśmy zjedli razem obiad w hotelu Hali w Letchworth. Zgodziła się bez wahania. Widocznie jej oddanie szkole mało razem z pensją.

Wymieniłem kilka zdawkowych zdań z ojcem, potem pojechałem do szpitala świętego Albana. Spodziewałem się, że towarzystwo Feliksa przyniesie mi zapomnienie, ale w szpitalu w Napsbury czekała mnie niespodzianka. W przeciwieństwie do tego, co mówiła siostra, stan zdrowia Feliksa uległ zmianie.

- W sobotę stało się z nim coś dziwnego - wyjaśniła pielęgniarka. - Proszę się jednak nie martwić. Lepiej byłoby, gdyby nie wychodził pan z nim z oddziału. Chyba możecie porozmawiać na terenie szpitala?

Nie byłem tym zachwycony. Szpital śmierdzał starymi sikami i gotowaną kapustą. Niektórzy pacjenci byli ospali, inni - nienaturalnie podnieceni - widząc obcego gadali do siebie, żywo gestykułując. Feliks był blady i osłabiony. Siedział na łóżku, wsparty na poduszkach i patrzył przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Domyśliłem się, że to skutek lekarstw, które dostał.

- Witaj, Feliksie - powiedziałem, klepiąc jego dłoń.- Jak się masz?

Spojrzał na mnie tak, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Błyskotka! Skąd się tu wzięłeś?

-Przyjechałem.

-Ale... Gdzie ja jestem?

- Tu, gdzie zawsze. W Napsbury.

- Nie, nie. Nieprawda! Oni tak mówią. Ale to kłamstwo. Przenieśli mnie. To się musiało stać w sobotę w nocy. Pewnie dodali mi czegoś do kakao, żebym się nie obudził podczas podróży.

- Nie zabierali cię w żadną podróż.

- Ależ tak. Sam wiem najlepiej. Zdradziła ich kąpiel. Nie pomyśleli o tym. Zawsze kąpię się w niedzielę. Nie chcieli zmieniać rutynowego rozkładu zajęć i popełnili błąd. Woda, Błyskotko. Woda spływała do kanalizacji w złym kierunku - ściszył głos i dalej mówił tylko szeptem. - Przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. - Rozejrzał się wkoło i pochylił w moją stronę. - Gdzie jestem? W Australii? w Argentynie? Wiem na pewno, że gdzieś na półkuli południowej.

- Jesteś w Hertfordshire. - Przeświadczenie o mojej zdradzie odmalowało się na jego twarzy tak wyraźnie, że natychmiast pożałowałem swoich słów. Uśmiechnąłem się, chcąc go podnieść na duchu. - Nieważne, Feliksie. Wiem, kto ci to zrobił.

- Wiesz? - Pokiwał głową; oczy miał okrągłe ze zdumienia. Potem podniósł do ust drżący palec. - Ćśś! Nic nie mów, Błyskotko. Ani słówka. Jeśli to powiesz, ciebie również zaczną ścigać. Nie chciałbym, żeby mojemu małemu braciszкови przytrafiło się coś niedobrego, bo... - uśmiechnął się krzywo - jest jeszcze za mały, żeby walczyć.

Biedny Feliks. Nie było dla niego powrotu z dziwnego, niespokojnego świata, do którego zaprowadziła go choroba. Czyja to wina? Kogoś, o kim nigdy nie słyszał. Kogoś, kogo mój ojciec i siostra o nic nie podejrzewali i nie oskarżali. Kogoś, z kim los obszedł się o wiele lepiej.

Wyjechałem z Napsbury zmęczony uciążliwą bliskością szaleństwa. Zanim dotarłem do Letchworth, uczucie to zmieniło się w nagłą potrzebę wypicia czegoś mocniejszego. Do spotkania z Maggie została jeszcze godzina. Skreśliłem do Willian, wioski położonej przy południowej granicy miasta, w której do dzisiaj zachowały się dwa obiekty darzone przez miłujących abstynencję ideologów z Letchworth wielką nienawiścią: dwa licencjonowane szynki. Dawniej regularnie przemierzałem pieszo prawie dwa kilometry z fabryki Goddess, żeby przed powrotem do Pogodnej Polany w jednym z szynków utopić swoją chandrę. Moje najszcześniejsze - czy raczej najmniej nieszczęśliwe - wspomnienia z tych pustych lat wiążą się właśnie z Lisem i Trzema Końmi. Tego dnia zatrzymałem się w tym drugim szynku. Było ciepło i spokojnie. Wziąłem potrójną szkocką i usiadłem przy stoliku przed kominkiem.

Obracałem w myślach poznane fakty i swoją sytuację. Gdyby Maks żył, zrobiłbym wszystko, żeby mu pomóc, nawet gdybym musiał stawić czoło niezliczonym siłom Stowarzyszenia Koncentrycznego. Tak mi się przynajmniej zdawało. Ale Maks nie żył. Charnwood również. Nie miałem ani przyjaciela, ani wroga. Został tylko Faraday. Był jeszcze Visarić i jego goście na jachcie. Poza tym nie znani mi z nazwisk ludzie, którzy skorzystali na kierowanym przez Charnwooda spisku wielkich i chciwych. Kim jednak są dla mnie? Najlepszą zemstą byłoby uszczuplenie fortuny, którą (teraz przestałem w to wątpić) ukrył przed nimi Charnwood. Vita wie dużo, ale będzie milczeć. Możliwe, że Diana również została wtajemniczona w niektóre sprawy, chociaż nie wie tyle co ciotka. Rozmowa, którą podsłuchałem w Villa Primavera, przekonała mnie, że Diana coś ukrywa. Jej reakcja na symbol Stowarzyszenia Koncentrycznego dowiodła, że nic nie wie, a to znaczy, iż jedyną rzeczą, którą ukrywa, jest miejsce, gdzie schowano pieniądze Charnwooda, a tego nie zechce wyjawić nikomu, chyba że swojemu kochankowi.

Ja byłem jej kochankiem. Przymknąłem oczy i zobaczyłem ją oczyma wyobraźni, odwracającą się ku mnie; z jej ramion osuwała się jedwabna sukienka. Miałem wrażenie, że czuję pod palcami gładkość jej skóry. Uśmiechnąłem się, wspominając każdy szczegół...

Upiłem trochę whisky i powstrzymałem swoją wyobraźnię. Wrócę do Diany. Nic jej nie powiem o Stowarzyszeniu Koncentrycznym i będę udawał, że nie wiem o jego istnieniu. Wyjąłem list z ich symbolem, przedarłem go na cztery części i wrzuciłem do ognia. Gdyby Diana kiedyś spytała, udam, że go zgubiłem. Potem przypomniałem sobie o kontrakcie, który spisaliśmy z Maksem. Również ten kompromitujący dokument należało zniszczyć. Wyjąłem swoją kopię |z portfela, rozłożyłem kartkę, zgmiotłem ją w kulkę i cisnąłem do ognia. To samo chciałem zrobić z kopią Maksa.

Kiedy jednak rozprostowywałem kartkę, na podłogę upadł niewielki niebieski kartonik. Podniosłem go. Był to bilet do teatru, przedarty z prawej strony, pewnie przez bileterkę. W prawym rogu widniał numer biletu, a pośrodku część nazwy teatru: Pier The... - w jednej linii i Bourne... -w drugiej. Pier Theatre w Bournemouth. Po co Maks pojechał do Bournemouth?

Nagle przyszło mi do głowy pewne wyjaśnienie. W sierpniu 1915 roku spędziliśmy tam czterdziestoosmiodzinną przepustkę. Było to podczas szkolenia w korpusie strzelców królewskich w Salisbury. To były dwa szalone dni, chociaż nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy odwiedziliśmy wówczas Pier Theatre. Spędziliśmy tam ostatnie beztroskie chwile przed ponurym obudzeniem w Macedonii. Może Maks wybrał sobie to miasto na kryjówkę z tego samego powodu, który skłonił go do zostawienia samochodu w Winchesterze, gdzie we wrześniu 1910 roku zawarliśmy znajomość?

Nadinspektor Hornby dałby wiele za tę wskazówkę, dotyczącą miejsca pobytu Maksa po zamordowaniu Charnwooda. Teraz jednak, podobnie jak wiele innych rzeczy, nie miała już dla mnie żadnego znaczenia; była tylko echem zerwanej przyjaźni. Zgmiotłem kontrakt, cisnąłem go w ogień, schyliłem się i pogrzebaczem rozgarnąłem popiół. Potem wziąłem bilet, który nic nikomu nie mógł zdradzić, i postanowiłem zatrzymać go na pamiątkę. Otworzyłem portfel i miałem już schować bilet,

kiedy zauważyłem na drugiej stronie jakąś odręczną notatkę. Poznałem pismo Maksa.

"26.08.31. Gdzie jest H.L.?" Przyglądałem się tym słowom przez, chwilę, zastanawiając się nad ich znaczeniem. Charnwood został zamordowany we wczesnych godzinach porannych, w sobotę, dwudziestego drugiego sierpnia. Dwudziesty szósty był w środę. Widocznie Maks był tego dnia w Bournemouth i szukał kogoś o inicjałach H.L. Nie znałem nikogo takiego. Kto to mógł być? Sir Harry Lauder nie bywa w Pier Theatre. Wśród naszych licznych znajomych nie mogłem sobie przypomnieć nikogo o inicjałach H.L. Skąd miałbym wiedzieć, kim był H.L. i gdzie jest?

Odpowiedź na to pytanie musiała jednak być ważna dla Maksa. Tylko tak mogłem sobie wytłumaczyć fakt, że wetknął bilet w złożoną kartkę, na której spisaliśmy kontrakt. Bilet był dla niego bardzo ważny. Miejsce, data i inicjały -wszystko to miało jakieś znaczenie i do chwili śmierci było w jego umyśle ze sobą powiązane. Przypomniałem sobie niezrozumiałe oskarżenia, które rzucił mi w twarz w ostatnich chwilach życia. "Ile wiesz, Guy? Ile ci powiedziała?" Zdradziłem jego zaufanie, ale nie byłem winien niczego gorszego od uwiedzenia Diany. "Zresztą, to nie ma znaczenia. Nieświadomość nie jest dla ciebie żadną wymówką". Nieświadomość czego? Przecież nie chodziło mu o Stowarzyszenie Koncentryczne. Byłem pewien, że Maks o tym nie wiedział. Nie chodziło też o miejsce ukrycia pieniędzy Charnwooda. Na ten temat prawdopodobnie wiedział tyle co ja.

Chodziło mu o coś innego. Coś, o czym zdecydować miała odpowiedź na pytanie: "Gdzie jest H.L.?" Zanim schowałem portfel z biletem do kieszeni, wiedziałem, że muszę to wyjaśnić. Muszę spróbować. Nie potrafiłbym żyć z tymi wątpliwościami. Zanim spotkam się z Dianą, muszę wysledzić początki całej sprawy. Niewykluczone, że mi się nie uda. Tak czy inaczej, muszę spróbować.

- Jak to? - dopytywała się Maggie. Przywitałem ją w holu hotelu w Letchworth z kuflem piwa w ręce i z nowiną, że nie mogę zjeść z nią obiadu. Moje przeprosiny wypadły blado. - Mówiłeś, że masz na to wielką ochotę.

- To prawda, ale... coś się wydarzyło. Niestety, muszę jechać. Natychmiast. - Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się głupkowato. - Zapłacę za twój obiad.

Westchnęła.

- Nie o to chodzi.

- Wiem. Bardzo mi przykro, ale naprawdę muszę już iść. Pocałowałem ją w policzek i ruszyłem do wyjścia, ale zatrzymała mnie pytaniem:

- Co słysząc u Feliksa?

- Nic dobrego. Prawdę mówiąc... pogorszyło mu się. Patrzyła na mnie podejrzliwie.

- Zdenerwowałeś go?

- Wiesz, że nie. Ale...

Nie było sensu się tłumaczyć. Cokolwiek bym powiedział, ojciec i tak uzna mnie winnym pogorszenia stanu zdrowia Feliksa. Moja siostra - w tej chwili niechętna mi -również.

- Muszę lecieć. Przepraszam.

Pięć godzin później promenada w Bournemouth przywitała mnie chłodem i szyderstwem. Padał lodowaty deszcz, a na opustoszałej plaży upiornie jęczał wiatr. Wszystkie najgorsze cechy angielskiego kurortu nadmorskiego po sezonie spotkały

się tu w tę ponurą, listopadową noc. Molo było zamknięte, a teatr, wciśnięty między inne budynki, ledwo widoczny. Schowałem się w zaciszniejszym miejscu, obok teleskopu, z którego można było korzystać za opłatą, i zacząłem się zastanawiać, po co właściwie przyjechałem w to miejsce zapomniane przez Boga, gdzie szansa na to, iż czegoś się dowiem, jest nieskończenie mała. Niepotrzebnie tracę czas i siły.

Tak samo czułem się nazajutrz, kiedy wyszedłem z hotelu Solent Cliffs i zszedłem na promenadę. Padał deszcz. Nie chciałem się jednak wycofać. W budce przed wejściem na molo zobaczyłem zgarbioną postać. Zapukałem w szybę. Mężczyzna powoli oderwał wzrok od gazety, otwartej na stronie podającej wyniki gonitw.

- Czy teatr jest czynny? - spytałem, pokazując na molo.

- Dopiero od Wielkanocy.

- Czy znajdę tam kogoś, kto mógłby mi udzielić informacji?

- W jakiej sprawie?

- Chodzi o przedstawienie z sierpnia tego roku.

- Jakie przedstawienie?

- Nie wiem. Właśnie o to chcę spytać. Spojrzał na mnie jak na wariata i powiedział:

- Niech pan spyta w ratuszu o urzędnika do spraw kultury. Nazywa się Oates. Powinien panu pomóc.

Po tych słowach powrócił do studiowania wyników gonitw.

Biurko pana Oatesa stało w zakurzonej kącie dużego gabinetu na najwyższym piętrze ratusza; zakładając, że pod stertą rozrzuconych listów, notatek i dokumentów znajdowało się biurko. Nigdzie nie było śladu po panu Oatesie.

- Przed chwilą wyszedł - poinformowała mnie kobieta, siedząca za jedynym zajęтым biurkiem w pokoju. Była chuda jak szczapa, jej wiek trudno było odgadnąć; miała tlenione włosy i duże usta, umalowane czereśniowoczerwona szminką.

- Powiedział, że może go nie być przez dłuższy czas.

- Szkoda. - Podeszedłem bliżej, cofnąłem się jednak, kiedy poczułem smród parafinowego piecyka stojącego za jej krzesłem. - Może pani... mogłaby mi pomóc?

- Możliwe, kochanie - uśmiechnęła się uwodzicielsko. - Możliwe.

- Może wyda się to pani dziwne, ale...

- Tutaj stale przychodzą dziwni ludzie. Nie dziwi mnie to. Niektórzy pracownicy też są bardzo dziwni. Szczególnie pan Oates. - Ostentacyjnie założyła nogę na nogę i wysunęła kanciastą stopę. - Powinieneś się cieszyć, że go nie zastałeś.

- Chyba ma pani rację. Wie pani coś o jego pracy?

- Nie ma tego wiele, ale to, co wiedzieć można, wiem.

- Usiłuję ustalić, co pokazywano w Pier Theatre w sierpniu. Może przypadkiem...

-Morderstwo.

- Co?

- Większość sztuk, które wystawia pan Oates, to morderstwa. Widziałam ich kilka. - Zauważyła, że sięgam do kieszeni, i szybko dodała: - Bardzo proszę.

-Przepraszam?

- Chciałaś mnie poczęstować papierosem, zgadłam?

- Tak... Rzeczywiście.

Zamierzałem pokazać jej bilet. Westchnąłem, włożyłem rękę do drugiej kieszeni, wyjąłem papierosnicę i podsunąłem kobiecie.

- Dzięki.

Pochyliła się do przodu, kiedy podałem ogień, i zamrugała powiekami; była pewnie przekonana, że doskonale naśladuje Marlenę Dietrich. Zanim zdążyła otworzyć oczy, podsunąłem jej bilet.

- To od was?

Kiwnęła głową.

- Zdaje się, że tak.

- Czy to pani coś mówi? Pokazałem jej odwrotną stronę.

- Dwudziesty szósty sierpnia? - zmarszczyła brwi. - Gdzie jest H.L.? - pokręciła głową. - Nie, kochanie, nic. Dlaczego pytasz?

- Sam nie wiem.

-Chwileczkę... H.L. - Rozciągnęła usta w uśmiechu. -Ostatni tydzień sierpnia. Oczywiście. Na pewno chodzi o niego.

- O kogo?

- Pan Oates zarezerwował dla niego wszystkie poranki przez cały tydzień. Ale nie przyjechał. Zastąpił go Maurice Stringfellow i jego tańczące łyżki. Nie dorastał mu do pięt. Był całkiem do niczego. Tańczące łyżki, też mi coś! Niełatwo dziś znaleźć prawdziwego magika.

- H.L. jest magikiem?

- On twierdzi, że jest presti... prestydygi...

- Prestidigitatorem?

- Tak. Ale to przecież jedno i to samo, mam rację? - zachichotała. - Głupiec. Ale przynajmniej sympatyczny. Trudno nie polubić Hildebranda Lightfoota. Jeśli uda się go...

-Powiedziała pani: Hildebranda?

- Tak. Słyszałeś o nim?

Przypomniałem sobie jedno zdanie. Miałem wrażenie, że z każdą chwilą słyszę je coraz głośniej. W noc śmierci Charnwooda Maks przypomniał sobie wiersz Keatsa. "Pamiętasz Hildebranda, tego karła?" - pytał. Ściąłem myślami wspomnienia z pubu pod Dorking, gdzie czekaliśmy przed spotkaniem z Dianą; przypomniałem sobie klienta, który popisywał się swoimi sztuczkami przed barmanką. Maks uznał, że jego niezwykle imię wróży nam powodzenie.

- Możliwe - powiedziałem. - Niewykluczone, że słyszałem.

- Sprawił panu Oatesowi wielki zawód i nawet nie przeprosił. Obawiam się, że w nadchodzącym sezonie nie może liczyć na nasz teatr.

- Miał występować przed południem w Pier Theatre w ostatnim tygodniu sierpnia, ale nie przyjechał, tak?

- Tak, kochanie. Pan Oates był wściekły.

- Kiedy miał zacząć?

- W poniedziałek.

- Ale nie dał znaku życia?

- Nie odezwał się ani słowem. Pan Oates wygarnął jego agentowi, ale ten twierdzi, że też nie ma kontaktu z klientem. Cóż, znasz tych artystów. Bardzo kapryśni. Chociaż Hildebrand Lightfoot nie wyglądał na...

- Kto jest jego agentem?

- Charlie Pragnęli.

- Gdzie mógłbym go znaleźć?

- W Londynie. Jeśli rzeczywiście chcesz go szukać.

- Chcę.

- Zaraz znajdę jego adres. - Wstała i podeszła do szafy; przechodząc otarła się o mnie. Po kilkuminutowych poszukiwaniach wyciągnęła list. - Jest. Pan Charles Pragnęli, Agencja Gwiazd Teatru Pragnell-Pierce, Bridle Street, Soho, Londyn. On powie ci o Hildebrandzie Lightfoocie wszystko, co zechcesz. A może nawet jeszcze więcej.

- Mam nadzieję.

Zacząłem się cofać w kierunku drzwi. Chciałem jak najszybciej potwierdzić hipotezę, która zaczęła się formować w mojej głowie. Dlaczego Lightfoot był w Dorking w piątek, dwudziestego pierwszego sierpnia, ale nie stawiał się w Bournemouth w poniedziałek, dwudziestego czwartego? Co się stało? Co nie pozwoliło mu dotrzymać umowy? Gdzie...

- Już wychodzisz, kochanie?

-Tak...

- Jeśli spotkasz pana Pragnella, poproś, żeby przekazał swojemu niesłownemu klientowi wiadomość ode mnie.

- Z przyjemnością.

- Powiedz Pragnellowi, żeby przekazał Hildebrandowi, że Gladys za nim tęskni. Chociaż on na to nie zasługuje - zacerwieniła się. - Cokolwiek by o nim powiedzieć, jest uroczy.

W Soho zaczęło już zmierzchać, kiedy wchodziłem do nieprzyjemnie pachnących pomieszczeń Agencji Gwiazd Teatru Pragnell-Pierce w piwnicy, pod jakimś zakładem usługowym o ścianach pomalowanych w jaskrawe kolory. W pustej dyżurce dzwonił telefon. Z sąsiedniego pokoju słyszałem rozmowę telefoniczną.

- Powiedz mu, że Charles Pragnelli ręczy za to swoim słowem!

- wołał męski głos. - To mu powinno wystarczyć.

Pchnąłem drzwi i spojrzałem na krępego, zmęczonego mężczyznę. Miał na sobie ciasny garnitur w prążki. Jedną ręką bezmyślnie nakręcał bączka i puszczał go w ruch, drugą przyciskał do ucha słuchawkę. Bez żadnego powodu mrugnął do mnie okiem.

- Skończy z tym. Nie weźmie do ust ani kropelki. Nie. Wolverhampton więcej się nie powtórzy. Za kogo mnie masz?

Rozejrzałem się po pokoju. Dym z cygara szczypał mnie w oczy. Na ścianach wisiały lśniące fotografie uśmiechniętych mężczyzn i kobiet o ciężkich powiekach; pomyślałem, że z pewnością są to klienci Pragnella. Czy znajdę wśród nich Lightfoota? Nie poznałbym go. Tej nocy, gdy nasze drogi się przecięły, nie zwróciłem na niego większej uwagi. Może Maks przyjrzał mu się lepiej, ale...

- Postaraj się, u nic więcej nie proszę. Tak. Oczywiście. Do widzenia.

Czy Maks odwiedził to miejsce przede mną? Czy postawił temu mężczyźnie te same pytania, które ja chciałem zadać? Dlaczego odpowiedź na nie była dla niego tak ważna? Spodziewałem się, że za chwilę albo się dowiem czegoś ważnego, albo doznam wielkiego rozczarowania. Tak czy inaczej, zbliżałem się do kresu swoich poszukiwań.

- Baba z wozu, koniom lżej - burknął do telefonu Pragnelli. Potem spojrzał na mnie. - Słucham, czym mogę panu służyć? Z pewnością będę panu mógł pomóc pod warunkiem, że nie szuka pan komika, który potrafiłby rozśmieszyć widownię.

- Szukam jednego z pańskich klientów.

- Pan z Urzędu Skarbowego?

-Nie.

- Szkoda. Gdyby pan był urzędnikiem skarbowym, znaczyłoby to, że zarobili jakieś pieniądze. Która z moich wielkich gwiazd pana interesuje?

- Hildebrand Lightfoot.

- Alfie Lightfoot? Patrzcie, patrzcie, ostatnio stał się popularny. Niestety, sława przyszła dopiero po tym, jak

wykonał ostatnią sztukę. Co za pech! - Widząc, że go nie rozumiem, dodał: - Hildebrand to jego drugie imię. Używa go na scenie. W życiu prywatnym jest po prostu Alfredem; raczej: był.

-Był?

- Nie widziałem go na oczy co najmniej od trzech miesięcy. Znikł, jak jeden z jego białych królików. Pewnie wpadł do swojego czarodziejskiego kapelusza.

- Zdaje się, że miał przyjechać do Bournemouth na tydzień, poczynając od dwudziestego czwartego sierpnia. Pragnęli zmarszczył brwi.

- To prawda. Muszę powiedzieć, że jest pan dobrze poinformowany. Właściwie dlaczego go pan szuka?

- To sprawa osobista.

- Tamten mówił to samo.

- Jaki: tamten?

- Szczerze mówiąc, przypomina go pan. Jesteście ulepieni z tej samej gliny. Nie najgorszej, ale też i nie najlepszego gatunku. Tamten węszył za Alfem, kiedy ślad był znacznie świeższy. Pod koniec sierpnia. Miałem jeszcze nadzieję, że ten gałgan zjawi się u mnie lada dzień. Miałem dla niego kontrakty na kilka tygodni. Bognor, Swanage, Ilfracombe, Weston-super-Mare. Narobił mi niezłego bigosu.

- Pamięta pan może nazwisko tamtego człowieka?

- Nie przedstawił się. Podobnie jak pan.

- Horton. Guy Horton.

- Cóż, panie Horton, powiem panu to samo, co tamtemu. Alfred Hildebrand Lightfoot, sztukmistrz, brzuchomówca, człowiek czytający myśli wystąpił po raz ostatni w Margate, dziewiętnastego sierpnia, i więcej go nie widziałem ani o nim nie słyszałem. Nikt z branży nic o nim nie wie.

- Gdzie może być?

- Mogę tylko zgadywać. Nigdy nie był słowny. Zdarzało mu się nie stawić w miejscu pracy, bo zapił, zapomniał o bożym świecie u boku jakiejś kobiety, albo jedno i drugie... Nic niezwykłego. Ale żeby znikł tak na kilka tygodni? Nie wiem, co o tym myśleć.

- Ma pan jego zdjęcie? - popatrzyłem na fotografie.

- Znajdzie pan tu wszystkie moje sławy. - Podniósł się z krzesła, podszedł do ściany pod oszronionym oknem na wysokości chodnika i gestem przywołał mnie do siebie. - Nawet Hildebranda Lightfoota.

Pokazał na jedno ze zdjęć. Był to portret przystojnego mężczyzny w wieczorowym garniturze. Miał ładną głowę, przyлизane włosy i nastroszone wąsy. Uśmiechał się przyjemnie, zawadiacko. Sprawiał wrażenie mężczyzny uważającego się za pogromcę niewieścich serc i pewnie miał na tym polu spore osiągnięcia. Zauważyłem jednak jeszcze coś: nieznaczny, niepokojący błysk w ciemnych oczach. Przez dłuższy czas przyglądałem się tej niezwykłej twarzy.

- To zdjęcie sprzed kilku lat - powiedział Pragnęli. - Do dzisiaj przybyło mu trochę siwych włosów.

- Ile ma lat?

- Pięćdziesiąt kilka. Nigdy nie poznałem daty jego urodzenia. Inni też się do tego nie przyznają.

-Wzrost?

- Jest mniej więcej pańskiego wzrostu.

Powoli zaczynałem rozumieć. Nikła wskazówka, sugestia, podejrzenie tego, czego Maks domyślił się dużo wcześniej, zaczynało nabierać konkretnych kształtów.

- Rzecz jasna, mógł zgolić wąsy.

-CO?

- Kierownik teatru w Margate powiedział mi, że zjawił się u niego starannie ogolony. Włosy miał bardziej białe niż siwe. Mówił, że z trudem go poznał. Pewnie przesadzał. Może Alfie zapomniał przejechać po włosach pastą do butów? Co do wąsów, to...

Właśnie tak! Wyobraziłem sobie twarz Lightfoota uśmiechającego się do mnie, starszego o dziesięć lat, bez wąsów, w innym ubraniu. Zobaczyłem go takim, jakim widział go Maks. Nie był już Alfredem Hildebrandem Lightfootem, sztukmistrzem, brzuchomówcą, człowiekiem czytającym w myślach. Był Fabianem Melvillem Charnwoodem, prezesem przedsiębiorstwa, międzynarodowym finansistą i sprawcą wojny światowej. Patrząc na zdjęcie miałem wrażenie, że uśmiechnął się szerzej, a jego oczy zalsniły. "Tak więc okrąg i prosta mogą być tym samym, zależnie od punktu patrzenia".

- Co się stało, panie Horton? Wygląda pan tak, jakby zobaczył upiora.

Pragnęli miał rację. Zobaczyłem ducha. Unosił się nad zdjęciem Lightfoota. Między Mirgate dziewiętnastego sierpnia a Bournemouth dwudziestego czwartego, Lightfoot dostał jeszcze jedną pracę, w Dorking. Miał tam zagrać rolę martwego mężczyzny. Nie wiedziałem, jak Charnwood go do tego namówił. Nie próbowałem nawet zgadywać, jak nakłonił go do stawienia się na spotkanie ze śmiercią. Nie miałem jednak żadnych wątpliwości, że w lesie widziałem ciało Lightfoota. Ten sam wzrost i budowa ciała. Zbliżony wiek i wygląd. Ciężki kamień zatarł wszelkie różnice. Żeby oszukać kogoś takiego jak ja, wystarczyło, by ciało ubrane było w garnitur Charnwooda, twarz zmarłego została brutalnie zniekształcona, a nad zwłokami płakały, klęcząc, siostra i córka finansisty. To wystarczyło również, żeby wywieść w pole oficera policji i lekarza sądowego; żaden z nich nie znał przecież ani Charnwooda, ani Lightfoota. Wystarczyła krew, ciemności i zręczne kłamstwa. Morderstwo, rzecz jasna. Drobną, ale istotną część planu.

- Na pewno nie znał pan Alfiego? - spytał Pragnęli. - Jeśli popatrzy pan na niego jeszcze chwilę, wypali pan wzrokiem dziurę w zdjęciu.

- Jak pan sądzi, gdzie on jest?

- Nie mam pojęcia. Nie zdziwiłbym się, gdyby wyjechał za granicę. Z jakąś fładrą. Pewnie brakuje mu pieniędzy. Nic nie potrafi oprócz tych swoich sztuczek.

- Może nie żyje?

- Alfie? Był zdrowy jak koń.

- Może zginął w jakimś wypadku?

- Dowiedziałbym się o tym.

- Może został zamordowany?

- Zamordowany? - Pragnęli mrugnął do mnie. - Niech się pan tak nie podnieca. Dlaczego ktoś miałby zabijać Alfiego Lightfoota?

- Nie wiem.

A jednak wiedziałem. Byłem coraz bardziej pewny zarówno motywu, jak i metody. Zapłacono Lightfootowi, żeby udawał Charnwooda. Żeby bardziej upodobnić się do pracodawcy, zgolił wąsy i przestał czernić włosy. Pojechał do Dorking i czekał na umówioną godzinę w tym samym przydrożnym pubie, co my z Maksem. Potem wyszedł na scenę ostatni raz, w ubraniu pracodawcy. Charnwood go zabił. Vita i Diana

rozpoznały ciało. Wszyscy troje mieli w tym swój udział. Teraz wiedziałem, jaką tajemnicę ukrywają tak starannie. Nie chodzi o to, gdzie są pieniądze Charnwooda, ale o miejsce jego pobytu.

- Może - powiedziałem z wahaniem - wzięto go za kogoś innego?

- Bookham dwieście pięćdziesiąt osiem.

-Dzień dobry. Czy mógłbym rozmawiać z panną Dianą Charnwood?

-Kto mówi?

- Guy Horton.

- Chwileczkę, panie Horton.

Po chwili usłyszałem cichy trzask. Diana podniosła słuchawkę w innym pokoju.

- Dzień dobry, Guy. Zaczynałam się już...

- Przepraszam, że nie dzwoniłem. Miałem trochę kłopotów.

- Czy teraz już wszystko w porządku?

- Tak.

- Gdzie jesteś?

- W Londynie.

- Może przyjedziesz i opowiesz mi o wszystkim?

- Nie mogę. Mam jeszcze... Dopiero jutro będę mógł się wyrwać. Kłopoty rodzinne. Później ci wszystko wyjaśnię. Przyjadę wieczorem, koło ósmej.

- Zjesz z nami kolację?

-Hmm... Tak. Dziękuję. Umówiłem się wcześniej, że zjem kolację w Dorking z Quincym, który ma załatwiać dzisiaj swoje interesy w hotelu Deepdene.

-Tak? Gdybyś wolał...

- Nie. Mogłabyś mnie przed nim wytłumaczyć? Powiedz, że nie będę mógł uczestniczyć w spotkaniu, ale może pojechać beze mnie. Zrobisz to dla mnie?

- Oczywiście. Guy, jesteś jakiś taki...

- Przepraszam, muszę kończyć. Do jutra. Pa!

Odłożyłem słuchawkę i podszedłem do okna mego hotelowego pokoju. Przez zniekształcającą obraz, mokrą szybę spojrzałem na szarą ulicę, na pozamykane drzwi domów i opadające liście. Diana pewnie też spogląda teraz przez okno na ogród Bursztynowego Dworu zastanawiając się, dlaczego tak nagle przerwałem rozmowę. Z pewnością nie przychodzi jej do głowy, że odkryłem koszmarny spisek, który zawiązała z ojcem i ciotką. Nie wiedziałem, gdzie ukrywa się Charnwood, ale Diana i Vita wiedziały. Jutro wieczorem, pod nieobecność Quincy'ego, zmuszę je, żeby mi powiedziały. Jutro wieczorem dam upust wściekłości, narastającej we mnie od kilkunastu godzin. Trudno będzie czekać, ale warto zdobyć się na cierpliwość. Jutro będę jeszcze bardziej rozwścieczony niż dzisiaj.

Wyciągnąłem szufladę nocnego stolika i spojrzałem na zdjęcie Lightfoota, które dostałem od Pragnella. Przyglądałem mu się tak długo, aż nauczyłem się na pamięć każdej linii jego twarzy; rysy Charnwooda nałożyły się na nią tak, że w moich myślach tworzyły jedną całość. Prawie nie potrafiłem ich od siebie odróżnić. Prawie. Zawsze jednak pojawiał się przede mną Fabian Charnwood i uwalniając się od podobieństwa do swojej ofiary, uśmiechał się do mnie szyderczo. Chciałem spotkać się z nim twarzą w twarz. Nie uda mu się przekupić mnie ani przekonać. Nie chciałem już jego pieniędzy. Nie chciałem nic z tego, co mógłby mi dać; tylko zemsty. Nie za Lightfoota i

miliony innych, których nie znałem, ale za Maksa i Feliksa. Za drogiego przyjaciela i utraconego brata. Przysiągłem sobie, że za nich zapłaci mi Charnwood oraz jego siostra i córka. Już niedługo. Zapłacą bardzo słono.

Nazajutrz po południu wyjechałem z Londynu. O siódmej byłem w pubie przy drodze na Guilford, pięć kilometrów na zachód od Dorking, tym samym, do którego wstąpiliśmy z Maksem owej tragicznej nocy i gdzie Hildebrand Lightfoot czekał godzinę, zanim dał ostatnie przedstawienie w swoim życiu. Nie poznałem kelnerki, nie było więc powodu, żeby pokazywać jej zdjęcie Lightfoota. Usiadłem sobie spokojnie w kącie i popijałem whisky czekając aż wybije ósma i będę mógł jechać dalej.

Kiedy zatrzymałem samochód na podjeździe przed Bursztynowym Dworem i wyszedłem na pachnące prochem powietrze, na niebie nad Dorking wybuchały fajerwerki. Dopiero teraz przypomniałem sobie, że dzisiaj przypada rocznica spisku prochowego Guya Fawkesa i mamy święto narodowe. Wypchane słomą, uśmiechnięte podobizny mojego nieszczęsnego imiennika palono dla upamiętnienia spisku, jakże trywialnego w porównaniu z tym, który ja postanowiłem ujawnić. Ciekawe - pomyślałem - czy przyszłe pokolenia będą upamiętniały ogniem i śpiewami Stowarzyszenie Koncentryczne? A może nigdy się o tym nie dowiedzą?

Nacisnąłem dzwonek i czekałem, przypominając sobie, jak Diana wyprowadziła mnie tamtej nocy z lasu, jak mnie oszukała udając żal i wzburzenie tak zręcznie, że nawet dzisiaj, gdy poznałem prawdę, nadal miałem wrażenie, że była wówczas szczerą. Tyle udawania, tyle kłamstw - wówczas i później. Teraz położę temu kres.

Drzwi otworzyła pokojówka i z uśmiechem wpuściła mnie do środka. Czekano na mnie. Witano mnie z radością. Poszła przodem przez korytarz i wprowadziła mnie do salonu.

- Pan Horton, panienko - powiedziała. Przez chwilę nie wychodziłem z cienia.

- Dziękuję, Zuzanno - odparła Diana.

Zrobiłem kilka kroków, mijając wychodzącą pokojówkę. Panny Charnwood siedziały przed kominkiem i piły sherry. Vita, gruba i dobroduszna, w fiołkoworóżowym stroju, a Diana mroczna i tajemnicza, w niebiesko-złotej sukni, z wisiorkiem z topazem na szyi. Odwróciły się, żeby mnie powitać. Diana podniosła się z fotela.

- Guy, tak się cieszę...

Urwała. Kiedy na mnie spojrzały, w jednej chwili domyśliły się prawdy.

- Co się stało? - spytała Diana. - Coś złego?

- Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności.

Powiedziałem to tonem nie znoszącym sprzeciwu. Zastanawiała się chwile.

- Dobrze. Zechcesz nam wybaczyć, ciociu? Przejdziemy do saloniku.

- Ależ nie, kochanie. Zostańcie tutaj. Chcę zamienić słówko z kucharką. Zresztą, to nic takiego... - usiłowała się pocieszyć, ale patrząc na mnie straciła resztkę nadziei. Wstała z ostentacyjnym wysiłkiem i powoli wyszła z pokoju, rzucając mi na pożegnanie zatroskane spojrzenie, w którym dostrzegłem również groźbę. Otworzyłem przed nią drzwi i wyszła.

Przez chwilę sądziłem, że Diana będzie chciała rozpedzić złe przecucia śmiejąc się lub próbując mnie pocałować. Widziała

jednak, że trzymam się od niej z daleka. Powoli, okrężną drogą wróciła na fotel, wzięła z popielniczki żarzący się papieros i zaciągając się nim, patrzyła na mnie z zainteresowaniem.

- Cóż, Guy? O co chodzi? - spytała po chwili.

Podszedłem do niej, wyjmując z kieszeni zdjęcie Lightfoota i rzuciłem je na stolik. Patrzyła na nie przez chwilę z fałszywym zdumieniem, marszcząc brwi. Przyglądając się jej, myślałem o tym, że jest piękna, a ciało pod miękko układającą się suknią jest godne pożądania. Po chwili jednak wrócił gniew.

- Chcesz udawać, że nie wiesz, kto to taki?

Spojrzała mi prosto w oczy.

-Nie wiem.

- Alfred Hildebrand Lightfoot.

-Kto?

- To nazwisko nic ci nie mówi?

-Nic.

- Pewnie nie zadałaś sobie trudu, żeby się go dowiedzieć. Pozwoliłaś, żeby papa zajął się tym brudnym szczegółem. Ale tę twarz znasz, prawda?

-Nie.

- Wyobraź sobie tego samego człowieka, ale o kilka lat starszego, z siwymi włosami, bez wąsów... z wielką na pół twarzy, krwawą raną.

Skrzywiła się z niesmakiem.

- Nie rozumiem. O co ci chodzi?

- To jest ten biedak, którego zidentyfikowałaś tamtej nocy. Ten sam, który teraz rozkłada się w grobie twojego ojca.

- Guy, na miłość boską...

- Mam ci opowiedzieć wszystko, co wiem? - Zacząłem krzyczeć. Głos miałem skrzekliwy, drżały mi ręce. Nie potrafiłem zachować spokoju. Mówiąc o tym wszystkim, czułem narastający gniew. - Razem ze swoją dobroduszną ciotunią pomogłaś ojcu upozorować jego śmierć. Nie mam jeszcze pewności co do przyczyn jego nieodwołalnego zniknięcia, spodziewam się jednak, że chodzi o pieniądze. Znalazł sposób, żeby uciec z pożyczonymi i nieuczciwie zarobionymi pieniędzmi. Potrzebowaliście dwóch niczego nie podejrzewających ofiar, żeby przeprowadzić swój plan i trafiliście na Maksa i na Hildebranda Lightfoota. Maks odegrał rolę zaślepionego kochanka, mającego powód, by zabić, Lightfoot zaś jego ofiary. Twój ojciec zwabił Lightfoota do lasu tłumacząc, że przebrany za swojego pracodawcę będzie musiał coś dla niego załatwić. Zabił go i zostawił w lesie. Ty miałaś rozpoznać w nieboszczyku ojca i zrzucić odpowiedzialność za morderstwo na Maksa. Bardzo sprytne, prawda? Policja nie sprawdzała tożsamości ofiary. Nie było powodu, skoro jego córka i siostra w nieutulonym żalu płakały nad ciałem. Lekarz policyjny i oficer nie znali go. Lokaja przezornie zwolniono, żeby się przypadkiem nie wygadał. Doskonale sobie ze wszystkim poradziłaś; nawet ze mną, kiedy nieoczekiwanie spotkałaś mnie w lesie. Tak jak wszyscy, nawet przez moment nie podejrzewałem, że kłamiesz. Nie przyglądałem się ciału. To nie był przyjemny widok. Zadbaliście o to na wszelki wypadek.

Przez cały czas patrzyła mi prosto w oczy, jakby tym skupionym spojrzeniem chciała odeprzeć moje oskarżenia. Usta zacisnęła tak, że tworzyły wąską kreskę, ręce trzymała opuszczone wzdłuż ciała. Zrozumiała, że wypieranie się byłoby bezsensowne, ale nie zamierzała się do niczego przyznawać.

- Zaplanowałaś to wszystko, zanim nas poznałaś na "Empress of Britain". Szukałyście z Vitą kogoś, kto ma mało przyjaciół i krewnych, gotowych udzielić pomocy ściganemu za zabójstwo. Jeden z dwóch młodych mężczyzn, po długiej nieobecności wracających do Anglii, doskonale się do tego nadawał. Dlatego Vita tak wspaniałomyślnie zaprosiła nas na przyjęcie. Powinienem się cieszyć, że Maks przyszedł pierwszy. Inaczej mogłabyś wybrać mnie. Chociaż mogłabyś też dojść do wniosku, że Maks lepiej nadaje się do tej roli. Łatwiej uległ twoim wdziękom. Chętniej wierzył w twoje kłamstwa. Bo przez cały czas kłamałaś, prawda? Od samego początku. Każde słodkie słówko było fałszywe. Zaręczyny też były na niby, a planowana ucieczka była pułapką. Pomogłem ją zastawić, przyjmując pieniądze od twojego ojca. Maks wpadł. Wszystko poszłoby jak najlepiej, gdyby go aresztowano, albo gdyby znikł gdzieś raz na zawsze. Niestety, w tym jednym szczególnie szczęście ci nie dopisało. Ono zawsze odwraca się od swoich wybrańców w niespodziewanej chwili.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedziała Diana z uporem.

- Pozwól, że cię oświecę. Lightfoot przyjechał na spotkanie trochę przed czasem. Maks też. Byłem z nim. Spotkaliśmy się wszyscy w pubie przy drodze na Guilford. Lightfoot przedstawił się barmance i przypadkiem usłyszeliśmy jego imię: Hildebrand. Dość rzadkie. Łatwo je zapamiętać. Maks przypomniał je sobie kilka dni później, gdy przejeżdżając przez Bournemouth zobaczył je na afiszu. Zdziwił go ten zbieg okoliczności i z ciekawości poszedł na występ. Może liczył na to, że w mrocznym teatrze uda mu się znaleźć kryjówkę? Okazało się, że występ Lightfoota został odwołany. Nikt nie wiedział, dlaczego. Sztukmistrz nie przyszedł do pracy. Maks skontaktował się z agentem Lightfoota. Kiedy zobaczył jego zdjęcie, natychmiast domyślił się prawdy. Zgadł, co mu zrobiłaś. Zaczął cię śledzić. Wiedziałaś o tym? Czowałaś jego obecność? Może właśnie z tego powodu zaczęłaś robić do mnie słodkie oczy? Miałaś nadzieję, że Maks zobaczy nas razem i wyciągnie z tego fałszywe wnioski? -Zrobiłem kilka kroków, powoli wyciągnąłem rękę i ująłem ją pod brodę. - Tak było, Diano? Twój żar i uczucie były tylko manewrem taktycznym?

Skórę miała chłodną i delikatną. Przesunąłem palcami po jej szyi i dotknąłem zaciśniętych ust. Potem, rozzłoszczony upartym milczeniem, ścisnąłem jej policzki tak mocno, że wargi się rozchyliły. Zobaczyłem zaciśnięte, białe zęby i poczułem na palcach jej nerwowy oddech.

- Ty podstępna dziwko! Pozwoliłaś, żeby nas przyłapał. Chciałaś, żeby wierzył, że oboje go zdradziliśmy. Potem, obawiając się tego, co mógł mi powiedzieć, zabiłaś go. Nie po to, żeby mnie ratować. Chodziło ci o własną skórę. Uderzyłaś w miejsce, które ci kiedyś nieopatrnie pokazał. Zamachnęłaś się z całej siły. Chciałaś mieć pewność, że nie powie ani słowa więcej. Zamordowałaś go, Diano. Tak samo jak twój ojciec zamordował Lightfoota. Ale Lightfoot nie był moim przyjacielem, a Maks tak.

Wciąż mocniej zaciskałem palce, a Diana cofała głowę. Jej oczy robiły się coraz większe. Zakląłem i gwałtownie cofnąłem dłoń. Diana krzyknęła; próbowała poderwać się z fotela, zapierając się mocno plecami. Jedną ręką zasłoniła się przede mną.

- Nie przeczysz? Nie próbujesz mnie zagadać? Potrafisz przecież być bardzo przekonująca. Wiesz, że ci się nie uda? Teraz jest już za późno. Mimo to będę rozczarowany, jeśli nawet nie spróbujesz. Nigdy nie poddawałaś się tak łatwo. Jesteś godna swojego ojca. Zgodzisz się ze mną?

- Nie - wysapała. - To... to jakieś szaleństwo.

- Tak, to szaleństwo. Ale zrobiłaś to wszystko. Dlaczego, Diano? Nie potrafię tego zrozumieć. Dlaczego zrobiłaś tak wiele dla takiego człowieka? Na miłość boską! Popatrz na portret swojej matki. On jest winien jej śmierci. Na jego głowę spadła krew tych wszystkich, których pamięć uczymy w przyszłym tygodniu minutą ciszy. Stał się przyczyną śmierci austriackiego arcyksięcia i nędznego sztukmistrza. Wszyscy oni zginęli przez twojego ojca.

Popatrzyła na mnie. Wyraz jej twarzy zmienił się nagle. Była poruszona.

- Co... co moja matka ma wspólnego z...

- Stowarzyszenie Koncentryczne! O tym też wiem, moja droga. Nie myśl, że dałem się zwieść spokojem, z jakim przyjęłaś ich list w Wenecji. Udawałaś lepiej niż ciotka, ale...

- Dość! - zawołała Vita, wpadając do pokoju z czerwoną twarzą, drżąc na całym ciele z gniewu czy obawy. - Wystarczy!

Stała przede mną i groźnym spojrzeniem usiłowała mnie przestraszyć. Potem, widząc, że się jej nie uda, odeszła i otoczyła opiekuńczym ramieniem Dianę.

- Jak śmiesz odzywać się do mojej bratanicy w taki sposób! Co to ma znaczyć?

- Paliły cię uszy? A może tylko jedno, zbyt mocno przyciśnięte do dziurki od klucza? Mam nadzieję, że to było łatwiejsze niż potykanie się na schodkach na "Empress of Britain".

-Twoją... tyradę było słyszeć w całym domu, młodzieńcze. Pytam raz jeszcze: co to ma znaczyć?

- Wszystko powinno być jasne. Oskarżam ciebie i Dianę o udział w morderstwie; o krzywoprzysięstwo; o opowiadanie bezczelnych kłamstw; o to, że płakałyście i udawałyście żalobę, żeby wprowadzić wszystkich w błąd; o to, że pomogłyście Fabianowi Charnwodowi uniknąć sprawiedliwości i współdziałałyście z nim w jego haniebnych sprawkach.

Vita mocniej przytuliła Dianę. Nadeła się, przeświadczona, że wygląda jak wcielenie urażonej niewinności.

- Bzdura! Niedorzeczność! Obrażasz mnie!

- Gdybyście były uczciwymi kobietami, rzeczywiście obraziłbym was tymi słowami. Ale w waszym przypadku o uczciwości nie może być mowy. Powiem ci, co cię tak wzburzyło: prawda. W waszym świecie jest czymś wyjątkowym. Nie chcecie jej słyszeć, ale nie udało wam się przed nią uciec. Wszystko wyszło na jaw.

- Uważam, że ty również powinieneś wyjść - powiedziała Vita.

- Wyjdź, żebyśmy mogły spróbować zapomnieć o tym, co powiedziałeś.

- Nie. Nie pozwolę wam o niczym zapomnieć. Jeśli stąd wyjdę, to tylko po to, żeby zawiadomić policję. Wysłuchają mnie i uwierzą. Zmuszę ich. Nie myśl sobie, że uda ci się zapomnieć o tym, co powiedziałem. Moje słowa będą brzmiały w twoich uszach aż do chwili znalezienia twojego brata przez policję. Wszyscy troje odpowiecie za to, co zrobiliście.

- Policja nie będzie chciała cię słuchać. Nie są głupi. Zresztą, nie ma żadnych...

Vita przerwała w pół zdania i zacisnęła usta. Chciała powiedzieć, że nie ma żadnych dowodów, ale mówiąc to przyznałaby pośrednio, że jest coś, co można by udowodnić i że moje oskarżenia nie były całkiem bezpodstawne.

- Zobaczmy - powiedziałem powoli. - Sądzę, że uda mi się nakłonić Hornby'ego do ekshumacji. Jak sądzisz, co znajdzie? Mogę się założyć, że będzie coś, jakiś drobiazg, który przeoczyliście, a który pozwoli udowodnić, kim jest ten, który spoczywa w grobie. Twoim bratem, czy też kimś obcym, podobnym do niego. Na co stawiasz? Nie zapominaj, że stawka jest wielka. Nie możesz przegrać, bo będziesz miała przeciwko sobie nie tylko policję. Pomyśl o Faradayu i o bezlitosnych ludziach, dla których pracuje. Pomogłaś swojemu bratu wyprowadzić ich w pole. Od siedemnastu lat razem spiskowali.

- O jakim spisku mówisz? - spytała Diana. Powiedziała to tak naturalnie, jakby rzeczywiście nie rozumiała.

- Nie udawaj niewiniątka - odparłem. - Ojciec z pewnością powiedział ci o Stowarzyszeniu Koncentrycznym. Musiałaś słyszeć o tym dawno temu. Pieniądze na twoje wykształcenie, stroje, wygodne życie twój ojciec zarobił na wojnie. Szkoda tylko, że wojna przyniosła śmierć twojej matce. Ale i tak zyski okazały się większe od strat.

- Nie słuchaj go - syknęła Vita. - Twoja matka nie ma z tym nic wspólnego.

Jednak w oczach Diany, gdy obejrzała się na ciotkę, widać było niedowierzanie. Po raz pierwszy pomyślałem, że może jednak Diana nie wie wszystkiego.

- Zaczekaj, Vito - powiedziałem, podchodząc bliżej. - Czyżbyście coś przed Dianą ukrywali?

- Oczywiście, że nie.

- Ależ tak! Ona nie wie o Stowarzyszeniu Koncentrycznym. Naprawdę nie.

- Żadna z nas nic o tym nie wie. Nie mam pojęcia, co masz na myśli...

- Widząc ich znak, struchlałaś. Ale na Dianie nie zrobił on wrażenia. Dotąd myślałem, że jest lepszą aktorką. Teraz jednak...

- Nie mam pojęcia...

- Mówię o koncentrycznych kołach, stara więdźmo! Wszyscy je widzieliśmy, ale tylko na tobie zrobiły wrażenie. Wyglądałaś tak, jakbyś zobaczyła upióra. - Odwróciłem się do Diany i wyczytałem na jej twarzy potwierdzenie. Pomogła ojcu w ucieczce, ale nie wiedziała, od czego uciekał. - Posłuchaj mnie, Dianko. To, co chcę ci powiedzieć, jest szczerą prawdą.

- Chcę, żebyś natychmiast stąd wyszedł! - krzyknęła przenikliwym głosem. Vita, podbiegając do drzwi. - W tej chwili!

Otworzyła drzwi i stanęła przy nich z władczą miną, ale ja nie zareagowałem. Patrzyłem na Dianę, przykuwając jej uwagę, zmuszając, by mnie wysłuchała.

- Stowarzyszenie Koncentryczne jest tajną międzynarodową organizacją, której przewodniczył twój ojciec. Siedemnaście lat temu zorganizowali zabójstwo w Sarajewie, co dało początek wielkiej wojnie. Członkowie organizacji osiągnęli potężne zyski ze sprzedaży broni, amunicji i z innych trafionych inwestycji, a wszystko dzięki temu, że wiedzieli zawczasu, kiedy wybuchnie wojna, gdyż to oni do tego doprowadzili. To był pomysł twojego ojca. Dopracował go w

każdym szczególe. Pomysł okazał się jednak nadspodziewanie kosztowny. Pochłonął życie milionów ludzi. W tym i twojej matki. Twój ojciec ją zabił, chociaż to nie on odpałił torpedę.

- Nie - szepnęła. - To niemożliwe.

- Tak było. Wiesz, że to prawda. To wyjaśnia wiele drobnych tajemnic, nad których rozwiązaniem musiałś się czasem głowić od dnia, kiedy ojciec powiedział ci o śmierci matki, do dnia, kiedy zobaczyłaś bladość na twarzy Vity, gdy spojrzała na przyslaną wam kartkę z koncentrycznymi kołami.

- Ciociu? - Diana popatrzyła na nią ponad moim ramieniem; jej głos brzmiał głucho. Vita nie odpowiedziała. W końcu i jej zabrakło słów.

- Wiem, co czujesz. - Nie dawałem spokoju. - Twój ojciec zarobił miliony funtów, ale miliony kobiet uczynił wdowami, a dzieci sierotami. Zaczynasz wreszcie rozumieć rozmiary żalu i zniszczenia, które siał, żeby zbierać... dobrobyt, z którego dzisiaj korzystasz. Sądzę, że to wystarczające zadośćuczynienie za dzieciństwo bez matki. A może jednak nie? Pieniądze pomogły twojemu ojcu przekonać cię, że powinnaś go kochać i przyjść mu z pomocą w ciężkiej godzinie. Co ci powiedział? Co wymyślił, żeby ukryć prawdę?

- Ojciec nie musiał mnie przekonywać, że powinnam go kochać - odparła z gniewem. - Nie musiał mnie namawiać do udzielenia mu pomocy, kiedy...

W nagłej ciszy, która była przyznaniem się do winy, wyczerpały się kłamstwa. Nie chciała powiedzieć tego na głos, ale przyznała się i oboje byliśmy tego świadomi. Milczenie Vity potwierdzało winę Charnwooda. Milczenie Diany było echem pustej miłości, którą czuła do ojca, i pustki życia, które dla niej zbudował.

- Gdzie on jest? Powiedz mi. Ze względu na Maksa i na twoją matkę. Powiedz, gdzie się ukrywa. Mam prawo wiedzieć. Masz obowiązek mi powiedzieć.

- Obowiązek?

- Nie możesz go dłużej ukrywać. Sama nie wierzysz w to, że powinnaś.

- Nie wierzę?

- Nie. Już nie. Zbyt wiele wiesz. Daj spokój. Zdradź go.

-Diano, nie powinnaś...

Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby uciszyć Vitę. Diana popatrzyła na portret matki; potem odwróciła się ku ciotce.

- Zawsze ty, nigdy ja.

- Byłaś zbyt młoda...

- Żeby zrozumieć?

Vita zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Kostki jej dłoni, zaciśniętej na klamce, pobieleły.

- Oczywiście, kochanie; sama widzisz, że... Nie powinnyśmy o tym rozmawiać... przy obcym człowieku. To... nierozsądne. Przez kilka sekund Diana patrzyła Vicie prosto w oczy. Potem odwróciła się do mnie i powiedziała głosem pozbawionym emocji:

- Zaczekaj na mnie w bibliotece. Chcę porozmawiać z ciotką w cztery oczy. Postaram się, żebyś nie musiał czekać zbyt długo.

- Nie wyjdę stąd, dopóki nie dostanę tego, po co przyszedłem.

- Już to mówiłeś. Proszę cię, zostaw nas teraz. Nie będziesz musiał mnie szukać.

- Nie zmuszaj mnie do tego.

- Przyjdę do ciebie. Możesz mi wierzyć. - Spuściła wzrok i dodała: - Przynajmniej tym razem.

Ociągałem się jeszcze, ale w końcu posłusznie wyszedłem. Czekałem w bibliotece, jak w noc zabójstwa. Wtedy miałem przed sobą przesłuchanie. Pamiętam, że dziwiła mnie ogromna ilość literatury poświęconej wielkiej wojnie. Teraz czekałem, by usłyszeć odpowiedzi. Rozumiałem już, dlaczego zgromadzono tu te wszystkie książki. Charnwood interesował się wojną, jak projektant swoim wielkim dziełem. Zgromadził opisy wszystkich bitew i kampanii, które sam potajemnie zapoczątkował, oraz listy poległych żołnierzy i rozproszonych narodów, za których zagładę mógł się czuć odpowiedzialny. Spora biblioteka kulturalnego człowieka, interesującego się literaturą, i wielka kostnica ofiar zabawy w wojnę, w wypadku Charnwooda były jednym i tym samym.

Mogę się tylko domyślać, co Diana i Vita miały sobie do powiedzenia. Z pewnością nie zabrakło wzajemnych oskarżeń i obwiniania się. Taką przynajmniej miałem nadzieję. Tak byłoby najlepiej dla mnie. Wbrew temu, co powiedziałem Vicie, obawiałem się, że będę miał trudności z przekonaniem policji o prawdziwości moich domysłów. Możliwe, że wcale nie będą chcieli mnie słuchać. Nawet jeśli dojdzie do ekshumacji, to nie znaczy, że uda się cokolwiek udowodnić. Przerażenie, z jakim Diana słuchała tego, co wiedziałem o Stowarzyszeniu Koncentrycznym, mogło mi pomóc. Może dzięki temu uda mi się poróżnić ją z Vitą? Brak zaufania między nimi może mi przynieść zwycięstwo. Divide et impera. To dobra strategia walki z Fabianem Charnwoodem, mistrzem dzielenia. Czy mi się uda?

Na odpowiedź na to pytanie przyszło mi czekać prawie godzinę. Wreszcie drzwi się otworzyły i weszła Diana. Była poważna, spokojna i blada jak marmur. Tym razem wisior z topazem nie zdobił jej szyi, nie wiedziałem jednak, jakie to ma znaczenie.

Zamknęła drzwi, zrobiła kilka kroków, zatrzymała się i spojrzała mi prosto w oczy. Nie zamierzała się bronić i nie czuła się winna. Miałem wrażenie, że rozwiązała jakiś wewnętrzny konflikt, tak poważny, że w porównaniu z nim moje oskarżenia były mało istotne. Minął czas kobiecych póz i dyskretnych uników; wreszcie zobaczyłem prawdziwą Dianę Charnwood.

-I co? - spytałem. - Powiesz mi, gdzie on jest?

- Świat sądzi, że mój ojciec został pochowany na cmentarzu w Dorking. Sądzę, że niełatwo będzie przekonać go, że to nieprawda.

- W takim razie nie pozostawiasz mi wyboru.

- Chcesz pójść na policję?

-Tak.

- Popelnisz wielki błąd. Nie uwierzą ci. My wszystkiemu zaprzeczymy. Czym jest słowo jakiegoś obiboka przeciw słowu siostry i córki człowieka cieszącego się powszechnym szacunkiem?

- Wielki Boże, masz... Uciszyła mnie uniesieniem dłoni.

- Nie zamordowałam Maksa. To był wypadek. Nie miałam pojęcia, że jest w Wenecji. To, co wydarzyło się w willi tego popołudnia, było... z głębi serca. Pewnie mi nie wierzysz. Zrozum jednak, że jeśli obrócisz to, co robiliśmy, i konsekwencje tego w jedno z wielu kłamstw, będę się broniła. Twierdzisz, że jestem fałszywa, powinieneś więc wiedzieć, że potrafię być przekonująca, jeśli będę musiała składać zeznania przed policją.

- To ci nic nie pomoże.

- Mnie nie, ale przynajmniej mogę uratować ojca. Powiem, że to ty go zamordowałaś i zrzuciłaś podejrzenia na Maksa. Wówczas udział Lightfoota w tym wydarzeniu można przedstawić jako twój pomysł na zdyskredytowanie mnie i na wybielenie siebie samego. Możliwe, że Lightfoot zniknął, gdzie jednak znajdziesz dowód, że zginął zamiast mojego ojca? Trudno przewidzieć, jakie będą wyniki ekshumacji. Jak sam powiedziałaś Vicie, stawka jest wielka.

To była prawda. Nie wierzyłem jednak, żeby Diana mogła się poświęcić, by ratować Charnwooda. Przynajmniej nie po tym, co jej powiedziałem.

- Powiedz, Diano, czy zbrodnie, które popełnił przeciw ludzkości, nic dla ciebie nie znaczą? Czy pamięć twojej matki się nie liczy? Nie rozumiesz, że nie warto go ratować?

- To ty czegoś nie rozumiesz. Kocham mojego ojca. Ufam... - przerwała i odwróciła wzrok. - Ufałam mu.

- Ale on ci nie ufał.

- Tak mówisz. Ciotka Vita w zasadzie potwierdziła to, kiedy ją przycisnęłam. - Spuściła głowę, a we mnie na nowo wstąpiła nadzieja. Poróżniły się. - Chcę jednak usłyszeć prawdę z jego ust, zanim... zanim... - pokręciła głową. - Nie mogę go potępić, póki go nie wysłucham.

- Na miłość boską!

- Poza tym, jeśli wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą, to gdyby ojciec się ujawnił nie osiągnie go sprawiedliwość. Stowarzyszenie Koncentryczne będzie szybsze niż policja. Znajdą go i ukarzą po swojemu. Nie mogę na to pozwolić.

- Dlaczego? Czyżbyś chciała powiedzieć, że twoim zdaniem nie zasłużył sobie na karę?

- Nie; ale nie o to chodzi. - Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. - Jeśli Stowarzyszenie Koncentryczne jest odpowiedzialne za śmierć mojej matki, to wszyscy jego członkowie powinni zostać ukarani.

- Oczywiście, nie możemy jednak...

- Ależ możemy. Wymyśliłam coś. - Spokój zaczął ją opuszczać. Ogarnęło ją jakieś dziwne, zaraźliwe podniecenie. - Możemy zniszczyć ich wszystkich. Chciałbyś tego?

-Jak?

- Papa miał w sejfie w swoim gabinecie jakieś dokumenty. Nie wiedziałam, co to takiego, ale ciocia Vi ta tak. Wyjawiała mi to w zamian za obietnicę, że zrobię wszystko, żebyś nie poszedł na policję. To była pełna dokumentacja działalności Stowarzyszenia Koncentrycznego w przeszłości i obecnie. Były tam kopie wszystkich operacji finansowych, listów pisanych przez członków stowarzyszenia oraz wysyłanych do nich, zapiski ze wszystkich tajnych zebrań, na których omawiali swoją działalność, kwartalne sprawozdania dotyczące tego, kto ile dostał pieniędzy i za co, nazwiska winowajców i świadczące przeciw nim dowody. Cała prawda. Nie tylko o wojnie, ale o wszystkich ich przedsięwzięciach.

Kiedy to mówiła, wyobrażałem sobie swoje wielkie zwycięstwo. Czyżby rzeczywiście chciała mi to dać? Jeśli tak, to jak zamierza uratować Charnwooda? Jaka zaproponuje cenę?

- Twój ojciec zabrał to ze sobą?

- Oczywiście. Nigdy się z tym nie rozstawał.

- W takim razie...

- Użyjemy podstęp. Skontaktuję cię z nim. Namówię go, żeby oddał ci te dokumenty. Jeśli zechcesz, sprzedasz je prasie. Za tak sensacyjną historię powinieneś dostać spore pieniądze.

Wszystko to trafi na pierwsze strony gazet na całym świecie. W ciągu jednej nocy ludzie, których wzbogacił mój ojciec, zostaną zrujnowani. Rozumiesz? Zemścisz się, a jeśli zechcesz, to jeszcze na tym zarobisz. - Zrobiła krótką przerwę.

- Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Pozwolisz papie pozostać w ukryciu. To jedyny sposób, żeby go namówić na oddanie dokumentów. Powiesz dziennikarzom, że znalazłeś je wśród jego rzeczy. Pozwolisz światu dalej wierzyć, że papa nie żyje.

- Chcesz, żeby mu się upiekło?

- To tylko jeden człowiek. Przywódca. Najgorszy ze wszystkich.

- Rzeczywiście, był przywódcą. Przynajmniej na początku. Ostatnio to się zmieniło. Tylko tak potrafię sobie wytłumaczyć fakt, że popadł w problemy finansowe. Czy był najgorszy? Wystarczy spojrzeć na Faradaya, żeby mieć co do tego wątpliwości.

- Jest wielokrotnym mordercą, a ty chcesz go chronić. Przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu; potem powiedziała:

- To mój warunek. W tej jednej kwestii nie ustąpię. Musisz mi to obiecać, inaczej odmówię współpracy.

- Jeśli odmówię, co będzie dalej?

- Już ci powiedziałam.

- A co z Maksem? Z jego dobrym imieniem?

- Kiedy prawda wyjdzie na jaw, nikt nie będzie wierzył, że Maks go zamordował. Odpowiedzialność za ten czyn spadnie na Faradaya i ludzi, dla których pracuje, co w pewnym sensie będzie nawet sprawiedliwe.

- Ale tak nie było.

- Całej prawdy i tak nie uda ci się wyciągnąć na światło dzienne.

Miała rację. Zdecydowałam się wykorzystać fakt, że ojciec i ciotka mieli przed nią tajemnice, i udało mi się. Ten sukces miał jednak swoją cenę. Diana dała mi wybór: albo Stowarzyszenie Koncentryczne, albo Fabian Charnwood. Nie mogę dostać jednego i drugiego. Wątpliwe, czy bez jej pomocy uda mi się cokolwiek osiągnąć.

- Gdzie on jest? - spytałam.

- Przyjmujesz mój warunek?

- Powiedz mi, gdzie on jest.

- Dopiero kiedy zawrzemy umowę.

- Niech będzie, do cholery. Przyjmuję twój warunek. A Vita?

- Zdaje sobie sprawę, że tylko to powstrzyma cię przed pójściem na policję.

- Dobrze. - Uniosłem brwi. - A więc?

- Jest w Dublinie.

- W Dublinie?

- Tak. Nie w Zurychu, Trieście ani żadnym innym miejscu, które mogłoby przyjść do głowy jego wierzycielom. Jest w mieście, gdzie Brytyjczycy są tak nie lubiani, że władze będą utrudniały dochodzenie konstablowi czy innym urzędom tego kraju, gdyby chciały prowadzić jakieś śledztwo.

- Gdzie w Dublinie?

- Nie wiem. Vita też nie wie. Znamy numer skrytki pocztowej, na który możemy pisać w razie potrzeby. Ojciec zagląda do niej codziennie. Moja propozycja jest następująca: pojedziemy razem do Dublina. Wyślemy list, w którym poproszę go o spotkanie w sprawie niecierpiącej zwłoki. Na tym spotkaniu powiem mu, czego chcesz, grożąc, że pójdziesz do Faradaya i

naślesz na niego Stowarzyszenie Koncentryczne, jeśli nie zgodzi się na współpracę. Jestem pewna, że ich boi się dużo bardziej niż policji. Będzie musiał się zgodzić. Nie będzie miał wyboru.

Będzie też musiał - pomyślałem - powiedzieć córce całą prawdę. Po tylu latach Diana zażąda od niego wyjaśnienia przyczyny śmierci swojej matki. Będzie musiał się wytłumaczyć. Obydwoje dostaniemy to, czego chcemy.

- Dlaczego się wahasz? Proponuję ci więcej niż to, po co tu przyszedłeś.

- Być może.

- Będziesz mógł sprostować błędy historii. Masz okazję sprawić, że choć ten jeden raz cierpienie winnych przewyższy ból niewinnych. Będziesz mógł im odpłacić.

- Zrobią wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

- Nie zdążą nam przeszkodzić. Zanim się zorientują, co im grozi z naszej strony, będzie za późno na ratunek.

A co potem? Chciałem ją o to zapytać. Czy nie nadejdzie czas, gdy i my będziemy musieli zapłacić? Znałem jej odpowiedź. Dźwięczała mi w uszach. Powiedziała przed chwilą: "choć raz". Kusząca propozycja: zwalić wszystko na ich głowy; wymienić nazwiska fałszywych kapitanów i oszukańczych królów; umieścić je w podręcznikach. Choć raz wznieść się ponad lęk i słabość. Choć raz nie liczyć się z kosztami i nie myśleć o zyskach.

- Co powiesz, Guy?

- Spytam, kiedy wyjeżdżamy?

W kącikach jej ust pojawił się cień uśmiechu.

- Jak najszybciej. Spójrzmy... - Zdjęła z półki rozkład jazdy pociągów, położyła go na stojącym za naszymi plecami stoliku, zajrzała do skorowidza i otworzyła na właściwej stronie. - Chwileczkę. Jest pociąg z Euston do Holyhead o ósmej trzydzieści rano. Tam złapiemy prom do Kingstown. O szóstej możemy być w Dublinie. Nazajutrz z samego rana nadamy list na pocztę i będziemy czekali, aż ojciec po niego przyjdzie.

- A więc jutro?

- Tak. Uważam, że powinniśmy natychmiast opuścić dom. Nie chcę tu być, kiedy wróci Quincy. Ciotka Vita powie mu, że pojechaliśmy z wizytą do twojej rodziny. Zresztą, niech sama coś wymyśli. Na pewno nie powie mu prawdy.

Wiedząc, z jaką czułością Quincy wspominał siostrę, rzeczywiście czułem się spokojny. Kiedy jednak usłyszałem jego imię, przypomniałem sobie, że w tej samej chwili wuj Diany negocjuje z Gregorym. Czy powinienem go uprzedzić o swoich zamiarach? Nie. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Zresztą, otrzymam to, co chcę, zanim on zdąży rozstać się ze swoimi pieniędzmi. Jeśli nam się uda, nie będzie musiał wydać ani centa.

- Dobrze - powiedziałem. - Zgoda.

- Cieszę się - Diana ruszyła w stronę drzwi. - W takim razie, pójdę teraz i...

- Zanim wyjdiesz! - Złapałem ją za rękę i obróciłem, stawiając ze mną twarzą w twarz. - Jeszcze jedno. Chcę, żebyś to rozumiała. Umowę z tobą zawarłem z konieczności. Przez pewien czas będziemy współnikami. Jeśli jednak spróbujesz mnie oszukiwać, pójdę na policję. Fakt, że byliśmy kochankami, nie powstrzyma mnie przed tym.

- Nigdy nie myślałam, że mogłoby być inaczej.

- Gdybyś zamierzała próbować... - zamilkłem; pożałowałem tej złośliwości, zanim zdążyłem ją wypowiedzieć. Diana prowokowała mnie spojrzeniem, żebym mówił dalej, chociaż wiedziała, że już nic nie powiem. Powoływanie się na moją moralną wyższość było z góry skazane na niepowodzenie.

- Nie musimy się podziwiać ani szanować, żeby to zrobić - powiedziała chłodno. - Wystarczy przestrzegać warunków zawieszenia broni. Kiedy załatwimy nasze sprawy...

- Tak? - Byłem ciekaw, jak daleko w przyszłość sięga jej wyobraźnia. Czy zdaje sobie sprawę, że mogę ujawnić światu prawdę o Stowarzyszeniu Koncentrycznym i dopiero potem zdradzić miejsce pobytu Charnwooda? A może już przygotowała na mnie jakąś pułapkę? - Co będzie potem, Diano?

Nie odpowiedziała. Powoli uwolniła rękę z mojego uścisku i odsunęła z czoła kosmyk włosów.

- Muszę się spakować - powiedziała rzeczowo. - Nie mamy czasu do stracenia.

W drodze do Londynu Diana milczała, a ja nie nakłaniałem jej do rozmowy. Miałem wrażenie, że to, co sobie powiedzieliśmy, powinno wystarczyć. W mroku i ciszy Maks jechał z nami jako żywe wspomnienie. Miałem wrażenie, że wśród refleksów światła na szybie widzę odbicie jego twarzy, a w szumie silnika rozpoznaję jego głos. "Myślałeś, Guy, że zwariowałem, porywając się na to? Może i miałeś rację. Ale ty jesteś takim samym szaleńcem, podejmując tę grę. Uważaj na nią, stary. Nie spuszczaaj z niej oka. Wykończyła mnie tymi uśmiezkami, rumieńcami, łagodnymi słówkami. Uważaj, żeby i ciebie nie oszukała". Rozglądając się wokół, rozważałem to ostrzeżenie. Diana patrzyła prosto przed siebie, | myśląc pewnie o matce, jak ja myślałem o przyjacielu. Zgodziliśmy się na zawieszenie broni. Ustaliliśmy wspólny cel. Nie było powodu do zmartwienia, a jednak... "Ja też tak myślałem, stary. Nie ma się czym martwić. Czy miałem rację? Zawsze są powody do zmartwienia".

Noc spędziliśmy w hotelu Euston. Wczesnie rano zjedliśmy śniadanie i o wpół do dziewiątej wsiedliśmy do pociągu Irish Mail. Byliśmy spokojniejsi, mniej źli na siebie. Ostatecznie, zawieszenie broni jest zawieszeniem broni. Do czasu jego wygaśnięcia będę musiał jej ufać, a ona musi ufać mnie. Żeby to było możliwe, będzie musiała powiedzieć mi prawdę o spisku uknutym przez jej ojca, w którym obie z Vitą bez oporów odegrały swoje role. Kiedy pociąg ruszył ze stacji Euston i stało się jasne, że już nikt nie wsiądzie do naszego przedziału, opuściłem zasłony od strony korytarza i usiadłem naprzeciw Diany.

Mimo brzydoty otoczenia, przemawiających przeciw Dianie dowodów, nienawiści, jaką do niej czułem, nadal uważałem, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. W futrzanym kołnierzu wyglądała jak jakaś rosyjska księżniczka. Chłodnym wzrokiem patrzyła mi prosto w oczy, dając do zrozumienia, że jeśli zechce, wszystko mi wyjaśni, ale za nic nie będzie przepraszać. Powinna błagać o przebaczenie. Bardziej niż czegokolwiek innego, byłem jednak pewien, że tego nigdy nie robi.

- No? - powiedziałem pochylając się, żeby podać jej ogień. - Nie rozmyślałaś się? Nie opadły cię złe przecucia?

- Nie. Kiedy podejmuję decyzję, nigdy się nie cofam.

- Nawet gdy jest zła?

Nie odpowiedziała, tylko zaciągnęła się papierosem i zbyła mój sarkastyczny uśmieszek lodowatą obojętnością.

- Ojciec był pewnie wdzięczny za takie zdecydowanie, gdy zgodziłeś się mu pomóc w sfingowaniu jego śmierci? -Nadal milczała. - Nawiasem mówiąc, kiedy o tym zdecydowaliście? Kiedy powiedział ci o swoim pomysle?

- Czy to ważne?

- Dla mnie tak. Chcę zrozumieć każdy szczegół, który przyczynił się do śmierci Maksa. Przed nami długa podróż. Mamy dużo czasu, zdążysz mi wszystko wytłumaczyć.

- Tak. - Wyjrzała za okno, mrużąc oczy; nie potrafiłem odgadnąć, czy jest załamana, czy tylko chce się skoncentrować. - Jesteś pewien, że chcesz tego słuchać?

- Jestem pewien.

- Niech ci będzie. - Znów zaciągnęła się papierosem. -Na początku tego roku papa wiedział już, że Charnwood Investment upadnie. Byłyśmy wstrząśnięte tą wiadomością. Myślałam, że zawsze będziemy bogaci. Nagle całe moje wygodne życie, jak je określiłeś, znalazło się w niebezpieczeństwie. Co gorsza, papa obawiał się, że niektórzy z jego klientów podejmą drastyczne kroki, jeśli stracą pieniądze. Powiedział, że to niebezpieczni ludzie, którzy nie cofną się przed niczym. Nie bardzo mu wierzyłam. Myślałam, że tak naprawdę boi się hańby związanej z bankrutem. Teraz rozumiem, że miał powody, by się bać czegoś więcej. Możliwe, że ciotka Vita od początku o wszystkim wiedziała. Ale nie ja. W moim wypadku nie ma okoliczności łagodzących. Chciałam tylko tego, co miałam zawsze: szybkich samochodów, dobrego wina, eleganckich strojów, luksusowych hoteli i przystojnych mężczyzn; wszystkiego w najlepszym gatunku. Papa powiedział, że wkrótce będę się musiała nauczyć obywać namiastkami dobrobytu i liczyć się z każdym groszem. Na samą myśl o tym ogarniała mnie wściekłość; on pewnie o tym wiedział. Gdy więc wskazał mi sposób uniknięcia takiej przyszłości, chwyciłam się go kurczowo. Byłam gotowa na wszystko.

Papa postanowił przelać tyle kapitału Charnwood Investment, ile się da, na tajne konto otwarte na fałszywe nazwisko, zniknąć z oczu w jak najbardziej skuteczny sposób najlepiej udając, że został zamordowany - i ukrywać się, aż zamieszanie wywołane upadkiem firmy ucichnie, by potem rozpocząć nowe życie w Afryce Południowej czy na Dalekim Wschodzie. W stosownej chwili miałyśmy z Vitą do niego pojechać. Kiedy spytałam, jak zrealizować ten plan, miał gotową odpowiedź. Przemyślał to wszystko już wcześniej. Widział, że kryzys się zbliża, i przygotował się na to - wzruszyła ramionami. - Można powiedzieć, że na tym polega, sztuka robienia dobrych interesów.

- Już wcześniej znalazł Lightfoota?

- Tak. Można powiedzieć, że to ja go znalazłam. Vita zabrała mnie na widowisko do Eastbourne z okazji moich; szesnastych urodzin, tuż po Wielkanocy w 1919 roku. Hildebrand Lightfoot był jednym z artystów. Po powrocie do domu powiedziałam papie, że ten magik jest do niego zdumiewająco podobny. Wówczas nie okazał większego zainteresowania, a ja po dwunastu latach już o tym nie pamiętałam. Ale on nie zapomniał. Odszukał Lightfoota i upewnił się co do podobieństwa. Nie byli identyczni, ale dla celów, które papa miał na myśli, podobieństwo było wystarczające. Lightfoot stale podróżował i pomieszkiwał w wynajętych pokojach. Nie

miał rodziny. Potrzebował pieniędzy. Pod każdym względem był idealny. Papa wytłumaczył mu, że czasem jego interesy wymagają zapewnienia sobie alibi. Spytał, czy Lightfoot zgodziłby się zapewnić mu alibi, wykorzystując istniejące między nimi podobieństwo; oczywiście, za odpowiednią opłatą. Lightfoot się zgodził.

Kiedy papa mi wyjaśnił, że zabijając w jego miejsce Lightfoota, przekonamy świat o jego śmierci, byłam pewna, że wszystko się uda. Dlaczego nie miałyby się udać? Co mogłoby nam nie wyjść? Moim zdaniem, nic. Jeśli chodzi o Lightfoota, to starałam się nie myśleć o nim jak o człowieku, tylko jak o anonimowym obcym, którego, niestety, zmuszeni jesteście usunąć. - Zrobiła krótką przerwę. - Czujesz obrzydzenie?

Zdecydowany nie potępiać jej ani nie usprawiedliwiać, póki nie usłyszę wszystkiego, nic nie powiedziałem, tylko uniosłem brwi zachęcając ją, by mówiła dalej. Chrząknęła.

- Do dzisiaj myślę, że wszystko by się udało, gdyby papa się nie uparł, żeby dostarczyć policji nie tylko ofiarę, ale i mordercę. Twierdził, że jego wierzyciele nie dadzą się nabrać na morderstwo bez powodu. Co prawda, zna ich lepiej niż ja. Zresztą, mnie i Vicie było łatwiej dzięki temu, że policja знаła zabójcę. Dlatego zgodziłam się również na to. Sama wpadłam na myśl, jak znaleźć odpowiedniego człowieka.

- Wykorzystując twoją legendarną umiejętność przyciągania i fascynowania mężczyzn?

- Tak - odparła z niezachwianą powagą. - Masz rację.

- Tak samo postąpiłaś z narzeczonym, który popełnił samobójstwo?

-Piotr był głupcem. Jak wszyscy mężczyźni... z wyjątkiem mojego obecnego towarzysza, oczywiście - dodała po krótkiej przerwie.

- Czy to był jedyny cel podróży do Ameryki?

- Tak. Pomyślałam, że podróż przez Atlantyk będzie najszybszym i najpewniejszym sposobem na znalezienie właściwego człowieka. Podróż w tamtą stronę spelzła na niczym. Dopiero w drodze powrotnej trafiłam na mężczyznę, jakiego szukałam. Skoro już o to spytałeś, Maks pod każdym względem był lepszy od ciebie. Pod pozornym cynizmem wyczuwałam romantyczne pragnienie zatracenia siebie, a może nawet śmierci. Ty ukrywasz serce bardzo podobne do mojego. Poza tym, Maks wyglądał na człowieka, który mógłby popełnić morderstwo, gdyby został doprowadzony do ostateczności, podczas gdy ty...

- Tak, Diano? Co ja? Odwróciła wzrok.

- To bez znaczenia. Maks zakochał się we mnie. Bardziej, niż się spodziewałam. Powiedział, że czekał na mnie całe życie, chociaż dopiero teraz to zrozumiał. Powiedział, że jestem jego wybawieniem. Tymczasem to on był dla mnie wybawieniem.

-I niczym więcej? Tylko pionkiem, który twój ojciec zdecydował się poświęcić?

- Pochlebiali mi, że jest tak bardzo oddany. Czasem mnie wzruszał. Ale to mnie nie powstrzymało przed spełnieniem tego, co musiałam zrobić. - Zamilkła na moment, jakby się spodziewała, że jakoś to skomentuję. Ja jednak panowałam nad swoim gniewem. Nawet wyraz twarzy nie zdradzał moich myśli. - Bałam się tylko ciebie - podjęła. -Obawiałam się, że twoja przyjaźń z Maksem może skomplikować sprawy, ale papa mnie uspokoił. Doszedł do wniosku, że przydasz się nam. Szczególnie, kiedy się dowiedział o wątpliwej przeszłości twojej i Makska.

- Do czego miałyby się wam przydać nasza przeszłość?

- Świadczyła o tym, że dasz się namówić na współpracę z papą. Mogliśmy mieć pewność, że jeśli Maks odmówi przyjęcia pieniędzy, to - zaślepiony miłością - nie zawaha się, gdy zaproponujesz mu, żeby porwał mnie z domu. Miałam powiedzieć policji, że papa wyznał mi, iż w zamian za dużą kwotę pieniędzy uprzedził go o naszych zamiarach. To by ich zadowoliło; poza tym, Maks po aresztowaniu straciłby do ciebie zaufanie i nie chciałby twojej pomocy ani rady.

- Co cię powstrzymało?

- Twoja obecność w Dorking. Była niezgodna z tym, co zamierzałam powiedzieć.

- Człowiek nie zawsze jest konsekwentny.

- Nie zawsze. Pewnie dlatego tyle rzeczy nam nie wyszło. Papa powiedział Lightfootowi, że będzie go potrzebował w środku nocy, żeby przekazał inspektorowi policji skarbowej łapówkę w czasie, gdy papa będzie na przyjęciu w domku wypoczynkowym w Wokshire, dla zapewnienia sobie alibi na wypadek, gdyby inspektor próbował go wciągnąć w pułapkę. Lightfoot przyjął te wyjaśnienia. Dostał tyle pieniędzy, że można było liczyć na jego dyskrecję. Kilka minut po pierwszej wysłałam do niego przed bramę, upewniłam się, czy zaparkował swój samochód z dala od drogi, wręczyłam mu kopertę z łapówką i poszłam z nim do lasu, gdzie miał się spotkać z inspektorem. W ubraniu papy, świeżo wygolony, przypominał go do złudzenia. Przynajmniej w świetle latarki. Po drodze dla wprawy mówił coś do siebie, naśladowując głos papy. Może mi nie uwierzysz, ale to mnie zdenerwowało. Wiedziałam, że nie będzie miał okazji wypowiedzieć słów, których tak starannie się nauczył.

Papa czekał w lesie, zaraz za przełazem. Uderzył go z tyłu tak mocno, że Lightfoot od razu stracił przytomność. Opróżniliśmy jego kieszenie i podrzuciliśmy mu portfel, zegarek, chusteczkę i inne drobiazgi należące do papy. Potem... - Pierwszy raz coś na kształt wyrzutów sumienia ścisnęło ją za gardło. Opanowała się jednak szybko. - Potem ja cofnęłam się w stronę domu, a papa wymierzył mi śmiertelne ciosy. Nie zajęło to wiele czasu, ale... było mnóstwo krwi. Kiedy do mnie przyszedł, drżał jak osika. Żadne z nas nie spodziewało się, że to będzie takie straszne.

- Ojciec pewnie pierwszy raz zabił człowieka własnymi rękami?

Jedyną odpowiedzią był nagły błysk w jej oczach. Podjęła opowiadanie, jakby nic nie usłyszała.

- Potem się rozstaliśmy. Papa poszedł okrężną drogą do głównej bramy i odjechał samochodem Lightfoota, za który zresztą zapłaciliśmy. Ja wróciłam do domu, wzięłam ze sobą ciocię Vitę i piętnaście po drugiej poszliśmy do lasu. Byłam pewna, że już uciekł, znalazłszy ciało, rozpoznawszy w nim mojego ojca i uświadomiwszy sobie, że zostanie oskarżony o zabójstwo. Widocznie jednak miłość, którą tak skutecznie w nim rozbudziłam, sprawiła, że Maks postanowił dostać się do domu. Słyszając nasze kroki, nie wiedząc, kto nadchodzi, ukrył się. Ciocia Vita zwolniła kroku. Stałęm, żeby mogła złapać oddech. Wtedy powiedziałam coś głupiego. "Jeśli chcesz, zostań tu, ciociu. Sama rzucę okiem na ciało i zaraz wrócę". "Nie - odparła. - Musimy postępować tak, jakbyśmy nie wiedziały, co znajdziemy". Rozmawialiśmy szeptem. Żadnej z nas nawet na moment nie przyszło do głowy, że ktoś może nas usłyszeć. Byliśmy zdenerwowane. Pewnie z tego powodu

ciocia Vita spytała: "Jak sądzisz, gdzie teraz jest Maks?" "Już dawno uciekł" - odparłam. Potem powiedziała: "Wiesz, nawet mi go trochę żal. Zdradził go i przyjaciel, i narzeczona". Tak powiedziała. Maks czuł się pewnie, jakby mu ktoś wbił sztylet w serce. Poderwał się z ziemi tuż pod naszymi nogami i popędził na oślep. Wołałyśmy go, ale nie zatrzymał się. To, co usłyszał, przekonało go, że jesteśmy jego wrogami. Ja, Vita i ty.

- Teraz rozumiem, dlaczego odjechał samochodem nie czekając na mnie. Dlaczego napisał do swego ojca, oskarżając mnie i ciebie o zdradę. Sytuacja, w jakiej zastał nas w Wenecji, potwierdziła jego podejrzenia.

- Niestety tak.

Gdybym skręcił tamtej nocy na właściwą ścieżkę... Gdybym poszedł za Maksem, a nie za głosem Vity... Gdybym nie wysiadał z samochodu... Na wiele sposobów mogłem odmienić bieg wydarzeń, ale koniec zawsze byłby taki sam. Niezależnie od tego, jak bym podszedł do sprawy, końca nie sposób było zmienić.

- Potem nadbiegłeś ty. Kolejna niespodzianka zdenerwowała nas jeszcze bardziej. Mimo to poradziliśmy sobie bardzo dobrze, nie sądzisz?

- O tak! - powiedziałem; świadomość tego, co myślał o mnie Maks, była bardzo gorzka. - To było doskonałe przedstawienie.

- Ciocia Vita wyratowała nas z kłopotu namawiając cię, żebyś odprowadził mnie do domu. Kiedy udało się odciągnąć cię od zwłok, byliśmy bezpieczni. Papa zwolnił swojego lokaja, Barkera, kilka miesięcy wcześniej. Wiedzieliśmy, że nikt ze służby nie wytknie nosa z domu. Gdyby nawet ktoś chciał zobaczyć, co się stało, dałby się wywieść w pole, jak ty. Wszystko było bardzo przekonujące. Nawet dla wierzycieli Charnwood Investments. Uwierzyli, że mój ojciec nie żyje.

- Może trzeba było spalić ciało?

- Myśleliśmy o tym. Papa obawiał się, że to obudziłoby wątpliwości. Dopiero teraz dowiaduję się, jak bardzo podejrzliwi byli jego wierzyciele, nawet przed tym morderstwem. Pewnie dowiedzieli się jakoś o naszych kłopotach. Papa ostrzegł Vitę, że Faraday pracuje dla nich, czyli dla Stowarzyszenia Koncentrycznego. Ciocia nie mogła mi powiedzieć, dlaczego musimy być aż tak ostrożni i dlaczego nie wolno nam go obrazić. Po pogrzebie i rozprawie myślałam, że nasze kłopoty się skończyły. Ale tak nie było. Dopiero się zaczynały. Nawet w Wenecji nie udało nam się od nich uwolnić. Tam też mieli na nas oko. Ty również miałeś w tym swój udział. - Uśmiechnęła się do mnie. - Nie przecyzysz? Nie udajesz, że nie zapłacili ci za to, żebyś za mną pojechał, i że nie zacząłeś ze mną romansować, by dowiedzieć się wszystkiego, co ja wiedziałam?

- Nie ty jedna potrafisz kłamać. Sama mnie zachęcałaś. Wiedziałaś, że cię szpieguję?

- Możliwe.

- Wołałaś mieć na mnie oko dlatego, że bałaś się Maksa?

- To nieprawda.

Patrzyła na mnie, a ja na nią. Miałem wrażenie, że mówi szczerze, ale w przeszłości nabierała mnie przecież nieraz. Nie mogłem mieć pewności. Chciałem jej wierzyć; choćby dlatego, że to ułatwiłoby mi dotrzymanie warunków umowy. Jeśli uwiodła mnie po to, by zastawić pułapkę na Maksa, to

dłaczego ciągnęła ten romans tak długo? Dlaczego, jeśli nie dlatego, że pociągało ją podobieństwo naszych charakterów?

- Musisz mi wierzyć, Guy. Nie chciałam go zabić.

- Chciałaś, żeby został uznany winnym morderstwa i powieszony?

- W sądzie świadczyłabym na jego korzyść. Powiedziałabym, że przeżył wstrząs, gdy spotykał w lesie ojca zamiast mnie. Nie pozwoliłabym, żeby go powiesili.

- Więc gniłby w więzieniu do końca życia.

- Miałam nadzieję, że go nie złapią. Liczyłam na jego rozsądek. Powinien uciekać. Nie zależało mi na tym, żeby skrzywdzić Maksa.

- To była jedynie godna politowania konieczność? Jak i to, że stałaś w pobliżu, kiedy ojciec zabijał Lightfoota?

- I co z tego? Czy ty nigdy nie zrobiłaś nic niegodziwego? Oszustwa. Kradzieże. Szantaż. Papa powiedział mi o tobie wszystko. Nie masz prawa prawić mi morałów.

- Nigdy nie współdziałałam z mordercą.

- Nie, ale Stowarzyszenie Koncentryczne współdziałało. Doprowadziło do śmierci milionów ludzi. Dlatego jedziemy do Dublina. Pamiętaj o tym.

- Nie zamierzam o tym zapominać.

Nasza umowa pozostawała w mocy. "Nie spuszcza jej z oka, stary". Nie, Maks, nie spuszcze. Chcę jednak skończyć to, co zaczęliśmy. W tym celu współdziałałam z nią - na razie.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł konduktor, ugrzeczniony jak zawsze wobec podróżujących pierwszą klasą.

- Dzień dobry panu. Dzień dobry pani. Proszę bilety.

Podał mi je do przecięcia. Uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Jedź pan do Dublina?

- Tak.

- Życzę przyjemnej podróży.

Ledwie zamknął za sobą drzwi, napotkałem spojrzenie Diany.

- To nie będzie przyjemna podróż - mruknęła. - Miejmy nadzieję, że przynajmniej okaże się owocna.

Miałem niejasne przeczucie, że Wolną Irlandią nadal wstrząsa wojna domowa, tak jak na początku lat dwudziestych, ale Diana zapewniała mnie, że od dawna panuje tam spokój i porządek. Charnwood wybrał sobie na kryjówkę spokojne miejsce, do złudzenia przypominające Anglię, gdzie nie będzie go szukał nikt, z wyjątkiem tych, którzy wiedzą, że tu jest.

Było już ciemno, kiedy prom wpłynął do portu w Kingstown czyli Dun Laoghaire, gdyż po odzyskaniu niepodległości przywrócono mu dawną nazwę. W porcie niewiele widziałem; w Dublinie zresztą też, bo gazowe latarnie słabo rozjaśniały dżdżystą noc. Prosto ze stacji Westland Row pojechaliśmy do hotelu Shelbourne i zameldowaliśmy się jako panna Wood i pan Morton z Londynu. Podczas spotkania przy kolacji, w prawie pustej restauracji, Diana pokazała mi swój list do ojca. Był krótki i miły, jak wszystkie jej kłamstwa. Miałem wrażenie, że to powinno wystarczyć, żeby Charnwood zdecydował się na opuszczenie kryjówki. Nie proponowałem żadnych poprawek. W sztuce oszukiwania Diana nie miała sobie równych.

Hotel Shelbourne,

St Stephen's Green, Dublin.

6.11.1931 r.

Drogi Papo! Muszę się z Tobą jak najszybciej spotkać. Mam

straszne kłopoty i bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję Twojej rady. Nie martw się, nikt nie wie, że jestem w Dublinie. Zadzwoni albo napisz do mnie jak najszybciej pod podany adres i wskaż termin i miejsce spotkania. Przyjdę na pewno. Zameldowałam się tutaj pod nazwiskiem Wood. Muszę się z Tobą spotkać. Twoja kochająca córka Diana.

Nazajutrz miasto było szare i ciche, kiedy wcześnie rano wyszliśmy z hotelu, żeby pójść na pocztę główną na O'Connell Street. Fasadę budynku, ozdobioną kolumnami, pamiętałem ze zdjęć z czasów Powstania Wielkanocnego, mieściła się w nim bowiem kwatera główna buntowników. Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się dziwne, że w środku nie ma wymoszczonych workami z piaskiem stanowisk bojowników o wolność Irlandii, tylko cierpliwi mieszkańcy Dublina, stojący spokojnie w kolejkach do lakierowanych kontuarów, pod dachem odbijającym echem nie strzały karabinowe, ale uderzenie pieczęci o poduszki z tuszem i o książeczki.

- Jeśli to możliwe, chcielibyśmy jeszcze dzisiaj skontaktować się z właścicielem tej skrytki - powiedziała Diana, podając list urzędnikowi w jednym z okienek. Ten rzucił okiem na kopertę z tajemniczymi cyferkami, ale bez nazwiska, i powiedział:

- Zaraz zaniosę go do sortowni, nie potrafię jednak powiedzieć, czy użytkownik skrzynki wyjmie przesyłkę jeszcze dzisiaj.

- Gdzie jest sortownia? - spytałem.

- Główna jest na Sheriff Street, ale mniejsze znajdują się też na innych pocztach.

- Skoro zna pan numer, z pewnością wie pan, na której poczcie jest ta skrytka.

- Ma pan rację, ale tego nie wolno mi powiedzieć. To tajemnica. W tym celu istnieją skrytki pocztowe.

- Dlaczego go wypytywałeś? - syknęła Diana, gdy wyszliśmy na ulicę. - Chciałeś, żeby zaczął nas podejrzewać?

- Oczywiście, że nie.

- Już ci mówiłam. Papa codziennie sprawdza skrytkę. Wkrótce dostaniemy odpowiedź.

- A jeśli nie?

W myślach już zacząłem układać możliwą wersję przyszłych wydarzeń. W oku urzędnika dostrzegłem błysk świadczący o tym, że można poznać nawet najtajniejsze informacje, jeśli się dobrze zapłaci.

- Dostaniemy - oświadczyła Diana. - Znam swojego ojca. Nie sprawi mi zawodu.

Ledwie stanęliśmy na chodniku, odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w stronę hotelu.

- Już cię zawiódł - mruknąłem.

Ale Diana tego nie słyszała. Nie mówiłem zresztą do niej. Ja również wierzyłem, że Charnwood się odezwie. Nie byłem jednak pewien, czy Diana mi o tym powie. Postanowiłem przygotować się na każdą ewentualność.

Możliwe - zgodziliśmy się oboje podczas późnego śniadania w Shelbourne - że list nie dotrze na czas do właściwej sortowni i dzisiaj nie trafi do rąk Charnwooda. Była sobota. Jedyną nagrodą za nasz pośpiech była pewność, że w poniedziałek list będzie czekał w skrytce. Niestety poniedziałek, od którego tak wiele zależało, był boleśnie daleko.

- Naprawdę nie masz pojęcia, gdzie on jest? - spytałem.

- Nie - odparła Diana. - Powiedział, że w stosownej chwili skontaktuje się z nami. Do tego czasu im mniej będziemy

wiedziały, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że niechcący z czymś się zdradzimy.

- A co z kontami bankowymi, na które przelał pieniądze? Też są tutaj?

- Sądzę, że tak. W razie potrzeby miałyśmy udawać, że są w Szwajcarii.

- Żeby odciągnąć uwagę od Irlandii?

- Chyba tak. Nie wiem, gdzie są pieniądze, ale papa na pewno dobrze je ukrył.

- Pieniądze i siebie samego.

- Tak, ale... - Wyciągnęła rękę nad stołem i musnęła moją dłoń. Trwało to moment, ale obudziło we mnie żywe wspomnienie pieszczot tych szczupłych palców. - On mi odpowie. Jestem tego pewna.

- Co będziemy robić do tego czasu?

- Czekać. Trzeba jak najlepiej wykorzystać najbliższe godziny. Czas płynął powoli. Razem wybieraliśmy się na bezcelowe spacery po otulonym mgłą mieście, ale nigdy nie oddalaliśmy się zbyt daleko od Shelbourne, w każdej chwili spodziewając się wiadomości. Posiłki jadaliliśmy razem w hotelowej restauracji, zachowując pozory harmonii, skrycie jednak snując własne myśli... Relacja między nami była na tyle fałszywa, że żadne z nas nie miało pewności co do uczuć drugiego. Platoniczni przyjaciele; zdyszani kochankowie; zawzięci wrogowie; obojętni sobie sprzymierzeńcy - odegraliśmy wszystkie te role, ale w żadnej z nich się nie zatraciliśmy. Cóż nam zostało prócz świadomości, że oboje jesteśmy oszustami? Cóż zostało prócz niewiadomego, kryjącego się pod maską?

Mimo to i mimo wszystko, jednoczyło nas pragnienie zniszczenia Stowarzyszenia Koncentrycznego. Kiedy opowiedziałem Dianie wszystko, czego dowiedziałem się od Duggana, gdy wymieniłem wszystkie dowody i poprowadziłem ją zatartym przez czas tropem od sierpniowych strzałów prosto do drzwi jej ojca, dostrzegłem w jej oczach rosnące przeświadczenie że to, co on zrobił, jest niewybaczalne.

Shelbourne stoi na północnej stronie dużego placu, pośrodku którego mieści się park publiczny. Tam, wśród opadających liści, roześmianych rodzin i kaczek proszących o chleb, gdy niedzielne popołudnie odziewało się zmierzchem, Diana odwróciła się ku mnie i bez żadnego wstępu powiedziała:

- Zniszczył nas oboje, zgodzisz się ze mną? Gdyby nie wojna, mogliśmy być dzisiaj całkiem przyjemnymi ludźmi. Tymczasem, oto jacy jesteśmy. - Uśmiechnęła się z rezygnacją. - Ty naciągacz, a ja rozpieszczona dziwka.

- Określiłbym nas innymi słowami - zaprotestowałem.

- Jednak ja powiedziałam prawdę.

- Możliwe. Wojna wielu ludzi pozbawiła życia i równie wielu zmieniła. Pomyśleć tylko, że jeden człowiek może być odpowiedzialny za tyle.

- I że tym człowiekiem jest mój ojciec.

-Tak.

- Kiedy mama zginęła - powiedziała, patrząc w dal - miałam dwanaście lat. Obwiniałam o to cały świat, nie tylko Niemców. Zdecydowałam, że świat mi za to zapłaci. Po-stanowiłam brać wszystko, co znajdzie się w zasięgu mojej ręki, nie dając nic w zamian; łamać serca innych tak, jak złamano moje; udowodnić, że nic mnie nie zmusi, by zależało mi na kimkolwiek i na czymkolwiek, z wyjątkiem... - Zamilkła na chwilę; czułem, że zbliżyliśmy się do prawdy o niej, a

przynajmniej do jakiejś części prawdy. - Z wyjątkiem ojca - podjęła. - Od niego oczekiwałam miłości i opieki. A on udzielał ich szczerze. Chociaż ironiczna wymowa tego faktu z pewnością nie uszła jego uwadze. Teraz i ja to rozumiem. Obwinałam wszystkich z wyjątkiem tego, który był winny.

- Co zrobisz... kiedy się z nim spotkasz?

- Zrobię to, co powiedziałam.

- Miałem na myśli... twoją matkę.

- Nie wiem - odparła odwracając głowę, żeby spojrzeć mi w oczy. - Naprawdę nie wiem.

- Czy nie byłoby ci łatwiej, gdybym poszedł z tobą na to spotkanie?

- Nie. Mógłby nas zobaczyć i wycofać się. Zresztą...

- Tak?

- To sprawa między nim a mną. - Zacisnęła szczęki. - Tylko między nami.

Przyszedł poniedziałek, a Charnwood się nie odezwał. "Nie spuszcza jej z oka, stary". Tak robiłem, Maks. Ale jej spokój i słowa wypowiedziane w parku zasiały w mojej głowie podejrzenia. Diana miała w pokoju telefon. Było mnóstwo portierów i każdy z nich, w dzień czy w nocy, mógł dostarczyć jej list. Skąd mieć pewność, że jeszcze się z nią nie porozumiał? Skąd miałem wiedzieć, co zrobi Diana, kiedy się z nim spotka? "Tylko między nami" - powiedziała. Co miała na myśli?

Musiałem się dowiedzieć. Stawka była zbyt wielka, by miał decydować przypadek - czy raczej pragnienie zemsty na ojcu. Musiałem jakoś poznać jej myśli. Dlatego - przekonywałem sam siebie - w poniedziałek zachowałem się tak, jak się zachowałem.

Po kolacji odprowadziłem ją do pokoju. Przez trzy dni żegnałem się z nią przed drzwiami, ale nie w poniedziałek.

- Mogę wejść?

- Oczywiście, ale...

Drzwi zamknęły się za naszymi plecami. Stała bardzo blisko mnie; ze zdenerwowania oddychała szybko i płytko. Była piękna, w sukni koloru atramentu. Była godna pożądania. A ja miałem doskonałą wymówkę.

- W Wenecji - powiedziałem, patrząc w czarne, zachęcające oczy - każdy kolejny raz był lepszy od poprzedniego. Nie umiem o tym zapomnieć; a ty? Robiliśmy to. Kochaliśmy się.

- Kochaliśmy się? Czy rzeczywiście?

- Masz wątpliwości?

- Nie wiem. Może słowa nie mają znaczenia? :

- A sam akt?

- Tak. - Ujęła moją dłoń, uniosła do swojej piersi i przycisnęła ją do sutka. - Akt się liczy. Akt jest wszystkim.

Wszystkim? Nie, ale prawie wszystkim. Jest bliski tego czegoś cennego; czegoś, czego nie potrafiłem zapomnieć ani żałować, gdy rozbierałem ją i brałem - och! jak łagodnie - w tę dublińską noc; i jeszcze, jeszcze...

- Bardzo chciałam, żebyśmy to zrobili. Ale...

- Dlaczego?

- Żeby udowodnić swoją rację. Nie wybrałam ciebie, Guy, bo się bałam, że będziesz dla mnie znaczył zbyt wiele. Jeszcze jedno kłamstwo?

- Nie. Tym razem nie. To nie kłamstwo. To prawda. Prawda? Możliwe. A może prawda jest tą jedyną intymnością, do której nie chce dopuścić; ósmą zasłoną, której nigdy nie zrzuci? Po wstrząsie, jakim było odkrycie, że oboje pragnęliśmy tak wiele

- i że mogliśmy to mieć - zwątpienie czyhało nadal czekając, aż przeminie ekstaza.

Następnego ranka, kiedy Diana brała kąpiel, przejrzałem jej rzeczy w poszukiwaniu listu od Charnwooda. Nie znalazłem go. Było jednak coś znacznie gorszego; coś zimnego i twardego, co czekało na moje dotknięcie pod jedwabnym peniuarem, w najwyższej szufladzie komody: pistolet. Nowy, mały, dużego kalibru. Naładowany.

Przy śniadaniu skarżyłem się na ból głowy. Szybko wróciłem do swojego pokoju, tłumacząc, że kilkugodzinny odpoczynek dobrze mi zrobi. Diana była zmartwiona, ale - na ile byłem w stanie stwierdzić - niczego nie podejrzewała. Kiedy wyszła ode mnie i poczułem się bezpieczny, wymknąłem się z hotelu, używając windy dla personelu i bocznego wyjścia na Kildare Street. Poszedłem prosto na pocztę główną.

Nigdzie nie zauważyłem urzędnika, z którym rozmawialiśmy w sobotę; ten, który mnie teraz obsługiwał, okazał się wcieleniem irlandzkiej uczciwości. Rozpaczliwe zapewnienia, że to sprawa życia i śmierci, nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Nazwiska i adresy klientów korzystających ze skrytek są świętą tajemnicą, której nigdy nie ujawni. Kiedy wspomniałem o pieniądzach, jeszcze bardziej pogorszyłem sytuację. Miałem szczęście, że nie wezwał policji.

Postanowiłem spróbować szczęścia w sortowni na Sheriff Street. Poprosiłem jakiegoś przechodnia o pokazanie mi drogi. Okazało się, że poczta znajduje się niecały kilometr za stacją kolejową na Amiens Street. Przeszedłem przez O'Connell Street, zatrzymując się przed torami pośrodku ulicy, żeby przepuścić hałaśliwy tramwaj. Czyżby chciała go zabić? Nie miałem pewności. Czyżby chciała wymierzyć mu karę za przyłożenie ręki do śmierci matki? Jeśli tak...

- Bardzo pana przepraszam! - usłyszałem wysoki, chłopięcy głos i poczułem szarpanie za rękaw.

- Czego chcesz, do diabła? - warknąłem. Kiedy spojrzałem na obdarte ubranie i natarczywą twarz, odpowiedź wydawała się oczywista. Okazało się jednak, że byłem w błędzie.

- To dla pana - chłopak wsunął mi do ręki białą kopertę bez adresem. - Od tamtego pana.

- Jakiego pana?

- Tego starszego gościa przed Metropolem - pokazał na hotel przylegający do poczty głównej i podrapał się w głowę. - Słowo, że był tam przed chwilą.

- Starszy pan?

- Siwy. Anglik, jak pan.

Pobiegłem w stronę hotelu, rozglądając się na wszystkie strony. Zajrzałem w boczne uliczki od południa i od północy. Nic. Ani śladu. Wróciłem na pocztę. Nic. Nie było go również w udekorowanym palmami holu Metropolu, gdzie opadłem na fotel i drżącymi palcami rozerwałem kopertę.

Dublin, 10.11.1931 r.

Drogi Horton! Gratuluję wytrwałości. Zbił mnie pan z tropu. Otrzymałem, rzecz jasna, list córki. Powinien pan jednak wiedzieć, że dostałem też list od mojej siostry. Uprzedziła mnie o waszych zamiarach. Naturalnie nie mam wyboru; muszę spełnić wasze żądania. Jednak interwencja Vity pozwala mi postawić jeden drobny warunek. Spotkam się z panem i przekażę dokumenty. Tylko z panem, Horton, bez Diany. Jeśli Diana będzie z panem - albo jeśli zauważę ją w pobliżu - nie pokażę się panu. Mam nadzieję, że uda mi się dostarczyć ten list tak, by mógł pan ukryć jego treść przed Dianą. Uważam to

posunięcie za mądre. Radzę nie informować jej o naszym spotkaniu. Będę przy pomniku Wellingtona w parku Phoenix jutro, o ósmej rano; wystarczająco wcześnie, żeby mógł pan wyjść z Shelbourne nie zauważony przez Dianę i żeby było jak najmniej świadków naszego spotkania. Proszę wybaczyć brak podpisu pod listem. Chyba zgodzi się pan ze mną, że to konieczna ostrożność. Do jutra.

Doszedłem do mostu O'Connell, zanim zdecydowałem, co zrobić. Zwinąłem list Charnwooda w kulkę i rzuciłem go w wody rzeki Liffey. Potem szybkim krokiem wróciłem do Shelbourne, zatrzymując się tylko na postoju taksówek, gdzie zapłaciłem kierowcy dziesięć szylingów, żeby przyjechał po mnie jutro o siódmej trzydziści i zawiózł mnie do parku Phoenix.

Miałem nadzieję dotrzeć do swojego pokoju nie zauważony, odsuwając konieczność spotkania z Dianą na później. Szczęście mi jednak nie sprzyjało. Gdy wszedłem do hotelu i ruszyłem w kierunku schodów, drzwi windy się otworzyły i zobaczyłem ją. Na mój widok ze zdziwienia zmarszczyła brwi.

- Guy! Myślałam, że odpoczywasz.

-Ja... odpoczywałem. Ale... pomyślałem, że świeże powietrze pomoże mi na ból głowy.

-I co, pomogło?

- Rozjaśniło mi myśli.

- To dobrze. Zamierzałam przejść się po parku. Zechcesz mi towarzyszyć?

- Oczywiście.

Wyszliśmy z hotelu, przeszliśmy na drugą stronę ulicy i najbliższą bramą weszliśmy do parku. Żadne z nas się nie odzywało, aż cisza zaczęła nam ciążyć dziwnym napięciem i wyczekiwaniem. Szliśmy ścieżką wijącą się nad brzegiem stawu. Każde z nas czekało, aż to drugie coś powie; nieważne co. W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że już dawno powinienem ją spytać, więc szybko zadałem pytanie:

- Dostałaś wiadomość od ojca?

-Nie. Przyznaję... że zaczynam się martwić. Powinien mi już odpowiedzieć.

- Możliwe, że dopiero wczoraj dostał list. Mógł wyjechać na kilka dni. Musimy być cierpliwi. Znow zmarszczyła brwi.

- Zmieniłeś śpiewkę.

- Pogodzić się? - Staneła, patrząc na mnie z uwagą. Starając się zatrzeć swoje ślady, potwierdziłem jej podejrzenia. -To, co zrobiłeś wczoraj, też było pogodzeniem się z faktami?

- Wczorajsza noc nie ma z tym nic wspólnego.

-Nie?

- Oczywiście, że nie.

- Byłeś na pocztce głównej, mam rację?

-Co?

- Próbowaleś wyłudzić od nich adres papy... Proponowałeś za to pieniądze.

-Nie.

- Ból głowy, nagła tęsknota za świeżym powietrzem.

Myślisz, że jestem głupia?

- Już ci mówiłem...

- Nie było cię blisko godzinę.

- Nie; nie tak długo.

- Dzwoniłam do twojego pokoju. Chciałam spytać, jak się czujesz. Mogłeś spać i nie słyszeć dzwonka, ale było inaczej, prawda?

-No... tak. - Gorączkowo myślałem nad jakimś wiarygodnym kłamstwem. W zdenerwowaniu przypomniałem sobie starą zasadę: jak najmniej fałszować prawdę. - Masz rację. Miałem nadzieję, że uda mi się przekupić urzędnika i dostać adres twojego ojca.

-I co?

- Odszedłem z kwitkiem. Gdybyś wiedziała, co chcę zrobić, uprzedziłabyś mnie, że tak się to skończy.

- Tak, uprzedziłabym.

Zaspokoilem jej pragnienie bycia lepszą ode mnie i dzięki temu udało mi się ją oszukać.

- Wiem, że postąpiłem głupio, ale...

- Gorzej niż głupio! - Była na mnie zła; przestała mnie podejrzewać. - Niewykluczone, że papa ma na poczcie swojego człowieka, który go ostrzeże, że ktoś o niego wypytywał.

- Nie martw się, nie powiedziałem, o jaki numer skrzynki mi chodzi. Urzędnik, którego widzieliśmy w sobotę, dzisiaj nie pracował.

- Dzięki Bogu przynajmniej za to. Nie mogę zrozumieć... Dlaczego to zrobiłeś?

- Może z powodu wczorajszej nocy? Może chciałem dostać to, po co tu przyjechaliśmy... zanim zawieszenie broni między nami przerodzi się w coś więcej?

- Myślisz, że to mogłoby się stać?

- Powiedzmy, że się tego obawiam. Widzisz, nie potrafię zapomnieć o Maksie. Ja...

- Poczucie winy? Czyżby? To gnębiło cię\ dziś rano? Nie ból głowy, tylko nieczyste sumienie?

- Chyba tak.

- Myślałam, że pogodziliśmy się z tym, jacy jesteśmy. Zdaje się jednak, że byłam w błędzie.

Patrząc w jej oczy, pełne potępienia, pokiwałem głową.

- Tak; chyba tak.

- Pozostaje tylko mieć nadzieję, że ojciec odezwie się wkrótce. Zanim zawieszenie broni między nami znów zacznie dokuczać twojemu sumieniu.

Po tych słowach obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem do hotelu. Szedłem kilka kroków za nią. Zostałem upokorzony, ale zachowałem swoją tajemnicę.

Nie zdradziłem się z nią aż do wieczora. Odprowadziłem Dianę do jej pokoju po kolacji, przy której prawie nie rozmawialiśmy. Nadal okazywała mi pogardę. Wydawało się to niewielką ceną za nagrodę, którą miałem wkrótce otrzymać.

- Może jutro coś się wydarzy - powiedziałem niemądrze, kiedy wkładała klucz do zamka.

- Możliwe - odparła, otwierając drzwi i wchodząc do pokoju. - Mój ojciec zawsze wybiera najwłaściwszy moment.

Rozglądając się, spostrzegła na mojej twarzy wyraz zakłopotania i dodała:

- Jutro jest rocznica zawieszenia broni.

- Tak? - spytałem, zastanawiając się nad tym, jak mogłem przeoczyć fakt, który z pewnością nie umknął uwadze Charnwooda. - Rzeczywiście. To był...

Nie dokończyłem zdania, gdyż Diana zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Sekundę później usłyszałem, że zasuwą zasuwkę.

- Do jutra - mruknąłem pod nosem, odwracając się od drzwi. - Jutro skończy się zawieszenie broni między nami, moja droga.

Zaczynało świtać, gdy opuszczałem Shelbourne. Ciemna noc niechętnie ustępowała miejsca szaremu porankowi. Taksówkarz czekał w umówionym miejscu, skuszony hojnym napiwkami, który wręczyłem mu poprzedniego dnia.

- Pan do parku Phoenix, prawda?

- Tak; niedaleko pomnika Wellingtona.

- Ma pan rację. Nazywają go szpilką żelaznego księcia. Urodził się w Dublinie. Wiedział pan o tym?

- Chyba nie.

- Tak. Podobnie, jak wielu innych rozsądnych ludzi, nie tkwił tutaj do śmierci.

Mówił bez przestanku, cały czas w tym tonie. Jechaliśmy na zachód. Ja prawie się nie odzywałem, ale jemu to nie przeszkadzało. Nie potrzebował zachęty, żeby mówić. Siedząc w fotelu, paliłem papierosa i zastanawiałem się, co zastanę na miejscu. Charnwood nie miał wyboru; musiał zrobić to, czego od niego żądaliśmy. Sam to przyznał, a jednak...

Musiałem stracić rachubę czasu, gdyż nagle - jak mi się zdawało - wjechaliśmy do parku przez otwartą bramę zawieszoną na kamiennych słupach z palącymi się jeszcze latarniami. Przed nami biegła prosta, wysadzana drzewami aleja. Na lewo, przez ogołoczone z liści gałęzie drzew i powoli przierzadzający się mrok, dostrzegłem wysoki, kamienny obelisk.

- Czy to ten pomnik?

- Tak.

- Proszę się zatrzymać. Dalej pójde pieszko.

- Jak pan sobie życzy.

Zapłaciłem, wysiadłem z samochodu i spojrzałem na zegarek. Była za dziesięć ósma. Chciałem przyjechać nieco wcześniej, czułem bowiem, że Charnwood na pewno się nie spóźni. Ruszyłem przed siebie. Przez jakiś czas drzewa, krzewy i stalowe ogrodzenie przysłaniały mi pomnik, potem nagle rozstały się i ukazał mi się, sztywny i strzelisty, pośrodku rozległego trawnika.

Podszedłem po trawie bliżej i stanąłem u jego stóp. Spojrzałem w górę. Była to wysoka na ponad sześćdziesiąt metrów, stożkowata kolumna z kamienia, z wierzchołkiem w kształcie piramidy, z dużym, kwadratowym cokołem, od którego promieniście zbiegały strome schody. Asfaltowa ścieżka łączyła je z zasłoniętą drzewami drogą, odchodzącą od głównej alei, którą tu przyszedłem. Robiło się coraz jaśniej, wokół panowała doskonała cisza. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że dochodzi ósma.

Zacząłem obchodzić pomnik, oglądając wykonaną w brązie płaskorzeźbę, przedstawiającą zwycięstwa Wellingtona. Gdy zbliżałem się do południowo-zachodniego rogu, z drzew na drugim końcu ścieżki poderwała się z krakaniem grupa gawronów i zobaczyłem idącego powoli w moją stronę człowieka. Był szczupły i wyprostowany, w kapeluszu i płaszczu, z walizką typu Gladstone1 w prawej ręce; poruszał się nieco sztywno, jak człowiek już niemłody, chociaż nadal bardzo sprawny. Nie było żadnych wątpliwości: to Fabian Charnwood. Gdzieś daleko zegar wybił ósmą.

Spotkaliśmy się w miejscu, gdzie ścieżka łączy się z chodnikiem obiegającym pomnik. Zatrzymaliśmy się w pewnej odległości i przyglądaliśmy się sobie, ostrożni i nieufni. Zapusił niewielką, siwą bródkę, ale poza tym wcale się nie zmienił. Można go było łatwo rozpoznać, gdyby ktoś

zwrócił na niego uwagę, ale jego grób był na to zbyt doskonałym kamuflażem.

- Mam to, o co pan prosił - powiedział spokojnie, podając mi walizkę. - Wszystko jest tutaj.

Wziąłem walizkę, postawiłem ją na ziemi i otworzyłem. W środku był gruby plik dokumentów związanych sznurkiem, wciśnięty między dwie oprawne w skórę księgi.

- Księgowość i sprawozdania - powiedział - oraz poufna korespondencja, którą zbierałem latami.

Zamknąłem walizkę i wyprostowałem się, trzymając ją w ręce.

- Skąd mam wiedzieć, że to wszystko tam jest?

- Nie może pan wiedzieć. Nie musi pan. To, co pan dostał, wystarczy, żeby zniszczyć wiele znanych i szanowanych osobistości. Chyba tego pan chce?

- Wystarczy, żeby zniszczyć Stowarzyszenie Koncentryczne?

- Ja je zniszczyłem, panie Horton, w jedyny skuteczny sposób: zabrałem im pieniądze. Wszystko, co mi powierzyli, a to niemało. Pozbawiłem ich... przywódcy, chociaż to chyba nie jest najlepsze słowo. Wraz ze mną zabrakło im jedności. Nie mają wspólnego celu z wyjątkiem jednego: żeby odzyskać to, co, jak myślą, im ukradłem.

- Pan tak nie myśli?

- Ależ tak, zakładając, że można ukraść komuś coś, co zostało przez niego ukradzione.

-Z pańską pomocą, jak sądzę. Był pan... jest pan największym złodziejem na świecie.

- Byłem. Może jeszcze jestem... - Rozejrzał się na wszystkie strony. - Niewykluczone, że są to ostatnie chwile naszego życia. Nie powinniśmy ich tracić na byle co.

- Proszę się nie martwić. Nikt nie wie, że tu jestem.

- Nie wiedzą? Jeśli o to chodzi... - roześmiał się ponuro. - Co pan zrobi z tymi dokumentami, Horton? Proszę mi powiedzieć. Może pan sobie na to pozwolić. Nie mogę zrobić nic, żeby pana powstrzymać.

- Oddam je dziennikarzom.

- Albo sprzeda je pan?

- Nie robię tego dla pieniędzy, Charnwood.

- Nie; tak też sądziłem. To musi być dla pana coś nowego. Nagłe nawrócenie.

- Tak. To pańska zasługa. Nigdy nie sądziłem, że warto walczyć za prawdę, dopóki nie odkryłem, jakimi niewiarygodnymi kłamstwami karmił pan ludzkość.

- Ach, wojna... - powiedział, świadomie powtarzając te słowa.

- Zawsze ta wojna.

- Tak; dzięki panu.

-I tak byłaby wojna. Trafiałby się inny pretekst, gdybym nie dostarczył mojego.

- W takim razie, po co pan go dostarczał?

- Czas to pieniądź. Kilka lat gromadziłem wojskowych, polityków i finansistów, którzy stworzyli Stowarzyszenie Koncentryczne. Przedstawiłem im plany ulokowania wielkich pieniędzy, pochodzących przede wszystkim z pożyczek, w złocie, ubezpieczeniach i akcjach, które powinny pójść w górę w razie wojny, oraz sprzedaży innych akcji, które musiały stracić na wartości, gdy wojna rozpęta się już na dobre, co było nieuniknione, biorąc pod uwagę sytuację w Europie. Sukces zależał od trafnego przewidzenia, kiedy wszystko się zacznie. Było jasne, że najbardziej zapalnym punktem są Bałkany. Doszedłem do wniosku, iż pewność, że wycofam się z inwestycji w najwłaściwszym momencie, mogą zdobyć tylko

w jeden sposób: trzeba samemu wznieść pożar. Gdy usłyszałem o planowanej wizycie arcyksięcia Ferdynanda w Bośni, zrozumiałem, że dla nas to doskonała okazja. Już wcześniej infiltrowaliśmy Czarną Rękę i kancelarię wojskową Franciszka Ferdynanda. Oni mieli przygotować wszystko tak, żeby arcyksiążę zginął. Zażądaliśmy tego od nich.

- Nie bacząc na konsekwencje?

- Te były nie do przewidzenia. Niestety, kosztowało mnie to życie mojej drogiej żony. Jej śmierć była... Trudno mi się było z tym pogodzić.

- Dianie do dzisiaj jest ciężko.

- Oczywiście - pochylił głowę. - Z pewnością tak jest. To trudne; może nawet zbyt ciężkie... Dlatego nie powiedziałem jej o Stowarzyszeniu Koncentrycznym.

- Teraz zabrakło panu odwagi, żeby spojrzeć jej w twarz?

Podniósł wzrok.

- Nie ma pan racji. W grę wchodziły inne kwestie.

- Na przykład jakie?

- Takie jak ten samochód.

Pokazał ręką na główną aleję. Obejrzałem się i zobaczyłem przejeżdżającą niedaleko nas wielką limuzynę. Obserwowałem ją przez chwilę. Skręciła w lewo i zatrzymała się za drzewami, przy końcu ścieżki.

- Ma pan pewność, że nikt nie wie o naszym spotkaniu, panie Horton?

- Nikt nie może wiedzieć.

- Obawiam się, że oni wiedzą.

Trzy osoby wyszły z limuzyny i ruszyły ścieżką w naszą stronę. Kiedy znalazły się za linią drzew, rozdzieliły się: jedna szła prosto na nas, a dwie pozostałe zeszły na trawnik, okrążając nas z dwóch stron. Przez kilka sekund łudziłem się jeszcze, że to niemożliwe. Potem w mężczyźnie idącym ścieżką rozpoznałem Faradaya. Po prawej był marynarz Visaricia z Wenecji, potężny i groźny Klaus.

- Wejźmy razem po schodach na górę - powiedział

Charnwood.

- Dlaczego? Nie ma...

-Szybko!

Wyprzedził mnie. Pobiegłem za nim po szerokich, stromych schodach aż pod sam cokół. Odwróciliśmy się równocześnie i zobaczyliśmy Faradaya w połowie ścieżki; Klaus i ten drugi byli w tej samej odległości od pomnika, kilkanaście metrów od Faradaya.

- Mamy mało czasu - szepnął Charnwood. - To jest list dla Diany. - Wyjął z kieszeni kopertę i podał mi ją. - Odda go pan?

-Tak, ale...

- Proszę go schować!

Włożyłem kopertę do kieszeni marynarki, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Wiedział pan, że to się tak skończy!

- Sądziłem, że to bardzo prawdopodobne. Organizacja, którą stworzyłem, jest wspaniała. Nikt nie wie o tym tak dobrze jak ja.

- Czego oni chcą?

- Czegoś, czego nie mogą dostać. - Pierwszy raz zobaczyłem na jego twarzy szczery uśmiech. - Nie mogą też dostać ani ciebie, ani mnie, Horton.

Faraday zatrzymał się przy końcu ścieżki i spojrział na nas spod runda kapelusza. Klaus stanął na północno-zachodnim krańcu chodnika, a ten drugi na południowo-zachodnim. Był

szczuplejszy od Klausa, ale nie mniej straszny; miał haczykowany nos, bezlitosne oczy, czarny kapelusz zsunięty z czoła i długi, rozpięty płaszcz. Czarne palto Klausa również było rozpięte. Faraday był otulony szalikiem, miał rękawiczki i postawiony kołnierz palta. Zatarł ręce, jakby chciał się rozgrzać, i powiedział:

- Dzień dobry panom. Cóż za nieoczekiwana przyjemność.

- Może i nieoczekiwana - powiedział Charnwood - ale z pewnością nie przyjemność. Czego chcesz, Noel?

- Zawartości walizki, którą ma Horton. I twojego towarzystwa w drodze powrotnej.

- Wiesz, co jest w środku?

- Wiem, że są tam materiały, które dawno temu obiecałeś zniszczyć.

- Obiecałem?

- Oszukałeś wielu ufających ci ludzi, Fabianie. To nie czas na prawienie złośliwości.

- Zgadzam się. Jak sądzisz, na co jest teraz czas?

- Na brutalną prawdę. Obaj znacie Klausa. Zapewniam was, że O'Reilly jest równie dobrym strzelcem; i równie bezwzględny. - Jak na jakiś znak, obaj jednocześnie wyjęli rewolwery. - Nasze żądania są jasne. Oddaj walizkę, Horton, i możesz sobie iść. To, co wydarzy się potem, nie powinno cię obchodzić.

- Skąd wiedzieliście, że tu jesteśmy? - spytałem.

- Śledziliśmy cię, od kiedy wyszedłeś z hotelu. Śledziliśmy cię również wczoraj; podobnie jak Fabian, który zaproponował ci to spotkanie. O'Connell Street to nie jest właściwe miejsce na takie porachunki, ale tutaj... - rozejrzał się - jest znacznie lepiej.

- Skąd wiedzieliście, że jestem w Dublinie?

Faraday uśmiechnął się.

- Uroczą Diana. Zawarliśmy umowę. Obiecaliśmy jej część pieniędzy, które uda nam się odzyskać i sposobność do pomszczenia matki. Przebiegła jak wąż, co, Fabianie?

Więc jednak wykończyła nas obu, jak zaplanowała. Ostentacyjne wahanie, obietnica szczerości, sugestia, że spróbuje zabić ojca - wszystko to przyczyniło się do jej zwycięstwa i do mojej klęski. Zakląłem cicho i spojrziałem na Charnwooda. Spodziewałem się, że ta wiadomość go załamie, ale nic nie dał po sobie poznać.

- Wygląda na to, że masz nad nami przewagę, Noelu - powiedział spokojnym głosem.

- Rzeczywiście. Postaw walizkę, Horton, i odejdz stąd.

- Nie dojdiesz żywy do drogi - syknął Charnwood. - Nie zostawią cię przy życiu.

Charnwood miał pewnie rację. Czy mogłem jednak zrobić coś innego? Tylko uległość dawała mi szansę na przeżycie. Tak mocno ścisnąłem rączkę walizki, że straciłem czucie w dłoni. Serce waliło mi jak młotem, oddychałem ciężko i szybko. Pod kapeluszem zaczynałem się pocić. Klaus i O'Reilly przyglądali mi się jak wilki, które zapędziły królika w pułapkę bez wyjścia. Faraday uśmiechał się.

- Masz okazję się uratować, Horton. Radzę z niej skorzystać.

- Co będzie, jeśli nie skorzystam?

- Żaden z tych mężczyzn nie zawaha się strzelić, kiedy, wydam rozkaz. Nie spudłują. To się im nie zdarza. - Klaus powoli uniósł pistolet i wycelował we mnie. - Oddaj to, Horton. Weź przykład z Diany.

-Ja...

- Chwileczkę - przerwał mi Charnwood.

- Nie mam czasu - zaprotestował Faraday. - Musimy...

- Posłuchaj! - podniesiony głos Charnwooda uciszył Faradaya, jakby żaden z nich nie pozbył się jeszcze nawyków zrodzonych w trakcie długotrwałej współpracy. - Mam pod językiem fiolkę nie z wodą, możesz mi wierzyć, ale z kwasem pruskim, który mnie zabije, jeśli rozgryzę fiolkę. Zrobię to, jeśli nie pozwolisz Hortonowi odejść z walizką. Jeśli umrę, nie odzyskasz ani grosza z pieniędzy swojego pana. Jak będzie? Ich pieniądze czy moje życie?

Kłamał. Na pewno kłamał. Gdyby rzeczywiście przewidział taki bieg wypadków, zaradziłby temu. Chciał, żeby uciekł z dokumentacją, którą odebrałem mu przemocą. Dlaczego? Spojrzałem w dół i zobaczyłem grymas na twarzy Faradaya. To nieoczekiwane żądanie jego również zdziwiło.

- Zechcesz mi odpowiedzieć? - spytał Charnwood. Faraday zacisnął zęby.

- Dobrze - odparł. - Horton może odejść. - Klaus spojrzał na niego i bez słowa protestu opuścił broń. - Z walizką.

- Dobrze - powiedział Charnwood. - Bądź tak dobry i daj mu kluczyki do swojego samochodu. Nie chcę, żebyście zaraz zaczęli go ścigać.

Faraday wahał się.

- Pomyśl o pieniądzach - przypomniał Charnwood.

- Dobrze. Dam mu samochód. Daj Hortonowi kluczyki, O'Reilly

- Są w stacyjce.

- Jakby tylko na ciebie czekały, Horton. Czy w sarkazmie Faradaya kryła się jakaś groźba? Nie byłem pewien.

- Zobaczymy - powiedział Charnwood. Spojrzał na mnie. - No, Horton, na co czekasz? Idź do samochodu i uciekaj. Powinieneś pojechać prosto, a potem w lewo. Dojedziesz do bramy Islandbridge. To najkrótsza droga, żeby się wydostać z parku.

-Ale...

-Idź! Już!

Usłuchałem go. Schodząc po schodach czułem, że nogi uginają się pode mną. Kiedy mijałem Faradaya, ten uśmiechnął się do mnie i szepnął:

- Do zobaczenia.

W jego oczach wyczytałem pogroźkę: wkrótce. Zostawiłem go za sobą. Od samochodu dzieliła mnie tylko pusta ścieżka i linia drzew. Opierając się pokusie, żeby biec lub choćby obejrzeć się za siebie, szedłem równym krokiem, myśląc tylko o tym, żeby wyjść z tego z życiem. Chęć ucieczki była tak silna, że nie potrafiłem myśleć o tym, co i dlaczego się dzieje.

- Stój! - rozkazujący głos Faradaya zatrzymał mnie kilka metrów przed linią drzew. Odwróciłem się i zobaczyłem, że wszyscy trzej, z Klausem i O'Reillym, zaczęli mnie okrażać. - Nie ruszaj się z miejsca.

- Co robisz? - zawołał Charnwood. Zbiegł po schodach i puścił się za nimi w pogoń.

- Przejrzałem twój podstęp - odparł Faraday, oglądając się za siebie.

- A pieniądze?

- To była dobra przynęta. Przejrzałem cię, Fabianie. Jeśli chcesz, żeby Horton odszedł z zapiskami, to znaczy, że chcesz ich opublikowania, a sam masz nadzieję uniknąć konsekwencji związanych z podaniem tych faktów do wiadomości publicznej. To ma być swego rodzaju list samobójcy, zgadłem? W takim razie i tak nie dasz nam pieniędzy. Ale z

dokumentów możemy się czegoś dowiedzieć. Pewnie dlatego tak bardzo ci zależy, żeby Horton odszedł z nimi jak najszybciej. Skoro tak, najlepiej zabierzmy mu je natychmiast. Zgodzisz się z tym?

- Nie! Przysięgam...

- Połóż walizkę, Horton! - powiedział Faraday, zamykając okrażenie. - Już!

Zatrzymał się i dał znak Klausowi i O'Reilly'emu, żeby zrobili to samo. Obydwaj wyjęli rewolwery i wycelowali we mnie. Byli kilkanaście metrów ode mnie; ręce mieli wyciągnięte, twarde i równie nieruchome jak twarze. Widziałem, jak kładli palce na spustach, jak mrużyli oczy, celując.

- Niech będzie - wybełkotałem, puszczając walizkę. Upadła mi z hałasem pod nogi. - Dostaniecie wszystko.

- A jakże - powiedział Faraday. - Również pewnośc, że nic nam nie zrobisz, nawet jeśli widziałeś już te dokumenty. To konieczne, chociaż smutne; zgodzisz się ze mną?

- Co... co masz na myśli?

- Musisz umrzeć, Horton. Tu i teraz. Przykro mi, ale to konieczne. O'Reilly...

Kiedy usłyszałem trzask odbezpieczanego pistoletu, sądziłem, że to ostatni dźwięk w moim życiu. Mój umysł sformułował banalną myśl o dziwnie nieoczekiwanym nadejściu śmierci i przygotował się na wielki, choć prawdopodobnie krótki ból. Na ziemię upadłem jednak nie ja, ale O'Reilly. Z jego głowy buchnęła krew. Charnwood, trzymając pistolet, którym przed chwilą strzelił, krzychał:

- Uciekaj, Horton! Uciekaj!

Schyliłem się, chwyciłem walizkę i odwróciłem się, gdy Klaus składał się do strzału. Charnwood, trafiony w pierś, zachwiał się i cofnął do tyłu. Wbiegłem między drzewa. Gałęzie uderzały mnie po twarzy, w płucach zaczęło brakować powietrza. Wpadłem na chodnik, obiegłem samochód, żeby wsiąść do niego od strony kierowcy. Kluczyk był w stacyjce. Ożyła we mnie nadzieja, że może uda mi się przeżyć jeszcze kilka sekund, bo o minutach nie myślałem. Otworzyłem drzwi, wrzuciłem walizkę do środka i wsiałem, słysząc kulę przelatującą nad dachem samochodu. Klnąc i modląc się jednocześnie, przekręciłem kluczyk, szarpnąłem za starter i silnik ożył. Wcisnąłem bieg, z całej siły nadepnałem na gaz i poczułem drżenie w lewej stopie, gdyż złapał mnie skurcz. Moment później samochód z piskiem opon pomknął do przodu. Kula stłukła tylną szybę. Drzwi otworzyły się gwałtownie, by po chwili się zamknąć. Udało mi się je chwycić i zatrzasnąć. Od dachu odbiła się kolejna kula. Biorąc zakręt spojrzałem we wsteczne lusterko i zobaczyłem w przerwie między drzewami dwa nieruchome ciała, szybko jednak straciłem je z oczu.

- Uważaj! - krzyknąłem do siebie. - Prosto. Potem w lewo.

Zobaczyłem skrzyżowanie, o którym mówił Charnwood. Skręcając miałem wrażenie, że jadę na dwóch kołach. Brama była węższa od tej, przez którą wjechałem do parku; po chwili byłem już na ulicy. Gdybym myślał trzeźwo, skręciłbym na pierwszym skrzyżowaniu w prawo i szybko zostawił park za sobą. Pojechałem jednak prosto, wzdłuż muru otaczającego park. Między drzewami nadal widziałem pomnik Wellingtona. Nagle Klaus, któremu przyszło do głowy, że mogę popełnić taki błąd, pojawił się na murze i zeskoczył na chodnik. Minałbym go w tej sekundzie, której potrzebował, żeby

podnieść się po skoku, ale on również to rozumiał. Klęcząc, wyciągnął pistolet i trzymając go oburącz, wycelował...

Szarpnąłem kierownicą w prawo, schylając się jednocześnie. Opony piszczały. Przednia szyba rozprysnęła się na wszystkie strony. Spadł na mnie deszcz kawałków szkła. Nic nie widziałem. Samochód wpadł w poślizg. Potem zobaczyłem coś wyrastającego mi na drodze. Nacisnąłem hamulec. Za późno. Z brzękiem kolejnych tłuczonych szyb i zgrzytem blachy samochód uderzył w latarnię po drugiej stronie ulicy, przechylił się, zadrżał, obrócił i stanął.

Nagle zapadła cisza; tylko przedziurawiona chłodnica syczała jednostajnie. Kiedy samochód okręcał się wokół latarni, upadłem na siedzenie. Leżałem teraz na walizce Charnwooda, a mój umysł zbyt wolno tłumaczył sobie to, co widziałem w tej dziwnej pozycji: parę i kawałek nieba nad Dublinem w ramie z resztek przedniej szyby; wygięty fragment dachu, na którym skraplała się para i spływała maleńkimi strumyczkami; boczne lustro, jakimś cudem ocalałe, a w nim rosnącą z sekundy na sekundę postać Klausa, biegnącego do mnie z pistoletem w ręce. Spojrzałem na swoją rękę. Z rany u nasady kciuka leciała krew. W skórę wbił się maleńki kawałek szkła. Wiedziałem, że to koniec: głupi, pozbawiony godności i brutalny; krew na dłoni nie zdąży zakrzepnąć. Nie poznam nazwiska żadnego z facetów, którzy zdecydowali o mojej śmierci.

Wtedy go zobaczyłem. Na podłodze, przede mną, tam, gdzie wypadł ze skrytki na rękawiczki. Rewolwer. W samochodzie mieli broń. Naładowaną? Jeśli nie, nic mi nie pomoże. Jeśli tak... Padł na mnie cień Klausa. Sięgnął do klamki, gdy ja przesunąłem się do przodu, chwyciłem rewolwer i znów się cofnąłem. Czuję, jak szkło wrzyna mi się głębiej w ciało, gdy wyciągnąłem palec, sięgając do spustu. Przez chwilę patrzyłem w szybę otwieranych przez Klausa drzwi. Odwracając się, wyprostowałem rękę. Zobaczyłem nad sobą jego twarz. Miejsce zadowolonego uśmiechu zajął wyraz przerażenia. Pociągnąłem za spust, żeby dowiedzieć się prawdy. Rewolwer był naładowany.

Przez kilka sekund leżałem nieruchomo, słysząc tylko swój przyspieszony oddech. Potem usiadłem, wygramoliłem się z samochodu i spojrzałem na niego. Leżał na jezdni, na wznak. Z dziury nad nosem wypływała krew, tworząc pod prawym uchem ciemną, rosnącą kałużę. Usta miał na wpół otwarte. Patrzył na mnie niewidzącymi oczami. W dłoni nadal trzymał pistolet. Po drugiej stronie ulicy, przyglądając mi się, stał mężczyzna z rowerem. Z jego rozchylonych ust wypadł papieros, brudząc popiołem roboczy kombinezon. Zacząłem drżeć; traćłem panowanie nad swoimi reakcjami. Musiałem uciekać. Chwyciłem walizkę i pobiegłem drogą, którą tu przyjechałem, do skrzyżowania; minąłem je, byle jak najszybciej znaleźć się daleko od parku, trzech nieboszczyków i mojej własnej śmierci, ciągle jeszcze depczącej mi po piętach. Nie wiedziałem, gdzie jest Faraday. Nie mogłem się zatrzymać, żeby to sprawdzić.

Skręcając w lewo przypomniałem sobie, że w ręce nadal trzymam rewolwer. Zatrzymałem się i wrzuciłem go do walizki. Pobiegłem dalej, kamiennym mostem na drugi brzeg rzeki i wzdłuż wojskowych baraków. Ludzie przyglądali mi się, pokazywali palcami, kilka razy wołali za mną. Dobiegłem do kładki nad torami i do ruchliwego skrzyżowania. Na lewo tramwaj jadący na wschód zabierał właśnie pasażerów.

Podbiegłem i wskoczyłem na platformę w chwili, gdy już ruszał.

- Wszyscy święci! - powiedział konduktor, gdy na niego wpadłem. - Zdaje się, że za wszelką cenę chce się pan znaleźć gdzie indziej.

To prawda, ale dokąd pójść? Klaus i O'Reilly z pewnością nie byli jedynymi pomocnikami Faradaya. W Shelbourne mogli czekać na mnie inni. Nie znałem żadnego bezpiecznego miejsca w tym obcym mieście. Zostałem uciekinierem bez kryjówki. Chyba że w Anglii. W kraju, który znam. Miałem nad nimi niewielką przewagę. Postanowiłem nie zmarnować tej szansy. W kieszeni miałem bilet powrotny do Londynu.

-Kingstown - powiedziałem nagle. - Muszę się dostać do Kingstown. Chciałem powiedzieć: Dun Laoghaire.

- Jakkolwiek by pan to nazwał, nie mogę panu pomóc. Jedziemy tylko do Eden Quay.

- Muszę się dostać do Dun Laoghaire - powtórzyłem, łapiąc go za ramię.

- Proszę się uspokoić. Przespaceruje się pan z Eden Quay na drugą stronę mostu, do stacji na Tara Street. Co piętnaście minut odjeżdża stamtąd pociąg do Dun Laoghaire.

- Dziękuję - puściłem go. - Przepraszam.

- Niech pan nie przeprosza. Będę zadowolony, jeśli wszystko się panu uda.

Tramwaj klekotał i kołysał, wlokąc się tłoczonymi ulicami Dublina. Śledzony nieufnymi spojrzeniami innych pasażerów, owiązałem chusteczką krwawiącą dłoń, otarłem pot z twarzy i przejrzałem się w oknie: oczy miałem szeroko otwarte, włosy zmierzwił. Walizkę trzymałem na kolanach, ani na chwilę nie wypuszczając jej z ręki. Starłem się uporządkować myśli.

Jak i kiedy Diana skontaktowała się z Faradayem? W Dorking nie miała po temu okazji, chyba że w ciągu tej godziny, gdy czekałem na nią w bibliotece. Niewykluczone, że wcale tego nie zrobiła. Wyręczyła ją Vita. W takim razie celem jej listu do Charnwooda było, żebyśmy spotkali się sami, co miało oszczędzić Dianie przykrej konieczności powiedzenia nam prosto w oczy o zdradzie, a Faradayowi oczyścić drogę.

Mimo to nie udało się zaskoczyć Charnwooda. Pistolet i fiolka z kwasem pruskim - jeśli istniała - świadczyły, że spodziewał się zdrady. W takim razie Faraday miałby rację co do dokumentów Stowarzyszenia Koncentrycznego: były one samobójczym listem Charnwooda; jego pożegnaniem ze światem. Ode mnie zależało, czy świat o tym usłyszy.

Najważniejszy był czas. Im dłużej będę zwlekał, tym pewniej spotka mnie porażka. Stowarzyszenie Koncentryczne jest wszędzie. Jednak tak wielka organizacja nie może szybko reagować na nagle wydarzenia. Jeśli uda mi się skontaktować z Dugganem i skorzystać z jego znajomości, możliwe - tylko możliwe - że uda mi się ich wyprzedzić. Najpierw trzeba jakoś wrócić do Anglii.

Na Tara Street miałem szczęście. Wbiegłem po schodach akurat na czas, żeby zdążyć na dalekobieżny pociąg do Dun Laoghaire. Pasażerów było tak niewielu, że powinienem się domyślić, iż na końcu spotka mnie rozczarowanie.

- Prom do Holyhead odpłynął pół godziny temu - poinformował mnie zawiadowca na stacji w Dun Laoghaire.

- Kiedy będzie następny?

- Za dziesięć godzin.

-Co?

- Zdąży pan zwiedzić miasto. Choć, prawdę mówiąc, nie ma tam nic ciekawego.

- Jak inaczej mógłbym dostać się do Anglii?

- Musiałby pan wrócić do Dublina. Jeśli mnie pamięć nie myli, jest prom do Holyhead odpływający z North Wall Quay koło pierwszej.

Wrócić do Dublina i czekać ponad trzy godziny? Nie. Tego bym nie wytrzymał. Wystarczy, że Faraday weźmie do ręki rozkład jazdy i znajdzie wszystkie pasujące mi połączenia. Przyjedzie po mnie wcześniej niż prom.

- Musi być jakaś inna droga - nalegałem.

Zawiadowca podrapał się w głowę.

- Mógłby pan pojechać do Rosslare i stamtąd przepłynąć do Fishguard. Ale musiałby pan płynąć w nocy. To zajmie panu trzy godziny dłużej, niż gdyby czekał pan tutaj. Nie, najlepiej będzie odpłynąć z North Wall.

- Kiedy odjeżdża pociąg do Rosslare?

- Gdyby wsiadł pan o dziesiątej do pociągu do Bray, zdąży pan złapać pociąg do Wesford o dziesiątej trzydzieści i będzie pan w porcie Rosslare o... chwileczkę... - zajął do książki z pozaginanymi rogami - o piętnastej dwadzieścia.

Zostanie mi sześć czy siedem godzin czekania na prom do Fishguard. Czy to ma znaczenie? To najbardziej nielogiczna droga i Faraday może o niej nie pomyśleć. Będę musiał jechać do Rosslare.

Wstrząs, jakim były dla mnie ostatnie wydarzenia, może być jedynym wytłumaczeniem mojej głupoty. Minęła dobra godzina, zanim pociąg do Wesford ruszył w drogę. Siedząc samotnie w przedziale, uznałem, że nadszedł czas, by przeczytać dokumenty, z powodu których omal nie straciłem życia i za które umarły trzy osoby.

Szczęka opadła mi ze zdumienia, kiedy spojrzałem na walizkę i zrozumiałem swój błąd. Wystarczy, żeby Faraday przyjechał do Dun Laoghaire i spytał zawiadowcę o bardzo się spieszącego Anglika z walizką typu Gladstone, by dokładnie poznał trasę mojej podróży. Myślałem, że znalazłem drogę ucieczki, okazało się jednak, że wpadłem w pułapkę.

Po lewej stronie miałem Morze Irlandzkie, dalekie, szare i przerażająco spokojne, a za nim ojczyznę, do której pewnie nie dane mi będzie wrócić. Jak daleko stąd do Walii? Sześćdziesiąt kilometrów? Dziewięćdziesiąt? Dla mnie mogłoby być nawet tysiąc; bez różnicy. Użalając się nad swoim losem nie wyhoduję sobie skrzydełek, na których mógłbym odlecieć. Pozostawało tylko jedno: wysiąść z pociągu na najbliższej stacji.

Chociaż urodzeni tu mieszkańcy kochają pewnie swoje miasteczko, mnie Wicklow wydało się w zimny, listopadowy dzień bardzo ponurym i niegościnnym schronieniem. Przed co drugim domem, oparty o drzwi, stał stary mężczyzna w wytartym ubraniu, pykając fajeczkę. Bose dzieci grały w kości na piaszczystej drodze. Kobiety o potężnych biustach gromadziły się przed wystawami sklepów, żeby się uściskać i poplotkować. Tylko psy zwróciły na mnie uwagę, wyczuwając mój niepokój. Pozostali mieszkańcy Wicklow zdawali się nieświadomi mojego istnienia. Tym lepiej - pomyślałem.

Poszedłem do portu, usiadłem na murku, zapaliłem papierosa i zacząłem się zastanawiać, co dalej. Poderwał się wiatr i cisnął w moją stronę pojedyncze krople deszczu. Zakotwiczone przy brzegu stateczki i kutry rybackie zaczęły podskakiwać na

falach. Zapaliłem następnego papierosa. Zanim go skończyłem, niejasny pomysł przerodził się w plan działania. Bar Docherty'ego na nadbrzeżu był na początek miejscem nie gorszym od innych. Postanowiłem spróbować szczęścia. Piwniczne wnętrze cuchnęło wędzoną makrelą, a goście byli w większości tak starzy, że pamiętali pewnie czasy wielkiego głodu. Barman sprawiał wrażenie przyjaznego; takiego, który chętnie pomoże kochankowi w tarapatach. Spodobało mu się, że zamówiłem whisky.

- Przyjemnie obsługiwać dżentelmena znajdującego się na trunkach - powiedział, rzucając pogardliwe spojrzenie pozostałym gościom.

- Czy mógłbym prosić pana o radę?

- Jakiej rady pan potrzebuje?

- Może zna pan kogoś, kto ma łódź i zgodziłby się... - ściszyłem głos - pomóc człowiekowi w ucieczce do Walii?

Przyglądał mi się chwilę, potem w zamyśleniu pokiwał głową.

- Możliwe, ale może pan przecież popłynąć promem z Dun Laoghaire... moim zdaniem. Uśmiechnąłem się.

- To sprawa sercowa. Ściągają mnie dość muskularni bracia pewnie młodej damy z Dublina. Na pewno będą na mnie czekali w Dun Laoghaire.

- Będą? - uśmiechnął się. - Teraz rozumiem.

- Mógłby mi pan pomóc?

- Być może. Zdaje się, że znam kogoś odpowiedniego. Będzie tu nieco później. Pogadam z nim.

- Serdecznie dziękuję - opróżniłem kieliszek. - Skoro mam czekać, poproszę jeszcze jedną whisky. Pana też zapraszam, jeśli sprawi to panu przyjemność.

Usiadłem przy stoliku w rogu, walizkę postawiłem pod nogami. Minęła blisko godzina, zanim niski, żyłasty mężczyzna o małpiej twarzy odłączył od rozmawiających przy barze i podszedł do mnie. Poplamiony wełniany kapelusz i wysmagana wiatrem twarz wzbudziły we mnie zaufanie.

- Mick mówi, że szuka pan kogoś, kto popłynie z panem do Walii.

- Rzeczywiście.

- Mógłbym panu pomóc. Mam w porcie statek. Bardzo ładny; "Leitrim Lassie". Mocny. Latem zabieram na pokład amatorów wędkowania, w dni wolne Od Kracy przewożę pasażerów do Dublina i gdzie indziej.

- A o tej porze roku?

- Naprawiam więcierze do łowienia homarów. Niech się pan nie martwi, statek jest w doskonałym stanie.

- Czy mógłbym go wynająć?

- Możliwe. Zależy, ile pan może zapłacić.

- Ile pan chce?

Miałem dość pieniędzy na niespodziewane wydatki, ale on był pewien, że zechcę się targować. Przyjrzał mi się od stóp do głów i bez cienia ironii powiedział:

- Dwadzieścia funtów. Mam nadzieję, że to nie będzie dla pana za dużo. , Roześmiałem się.

- Nie ma mowy.

- To trzygodzinna podróż. Minie osiem godzin, zanim wrócę do domu. Mogę wysadzić pana w Powllheli, gdzie jest stacja kolejowa. Odpowiada to panu?

-No... tak.

- Pociągi z Holyhead tamtędy nie jeżdżą, nie musi się pan obawiać spotkania z braćmi, o których wspominał Mick.

- Mimo to...

- Desmond Rafferty nie jest może tani - mrugnął do mnie okiem - ale umie trzymać język za zębami.

-Umie?

- Będę milczał jak grób.

- Zapłacę dziesięć.

-Piętnaście.

- Niech będzie. Piętnaście funtów.

- Gwinei.

Westchnąłem.

- Zgoda, piętnaście gwinei.

- W takim razie, zabiorę pana na pokład - wyciągnął do mnie rękę. - Możemy odpłynąć o czwartej?

Rafferty najpierw musiał coś załatwić. Ja również. Biblioteka publiczna w Wicklow nie przypominała wprawdzie British Museum, ale mieli tam rozkład jazdy pociągów, kryjący w sobie dobre i złe nowiny. Nie miałem szansy zdążyć do Powllheli na żaden z pociągów, z którego miałbym przesiadkę do Londynu. Będę natomiast mógł wsiąść w pierwszy pociąg poranny. Jeśli nie będzie żadnych opóźnień, dotrę do Londynu o wpół do trzeciej. Wyszedłem z biblioteki, udałem się na najbliższą pocztę i wysłałem telegram do George'a Duggana, pod adresem "Alnwick Advertiser".

Mam dowody potrzebne do ujawnienia organizacji. Spotkajmy się jutro w Londynie, Rose and Crown, Warwick Street, o osiemnastej. Horton.

Wybrałem pub, do którego poszliśmy we wrześniu, zostawiłem sobie trzy i pół godziny w zapasie na wypadek, gdyby walijskie pociągi okazały się niepunktualne, sądziłem więc, że zachowałem niezbędną ostrożność. Duggan pojechałby nawet na biegun północny w poszukiwaniu tego, co miałem. Przynajmniej on nie sprawi mi zawodu. Ja jemu również nie. Byliśmy sobie potrzebni, jak nigdy dotąd.

Do czwartej pogoda znacznie się pogorszyła. Deszcz, smagany zachodnim wiatrem, nieprzyjemnie zaczął. Patrząc na "Leitrim Lassie" okiem lądowego szczura pomyślałem, że nigdy nie wypłyniemy na pełne morze. Rafferty, w nieprzemakalnym ubraniu, był nieustraszony.

- To tylko szkwał. Przeminie równie szybko, jak zły humor mojej żony. Niech się pan rozgości w kabinie; życzę przyjemnej podróży.

Kabina znajdowała się na rufie i była oddzielona od sterówki kawałkiem pokładu. Kiedy odbiliśmy od brzegu, schroniłem się w niej, wyjąłem z walizki dokumenty i położyłem je na niedużym stoliku. Miałem przed sobą kilka spokojnych godzin. Rafferty będzie zajęty przy sterze. Cały dzień czekałem na to, żeby się przekonać, ile wiedzy - władzy - dał mi do rąk Charnwood. Kiedy minęliśmy l u: r portu, zapaliłem niedużą lampkę sztormową, zawiesiłem ją nad stolikiem i ruszyłem w podróż do wewnętrznych kręgów Stowarzyszenia Koncentrycznego.

Poznałem wszystko: działalność, nazwiska, kolejne posunięcia. Poznałem tajemnice Charnwooda spisane językiem członka zarządu, kolumny księgowości i kopie listów. Okazało się to gorsze niż myślałem, ponieważ odzwierciedlało tylko przebiegłość i logikę, gdy ja spodziewałem się zła i szaleństwa. Nigdzie w działalności Stowarzyszenia Koncentrycznego nie było śladu megalomanii. Dokumenty przypominały Charnwooda: spokojne, ostrożne, rozważne i - gdy było to konieczne - bezwzględne.

Pomysłodawcą był Charnwood. W początkach oparł się o zarząd złożony ze swoich najpoważniejszych klientów, który powstał wiosną 1909 roku w celu usankcjonowania nietypowych inwestycji, poczynionych w imieniu inwestorów. Jeśli dobrze zrozumiałem, Charnwood nakłonił ich do wykorzystania politycznych i wojskowych znajomości, które zawarł podróżując po całej Europie, kiedy sprzedawał broń z Moss Charnwood, fabryki swego ojca. Był przeświadczony, że zajęcie jesienią Bośni przez Austro-Węgry w ciągu pięciu lat doprowadzi do wybuchu wojny światowej. Twierdził, że dzięki informacjom od swoich znajomych będzie w stanie przewidzieć datę rozpoczęcia działań wojennych z dokładnością co do miesiąca. Wykupując akcje stoczni, fabryk amunicji, kupując złoto, gdy cena przejściowo spadnie, przyjmując ubezpieczenia wojenne i sprzedając we właściwym czasie akcje, które będą musiały stanąć w czasie wojny - przekonywał Charnwood - zbiją fortunę. W tym celu będą musieli najpierw pożyczyć mnóstwo pieniędzy, by przeprowadzić te operacje na właściwą skalę. Będą też musieli okazać nieco cierpliwości.

Nie musiał długo przekonywać swoich klientów. Większość z nich pewnie już wcześniej, w prywatnych rozmowach, przeciągnął na swoją stronę. Przyjęli jego propozycje i zobowiązali się do zachowania tajemnicy i do cierpliwości. Powierzyli Charnwoodowi dokumenty wszystkich swoich transakcji i zapewnili go o swoim pełnym zaufaniu. Pożyczyli pieniądze i wydali je. Zdobyli nowych członków. Założyli komitety we Francji, Włoszech, Niemczech, Rosji, Hiszpanii, Szwajcarii i Austrii; wszystkiemu przewodniczył Charnwood. To, co na początku nazwał Zarządem Inwestycji Specjalnych, przerodziło się później w kilka zarządów koncentrycznych. W 1912 roku po raz pierwszy napotkałem wzmiankę o Stowarzyszeniu Koncentrycznym, tajemniczej trzeciej sile, niezależnej od dwóch zbrojnych bloków, na jakie podzieliła się Europa.

Na początku roku 1913, pewnie dla uzasadnienia nowej, ambitnej nazwy, rozpoczęły się rozmowy o czymś, co nazywano eufemistycznie "przyspieszeniem". Wszyscy członkowie wykorzystali już całkowicie swoje zasoby finansowe w nadziei, że zarobią na kryzysie wywołanym inwazją Serbii, Bułgarii, Grecji i Czarnogóry na tureckie prowincje na Bałkanach w październiku 1912 roku. Znajomi Charnwooda w Wiedniu zapewniali go, że Austro-Węgry nie zgodzą się na poszerzenie terytorium Serbii, w związku z czym zajęcie Macedonii musi skończyć się wojną. Stało się jednak inaczej. Cesarz Franciszek Józef, mając w tej kwestii poparcie swojego bratanka, arcyksięcia Ferdynanda, pragnął utrzymania pokoju. Długi rosły, zaufanie topniało; członkowie Stowarzyszenia Koncentrycznego zaczęli się zastanawiać, czy nie można jakoś przyspieszyć biegu wydarzeń, zamiast biernie czekać.

Stowarzyszenie już zaczął toczyć robak. Przyspieszenie - powiedział Charnwood - jest traktowane jako ostateczność i zabezpieczenie. Robak rósł. Przebił skórę. We wrześniu 1913 roku Franciszek Ferdynand ogłosił, że w czerwcu przyszłego roku zamierza odwiedzić Bośnię w ramach swych obowiązków generała-inspektora armii. Znajomi Charnwooda mówili, że ta wizyta może być niebezpieczna. Gdyby Franciszek Ferdynand został zabity, ucichłby głos przemawiający za pokojem; Franciszek Józef nie miałby

wyboru -musiałby pomścić bratanka. Wybuchłaby wojna. Pod warunkiem, że arcyksiążę zostanie zamordowany.

Dlaczego by nie zadbać, żeby tak się stało? Stowarzyszenie Koncentryczne mogło to zrobić. Jego agenci całkowicie kontrolowali służby bezpieczeństwa w Sarajewie. Przeniknęli do Czarnej Ręki, której przywódca, pułkownik Dimitrijević, dał się przekonać, że w wypadku śmierci arcyksięcia Austro-Węgry zażądamy usunięcia od władzy aktualnie panującej w Serbii dynastii, czego Dimitrijević gorąco pragnął. Postanowili zainstalować w Sarajewie własnego strzelca, by - bez względu na wszystko - zabić następcę tronu.

Na każdym etapie planowania tego przedsięwzięcia przypominano, że musi się wydarzyć coś szczególnego, co uczyni jego realizacją konieczną. Jeśli była to tylko formuła służąca uspokojeniu złych przeczuć, to mogła okazać się skuteczna. Nic się jednak nie stało, a plan został zrealizowany. Dwudziestego ósmego czerwca 1914 roku, gdy zaciągnięto ostatnie kredyty i wycofano się z ostatnich inwestycji, "rozwoj wydarzeń - jak zwięźle donosił Charnwood -został przyspieszony". Nieco więcej niż miesiąc później uzyskali to, co chcieli. Świat ogarnęła wojna. Zagrożenie, jakim byli pułkownik Borsch i dziennikarz, którego nazwisko nie pojawiło się w dokumentach, zostało dostrzeżone i zażegnane w nie określony bliżej sposób. Wydawało się, że nic już im nie grozi. Stowarzyszenie Koncentryczne zatarło za sobą wszelkie ślady.

Przejrzałem zapiski z następnych lat, szukając jakichś śladów wyrzutów sumienia, jakiegoś poczucia winy. Nic nie znalazłem. Niektórzy członkowie z pewnością potracili synów. Wiedziałem, że Charnwood stracił żonę. Jeśli nawet żalowali tego, co zrobili, dławili te emocje, ciesząc się wielkimi pieniędzmi, spływającymi na ich konta w ilości wielokrotnie przewyższającej to, co obiecywał założyciel. Nigdy już nie potrzebowali ingerować w bieg historii.

Dzięki temu, co zarobili na wojnie - na każdym zbudowanym i zatopionym pancerniku; na każdym kontrakcie podpisanym z armią na dostawę wołowiny i butów; na każdym wystrzelonym pocisku i każdym opróżnionym pojemniku z gazem - mogli się tuczyć i bogacić do końca swoich dni. Tak też robili.

Jednak ich wiara w przebiegłość Charnwooda przerodziła się w niebezpieczną pewność siebie. A jego spryt zaczął zawodzić. Nie było skutecznego lekarstwa na wielki kryzys. Od października 1929 roku do sierpnia 1931 wszystkie rachunki świadczyły o topnieniu kapitału i uszczuplaniu aktywów. Straty rosły w zastraszającym tempie. Nie wiadomo, ile wiedzieli klienci Charnwooda. Jego listy i sprawozdania ze spotkań były pełne wielkiego optymizmu, który nie mógł być szczery. Trudno było też zrozumieć, dlaczego Charnwood pozwolił na to, by sprawy potoczyły się aż tak źle. Co z jego słynną umiejętnością przewidywania przyszłości i z tłumem ekspertów? Ostrzegano go, że czyni inwestycje wątpliwej wartości. Na przykład upadek Credit-Anstalt został przepowiedziany ponad miesiąc wcześniej w liście wysokiej rangi urzędnika austriackiego ministerstwa finansów. Tymczasem Charnwood po otrzymaniu tej informacji zwiększył depozyty złożone w tym banku. Jak gdyby zależało mu na tym, by kryzys przerodził się w katastrofę; było to jakieś perwersyjne odwrócenie tego, co zrobił w roku 1914.

Nic dziwnego, że członkom Stowarzyszenia Koncentrycznego trudno było uwierzyć w ogłoszone pośmiertnie bankructwo

Charnwooda. Co się stało z pieniędzmi? Część z pewnością przelał na konta, z których zamierzał korzystać po swojej sfigowanej śmierci. Co z resztą? Było tego zbyt wiele, żeby błędy w zarządzaniu mogły wszystko pochłonać. Wyglądało jednak na to, że tak się stało. Nie wiedziałem, ile pieniędzy mogą mieć ci ludzie poza tym, co powierzyli Charnwoodowi, ale nikt, nawet najbogatszy, nie mógłby pozostać obojętny na tak wielkie straty. Klienci Charnwooda byli nie tylko bogaci, ale i wpływowi. Większość nazwisk była mi znana. Słyszałem je przy okazji przyznawania wyróżnień i awansów za ich dobre uczynki i nieskazitelną reputację.

Teraz dowiedziałem się, na jakich fundamentach zbudowali swoje olśniewające kariery. Należało się spodziewać fałszerstw i oszustw. Te rzeczy wyssali chyba z mlekiem matki. Po tych wodach ja również żeglowałem. Ale wojna - popełnienie jednego morderstwa i przyspieszenie śmierci dziesięciu milionów ludzi - to co innego. Wojna była zbyt wysoką ceną. Ja zapłaciłem mniej niż większość jej ofiar, a mimo to kipiałem gniewem, czytając ich zapiski i liczby przedstawiające zyski. Wszyscy razem wzięci byli tak samo winni jak każdy z osobna. Miałem w rękach dowody ich winy. Charnwood mi je dał, żebym zniszczył jego współników. Będę musiał to zrobić.

Silnik zamilkł. Nie miałem pojęcia, kiedy "Leitrim Lassie" przestała sobie radzić z przeciwnym wiatrem i wzburzonym morzem, ale teraz poniechała wszelkich wysiłków. Mimo skrzypienia masztów i ryku fal słyszałem Rafferty'ego krzającego się po pokładzie. Potem usłyszałem zgrzyt metalu: wyrzucił kotwicę. Zasłaniając oczy przed światłem lampy sztormowej, wyjrzałem przez świetlik. Z przodu migotało kilka świateł. Czyżbyśmy byli w Powllheli? Spojrzałem na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. Z Wicklow wypłynęliśmy ponad trzy godziny temu. Burza musiała miotać nami jak szalona, ale ja nic z tej podróży nie pamiętałem. Cały ten czas spędziłem w innym świecie - tajemnym świecie Stowarzyszenia Koncentrycznego. Spojrzałem na dokumenty, ujawniające wszystkie ich tajemnice, i zrozumiałem, że wiem już dosyć. Poskładałem papiery i na powrót włożyłem je do walizki.

Prawie w tej samej chwili w drzwiach pojawił się Rafferty, ciężko dysząc. Ociekał wodą.

- Matko Boska - stwierdził, patrząc na mnie. - Ależ z pana spokojny człowiek. Spodziewałem się, że pan leży tu ledwo dysząc, umierając ze strachu, a pan tymczasem zamyka walizkę jak lekarz po zakończeniu wizyty u bogatego pacjenta.

- Jesteśmy na miejscu?

- Tak, dobiliśmy do walijskiego wybrzeża.

- To dobrze.

- Jakież czterdzieści pięć kilometrów na zachód od Powllheli - uśmiechnął się niepewnie. - Zrzuciłem kotwicę w zatoce Aberdaron.

- Dlaczego?

- Ponieważ szaleje sztorm, jeśli pan tego nie zauważył. Silnik wysiada. Nie będę zdziwiony, jeśli woda dostała się do paliwa. Biorąc to wszystko pod uwagę i jeszcze wysoką falę, mieliśmy szczęście, że udało nam się przepłynąć cieśniną Bardsey.

- W każdym razie jakoś przepawiliśmy się przez nią i możemy chyba płynąć dalej?

- Spiesz się pan na spotkanie ze Stwórcą? Niech pan spojrzy.

Wyciągnął z szuflady plik map, położył jedną na stoliku i pokazał na linię walijskiego wybrzeża.

- Jesteśmy na południe od półwyspu Lley, przy skalistym wybrzeżu. Między zatoką Aberdaron a Powllheli morze jest łakome. - Przejechał palcem po szerokim wgłębieniu między dwoma półwyspami o ostrych kształtach na wschód od nas. - Nazywają to PrzedSIONKIEM Piekła. Może mi pan wierzyć: morze chętnie zjadłoby nas na kolację.

- Wygląda całkiem niewinnie.

Rafferty przewrócił oczami.

- Co pan może o tym wiedzieć?

- Wiem, że zgodził się pan zawieźć mnie do Powllheli.

- Zrobię to, kiedy zacznie się odpływ i wiatr ucichnie.

- Kiedy to będzie?

- Za kilka godzin. Lepiej się spóźnić i zostać przy życiu, niż szybciej znaleźć się na tamtym świecie, jak mawiała moja świętej pamięci matka.

- Muszę być w Powllheli jutro rano o wpół do szóstej.

- Zdąży pan. Niech pan zaufa słowu Desmonda Rafferty'ego: bezpiecznie i na czas postawi pan nogę na brzegu. Jeśli nie, może pan obciąć należną mi zapłatę. Czy mógłbym powiedzieć coś bardziej pocieszającego?

Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie zażądać natychmiastowego odstawienia mnie na ląd. Nie miałem jednak pojęcia, jak dostać się z Aberdaron do Powllheli w deszczową i wietrzną noc. Uznałem, że będzie to jeszcze trudniejsze niż zaufanie umiejętnościom Rafferty'ego.

- Dobrze - powiedziałem. - Niech będzie.

- Żeby ulżyć pańskiej niecierpliwości, mam na pokładzie kilka butelek bushmills. Może, czekając aż burza ucichnie, osuszemy kilka kieliszczków? - Spojrzał z ciekawością na walizkę, którą cały czas trzymałem w ręce. - Myślałem, że nie musi się pan obawiać tych braci tu, w zatoce Aberdaron. Jeśli rzeczywiście ucieka pan przed nimi.

Pokusa, jaką stanowiła dobra whisky, okazała się zbyt silna. Potrzebowałem czegoś, co wypaliłoby z moich myśli wspomnienia strasznych chwil, które przeżyłem za dnia i tego wszystkiego, co zrobiłem i czego się dowiedziałem. Puściłem walizkę, nogą wepchnąłem ją pod stół i uśmiechnąłem się niezobowiązująco.

- Czegóż miałbym się tu bać?

- Niczego. - Rafferty w uśmiechu pokazał wszystkie zęby. - Nawet wzburzonego morza, skoro płynię pan ze mną.

Statek kołysał się i kręcił wokół kotwicy, na pełnym morzu szalała burza, a my siedzieliśmy z Raffertyem na wąskich ławeczkach po dwóch stronach kabiny i opróżnialiśmy butelkę whisky. Rafferty wspominał swoją służbę w marynarce królewskiej i wojenne przygody. Skończyły się dla niego, gdy trafił do niewoli niemieckiej po porzuceniu tonącego niszczyciela podczas bitwy o Jutlandię.

- Dwa i pół roku w obozie jenieckim w Bawarii. Po powrocie do domu okazało się, że IRA i Black and Tans rzucili się na siebie jak koguty bojowe. Tacy jak ja znaleźli się między młotem a kowadłem. Niech mi pan nawet nie wspomina o starych, dobrych czasach.

A więc nawet ktoś tak beztroski jak Desmond Rafferty ucierpiał z powodu wojny. Czy istnieje ktoś, kogo ta wojna nie dotknęła? Czy jest ktoś, kto nie miałby prawa do zemsty, którą mogłem wyrzucić?

Położyłem się na koi i zapadłem w ciężki sen, w którym czekała na mnie Diana, ciepła i uległa, kusząca i zdradziecka. Czekał też Klaus. Usiadł, gdy stanąłem nad nim, leżącym na ulicy i wyciągnął ręce, usiłując złapać mnie za gardło. Potem ogarnęła mnie jedwabista nieświadomość, przypominająca kaptur na twarzy skazańca prowadzonego na śmierć.

Obudziło mnie światło dnia. Przez świetlik wpadały blade promienie słońca. Było oczywiste, że statek nadal stoi na kotwicy, kołysząc się lekko. Burza ucichła. Usiadłem. Bolała mnie głowa. Odruchowo spojrzałem na zegarek. Było wpół do dwunastej. Z niedowierzaniem przyglądałem się wskazówkom. Wpół do dwunastej! Spałem ponad piętnaście godzin. Niemożliwe, ale prawdziwe - i najprawdopodobniej katastrofalne w skutkach.

- Dzień dobry - powiedział od drzwi Rafferty. - Chce pan zacząć nowy dzień mocną herbatą?

Wyciągnął ku mnie odrapany emaliowany kubek.

- Do diabła, dlaczego nie obudził mnie pan wcześniej? - warknąłem, zeskakując z koi.

- Łatwiej byłoby obudzić umarłego.

- Wiedział pan, że muszę być w Powllheli o wpół do szóstej.

- Oczywiście, oczywiście. - Postawił kubeczek i pokiwał głową. - Muszę pana przeprosić. Chodzi o wczorajszą whisky. Dodałem do niej czegoś, po czym spał pan jak kłoda.

-Co?

- Zanim wypłynęliśmy z Wicklow, kupiłem "Evening Herald". Pisali tam o wczorajszej strzelaninie w parku Phoenix. Trzej zabici, uciekł elegancko ubrany mężczyzna z walizką typu gladstone.

Rozzłoszczony własną głupotą i wisielczym humorem Rafferty'ego, złapałem go za kołnierz nieprzemakalnego kombinezonu i przycisnąłem do futryny drzwi.

- Co zrobiłeś, przeklęty, wścibski durniu?

- Byłem przeklętym, wścibskim durniem, jak pan powiedział. Myślałem, że w torbie są pieniądze. Nieporozumienia między złodziejami, czy coś podobnego. Powiedziałem panu, że mam kłopoty z silnikiem, zrzuciłem kotwicę w zatoce Aberdaron i dosypałem panu środka nasennego. Zajrzałem do torby. Zamierzałem wyrzucić pana na brzeg w Abersoch, zanim zdąży pan dojść do siebie, i wrócić do domu z czymś więcej niż nędzne piętnaście gwinei. Ale... zmieniłem zdanie, kiedy zobaczyłem, co pan ma.

- Widziałeś dokumenty?

- Co do jednego.

- Wiesz, co to jest?

- Mniej więcej. Tylko dlatego nie wysadziłem pana w Abersoch. Te papiery dały mi do myślenia.

- Muszę je dowieźć do Londynu. Świat musi się o tym dowiedzieć.

- Dlatego zabijał pan w parku?

- Nie wszystkich ja zabiłem. Jednym z tych, którzy zginęli, był Fabian Charnwood.

- Ścigają pana? Depczą po piętach?

- Jak myślisz?

- Myślę, że to może się panu przydać. - Sięgnął do kieszeni i wyjął pięć nabojów. - Wyjąłem je z pistoletu na wypadek, gdyby się pan za bardzo zdenerwował.

Puściłem go; uśmiechając się krzywo, wysypał naboje na moją wyciągniętą dłoń.

- Nie wszystko rozumiałem - powiedział - ale nie gorzej od innych rozumiem to, co czytam. Chodzi o wojnę, prawda? Chce pan udowodnić, że wszyscy wysłani jako mięso armatnie obciążają sumienie wielkich ludzi.

-Tak.

- Życzę szczęścia.

- Mając kilka godzin spóźnienia, tym bardziej będę go potrzebował.

- Przyjedzie pan do Londynu niewiele później.

- Kilka godzin, gdy liczy się każda sekunda.

- Przepraszam, ale skąd miałem wiedzieć?

- Zejdź mi z oczu.

Wypchnąłem go za drzwi. "Leitrim Lassie" stała zakotwiczona w schludnym porcie między dwoma innymi statkami podobnej wielkości. Na niebie, krzycząc, kołowały mewy, słońce połyskiwało na wodzie i ogrzewało fasady tulących się do siebie domów Powllheli. Na tle nieba wyraźnie rysowała się postać ustawionego na nabrzeżu pomnika żołnierza w hełmie i mundurze. Nawet maleńkie Powllheli miało swoich poległych, których pamięć postanowiło uwiecznić.

- Stacja kolejowa jest po drugiej stronie ulicy - powiedział Rafferty. - Pomogę panu. Mam nadzieję, że będzie pan o tym pamiętał.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że trzyma w ręce moją walizkę. Zachmurzyłem się, wyrwałem mu ją, otworzyłem i zacząłem gorączkowo przeglądać zawartość.

- Wszystko jest na miejscu, daję słowo.

- Lepiej dla ciebie, żeby to była prawda.

- A po co mi to? Wolałbym nosić dynamit w kieszeni.

- Tak sądzisz?

- Myślę, że to nigdy nie ujrzy światła dziennego, ale jeśli stanie się inaczej... będę dumny, że panu pomogłem.

- Raczej przeszkodziłeś. - Uspokojony, zamknąłem walizkę i spojrzałem mu prosto w oczy. - Zapomniałeś zażądać swoich piętnastu gwinei.

- Nie byłem pewien, czy na nie zapracowałem.

- Moim zdaniem nie.

Widząc wyraz jego oczu, zmiękłem. Mógł mnie zostawić na brzegu w Abersoch, zanim odzyskałem przytomność. Mógł mnie, razem z dokumentacją Stowarzyszenia Koncentrycznego, wyrzucić za burtę. Tymczasem zrobił, co mógł, żeby zadośćuczynić za wyrządzoną mi krzywdę.

- Niech tam, i tak ci zapłacę - powiedziałem, sięgając po portfel.

- Jest pan szlachetnym człowiekiem.

Byłbym pewnie znacznie mniej szlachetny, gdybym się domyślał, jakie będą konsekwencje nieuczciwości Rafferty'ego. To jednak przyszło mi do głowy dopiero, kiedy stanąłem przed okienkiem kasowym na stacji kolejowej.

- Następny pociąg odjeżdża o dwunastej czterdzieści pięć - poinformował mnie kasjer. - Do Londynu z przesiadką w Barmouth i Ruabon.

- Kiedy będę na miejscu?

- W Ruabon złapie pan o szesnastej pociąg z Liverpoolu i będzie pan na Paddington o... dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć.

Popatrzyłem na niego z najwyższym zdumieniem.

- Dopiero przed północą? To śmieszne!

- Śmieszne czy nie, Great Western Railway o tej porze roku nic więcej nie może dla pana zrobić. Chce pan bilet?

- Tak - odparłem spokojnie. - Proszę mi jednak powiedzieć, gdzie będę o osiemnastej?

- O osiemnastej? Chwileczkę. - Przesunął palcem na dół strony. - Przed Shrewsbury. Dwanaście po szóstej wjedzie pan na stację.

- Bardzo dziękuję - powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

- Nie ma za co. Bilet w jedną stronę, czy powrotny?

- W jedną stronę. - Nie było nadziei, żebym przed północą zdążył do Rose and Crown. Do tego czasu Duggan straci nadzieję i zrezygnuje z czekania. Muszę coś zrobić, żeby temu zapobiec. Muszę dać mu znać, zanim straci cierpliwość. - Pierwsza klasa. Do Shrewsbury.

- Do Shrewsbury? Nie do Londynu?

- Nie, nie do Londynu. Zmieniłem plany.

Dla człowieka, który się spieszy, powolne posuwanie się naprzód jest nawet gorsze niż stanie w miejscu. Tak właśnie się czułem, kiedy rozklekotane pociągi, ciągnięte przez zdyszane lokomotywy wiozły mnie północno-wschodnim brzegiem zatoki Cardigan, potem wciągały na szczyty Gór Kambryjskich, by zjechać do doliny Dee, do Ruabon. Podróżnych było bardzo niewiele, miałem więc przedział dla siebie i mogłem w samotności złościć się powolnym tempem podróży oraz przeglądać gazety, które kupiłem w Powllheli.

Interesowały mnie doniesienia o strzelaninie w parku i rysopis uciekającego mężczyzny, którego widzieli świadkowie, ale nic takiego nie znalazłem. Prasa brytyjska najwyraźniej uznała strzelaninę w Dublinie za rzecz zwyczajną.

Ucieszyła mnie ta ciasnota poglądów. Mogą zachować klapki na oczach, dopóki nie zdecyduję się ich usunąć. Im mniej uwagi będzie na siebie zwracał Anglik podróżujący z walizką typu Gladstone, tym lepiej.

Wiele razy, kiedy pociąg, puszczając kłęby pary, kuśtykał przez Merionethshire, w myślach na nowo przeżywałem krótkie chwile walki w parku. Znow widziałem broń w ręce O'Reilly'ego, słyszałem wydawane równocześnie rozkazy i zobaczyłem Charnwooda padającego na ziemię. Przypomniałem sobie sen, w którym Klaus otworzył oczy i zacisnął dłonie na moim gardle. Wzdrygnąłem się i rozejrzałem wkoło; byłem sam. Jak zawsze.

W myślach widziałem szyderczy i zwycięski uśmiech Diany. Ukarala i mnie, i swojego ojca. Powinienem się domyślać, że jej nie przechytrzę. Zawieszenie broni między nami było paktem z diabłem. Nigdy nie przestawała kłamać i tak manipulować innymi, żeby odnieść jak największe korzyści. Zawsze była co najmniej jeden krok przede mną. Namacałem list do niej, powierzony mi przez Charnwooda. Zastanawiałem się, czy nie powinienem go otworzyć, ale coś mnie powstrzymało. Szacunek wobec - jak się okazało - ostatniej woli człowieka, który miał odejść na zawsze? Być może. Może skłoniła mnie do tego nadzieja, że pewnego dnia wręcę jej kopertę z nienaruszoną pieczęcią i w ten jedyny dostępny mi sposób zakpię sobie z niej?

Diana - mówiłem sobie - już się nie liczy. Ważny jest tylko mój spór ze Stowarzyszeniem Koncentrycznym; mój, Maksa, Feliksa, całego pokolenia. Kierowało mną coś więcej, niż tylko nadzieja na pomszczenie ich. Miałem świadomość, że wiem zbyt dużo, by w grę wchodziło zawarcie jakiegoś układu. Faraday i ludzie, którym służy, zabiją mnie, jeśli tylko będą mogli. Jedyna nadzieja to uczynić moją śmierć bezcelową przez ujawnienie tajemnic Charnwooda. Stałem po stronie

prawdy i sprawiedliwości, ponieważ nie miałem wyboru. Musiałem o nie walczyć, by przeżyć.

Moje życie zależało od George'a Duggana, jedyne go człowieka, który wiedział, czym jest Stowarzyszenie Koncentryczne. Jeśli uda mi się doręczyć mu dokumenty, on je rozpowszechni. Koniecznie musiałem się z nim skontaktować. Dzięki Rafferty'emu i Great Western Railway nie będzie to łatwe, ale pozostawało możliwe.

Pociąg do Londynu odjechał z Ruabon pięć po piątej. Czterdzieści minut później zatrzymał się w Shrewsbury. Wsiadłem, szybkim krokiem przeszedłem na postój taksówek i kazałem się zawieźć do najlepszego hotelu w mieście. Takim właśnie, zdaniem taksówkarza, był Lion, dawniej zajazd dla podróżujących powozem. Tam podobno potrafią zaspokoić wszystkie potrzeby podróżnego.

Potrzebowałem tylko pokoju z telefonem i pomocy hotelowej telefonistki, która połączy mnie z Rosę and Crown na Warwick Street w Londynie. Wyszukanie numeru i połączenie zajęło jej dziesięć minut. Dochodziła za piętnaście siódma; byłem pewien, że Duggan jeszcze na mnie czeka.

- Rosę and Crown - odezwał się niski, męski głos.

- Dobry wieczór. Czy mógłbym porozmawiać z jednym z klientów?

- To zależy. Z kim pan chce?

- Z George'em Dugganem.

- Nie znam go.

- Z pewnością jest na sali. Zechciałby pan spytać? To bardzo ważne.

- Jasne. Proszę zaczekać. - Słyszałem, jak odchodzi od telefonu, wołając: "Pan Duggan proszony do telefonu! Pan Duggan!" Po chwili wrócił. - Nie ma tu żadnego Duggana.

- Niemożliwe.

- Mówię panu, że nie ma. Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż... Jedną minutkę - znowu odszedł.

- Pan Duggan? Dlaczego nie zgłosił się pan wcześniej? Telefon do pana. Tylko niech się pan streszcza. Mary Pickford obiecała zadzwonić do mnie dzisiaj wieczorem - słyszałem jego głos. Po tych słowach zaśmiał się krótko. Potem usłyszałem, że ktoś podniósł słuchawkę, ale się nie odezwał.

-Duggan?

Przez moment panowała cisza. Potem dobiegł mnie przerażająco znajomy głos:

- Gdzie jesteś, Horton? - To był Faraday; w miejscu, gdzie nie powinno go być; posiadał informacje, których nie miał prawa posiadać. - Dlaczego cię tu nie ma? Obiecałeś Dugganowi, że przyjedziesz.

- Gdzie... Gdzie on jest?

- W Alnwick, rzecz jasna. Dostał od nas pieniądze i wreszcie ma za co kupić rum i kwaśne piwo. - To niemożliwe. Nie mógł mnie zdradzić. Skąd jednak Faraday wiedział o naszym spotkaniu? - Postąpił bardzo rozsądnie. Dlaczego nie pójdziesz w jego ślady? Spotkaj się ze mną, mogę na ciebie poczekać. Dasz mi dokumenty i nie będziesz się musiał niczego obawiać. Możemy nawet rozmawiać o cenie.

Nie! Kłamie! Chcieli mojej głowy. Gdybym zdążył na czas do Rosę and Crown, czekaliby na mnie z czymś znacznie bardziej skutecznym niż pieniądze. Jak Duggan mógł mi to zrobić? Zdradził nie tylko własną przeszłość, ale i moją przyszłość. Wraz z tajemnicą sprzedał swoją duszę. Chyba że... Czyżby

pracował dla nich od samego początku? Okłamywał mnie przy każdym spotkaniu?

- Daj spokój, Horton. Daj spokój, póki jeszcze masz szansę. W Dublinie miałeś szczęście. To się więcej nie powtórzy.

- Idź do diabła.

Cisnąłem słuchawkę i szybko zdjąłem z niej rękę, jakby była rozpalona; jakby myśli Faradaya mogły mnie wytropić w mojej odległej kryjówce. Poderwałem się na nogi spocony, mimo że w pokoju było zimno. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Dokąd teraz pójdę? Do kogo się zwrócę?

- Niech cię diabli, Duggan - mruknałem do siebie. -Niech cię diabli, ty tchórze, ty zdrajco.

Znów podniosłem telefon i powiedziałem telefonistce, że chcę rozmawiać z Queen's Head w Alnwick. Musi tam być. Tam, albo w jakiejś innej dziurze; pije, żeby uśmierzyć poczucie winy z powodu tego, co zrobił. Skoro nie mogę rzucić mu oskarżenia prosto w twarz, przynajmniej wykrzyczę je do ucha: "Ile ci zapłacili, Judaszu? Hę byłeś wart?"

Przez kilka minut stałem, wymyślając gorzkie słowa, jakimi go przywitam. Potem telefonistka oddzwoniła. Odszukała numer i połączyła mnie.

- Queen's Head.

- Czy jest tam George Duggan?

- George? Nie... Kto mówi?

-Przyjaciel.

- Jeśli jest pan przyjacielem, to powinien Pan o tym słyszeć. Wczoraj w nocy go zamordowano.

-Zamordowano?

- Wyszedł z Czarnego Łabędzia jako jeden z ostatnich, ale nie doszedł do domu. Dzisiaj rano znaleziono go na Bow Alley. Zasztyletowany i okradziony, chociaż nie mam pojęcia, co wartościowego mógł mieć przy sobie ten biedak...

Drżącą ręką odłożyłem słuchawkę. Przysiadłem na skraju łóżka. Duggan nie żyje. Nie zdradził mnie. W pewnym sensie to ja jego zdradziłem. Dlaczego go zamordowali? Przecież pozwolili mu żyć przez tyle lat. Widocznie Diana powiadomiła ich, że to on opowiedział mi o wszystkim, i Faraday uznał za konieczne uciszyć go na zawsze. Tylko dlatego; nie było innego powodu. Pragnąc za wszelką cenę przekonać Dianę o winie jej ojca, podpisałem wyrok śmierci na George'a Duggana.

Niewiele brakowało, a sam również przyplaciłbym to życiem. Znalazłszy w kieszeni Duggana mój telegram, Faraday uznał to za uśmiech losu. Pomylił się. Szczęście sprzyjało mi nie tylko w Dublinie. Podstępny umysł Desmonda Rafferty'ego i zimowy rozkład jazdy pociągów - jak się okazało - uratowały mi życie. Gdyby nie to, wpadłbym w zastawioną pułapkę. Szczęśliwie nadal miałem szansę na zwycięstwo. Co prawda mniejsze bez pomocy Duggana, ale jeszcze nie przegrałem. Miałem też coś jeszcze: kolejne nazwisko na długiej liście tych, których powinienem pomścić.

- Dopóki cię nie złapią - powiedziałem do siebie, wstając z łóżka - zawsze może ci się udać.

Potem, uciekając przed strachem i wątpliwościami, włożyłem kapelusz i płaszcz, chwyciłem walizkę i wybiegłem z pokoju.

- Zje pan kolację w restauracji? - spytał kelner, gdy mijaliśmy się w holu.

- Tak. Proszę zarezerwować dla mnie stolik na ósmą trzydzieści. Teraz muszę załatwić pewną sprawę.

- Oczywiście. A więc do zobaczenia.

Więcej mnie nie zobaczy. Nie zapłacę za rozmowy ani za pokój. Pierwszy i ostatni raz wyszedłem z hotelu Lion.

Pieszko wróciłem na stację i kupiłem bilet do Londynu. Najbliższy pociąg miał odjechać o dziesiątej. Kilka godzin oczekiwania spędziłem w pobliskim hotelu Raven, gdzie wypilem tyle szkockiej, żeby móc przespać noc w podróży. Rano będę musiał wysilić swój spryt i mieć umysł jasny jak nigdy. Bałem się porażki. Nie mogłem liczyć na uśmiech szczęścia. Od tej chwili liczy się tylko zimna krew i spryt: moja zimna krew, a spryt Faradaya. Ciekawe, co jest w lepszym stanie?

XVI

Nocny pociąg ze Shrewsbury miał przyjechać do Londynu piętnaście po piątej w piątek, trzynastego listopada. Zapowiadał się czarny piątek dla Stowarzyszenia Koncentrycznego. Albo dla mnie.

Zawsze sobie mówiłem, że jestem przesądny. Ten dzień rozpocząłem tak, jak zamierzałem go przeżyć do końca: ostrożnie. Wsiadłem na ostatniej stacji przed Paddington. Po dziewięćdziesięciu minutach oczekiwania w zimnej poczekalni w Reading wsiadłem do pociągu wiozącego robotników do Ealing. Potem przesiadłem się na kolejkę podziemną i wysiadłem na stacji Oxford Circus, zanim podniosła się mgła, zagubiony w tłumie spieszących do pracy.

Na Bond Street wstąpiłem do fryzjera, żeby się nieco odświeżyć. Potem poszedłem na Jermyn Street, żeby zjeść śniadanie w hotelu Cox. Ich adres telegraficzny (Anonimowy, Londyn) już dawno utkwiał mi w pamięci. Tego dnia potrzebowałem anonimowości. Nie było powodu sądzić, że Faraday będzie wiedział, gdzie wysiadłem z pociągu, mimo to kilka razy przeszedłem przed wejściem do banku, zanim zdecydowałem się wejść do środka, podjąć z konta większą sumę pieniędzy i złożyć walizkę w skrytce. Pozbywszy się dokumentów Charnwooda, z bronią ukrytą w kieszeni płaszcza, czułem się przygotowany na to, co mnie może spotkać. Do Holborn wyruszyłem z zaskakującą dla mnie samego pewnością siebie, chociaż nie powinienem się temu dziwić. Brak wyboru z każdego uczyniłby bohatera.

- Maks nie żyje. Wiesz o tym?

- Słyszałem. Jakaś bójka w sypialni w Wenecji. Odegrałeś w niej niechlubną rolę.

- Teraz staram się mu zadośćuczynić. Zechcesz mi pomóc? Przez wzgląd na pamięć Maksa?

- Niestety, nie pomogę ci, ale i tak możesz powiedzieć, o co ci chodzi.

- Chcę się spotkać z dziennikarzem, który opowiedział ci historię George'a Duggana.

- Chodzi o Piersa Cavershama? Po co?

- Nie mogę ci powiedzieć, ale to bardzo ważne. Ważniejsze... niż wszystko inne.

- Robisz się religijny?

- Otworzyły mi się oczy. Muszę powiedzieć jakiemuś dziennikarzowi o tym, co widziałem.

- Piersa interesuje tylko jego działka, chyba że...

- Tu chodzi o pieniądze. To go zainteresuje.

- Cóż... Mógłbym się zorientować, czy będzie wolny podczas przerwy śniadaniowej. Rozumiem, że ty płacisz?

- Miałem nadzieję, że spotkamy się w twoim klubie. Musimy.. zachować ostrożność.

- Ja mam płacić?
 - Jeśli namówisz Cavershama, żeby przyszedł, zaraz dam ci tyle pieniędzy, ile uznasz za konieczne.
 - Chyba rzeczywiście się nawróciłeś. Poraziła cię światłość na drodze do Dover, czy co?
 - Niezupełnie. Zadzwonisz do Cavershama?
 - Tak, zadzwonię. Nie muszę się spieszyć. Pierś nigdy nie odmawia, kiedy go zapraszają na obiad.
 - Możliwe, ale mnie się bardzo spieszy.
- Jak można się było spodziewać, Pierś Caversham schwycił przynętę. Trzy godziny później spotkaliśmy się w barze w klubie Tercjusza na Pali Mali. Caversham był szczupłym, ospałym mężczyzną o lśniących oczach. Jego cynizm i spostrzegawczość obudziły we mnie nadzieję. Przeszliśmy do restauracji. Tam, przy pieczonej wołowinie i burgundzie, rozmawialiśmy o dziennikarstwie, polityce, Winchesterze i jego alma mater - Charterhouse. W końcu, kiedy upewniłem się, że siedzący przy sąsiednich stolikach dobrze sobie popili, wspomniałem o wojnie. Caversham służył kilka lat we Flandrii i, przymuszony przez Tercjusza, przyznał, że otrzymał Krzyż Wojenny. Mimo to nawet brandy nie była w stanie rozjaśnić wspomnień z dni spędzonych w okopach.
- Okropne czasy - burknął do kieliszka. - Cholerne dni.
- Po tych jego słowach udając, że puszczam wodze fantazji, powiedziałem, że do wojny mógł doprowadzić międzynarodowy kartel biznesmenów. Cavershama zainteresowała moja teoria, słuchał więc z uwagą, gdy tłumaczyłem, co mogli zrobić i dlaczego. Czułem, że w pewnej chwili gotów był uwierzyć w prawdziwość moich wywodów. W tym samym momencie słynny pęcherz Tercjusza zmusił go do opuszczenia naszego towarzystwa. Wówczas powiedziałem Cavershamowi, że to wszystko prawda i że mam na to dowody.
- Myślałem... Jest pan przecież... To jakieś bajki.
 - Posiadam dokumenty potwierdzające ich udział w zabójstwie arcyksięcia Ferdynanda. Chciałbym tylko wiedzieć, czy pańska gazeta to opublikuje.
 - Pan chyba żartuje.
 - Nie. Mogę poprzeć dowodami każde swoje słowo. Co więcej, mogę wskazać winnych. Zasiadają w radach największych spółek, u nas i za granicą. Są potężni, wpływowi i cieszą się szacunkiem. Wszystkie drzwi stoją przed nimi otworem. Wszędzie kłaniają się im i obsługują z pełną atencją. W kilku krajach ci ludzie stanowią prawo. Między innymi u nas.
 - Nie wierzę.
 - Trudno się dziwić. Ja też nie wierzyłem, dopóki nie zobaczyłem dowodów.
 - Ma pan dowody... i chce je opublikować?
 - Tak.
 - Łącznie z nazwiskami?
 - Nazwiska przede wszystkim.
 - Ale...
 - Co z tą historyjką, którą chciałeś opowiedzieć Piersowi? - spytał Tercjusz, przysiadając się do nas. - Zostawiłeś ją na koniec?
 - Właśnie skończyłem opowiadać.
 - Kiedy poszedłem się odlać? To bardzo niegrzeczne.
 - Niewiele straciłeś - powiedział Caversham, patrząc mi w oczy. - To mogłoby być coś, ale raczej nic wielkiego.

- Powiniennem się był domyślić. - Tercjusz rozparł się na krześle i uśmiechnął mi się prosto w nos. - Spółka Horton i Wingate znana była z kiepskiej rentowności.

- Wingate? - zdziwił się Caversham. - Chyba o nim słyszałem w związku z...

- Ze sprawą zamordowania Charnwooda - przerwał mu Tercjusz.

- Tak, rzeczywiście. Charnwood... To jeden z nich?

- Tak - mruknąłem.

- Co? - dopytywał się Tercjusz.

- Obawiam się, że muszę lecieć - powiedział nagle Caversham, wstając. - Mam terminową pracę i tak dalej - uśmiechnął się. - Dziękuję za obiad, Tercjuszu. Chętnie to powtórzę. W moim klubie. - Podniósł dłoń, powstrzymując Tercjusza, usiłującego podnieść się z krzesła. - Zostań i spokojnie dopij swoją brandy. Horton mnie odprowadzi.

Ruszyliśmy Pali Mali na wschód. Żaden z nas nie powiedział o tym, że nie pożegnałem się przed wyjściem. Na początku Caversham był pogrążony w myślach. Potem powiedział:

- Wie pan, że byłem nie mniej pijany niż Tercjusz, dopóki nie powiedział mi pan, że ta historia jest prawdziwa? Nigdy jeszcze nie byłem tak trzeźwy jak teraz.

- To wszystko prawda.

- Charnwood był jednym z nich?

- Był przywódcą.

- Zginął, zamordowany przez pańskiego przyjaciela, Wingate'a?

- Nie. Maks tego nie zrobił. To oni, żebyśmy nie dostał tych dokumentów.

- Mimo to zdobył je pan?

- Tak.

- Wszystko, łącznie z nazwiskami?

- Co do jednego.

- Czy... wszystkie są mi znane?

- Większość niewątpliwie tak.

- Proszę wymienić te nazwiska, które znam. Wymieniłem je. Skręciliśmy z Carlton House Terrace na Mali i okrążając powoli Admiralicję, zbliżaliśmy się do Whitehall. Stamtąd poszliśmy na zachód, kierowani instynktem, do pomnika poległych w czasie wielkiej wojny, przed którym leżały jeszcze złożone w Dniu Pamięci wieńce, jak białe czerwone światła w mroku. Caversham z początku nic nie odpowiadał. Skręcił ku Horse Guards Avenue; ja poszedłem za nim. Tam, między pozbawionym okien skrzydłem ministerstwa wojny a obojętną dla nas fasadą ministerstwa oświaty, stanął i zapalił papierosa. Kiedy spojrzał na mnie, wyglądał na wstrząśniętego; taką samą minę miał pewnie przed laty we Flandrii.

- Może pan udowodnić, że ci ludzie brali w tym udział?

- Tak. Nawet dzisiaj mogę dostarczyć dowody do redakcji.

- Mówi pan poważnie, prawda?

- Oczywiście. Dla mnie jest to sprawa życia i śmierci. Oczy mu się zwężyły.

- Boi się pan?

- Ścigają mnie, Caversham. Polowanie skończy się dopiero, kiedy odzyskają dokumenty... albo kiedy świat się o nich dowie.

- Z mojej gazety?

- Właśnie.

Znów ruszyliśmy przed siebie.

- To pan jest tym przyjacielem Tercjusza, który się pytał o George'a Duggana?

-Tak.

- Czy część tych... dowodów... dostał pan od niego?

- To on skierował mnie na właściwy trop.

- Rozumiem. - Milczał przez chwilę, potem powiedział: - Tercjusz mówił mi, że kiedyś miał pan coś wspólnego z Horacym Bottomleyem. To prawda?

- Nie powinien pan wierzyć we wszystko, co mówi Tercjusz. Szczególnie, kiedy sobie popije.

- Kilka lat temu Bottomley wyszedł z więzienia. Często bywa na Fleet Street. Zawsze usiłuje wcisnąć jakieś dziwne historie. Najczęściej przekonuje, że padł ofiarą spisku politycznego. To człowiek zniszczony na ciele i na duchu.

- Chce pan powiedzieć, że sobie to wszystko wymyśliłem?

- Może bym tak pomyślał, gdyby nie dziwny telegram, który dostałem wczoraj. "Alnwick Advertiser" uznał, że powinien poinformować dawnych kolegów o nagłej śmierci ich byłego współpracownika. - Caversham stanął ze mną twarzą w twarz. - George Duggan został zamordowany.

Wzruszyłem ramionami.

- Na to wygląda.

- Dlatego powiedział pan, że to sprawa życia i śmierci, prawda?

-Tak.

- Próbuje pan wciągnąć mnie w tę grę?

-Kiedy informacja zostanie opublikowana, będzie za późno, żeby mogli coś zrobić.

- Za późno? Tak, ma pan rację.

Doszliśmy do końca Horse Guard Avenue i skręciliśmy nad rzekę. Stanałem, żeby popatrzeć na Tamizę. Caversham spoglądał na południe, ku osnutemu mgłą budynkowi parlamentu; tarcza Big Bena była niewidoczna. Straciliśmy z oczu czas.

- Jest pan szczęściarzem, Horton. Mógłbym przecież być jednym z ich ludzi. Obiecałbym panu spotkanie z wydawcą mojej gazety i... Tymczasem...

-Tak?

- Jestem mężem, ojcem i szczęśliwym człowiekiem. Dziesięć lat temu pewnie pomógłbym panu ich przyszpilić.

- A teraz już nie?

- Teraz mam dość rozumu, żeby się na to nie porywać. Pańska sprawa jest beznadziejna. Nawet jeśli potrafi pan udowodnić to, co mi powiedział - w co nie wątpię - nasze społeczeństwo nie byłoby w stanie udźwignąć prawdy tych dowodów. Zbyt wiele musiałoby się zawalić. Nie rozumie pan? Nawet niewinni nie zgodzą się na to.

- Odmawia pan pomocy?

- Tak, odmawiam zawarcia z panem samobójczego paktu. Poświęciłem się w czasie wojny i to wystarczy. Mam dość do końca życia, które - mam nadzieję - będzie długie i nieciekawe.

- Znajdę inną gazetę i przekażę tę sprawę komu innemu, skoro pan jej nie chce.

- Nie zrobi pan tego. Nikt tego nie weźmie. A gdyby się nawet panu udało, to... Stowarzyszenie, jak je pan nazywa... jest na tyle wpływowe, że sprawa i tak nie ujrzy światła dziennego. Ludzie, których pan wymienił, kontrolują połowę życia gospodarczego w tym mieście. Razem stanowią siłę, której nikt się nie przeciwstawi. Na przykładzie George'a Duggana

przekonaliśmy się, jaki los czeka tych, którym brak rozumu, żeby nie wchodzić pewnym ludziom w drogę. - Wyrzucił niedopałek papierosa do rzeki. - Do widzenia, Horton. Postaram się zapomnieć o tym, co mi pan powiedział. Panu radzę to samo.

Kiedy mnie mijał, chwyciłem go za łokieć.

- Caversham! Na miłość boską!

-Puszczaj! - Wyrwał mi się; zauważyłem, że cały drży. Rozglądał się na wszystkie strony jakby w obawie, że jesteście śledzeni. - Do cholery, niech mnie pan zostawi w spokoju! Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Rozumie pan?

- Tak, rozumiem. Boi się pan.

- Tak, boję się. Pan też powinien się bać. Takich ludzi nie można zniszczyć. Nikomu się to nie uda.

- Jeśli tego nie zrobię, oni zniszczą mnie.

- Wiem - powiedział ze smutkiem. - Zrobią to.

Przyglądał mi się chwilę, zanim dodał:

- Jestem pewien, że pana zniszczą.

Po tych słowach odszedł w kierunku mostu Hungerford. Patrzyłem za nim, ciekawy, czy się obejrzy. Nie obejrzał się. Cieszył się pewnie, że mnie więcej nie zobaczy. Zrozumiałem, że taka sama będzie reakcja każdego, komu powierzę swoją tajemnicę. Nikt nie zechce wziąć udziału w tym, co chciałem zrobić. Nikt nie będzie na tyle głupi, żeby przyjść mi z pomocą. Stałem się człowiekiem, który wie zbyt wiele, ale nie mogłem tego zapomnieć.

Ruszyłem w przeciwnym kierunku, nie myśląc o tym, dokąd idę. Blisko godzinę później zaczęło się ściemniać. Znalazłem się przed szpitalem królewskim, wszedłem do środka i snułem się po korytarzach, kłaniając się mijającym mnie emerytom. Stałem przed posągiem Karola I i zapaliłem papierosa zastanawiając się, czy pełni godności, starzy żołnierze chcieliby słuchać tego, co miałem do powiedzenia.

Chociaż to było bez znaczenia. Zacząłem rozumieć, że prawdopodobnie nie będę miał okazji podzielić się swoją tajemnicą z nikim więcej. Gdzieś tam, ukryte we mgle, Stowarzyszenie Koncentryczne tarasuje drzwi do mojej przyszłości. Nie powinienem mieć żalu do Cavershama o to, że mnie zostawił. Na jego miejscu postąpiłbym tak samo. Ja jednak nie miałem wyboru. Nieważne, czy będę szedł, biegł czy się czołgał - nie ma dla mnie ratunku.

Nagle strach wzburzył się we mnie i pobudził do gniewu. Wybiegłem ze szpitala i zatrzymałem taksówkę.

-Dokąd, szefie?

- Hotel Euston. Tylko szybko.

Zabierając samochód z hotelowego garażu wiele ryzykowałem, gdyż Diana wiedziała, że go tam zostawiłem. Jednak nawet Stowarzyszenie Koncentryczne nie może być wszędzie. Mając samochód, przed wieczorem zdążę do Dorking. Uzbrojony w pistolet, będę mógł wymierzyć Dianie taką samą karę, jaką ona zaplanowała dla mnie. Skoro ja nie mogę uciec, dlaczego jej miałyby się udać? Chcą mnie zabić, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie uda mi się dosięgnąć ich, ale ją mogę jeszcze dopaść. Przeżyję krótką chwilę satysfakcji, widząc na jej twarzy świadomość bliskiego końca. Już wiedziałem, że ich nie pokonam. Mogłem jednak zdecydować o warunkach mojej klęski.

W hotelu Euston nikt na mnie nie czekał. Zatankowałem talbota i mocniej nacisnąłem gaz, wyjechawszy z Putney. Tęskniłem za szybkością; chciałem ich przegonić. Jednak

jakkolwiek szybko bym jechał, wiedziałem, że oni podróżują jeszcze szybciej i sięgają dalej.

Na południe od Leatherhead zjechałem z drogi i paląc papierosa rozmyślałem nad bezcelowością tej wyprawy. Możliwe, że Diany nie ma w Bursztynowym Dworze. Gdyby nawet była, czy potrafię ją zabić z zimną krwią? Gdybym nawet potrafił, czy zabijając ją nie zrobię przysługi Stowarzyszeniu Koncentrycznemu? Może lepiej będzie wywołać zamęt, żeby trafić do aresztu, opowiedzieć o wszystkim Hornby'emu i wręczyć mu dowody? Czy on będzie mógł ich użyć? "Takich ludzi nie można zniszczyć" - powiedział Caversham. Miał rację. "Jeśli tego nie zrobię, oni zniszczą mnie" - odparłem. I ja również miałem rację.

Ruszyłem powoli drogą prowadzącą do Bursztynowego Dworu. Reflektory samochodu rozświetlały noc. W pewnej chwili zjechałem z drogi, ukryłem samochód pod drzewami i poszedłem dalej pieszo. Po rozjarzonym światłami, gwarnym Londynie, Surrey było ciemne i ciche jak grób; odgłos moich stóp, deptających liście leżące na poboczu drogi, i sporadyczne trzaskanie suchych gałązek pod butami rozbrzmiewało w mojej głowie echem, aż w końcu byłem pewien, że cały świat wie, gdzie jestem i co zamierzam.

Kiedy doszedłem do bramy, okazało się, że jest zamknięta, jak nigdy. Wisiała na niej kłódka. Myśl, że nie tylko ja się boję, dodała mi otuchy. Zastanawiałem się, czy Diana żyje teraz w strachu, spodziewając się, że przyjdę w nocy, uzbrojony i zdesperowany, by zażądać odpłaty za to, co zrobiła? Liczyła przecież na to, że w Dublinie mnie zabiją. Zakładała, że wszystko się tam skończy. Ale stało się inaczej. Dla nas obojga koniec nadal był niepewny.

Miałem właśnie wdrapać się na bramę, żeby przejść na drugą stronę, kiedy usłyszałem nadjeżdżający samochód. Potem zobaczyłem światła reflektorów. Ledwie zdążyłem się ukryć w lesie, nadjechał z rykiem silnika i zatrzymał się przed zamkniętą bramą. Cofnąłem się jeszcze głębiej, nie spuszczać oka z osoby, która wysiadła z samochodu i podeszła do bramy. Poznałem krzepką sylwetkę Quincy'ego McGowana.

Quincy! Oczywiście! Powinienem wcześniej o nim pomyśleć. Tylko ktoś, kto ma żal do Stowarzyszenia Koncentrycznego, będzie na tyle szalony, żeby przyjść mi z pomocą. Quincy będzie miał do nich żal, kiedy się dowie, że to oni ponoszą winę za śmierć Maud Charnwood. Kochał swoją siostrę. Chcąc pomścić jej śmierć, walczył z Niemcami w 1918 roku. Bez wahania podejmie walkę z winowajcami w roku 1931. Oto sprzymierzeniec, jakiego szukałem.

Kiedy zajął się otwieraniem kłódki, wyszedłem na drogę i zawołałem go po imieniu.

- Kto tam? - burknął, odwracając się.

- Guy Horton.

- Guy!

- Ciszej, na miłość boską! Muszę z tobą porozmawiać. To sprawa życia i śmierci.

- Ja również chciałem z tobą porozmawiać od dnia, kiedy nie pojawiłeś się na obiedzie w zeszłym tygodniu. Nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko. Może wejdziemy do środka?

Czy Diana jest w domu? P

- Nie. Powinieneś o tym wiedzieć. Nie ma jej z tobą? - Nie. A Vita?

- Jest w domu. Nie rusza się na krok, od kiedy wyjechaliście z Dianą. Jest zła jak osa. Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego.

- Ja wiem.

- Wiesz?

- Możemy pojechać gdzieś, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał? Gdzieś, gdzie nikt nas nie będzie widział? Wszystko ci wyjaśnię. Możesz mi wierzyć, że to, co mam ci do powiedzenia, zainteresuje cię. Chodzi o twoją siostrę.

- O Maud?

- Bardzo ją kochałeś, prawda?

- Pamięć o niej jest dla mnie święta. Co...

- Chciałbyś się dowiedzieć, kto ją zabił?

- Zabił ją niemiecki U-boot "Schwieger". Ją i tysiąc dwieście osób płynących "Lusitanią".

- To jeszcze nie wszystko.

- Jak to? O co ci chodzi?

- O prawdę, Quincy. O całą prawdę. Mogę ci wszystko powiedzieć, jeśli zechcesz mnie wysłuchać.

Usłyszałem, że głęboko, z namysłem wciąga powietrze.

Potem powiedział:

- Dokąd chcesz jechać?

Jechaliśmy - o ironio - bentleyem Charnwooda. Stał nieużyteczny w garażu w Bursztynowym Dworze, aż Quincy postanowił z niego skorzystać. Wjechaliśmy na górę Box i stanęliśmy na szczycie; w dole migotały światła Dorking. W jednym z ciemnych miejsc między światłkami znajdował się cmentarz i grób Fabiana Charnwooda. Ale jego ciało było gdzie indziej. Jeśli chodzi o jego duszę, pewnie unosiła się nade mną, kiedy mówiłem; przytrzymywała się skórzanej tapicerki, na której za życia tak często siadał i przyglądała mi się w lusterku, które odbijało jego twarz nieporównanie częściej niż moją.

Opowiedziałem Quincy'emu wszystko, od początku do końca. Każdy mój krok, od naszego ostatniego spotkania. Każdą tajemnicę, którą poznałem. Od zabójstwa Hildebranda Lightfoota aż do poznania annałów Stowarzyszenia Koncentrycznego i tajemnicy zabójstwa w Sarajewie. Co się wydarzyło wieczorem, kiedy miałem zjeść obiad z nim i Gregorym w hotelu Deepdene. Jak zginął jego szwagier. I dlaczego jego siostrę w tak młodym wieku spotkała śmierć.

Na początku nie wierzył mi. Diana i Vita nie mogły zrobić tego, co im zarzucałem. Nie mogły go tak cynicznie okłamywać. Był na mnie zły, że to mówię, i nie dopuszczał do siebie myśli, że to może być prawda.

Ale to była prawda. Kiedy jego gniew nieco ostygł, zaczął sobie przypominać różne nieścisłości i sprzeczności: tajemnicę zaginionych pieniędzy, podróż Maksa do Wenecji, niespodziewany wyjazd Diany z Bursztynowego Dworu, zaniepokojenie Vity, list z symbolem Stowarzyszenia Koncentrycznego, doręczony do Villa Primavera. Ciągłe wracał do tego i do przeszłości, na którą list wskazywał. Z niewiadomego powodu właśnie to go przekonało.

Kiedy skończyłem, był w całkiem innym nastroju. Nie był podejrzliwy ani wściekły. Stał się ponury i zamyślony. W skupieniu szukał drogi wśród zawitych wątków, które mu wskazałem.

- Dokumenty Fabiana winą za wojnę obarczają organizację, którą on stworzył?

- Tak. To są solidne dowody. Wyjaśniają wszystko, co zrobili. I kto to zrobił. - I ty masz te dokumenty?

- Ukryłem je.

; - Czekają, aż znajdziesz kogoś, kto zgodzi się pomóc ci przygwoździć tych łajdaków?

- Jeśli mi się uda.

- Już ci się udało. Znalazłeś współnika. - Wyjął z kieszeni piersiówkę, pociągnął łyk i podał ją mnie. - Burbon. Sądzę, że obaj potrzebujemy czegoś na wzmocnienie.

Kiedy wypilem pierwszy łyk, poczułem wdzięczność. Przy drugim opadło ze mnie napięcie. Dałem Quincy'emu to, co obiecałem - prawdę. Następny ruch należy do niego. Wiedząc o tym, poczułem wielką ulgę.

- Nie ujdzie im to na sucho. Żadnemu. Na miłość boską, moja siostrzenica! Jak mogła pertraktować z takimi ludźmi? Jak mogła to zrobić?

- Chciałbym ją o to zapytać.

- Gdzie się ukryła?

- Nie wiem.

- Jak sądzisz, czy Vita wie?

- Możliwe.

- Powie mi prawdę, nawet jeśli będę musiał wydusić ją z niej siłą. Siedziała przez cały tydzień z tą swoją tajemnicą, jak jakaś czarownica nad martwym dzieckiem. Tylko raz wyszła z domu. W zeszły piątek była w Dorking. Wiemy po co, prawda? Żeby wysłać list do Fabiana. Po czyjej ona właściwie jest stronie?

- Sam nie wiem. Czy to ważne? Quincy westchnął.

- Chyba nie. W gruncie rzeczy, to bez znaczenia. W końcu, wszystkie kłamstwa sprowadzają się do jednego: do tej przeklętej wojny. I do śmierci Maudie. Pomyśleć tylko, że niewiele brakowało, a zapłaciłbym jej mordercom. Dlaczego? żeby uratować dwie podstępne, pozbawione serca... - Mocno zacisnął prawą dłoń na kierownicy. - Diana jest bardzo podobna do matki. Wyobrażałem sobie, że to Maudie. Ale nie. Serce ma po ojcu. Chociaż z wyglądu tak bardzo przypomina Maud, duszę dostała po Fabianie Gharnwoodzie. Oby smażył się w piekle!

Ucieszyłem się, słysząc te gorzkie słowa. Prawda zmieniła jego serdeczną troskę o Dianę i jej ciotkę w nienawiść do Charnwoodów i wszystkiego, co zrobili. Pozostawało mieć nadzieję, że gniew uczyni go ślepym na niebezpieczeństwa związane z atakiem na Stowarzyszenie Koncentryczne.

- Pewnie się bałeś, że ci nie uwierzę - powiedział, puszcżając kierownicę.

- W takie rzeczy niełatwo jest uwierzyć.

- Ale to trzyma się kupy; zgadza się.

- Z czym?

- Mam na myśli podróż Maudie do domu wiosną piętnastego roku. Czymś się gryzła. Było coś, o czym chciała mi powiedzieć. Wspomniała, że chodzi o Fabiana. Na początku sądziłem, że chodzi o jakiś jego romans. O takich rzeczach lepiej rozmawiać z matką, a nie z młodszym bratem. Ale ona dawała mi do zrozumienia, że chodzi o interesy. O tym również nie chciałem słyszeć. Maudie zawsze wyznawała... surowe zasady moralne. Byłaby wstrząśnięta, gdyby dowiedziała się o niektórych posunięciach naszego staruszka. Nie miało więc znaczenia, czy Fabian skacze sobie na boki, czy chadza na skróty robiąc interesy... Sądziłem, że najlepiej zrobi, jeśli szybko o tym zapomni. Tak jej powiedziałem.

- Nie powiedziała nic konkretnego?

- Dopiero w dniu, gdy "Łuskania" odpływała do Anglii. Pierwszego maja 1915 roku. Nigdy nie zapomnę tego dnia. Pojechałem, żeby ją pożegnać w porcie. Mama nie czuła się dobrze i nie towarzyszyła nam. Ojciec i Theo... byli zajęci. Rodzina wysłała mnie. Byłem ostatnim, który widział ją żywą. Była zmartwiona, smutna i roztargniona. Wsiadłem z nią na pokład i otworzyłem szampana w jej kajucie. Ale to nie poprawiło jej humoru. Myślałem, że ciężko jej żegnać się z rodziną. Ale nie o to chodziło. Nigdy nie płakała przy pożegnaniu. Zresztą, wtedy też nie była smutna, tylko... przygnębiona. "Co byś zrobił - spytała - gdybyś się dowiedział, że ktoś, kogo kochasz, zrobił coś strasznego?" Nie sądziłem, że ma na myśli coś rzeczywiście strasznego. Myślałem, że przesadza, ale teraz...

- Sądzisz, że wiedziała?

- Coś odkryła. Z pewnością chodziło o Stowarzyszenie Koncentryczne, nie sądzisz? O kogoś, kogo kochała. I o coś naprawdę strasznego. Przyjechała do domu, żeby się poradzić, ale nie dostała tego, czego szukała.

- Co jej poradziłeś?

- Rzecz bezużyteczną. Dałem jej radę godną ciężko myślącego, lubiącego szampana durnia: "Zapomnij o tym, Maudie - powiedziałem. - Przeczekał to". Spojrzała na mnie... tak żałośnie. Pewnie zrozumiała, że nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić ze swoim zmartwieniem. Nikogo, z kim mogła dzielić strapienia.

- To tylko domysły.

- Tak. Nie mogę mieć pewności, ale mogę się domyślać. Co zamierzała zrobić po powrocie do Anglii? Co by zrobiła, gdyby nie torpeda wystrzelona u irlandzkiego wybrzeża?

Miałem wrażenie, że zaczyna podejrzewać Charnwooda o celowe uśmiercenie Matyldy. W dokumentach nie było nic, co by na to wskazywało, ale on o tym nie wiedział. Nie było potrzeby uświadamiać mu tego faktu.

- Nie potrafię powiedzieć czy bezpośrednio, czy tylko pośrednio, ale Stowarzyszenie Koncentryczne z pewnością jest odpowiedzialne za śmierć twojej siostry. I wszystkich innych, którzy trafili na listy poległych w bitwach.

- Fabian nie żyje, ale pozostało wielu konspiratorów, którzy do dzisiaj korzystają z pieniędzy zarobionych w tak okropny sposób.

- Tak, wielu.

- Dobierzemy się im do skóry. Jak mi Bóg miły, dopadniemy ich.

- Jak? Caversham powiedział, że żadna gazeta...

- Możliwe, że żadna z brytyjskich gazet, ale pozostaje prasa amerykańska. Z tego, co mówiłeś, wynika, że Stowarzyszenie Koncentryczne nie ma żadnych kontaktów w Ameryce.

- O ile wiem...

- Sam widzisz. Przekażemy sprawę do "New Vork Timesa". Albo do "Washington Post". Przekażemy im dowody. Zapewniam cię, że zechcą je wykorzystać. Na wojnie zginęło ponad sto tysięcy Amerykanów. Sam rozumiesz, że ich to zainteresuje.

Miał rację. W Stanach Zjednoczonych Stowarzyszenie Koncentryczne nie było aż tak wpływowe, żeby zapobiec ujawnieniu prawdy. Jeśli stanie się znana tam, usłyszy o niej cały świat. Znalazła się dla mnie droga ucieczki. Pokazał mi ją Quincy McGowan.

- Zrobimy to, Guy. Mamy za sobą wpływy i pieniądze McGowan Steel Corporation. Mamy wszystko, czego potrzeba, żeby ich zdemaskować. Chcesz spróbować?

- Oczywiście, że chcę.

Łatwo było podjąć decyzję, ponieważ nie miałem wyboru.

- W Stanach możesz mieć kłopoty z powodu kontaktów z Babcockami. Wiesz o tym?

- To bez znaczenia.

Tamta sprawa wydawała się teraz tak trywialna, że całkiem o niej zapomniałem.

- Dobrze. W takim razie musimy jak najszybciej przewieźć cię i dokumenty przez Atlantyk.

- Jak? Nie mogę...

- Możesz. Posłuchaj, jutro rano pojedę do Londynu i kupię dwa bilety na pierwszy statek do Nowego Jorku. Kiedy nadejdzie czas, powiem Vicie, że muszę odwiedzić jakieś odlewnie na północy. Spotkamy się w Southampton i uciekniemy z dokumentami. Za tydzień położymy je na biurku wydawcy gazety, którą wybierzemy.

Brzmiało to bardzo prosto. Dlaczego miałoby się nie udać? Faraday szukał mnie, ale nie śledził Quincy'ego. Wystarczy, żebym się ukrył, doczekał dnia wyjazdu, odebrał dokumenty z banku i stawiał się w Southampton. Resztę załatwi Quincy.

- Wszystko się uda, jeśli zachowamy ostrożność. Kiedy kupię bilety, pojedę do klubu anglo-amerykańskiego w Iver. Zadzwoń tam do mnie jutro po południu. O trzeciej. Będę czekał w holu. Powiem ci, kiedy odpływamy. Dzień wcześniej pojedę pociągiem do Londynu, wrócę do Southampton i przenocuję w hotelu niedaleko portu.

- South Western?

- Tak. Spotkamy się tam dwie godziny przed odplynięciem statku. Na pokład wsiądziemy w ostatniej chwili. Nie wsiadaj do pociągu dla pasażerów płynących do Stanów.

Zrobimy to. Już wkrótce. Będę wolny.

- Quincy...

- Jeśli chcesz mi dziękować, daruj to sobie. Robię to dla Maud.

- Wiem, ale...

- Resztę powiesz mi, kiedy będziemy już na morzu. - Wyjął piersiówkę z mojej ręki i przyłożył do ust. - Za torpedę, którą my wystrzelimy.

"Wszystko się uda - powiedział Quincy - jeśli zachowamy ostrożność". Byłem gotów zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby nam się udało. Tej samej nocy pojechałem aż do Wimbledonu, zostawiłem samochód na Common, poszedłem pieszo na stację i pojechałem kolejką do Kensington, gdzie jest wiele małych hotelików. Wybrałem sobie najmniej luksusowy - Butę Court na Queen's Gate - i zniknąłem wszystkim z oczu. Nazajutrz, punktualnie o trzeciej, zadzwoniłem do klubu anglo-amerykańskiego z budki telefonicznej przy Albert Hali, modląc się, żeby Quincy zdążył podejść do telefonu, zanim skończą mi się pieniądze. Moja modlitwa została wysłuchana.

- Będę się streszczał. Odpływamy "Leviathanem" we wtorek w południe. Możesz być w Southampton o dziesiątej?

- Tak.

- Dobrze. Do tego czasu nigdzie się nie pokazuj.

- Nie martw się, siedzę tu jak mysz pod miotłą.

Poszedłem na spacer do Hyde Parku. Wśród nianiek z dziećmi w wózkach czułem się bezpieczny. W Kensington Gardens zespół Armii Zbawienia z werwą grał hymny kościelne. Przez chmury przeświecały blade promienie słońca, złocąc opadłe

liście. Kaczki były się o chleb, psy goniły za rzucanymi im patykami, dzieci kopały piłkę. Wszystko biegło swoim torem, ale wkrótce to się zmieni. Zaserwuję swoim rodakom danie nie do przelknięcia: prawdę, która zmieni smak ich życia.

We wtorek miałem już dość ukrywania się. Wyszedłem z Butę Court przed świtem, z jedną tylko walizką, którą poprzedniego dnia odebrałem z banku. Byłem pewien, że służba na "Leviathanie" doprowadzi mnie do porządku; do tego czasu towarzysze podróży będą musieli jakoś mnie znosić.

Wziąłem taksówkę do Clapham Junction, wsiadłem do pociągu osobowego do Southampton i ukryłem się za gazetą w przedziale trzeciej klasy. Ponury, szary ranek budził się niechętnie, kiedy pociąg sunął z kłopotem przez Surrey i Hampshire. Dojechaliśmy do Winchesteru. Robiłem, co mogłem, żeby nie patrzeć na tablicę z nazwą miasta i nie poddać się wspomnieniom. Maks żądał ode mnie rozsądku, a nie spóźnionego żalu. Pociąg ruszył dalej i wspomnienia przybladły.

Nadal jednak zachowywałem ostrożność. Hotel South Western znajdował się przy stacji Southampton, gdzie pociąg kończył bieg. Nie decydując się na najprostszą drogę, wysiadłem z robotnikami jakieś półtora kilometra wcześniej i resztę drogi przebyłem pieszo, bocznymi uliczkami, kierując się wrzaskiem mew i słono-smolistym zapachem portu.

Kilka statków stało na kotwicy. Widziałem ich kominy między dźwigami i żurawiami, stojącymi wśród biur i składów na Canute Road. Z trzech potężnych kominów, pomalowanych na czerwono, biało i niebiesko, unosiła się para. "Leviathan" czekał, by zabrać na pokład mnie i moją tajemnicę.

Cztery miesiące temu, w pociągu odwożącym do Londynu podróżnych, którzy właśnie zeszli na ląd, Millington, współczesny Jeremiasz, powiedział mi, że na hotelu South Western codziennie o dziesiątej opuszczają kulę wskazującą czas. Usiadłem w parku po drugiej stronie ulicy i paląc papierosa, czekałem na znak, że nadeszła oczekiwana godzina. Za pięć dziesiąta, według mojego zegarka, kulę wciągnięto na maszt. Kiedy opadła, wziąłem walizkę i skierowałem się do wejścia do hotelu.

W prawie pustym holu marmurowe ściany odbijały echem jakieś szepty. Tylko latem panował tu gwar. O tej porze roku jedynie ludzie uparci lub desperaci odpływali do Nowego Świata. Skierowano mnie do apartamentu Quincy'ego na pierwszym piętrze.

- Tak - powiedział recepcjonista. - Pan McGowan spodziewa się gościa. Zapraszam na górę.

Quincy był w smokingu i siedział nad resztkami solidnego śniadania. Przywitał się ze mną serdecznie i pokazał na "Leviathana". Widok, który już wcześniej cieszył moje oczy, teraz oglądałem w obramowaniu wysokich okien.

- To on. Czeka na nas. Wracalem nim do domu pod koniec wojny. Z Liverpoolu. Wtedy miał barwy ochronne i służył do transportu wojska. Nazywano go "Levi Nathan". Dziwnie będzie wsiąść na jego pokład po trzynastu latach, znów z powodu wojny, z walizką pełną jej tajemnic.

Wskazał na walizkę, którą położyłem na stoliku.

- Chcesz rzucić okiem na dokumenty? - spytałem, otwierając ją.

- Nie, nie - zaprotestował. Wstał i przejechał palcami po jakichś papierach i książkach. - W drodze będziemy mieli dość czasu, jeśli rzeczywiście wszystko jest tutaj i dowodzi tego, o czym mówiłeś.

- Wszystko tu jest i stanowi wystarczający dowód.

- To mi wystarcza. Za...

Zapukano do drzwi. Ktoś powiedział:

- Służba.

Quincy uśmiechnął się.

-Zamówiłem szampana. Pomyślałem, że wypada życzyć sobie bon voyage.

- Doskonały pomysł.

- Czemu nie? Mamy powód do radości. - Podeszedł do drzwi, otworzył je szeroko i powiedział: - Wejdźcie, panowie.

To, co nastąpiło potem, stało się tak szybko i nieoczekiwanie, że nie zdążyłem nawet mrugnąć okiem, a już wykręcono mi rękę. Usłyszałem, że zamknięto drzwi. Zobaczyłem przed sobą Faradaya i Visaricia i poczułem na skroni zimny dotyk pistoletu. Wykręcane ramię bardzo bolało. Krzyknąłem, ale wielka dłoń zamknęła mi usta.

- Cicho! - syknął Wisarić. - Nie chcemy hałasu. Pistolet ma tłumik. Użyję też tego. - Podstawił mi pod nos zaciśniętą pięść, z pozoru pustą, kiedy jednak odsunął nieco kciuk, zobaczyłem scyzoryk z dziesięciocentymetrowym ostrzem. -Jeśli będę musiał.

Potem powiedział coś w jakimś słowiańskim języku i wykręcona ręka została uwolniona.

- Rozumiesz? - spytał. Kiwnąłem głową. - To dobrze. Zabrał dłoń z moich ust i zaczął mnie obszukiwać. Szybko znalazł i zabrał mi rewolwer.

- Odbieram to, co zostało ukradzione - ucieszył się. Odszedł ode mnie na kilka kroków i powiedział do Quincy'ego: - Papiery?

- Są w walizce na stoliku.

- Powinniśmy je przejrzeć - powiedział Faraday. Rzucił mi krótkie spojrzenie i dodał: - Na wszelki wypadek, żeby się upewnić, czy niczego nie brakuje.

- Tak - przytaknął Wisarić. - Powinniśmy to zrobić. Milan!

A więc wielki jak szafa osobnik o nogach silnych jak u wołu miał na imię Milan. Wysłuchał instrukcji w języku -jak sądzę - serbsko-chorwackim, zaprowadził mnie, popychając przed sobą, do sypialni i popchnął na krzesło przed toaletką. Wisarić wziął od niego broń. Milan wyciągnął sznur przyniesiony widocznie specjalnie w tym celu, wykręcił mi ręce i przywiązał je do oparcia. Potem wcisnął mi szmatę między zęby, zawiązał ją na karku i przywiązał mi nogi do poprzeczki między nogami krzesła. Węzły były mocne, a sznur tak cienki, że wrzynał się boleśnie, był jednak mocny, żeby uniemożliwić uwolnienie się. Byłem całkowicie bezbronny.

- Tym razem żadnych sztuczek, Horton - powiedział od drzwi Faraday. - Szczęście cię opuściło.

- Dość - powiedział Wisarić. - Liczą się tylko dokumenty. W jego głosie słyhać było cień przygany.

- Oczywiście - odparł pokornie Faraday. - Rzućmy na nie okiem.

Wrócił do salonu. Wisarić poszedł za nim, ale po drodze szepnął coś do Milana.

Milan odczekał chwilę, potem zaczął sprawdzać węzły. Niepotrzebnie się fatygował, bo porządnie wykonał swoją pracę. Mięśnie zaczęły mnie boleć, z kącika ust, gdzie sznur

wrzynał się bardziej boleśnie, zaczęła się sączyć krew. Po pewnym czasie Milan wyprostował się, mruknął z zadowoleniem i wyszedł z pokoju.

Przez kilka minut byłem sam. Żadnego z nich nie widziałem, słyszałem tylko szelest papieru. Jeśli zamierzają mnie zabić, to na co czekają? Ze strachu, wściekłości i złości na siebie szarpałem się, próbując się uwolnić. Krzesło zaskrzypiało, ale było mocne. Wiedziałem, że niepotrzebnie się wysilam, cóż jednak miałem robić? Wpadłem w pułapkę. Nie mogłem, czekać bezczynnie, aż wróci ten osiłek, żeby ze mną skończyć. Nic mi jednak nie przychodziło do głowy. Mogłem co najwyżej rozmyślać nad tym, jak podstępnie zostałem oszukany. Widocznie Quincy od chwili przyjazdu do Wenecji grał podwójną rolę. Jego oburzenie i gniew z powodu tego, co mu wyjawilem, były tylko przekonującym przedstawieniem. Wiedział o wszystkim już wcześniej. Był jednym z nich. Kto - zastanawiałem się - nie jest z nimi? Kilku zarozumiałych głupców, takich jak ja?

W chwili, kiedy o nim myślałem, do pokoju wszedł Quincy, zamykając za sobą drzwi.

- Przykro mi, Guy - powiedział i otarł chusteczką krew z moich ust. - Człowiek nie zna swojej siły ani swoich słabości. - Spojrzał mi w oczy i wyczytał w nich oskarżenie, które rzuciłbym mu w twarz, gdybym tylko mógł. - Cóż, my dwaj chyba już je poznaliśmy.

Minął mnie i usiadł na łóżku, patrząc na moje odbicie w lustrze.

- Faraday i Wisarić będą przez pewien czas zajęci przeglądaniem dokumentów. Pomyślałem, że możemy sobie porozmawiać. To znaczy: ja będę mówił, a ty będziesz słuchał. - Wyciągnął cygaro, zapalił je i oparł się o poduszki. - Przykro mi, że nie mogę cię poczęstować... - Wzruszył ramionami. - Jeśli zastanawiasz się, czy kieruje mną coś oprócz chęci zysku, masz rację. Widzisz, mój ojciec zostawił całą swoją fortunę, razem z większością pakietów akcji kontrolnych McGowan Steel Corporation, mojemu bratu Theo. Theo dobrze mi płaci za to, co robię - a dowiedziałbyś się od niego, że nie robię zbyt wiele - ale jestem od niego zależny i to jest najgorsze. Muszę liczyć na jego hojność, brać pod uwagę jego opinie. W moim wieku nie przychodzi to łatwo, a nawet cholernie trudno. - Westchnął i zaciągnął się cygarem. - Kilka miesięcy temu Faraday złożył mi atrakcyjną propozycję. Przyjąłem ją bez zastanowienia. Chyba mi się nie dziwisz? Powiedział, że działa z polecenia zmartwionych klientów Fabiana. Chcieli odzyskać pieniądze. Ciebie zatrudnili już wcześniej, ale Faraday wolał mieć jeszcze kogoś. Doszedł do wniosku, że członek rodziny, ukochany wujek, może dowiedzieć się od Diany prawdy, nawet jeśli nie udało się to takiemu bawidamkowi jak ty. Zgodziłem się spróbować za sumę zapewniającą mi niezależność od Thea. Pieniądze miałem zainkasować po dostarczeniu towaru. Teraz go dostarczyłem. Faraday przejrzy rachunki i zapłaci mi uzgodnioną kwotę.

Otworzyłem szeroko oczy, ale nie zauważył tego. Myślał tylko o pieniądzach, które dostanie. Nie wiedział tego, czego Faraday dowie się za chwilę - że pieniędzy Charnwooda już nie ma. Nie wspomniałem o tym podczas naszej narady wojennej na górze Box, bo nie wydawało mi się to ważne. Prawda o odpowiedzialności Stowarzyszenia Koncentrycznego za wojnę przyćmiła pamięć o tym, co Charnwood zrobił z

zyskami. Ale nie w wypadku Quincy'ego. Dla niego tylko to było ważne.

- Kiedy przyjechałem do Wenecji, zorientowałem się, że sprawa nie jest aż tak prosta, jak sądził Faraday. Było oczywiste, że Vita i Diana wiedzą, że je szpiegujesz. Dlaczego na to pozwalały? Czyżby nie miały nic do ukrycia? Czy też raczej dlatego, że szukałeś w niewłaściwym miejscu? Z pewnością to drugie. Było oczywiste, że coś ukrywają. Ale nie to, co sądziliśmy.

Sam nie wiem, kiedy zacząłem je podejrzewać. Podejrzliwość narastała powoli, gdy je obserwowałem i zastanawiałem się, dlaczego Wingate przyjechał za Dianą do Wenecji po zamordowaniu jej ojca. Miałem wątpliwości. Drobne, irytujące pytania, pozostające bez odpowiedzi. Wreszcie zrozumiałem: Fabian żyje. To jego ukrywają, a nie pieniądze. Umówiłem się z Faradayem na jachcie Visaricia i przedstawiłem mu swoją teorię. Zgodził się, że pasuje ona do faktów, ale chciał dowodów. Powiedział, że wyśle do willi list adresowany do panny Charnwood (nie wymieniając imienia), z kartką papieru, na której narysuje dwa koncentryczne koła. Powiedział, że ani Diana, ani Vi-ta nie powinny rozpoznać tego symbolu. Gdyby jednak któraś z nich albo nawet obie zrozumiały symbolikę, znaczyłoby to, że Fabian powierzył im tajemnicę, którą mógł zdradzić jedynie człowiek spodziewający się śmierci lub tego, że zostanie uznany za zmarłego. Nie chciał mi wyjaśnić znaczenia tego symbolu. Powiedział, że będzie lepiej dla mnie, żebym nie wiedział. Twoje doświadczenie chyba potwierdza prawdziwość jego słów?

Reakcja Vity na list potwierdziła moją teorię. Byłem przeświadczony, że Fabian żyje i że ma pieniądze. Gdzie mógł być? Vita wiedziała. Diana prawdopodobnie też. Byłem pewien, że wcześniej czy później, któraś z nich zdradzi się nieostrożnym słówkiem. Musieliśmy się uzbroić w cierpliwość. Faraday zgadzał się ze mną. Moje negocjacje z Gregorym zostały z góry ukartowane, żeby bez budzenia podejrzeń wyjaśnić przesunięcie ostatecznego terminu. Nie mieliśmy pewności, czy możemy liczyć na twoją lojalność. Poza tym, im dalej byłeś od prawdy, tym lepiej dla mnie. Nie chciałem, żeby tobie dostała się część nagrody. Ostrzegłem Faradaya, że zacząłeś nawiązywać nieodpowiednie znajomości. Tak przecież było. Niestety miałeś chyba lepszego nosa niż ja. Kiedy wróciłem do domu po tym, jak porwałeś Dianę, Vita była zbyt zdenerwowana, żeby zręcznie kłamać. W obawie, że mnie wyprzedzisz... przy dusiłem Vitę. Szybko rozwiązał się jej język. Musiała wszystko wyśpiewać. Zrozumiała, że gra skończona, kiedy powiedziałem jej, że wiem iż Fabian żyje. Przyznała się do wszystkiego, łącznie ze Stowarzyszeniem Koncentrycznym.

Nie przeczę, byłem wstrząśnięty do głębi. Wojnę światową rozpętał mój szwagier i ludzie, którzy wynajęli mnie do odszukania pieniędzy. Na początku nie chciałem w to wierzyć, ale potem wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Nie tylko z powodu słów Maud na "Lusitanii", ale i z powodu symboliki. Koncentryczne koła, narysowane przez Faradaya; nazwa jachtu Visaricia: "Quadratrice". To termin geometryczny oznaczający koło, które służy do kwadratury innych kół. - Chrząknął. - Pomyśleć, że mój stary powtarzał, iż pieniądze, które wydał na moje wykształcenie, z równie dobrym skutkiem mógł wyrzucić do rzeki. - Roześmiał się wesoło. - Nie bądź taki ponury. Może z kneblem w ustach

trudno ci się uśmiechać, ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Uratowałem cię przed skutkami twojej głupoty. Ciebie i Dianę. Kiedy Vita powiedziała mi, co zamierzacie, zrozumiałem, że to nie może się udać. Nie tylko ze względu na Faradaya i jego zleceniodawców, ale i dlatego, że świat nie zechce słyszeć prawdy. Winę za wojnę ponoszą Niemcy. Politycy powtarzają to od trzynastu lat, więc to musi być prawda. Rzeczywiście wierzyłeś, że pozwolą ci wyjaśnić to nieporozumienie? To sprawa z góry skazana na niepowodzenie.

Jeśli chodzi o Dianę... Widocznie miłość do ojca jest silniejsza od miłości do brata. To miłość zaślepiła ją do tego stopnia, że nie myślała o niczym, tylko o zemście. Ona cię nie zdradziła. Przynajmniej nie w Dublinie. Faraday powiedział, że to ona, żeby odciągnąć podejrzenia ode mnie. Pewnie i po to, żeby dokuczyć Fabianowi. Na pewno nie było to dla niego przyjemne. Vita napisała list do Fabiana pod moje dyktando. To był jedyny sposób, jaki przyszedł mi do głowy, żeby namówić go na spotkanie z tobą w cztery oczy i uchronić Dianę, zdecydowaną wziąć sprawę w swoje ręce. Ciebie mogliśmy się pozbyć, ale Diana... Na miłość boską, jest moją siostrzenicą. Przez pamięć Maud nie mogłem pozwolić, żeby stało się jej coś złego. Kierowała mną nie tylko chęć zysku, ale i uczucia; chociaż przyznaję, że nie one były najważniejsze.

Przesunął się na brzeg łóżka, wychylił za podnózek i położył mi dłoń na ramieniu. Chętnie straciłbym ją, poderwał się z krzesła i wcisnął mu kosztowne cygaro i jego wielkie słowa z powrotem do gardła, ale mogłem sobie pozwolić tylko na niegłośne sieknięcie.

- Byłem zły, kiedy się dowiedziałem o wydarzeniach w parku Phoenix. Nie tylko dlatego, że zabili Fabiana. Obiecałem Vicie, że jeśli Fabian odda dokumenty, będzie bezpieczny, ale chyba nawet ona w to nie wierzyła. Śmierć deptała mu po piętach. Nie złościło mnie, że przez to wszystko mogłem nie dostać obiecanych pieniędzy. Faraday wpadł w Dublinie na twój trop i mogłem się spodziewać, że szybko cię znajdzie. Martwiłem się tylko o Dianę.

Kiedy policja irlandzka zaczęła badać sprawę zastrzelonych w parku Phoenix, znaleźli kierowcę taksówki, który z postoju niedaleko Shelbourne zabrał pasażera i zawiózł go do parku; rysopis zgadzał się z rysopisem mężczyzny, którego widziano uciekającego z miejsca przestępstwa. W Shelbourne okazało się, że oba rysopisy pasują do Anglika zameldowanego pod nazwiskiem Morton, którego poprzedniego wieczoru widziano tam po raz ostatni. Policja dowiedziała się, że pan Morton towarzyszył Angielce, pannie Wood, która nadal przebywa w hotelu. Panna Wood została zabrana na przesłuchanie. Twierdziła, że Mortona znała krótko i nic nie wie o jego sprawach. W końcu pokazano jej trzech zabitych w nadziei, że może któregoś z nich rozpozna, ale nie. Powiedziała, że żadnego z nich nigdy nie widziała na oczy.

Biedna Diana. Zrobiło mi się jej żal. Czekala na mnie cały dzień, nie wiedząc dokąd poszedłem. Potem przyjechała policja z pytaniami, na które bała się odpowiadać. I w końcu pokazano jej ciało Charnwooda leżące na kamiennym Stole; zmarły ojciec, do którego nie odważyła się przyznać.

- Chyba sobie wyobrazasz, że nie było jej łatwo, stojąc w kostnicy, zapierać się znajomości z nim. Ale Diana jest twarda jak diament i zdecydowana. W końcu dali jej spokój i pozwolili odejść. Było to w piątek, mniej więcej o tej samej porze, kiedy zagadnałeś mnie przed bramą Bursztynowego

Dworu. Twoje pojawienie się było odpowiedzią na moje modlitwy. Wpadłeś w moje ręce. Udało mi się to, w czym Faraday zawiódł dwa razy. Zasłużyłem na premię. Musiałem szybko coś wymyślić, ale w tym zawsze byłem dobry. Łatwo popadałem w kłopoty, ale i szybko się z nich wydobywałem. Staruszek o tym wiedział. Miałem więc ciebie, ale bez dokumentów. Połknąłeś haczyk i zgodziłeś się sprzedać dokumenty gazetom w Ameryce. Pozostawało tylko czekać, aż mój podstęp dojrzeje i zaowocuje. Nieźle, co? Nie powinieneś się tym zbytnio martwić, bo nic mądrzejszego nie mogłeś zrobić. Tak było najlepiej. Diana wróciła do Dorking w sobotę, kiedy byłem w Londynie. Vita nie powiedziała jej o liście do Fabiana. Bała się. Nie powiedziała też o tym, że jestem na usługach Faradaya. Diana i tak była ledwo żywa ze zdenerwowania; nie wiedziała, gdzie jesteś i co knujesz, ani też co ma ze sobą robić. Gdy wróciłem z Iver i zobaczyłem, w jakim jest stanie, doszedłem do wniosku, że jest tylko jeden sposób na to, żeby uwolnić ją od podjętych zobowiązań bez ujawniania mojej roli. Vita obiecała mi pomoc. Powiedziałem, że skontaktowałeś się ze mną, opowiedziałeś o wszystkim i zaproponowałeś, żebyśmy wszyscy uciekli z dokumentami do Stanów. Nie potrafiłem jej wyjaśnić, dlaczego poszedłeś na spotkanie z Fabianem bez niej, bo nie mogłem powiedzieć o liście Vity; sam będziesz musiał to jakoś wytłumaczyć. Wymyśl coś wiarygodnego. Nie chcemy... - Przerwał, widząc w lustrze wyraz mojej twarzy. Po chwili uśmiechnął się szeroko. - Jeszcze nie rozumiesz? Wyjeżdżamy: ty, ja, Diana i Vita, w zamian za dokumenty. Wynegocjowałem to z Faradayem i Wisariciem. Diana czeka w kabinie na pokładzie "Leviathana". Powiedziałem, że poleciłeś jej wsiąść na pokład wcześniej i obiecałeś skontaktować się z nią, kiedy wypłyniecie na morze. Vita odpływa jutro "Olympickiem", żeby nie wzbudzać podejrzeń. Diana wie, że mamy się spotkać w Nowym Jorku za tydzień i wówczas zaskoczymy świat naszymi rewelacyjnymi dokumentami. Oczywiście, nie będziemy mieli dokumentów. Zostaną tutaj. Powiesz Dianie, że sprzedałeś je Faradayowi. Znając cię, z pewnością w to uwierzy.

Uśmiechnął się i wypuścił pod sufit dwa kółka dymu. Kiedy zaczęły się rozplýwać, wyglądały jak koncentryczne.

Tak, Quincy - chciałem powiedzieć. - Bardzo sprytnie, ale podstawą twoich planów są pieniądze. A pieniędzy nie ma. Pewnie zaraz ofiarujesz mi jakąś część wymarzonej nagrody, ale fatygowałeś się na próżno. Nic nie dostaniesz. Ani centa.

- Musisz ją przekonać, że to koniec - powiedział, zniżając głos do szeptu. - Gdybyś zniknął razem z dokumentami, nadal żyłaby nadzieją, że uda się jej pomścić matkę; tym bardziej, że teraz mogłaby mścić się również za ojca. Nie dałaby spokoju i w końcu musieliby ją uciszyć. Nie; ona musi uwierzyć, że sprzedałeś dokumenty. Powinna uwierzyć, że jej jedyny sprzymierzeniec jest słabeuszem i musi opuścić Anglię. Tutaj zbyt wiele miejsc budziłoby w niej wspomnienia i miałaby zbyt wiele powodów, by szukać prawdy. W Stanach o tym zapomni, możesz mi wierzyć. Już ja o to zadbam. Możesz mi zaufać, mam w tym doświadczenie. Wystarczy, że powiesz jej, że ją zdradziłeś i możesz zniknąć z jej życia. Zapłacę ci za to. Fabian był ci winien tysiąc funtów. Będziesz zadowolony, jeśli wypiszę ci czek na taką kwotę? Czek, który będzie miał pokrycie. Nawiasem mówiąc, spodziewam się, że znikniesz ze statku, zanim przybijemy do brzegu w Nowym Jorku. Nie

zapomniałeś chyba o sprawie Babcocków? Nie, nie. Jestem rozsądnym człowiekiem. Dziś wieczorem "Leviathan" zatrzymuje się w Cherbourgu. Wsiądź tam. Możesz jechać dokąd zechcesz. Będziesz miał parę groszy w kieszeni. Wystarczy, żeby zagrać w pokera albo usidlić jakąś bogatą wdówkę w Monte Carlo. Nie spodziewałeś się tak pomyślnego końca tej przygody, co? Wszystko zawdzięczasz mnie.

Tak sądzisz, Quincy? Naprawdę w to wierzysz?

-Powiem ci coś w tajemnicy. Tak między nami: Diana chciała wierzyć, że dochowujesz wierności waszej umowie. Pragnęła tego tak mocno, że nie musiałem się nawet wysilać, żeby ją przekonać. Chociaż to, co miałem jej do powiedzenia, i tak brzmiało całkiem dobrze: miłująca prawdę amerykańska prasa, ucieczka na drugą stronę Atlantyku, gorące przyjęcie i wielkie zwycięstwo, wbrew nadziei. Potrafię być przekonujący, jeśli chcę. Ale to nie wszystko. Zdaje się, że ona coś do ciebie czuje. Jeśli mam rację, to jesteś wyjątkowym facetem. Szkoda tylko, że nigdy nie dowiemy się prawdy.

Zastanawiałem się, czy Quincy ma rację. Czyżby, mimo rozdarcia między wątpliwościami i fałszywymi nadziejami, pożądaniem i przewrotnością, coś nas jednak łączyło? W jakim nastroju czeka teraz na "Leviathanie"? Czego się spodziewa po naszym spotkaniu? Czy jestem dla niej kimś więcej, niż ostatnim sprzymierzeńcem? A ona dla mnie?

- Powierzę ci jeszcze jedną tajemnicę. Powiem ci, jakie były ostatnie słowa Maud, kiedy zegnałem ją na "Lusitani". Nie mówiła o Stowarzyszeniu Koncentrycznym, ale o podróży. Przeczuwała, że może jej nie przeżyć. Musiałem jej obiecać, że jeśli coś się jej stanie, będę dbał o Dianę. Bała się, że kiedy jej zabraknie, Fabian może mieć na dziecko zbyt wielki wpływ. Nie miała pewności, czy będzie to dobry wpływ. Okazało się, że miała rację. Nie brałem tego wszystkiego poważnie, ale obiecałem jej. Powinno się dotrzymywać obietnic, prawda? Choćby po szesnastu latach. -Położył się na łóżku i zapatrzył w sufit. W jego głosie słychać było zadumę; widocznie nawet jego cynizm miał swoje granice. - Szkoda, że jej nie posłuchałem. Powiniennem złapać ją za włosy i wyciągnąć na ląd. Możliwe, że nie doszłoby do tego wszystkiego... Ale nie zrobiłem tego. Maudie odplynęła na pokładzie "Lusitani". Godzinę później, czekając na stacji w Penn na pociąg do Pittsburgha, kupiłem "New York Timesa" i przeczytałem niemieckie ogłoszenie: "Podróżnym wybierającym się w podróż na drugą stronę Atlantyku przypominamy, że Niemcy i Wielka Brytania znajdują się w stanie wojny. Wody wokół Wysp Brytyjskich stanowią teren działań wojennych. Statki, płynące pod banderą brytyjską, znajdujące się na terenie działań wojennych, mogą zostać zniszczone, a podróżni płynący nimi biorą na siebie odpowiedzialność..."

Nagle drzwi otworzyły się i wszedł Wisarić, a za nim Faraday. Twarz generała była czerwona i wykrzywiona ze złości. Quincy wstał, patrząc na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem. Jeszcze nie wiedział, dlaczego jego pracodawca jest zdenerwowany. Ale ja wiedziałem aż za dobrze.

- Co się stało?

- Zamknij się! - ryknął Wisarić. - Ten człowiek...

Stanął nade mną z nożem w ręce, wysunął ostrze, złapał za sznurek mocujący knebel, przeciął go i wyciągnął mi szmatę z ust.

- Jego chcę słuchać. Gdzie są pieniądze, Horton? Gdzie?

-Nie...

Uderzył mnie w brodę. Kiedy się odsunął, na pięści miał krew. Ja miałem jej pełne usta.

- Nie mów mi, że nie! - ryknął. - Powiedz, gdzie są, zanim cię zabiję!

- Zaraz! - wtrącił się Quincy. - O co chodzi? Macie przecież swoje rachunki.

- Mamy - powiedział lodowatym głosem Faraday. - Ale nic z nich nie wynika. Charnwood zaksięgował niewiarygodnie wielkie straty; pewnie po to, żeby zatrzeć ślady. Nie wiadomo, co naprawdę zrobił z pieniędzmi.

- Wiadomo - zaprotestowałem. - Wszystko stracił.

- Bzdura. Charnwood był sprytnym finansistą. Nigdy nie popełniłby takich błędów, i to jeden po drugim. To niemożliwe.

- Gdzie są? - powtórzył Wisarić.

- Nie mam pojęcia.

-Gdzie?

- Mówię przecież...

Wisarić zamachnął się, żeby znów mnie uderzyć, ale Faraday przytrzymał go za łokieć.

- Jeśli wie - powiedział łagodnie - musiał to gdzieś zapisać. Przejrzeliśmy wszystkie papiery, które były w walizce, ale mógł przecież wyjąć wcześniej to, co było najważniejsze.

- Bardzo dobrze - mruknął Wiisarić, opuszczając rękę. - Obszukać go.

Faraday przykucnął przede mną i uśmiechnął się.

- W której kieszeni, Horton? Nie chcę grzebać po wszystkich.

- Niczego z walizki nie wyjmowałem.

- Być może, ale w parku, kiedy czekaliście na nas z Charnwoodem, stojąc na szczycie pomnika, zdawało mi się, że widziałem, jak ci coś podaje. Jakiś list? Informacja o tym, gdzie ukrył pieniądze?

Oczywiście. List Charnwooda do Diany. Czy to stanowi jego treść? Nie czule pożegnanie z dzieckiem, tylko numer konta bankowego w Szwajcarii? Możliwe; bardzo prawdopodobne. A ja chciałem go oddać, nie zaglądając do środka.

- W wewnętrznej kieszeni marynarki - powiedziałem, pokazując głową na swoją lewą pierś.

- Dziękuję.

Drgnąłem, kiedy Faraday wsunął palce pod moją marynarkę, żeby znaleźć kopertę. Ta odruchowa reakcja ubawiła go.

- Nie martw się, Horton - uspokoił mnie. - Chcę tylko tego.

Wstał, wymachując listem.

- Jest!

- Prosił, żebym oddał go Dianie - wyjaśniłem. - To list do córki.

- Co zawiera?

- Nie wiem.

Faraday zerknął na pieczęć.

- Nie otwierałeś go?

- Nie.

- Dlaczego?

- Wzruszyłem ramionami.

- Nie zrozumiałbyś tego. :

Faraday uniósł lekko brew, jakby chciał przyznać mi rację, potem otworzył kopertę, wyjął ze środka kartkę i rozłożył ją.

- Charnwooda - mruknął. - Bez adresu, tylko data. Dziesiąty listopada. Dzień przed...

- Co tam jest napisane? - przerwał mu Wisarić.

- Może przeczytam na głos? - odparł Faraday uspokajającym tonem. - Niewątpliwie oprócz ojcowskiego błogosławieństwa znajdziemy tu również informację o tym, co chcemy wiedzieć. *Kochana Diano! Jutro spotkam się z Hortonem w parku Phoenix i oddam mu wszystkie dokumenty Stowarzyszenia Koncentrycznego. Kiedy się o tym dowiesz, pomyślisz pewnie, że chciałem się spotkać tylko z nim, żeby nie musieć się przed Tobą tłumaczyć z tego, co zrobiłem. Ale ja nie jestem tchórzem. Chodzi mi o to, żeby uchronić Cię przed niebezpieczeństwem, które może na nas czyhać. Cokolwiek zdarzy się jutro - a obawiam się najgorszego - powinnaś wiedzieć, że bardzo kochałem Twoją Matkę. Niestety, przyczyniłem się do jej śmierci; co prawda, niechcący. Pośrednio; była to jedna z nieprzewidywalnych konsekwencji wojny. Ale do wojny doprowadziła organizacja, którą stworzyłem i kierowałem. Nie mogę się więc wyprzeć winy. Cięży mi to od lat. Kilka tygodni temu odwiedziłem hrabstwo Vork i stanąłem na Old Head w Kin-sale, by popatrzeć na wody, na których zatoniła "Lusitania", i gdzie - być może - do dzisiaj spoczywa ciało Twojej Matki. Przyznałem się przed nią wówczas do tego, co i Tobie muszę teraz wyznać: dlaczego...*

- Pieniądze! - krzyknął niespodziewanie Wisarić, niszcząc dziwny nastrój, jaki zapanował w pokoju, kiedy Faraday czytał list. - Co z pieniędzmi? Nie chcę słyszeć o Old Head w Kinsale.

Faraday spojrział na niego z ledwo dostrzegalną pogardą, westchnął i powiedział:

- Zdaje się, że zaraz dojdziemy do tego tematu. Mam czytać dalej?

Wisarić nic nie odpowiedział. Faraday zaczął czytać:

...dlaczego to zrobiłem. Dlaczego ułożyłem i wykonałem plan przyspieszenia wybuchu wojny w Europie? Z chęci zysku, jak wierzą moi współspiskowcy? W zasadzie nie. Chyba po to, żeby sprawdzić, czy można to osiągnąć. Żeby się przekonać, czy świadomie sterując biegiem wydarzeń można odmienić historię i przyszłość. Odpowiedzią na moje pytanie była śmierć Twojej Matki. Wiele zmieniłem. Odmieniłem życie milionów ludzi. Ale to o niczym nie przesądziło. Przyspieszyłem śmierć własnej żony. Co dostałem w zamian? Musiałem się przyglądać, jak gromada chciwych - Faraday chrząknął - głupców zbija coraz większe pieniądze... - Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

- Nazywa nas głupcami? - wybełkotał Wisarić.

- Same brednie - odparł Faraday. - Niewiele już tego zostało. Zaraz dowiemy się prawdy. Dałem im pieniądze i władzę; dostali wszystkiego za dużo. Patrzyłem, jak obracali to wszystko na złe. Widziałem też ich chciwość - będącą odzwierciedleniem mojej własnej - w Tobie. To było najtrudniejsze. To w końcu przekonało mnie, żeby odebrać im to, co dałem. Stracić pieniądze można równie łatwo, jak je zarobić - jeśli wiesz, jak to zrobić. W ciągu ostatnich dwóch lat systematycznie traciłem tyle pieniędzy, ile chcieli mi powierzyć. Kupowałem rzeczy bezwartościowe i inwestowałem w przedsięwzięcia z góry skazane na porażkę. Roztrwonilem prawie wszystkie pieniądze - głos Faradaya zadrżał - a w ten sposób zniszczyłem ich władzę... Wielki kryzys... posłużył mi... do realizacji tego zamiaru.

Zapadła pełna niedowierzania cisza. Charnwood nie stracił pieniędzy ani ich nie ukrył. Zniszczył je. Zostały tylko sterty

nic nie wartych akcji i udziały w upadających przedsiębiorstwach.

Po kilku sekundach list wysunął się Faradayowi z ręki i sfrunął na podłogę. Faraday oparł się plecami o ścianę, westchnął ciężko i zamknął oczy.

- Przepadły - mruknął. - Wszystko przepadło.

- Niemożliwe - powiedział Wisarić; jego głos dźwięczał jak dzwon.

- Ale prawdziwe - odparł Faraday. - Myślałem, że sprawozdania zostały... sfalszowane. Teraz widzę, że są przeraźliwie prawdziwe.

- Musiał coś zatrzymać. Jestem tego pewien. Znam jego myśli.

- Chyba jednak nie.

Visarić zaklął i podniósł list.

- Musi być coś jeszcze - ryczał. Ale z jego oczu, przebiegających szybko ostatnie słowa listu, wyczytałem, że się myli. Znów przeklinając, zmiął list i patrząc wprost przed siebie, jakby widział tam twarz Charnwooda, pozwolił mu upaść na podłogę. - Dlaczego to zrobił? Dlaczego?

- Wyjaśnił dlaczego.

- Co mamy teraz robić?

- Nic. - Faraday odsunął się od ściany i złapał Visaricia za klapy marynarki. - Musimy już iść.

-Iść?

- Mamy dokumenty. Nie zostało nic więcej. Pocięchą dla nas może być to, że zachowaliśmy anonimowość.

- Zaraz - wtrącił się do rozmowy Quincy, podnosząc się z łóżka. - A co z moim wynagrodzeniem?

- Udziałem - sprostował Faraday. - Nie ma kapitału, nie ma procentów.

- Nie tak się umawialiśmy. Nie było mowy o...

- Niech pan da spokój, panie McGowan - powiedział Faraday, kładąc mu dłoń na ramieniu. - I niech się pan cieszy, że tak się to dla pana skończyło.

- Mam się cieszyć? Niech mnie diabli...

- Żyje pan. Gdybyśmy znaleźli pieniądze, możliwe, że nie moglibyśmy zostawić przy życiu ani pana, ani Hortona.

-Co?

- Bogaci ludzie zawsze są narażeni na szantaż. Pan nie zadowoliliby się jednorazową zapłatą.

-I tak powinniśmy ich pozabijać - warknął Wisarić. -Znają zbyt wiele nazwisk.

Odwrócił się i zawołał Milana, który po kilku sekundach stanął w drzwiach. Padł na nas jego cień.

- Nie - powiedział Faraday. - To nie Irlandia. To hotel pierwszej klasy. Widziano nas, gdy tu wchodziliśmy. Znajdujemy się w kraju, gdzie ja jestem powszechnie znany, a pan, generale, wielce podejrzany.

- Co mnie to obchodzi!

- Ale mnie obchodzi. Warto było podjąć ryzyko ze względu na to, co spodziewaliśmy się znaleźć. Ale nic nie znaleźliśmy. Ci dwaj panowie zapomną o działalności naszej organizacji. Prawda, Horton? Nie pamiętasz nazwisk ani faktów. Nigdy nie przyjdzie ci do głowy pisać o tych sprawach.

- Nigdy - odparłem, patrząc to na Faradaya, to na Visaricia, dla podkreślenia swojej szczerości.

- McGowan?

Mineła sekunda. Widocznie Quincy zastanawiał się jeszcze. Potem, widząc moje spojrzenie, powiedział:

- Też nie.

- Dobrze. Gdybyście kiedyś chcieli zmienić zdanie, mogłoby was spotkać coś podobnego jak Duggana, który nie chciał zapomnieć tego, co wiedział. Mam nadzieję, że nie popełnicie tego błędu.

- Nie - odparłem z przekonaniem. - Nigdy.

Quincy opadł na łóżko i ze smutkiem pokręcił głową. Faraday skinął na pożegnanie głową i wyszedł, ale Visarić nie był zadowolony. Zrobił kilka kroków, ujął Quincy'ego pod brodę, szarpnął ją do góry i lewą ręką uderzył go z całej siły w głowę u podstawy czaszki.

- Nie pozwoliłem ci usiąść, McGowan - warknął.

- Prze... przepraszam.

- Co zapamiętałeś?

- Nic... całkiem nic.

Visarić trzymał go jeszcze przez kilka sekund.

- W twoich oczach widać strach, panie McGowan. Jesteś takim samym tchórzem, jak tłusty bułgarski wieśniak.

Widziałem, jak Quincy się cofnął, kiedy Visarić splunął mu w twarz. Potem został ciśnięty na łóżko, a generał obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Milan odsunął się na bok, ustępując mu drogi.

- Idziemy - burknął generał, nie oglądając się za siebie.

- Panowie wybaczą - powiedział Faraday, wychodząc za Visarićem. - Miejmy nadzieję, że się więcej nie spotkamy.

Zamknęły się za nim drzwi. Na moment w pokoju zapadła cisza. Potem usłyszeliśmy okrętową syrenę, tak głośną, że w oknie zadźwięczała szyba. Quincy niepewnie stanął na nogi i zaczął macać szczękę, jakby chciał sprawdzić, czy nie została złamana.

- Na miłość boską, rozwiąż mnie.

- Oczywiście.

Kłęknął za krzesłem i zaczął szarpać moje więzy. Przez kilka minut nie odzywaliśmy się do siebie. Nie chcieliśmy rozmawiać. Co mieliśmy sobie do powiedzenia? Dokumenty zabrano. Nie mieliśmy żadnych dowodów. Pieniądzy też nie ma. Dobrze, że uszliśmy z tego z życiem.

Wreszcie miałem wolne ręce. Odsunąłem Quincy'ego i zacząłem rozwiązywać sobie nogi. Quincy wyprostował się i ruszył w kierunku drzwi, ale zauważył na podłodze zmięty list. Usiadł obok niego, plecami oparł się o ścianę, rozprostował kartkę i przeczytał go po cichu, poruszając ustami.

- Czy jest coś, czego Faraday nie przeczytał? - spytałem, rozwiązując ostatni supeł.

- Sam zobacz - powiedział Quincy i podał mi list. Szybko odszukałem wzrokiem ostatnie zdanie, które słyszałem: Wielki kryzys posłużył mi do realizacji tego zamiaru. To jeszcze nie był koniec.

A co z odłożonym kapitałem, z którego mieliśmy żyć? Było tego mniej, niż obie z Vitą sądziłyście. Teraz nie zostało już nic. Pozbyłem się tego, co jeszcze w sierpniu było na koncie. Dlaczego? Ponieważ siedząc tutaj i napawając się klęską moich nieprzyjaciół, nie doznawałem aż takiej przyjemności, jak się spodziewałem. Poza tym, nie mogę dłużej pozwalać, żeby arogancja młodości karmiła się lękiem przed starością. Stała się zbyt podobna do mnie, Diano. Uczyniłem cię współniczką jednego morderstwa i popchnąłem - jak sądzę - do popełnienia następnego. Nie wiem, czy chciałaś zabić Wingate'a. Możliwe, że jego śmierć rzeczywiście była przypadkowa. Tylko Ty znasz prawdę. Nie mogę jednak ryzykować. Nie mogę pozwolić, żebyś stała się gorsza ode

mnie. Przynajmniej to jestem winien Twojej Matce. Jeśli zabiłaś Wingate'a dla pieniędzy, zadbam o to, żebyś nic z tego nie miała. Nie możesz odnosić korzyści z kroczenia drogą, którą ja w życiu wybrałem. Muszę zakończyć to, co zapoczątkowałem. Tak więc, jeśli nawet będziesz w przyszłości bogata, to nie dzięki mnie. Zostawiam Ci tylko jeden podarunek, za to bezcenny: nowy początek, wolny od moich brudnych pieniędzy. Użyj tego daru mądrze, dziecko. Niech Cię Bóg błogosławi. Kochający Ojciec.

- Niewielka pociecha, co? - spytał Quincy, podnosząc na mnie wzrok. - Vita i Diana też nic nie dostaną. A ja nadal będę musiał wysługiwać się mojemu bratu.

Spojrzałem na niego bez sympatii, starannie złożyłem list i zacząłem rozcierać ścierpnięte nadgarstki.

- Pewnie myślisz teraz, że okazałem się głupcem.

- Rzeczywiście; nawet gorzej. - Wstałem i zacząłem przytupywać zdrętwiałymi nogami. - Ale teraz to nie ma znaczenia.

- Chyba rzeczywiście niewielkie.

Nie ruszał się z miejsca. Opierał się o ścianę, wykrzywiając twarz na myśl o smutnym końcu swoich planów i nadziei. Był wstrętny i odpychający. Miałem wrażenie, że zaraz zacznę płakać. Jego pewność siebie, która niedawno była dla mnie źródłem nadziei, znikła i ustąpiła miejsca bezradności i próżnemu żalowi.

Chciałem jak najszybciej wyjść z zadymionego pokoju, w którym on przeżył rozczarowanie, a ja porażkę. Byłem smutny, zły, rozgoryczony. Największa jednak - tak głęboka, że każde inne uczucie bladło wobec tego; gdzieś w głębi serca - była ulga, że już jest po wszystkim.

- Gdzie mój bilet? - spytałem nagle.

-Co?

Quincy nie rozumiał. Jego głos zdawał się dobiegać z daleka.

- Mój bilet.

- Ach... W szufladzie biurka.

Podszedłem do biurka i wysunąłem szufladę. Leżał pod amerykańskim paszportem, wypisany na moje nazwisko, na kajutę pierwszej klasy na "S.S. Leviathan", kupiony, gdy Quincy jeszcze wierzył, że może sobie pozwolić na ekstrawagancję. Wsunąłem go do kieszeni razem z listem Charnwooda i spojrzałem na zegarek. Miałem dość czasu, żeby zdążyć.

- Chcesz... popłynąć?

- Czemu nie?

- Sam nie wiem. Ale... co powiesz Dianie?

- Jak sądzisz?

- Nie... - Spojrzał na mnie błagalnie. - Teraz nie mogę ci zapłacić, ale... Po co mówić jej prawdę? Możesz powiedzieć to, co ustaliliśmy. Przecież ty już jej więcej nie zobaczysz, a my z Vitą... Nie musisz mącić wody.

- Nic nie ustaliliśmy. To ty dyktowałeś warunki. Teraz sytuacja się zmieniła. Jeśli chodzi o to, co powiem Dianie... - stanąłem w drzwiach i spojrzałem na niego - to jeszcze się nie zdecydowałem. W drodze do Ameryki będziecie mieli z Vitą dużo czasu, żeby się głowić, co też mogłem wymyślić. Mam nadzieję, że lubisz niespodzianki.

Ruszyłem do drzwi, ale zaraz się zatrzymałem. Musiałem powiedzieć jeszcze jedno. Nie zasłużył sobie na to, żeby go oszczędzać.

- Wiesz, co jest najgorsze? To, że twój plan mógł się udać. Mogliśmy uciec z dokumentami. Ale ty wszystko popsuleś. Taka okazja już się nie powtórzy. Mnie łatwo mogłeś oszukać, ale zdradziłeś też... ilu to? Sto tysięcy Amerykanów. Myśl o tym, wracając do Pittsburgha. Przypomnij to sobie, kiedy będziesz miał ochotę pouczyć swojego brata, jak powinien kierować firmą. Nigdy nie powiesz mu prawdy. Visaric miał rację. Jesteś tchórzem i zostaniesz nim do końca.

Stałem na pokładzie, kiedy "Leviathan" powoli wypływał z portu, kierując się ku Southampton. Szare niebo wisiało nisko, morze było ciemne i oleiste, a mewy - dziwnie milczące - unosiły się na skrzydłach wiatru. Wielki statek był w trzech czwartych pusty, jak się dowiedziałem, ale mnie się zdawało, że nie ma na nim nikogo. Był opuszczony i smutny, szarpany przez holowniki. Nie było orkiestry, tłumów ani chorągiewek. Było zimno. Listopad panował w przyrodzie i w moim sercu.

Najgorsze czekało mnie przy wybrzeżu Itchen, kiedy wypływaliśmy w morze. "Empress of Britain" stał w porcie błądy jak duch, ale mocny. Lato dawno się skończyło. Odszedł przyjaciel, u którego boku stałem na pokładzie cztery miesiące temu.

"To już chyba koniec?" - miałem wrażenie, że znów słyszę jego głos.

- Spodziewaliśmy się tego - mruknąłem w odpowiedzi. -W każdym razie powinniśmy się spodziewać.

Od chwili opuszczenia pokoju Quincy'ego w South Western, humor mi się nie zmienił. Raczej się ustalił. Byłem wolny i żywy. To powinno wystarczyć, żeby zadowolić człowieka takiego jak ja. A jednak... Miałem w rękach historię, ale odebrano mi ją. Były chwile, gdy czułem się niemal jak Bóg. Ich wspomnienie kusiło mnie teraz. Wygody i bogactwa zdawały się czymś niegodnym pożądania. Nic z tego nie przetrwa. Teraz o tym wiedziałem. Wkrótce Guy Horton znów będzie musiał stać się sobą. Tymczasem jednak czułem się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. Sam na przeraźliwie pustym statku i na bezkresnym morzu.

Na dole, w swojej kabinie, czekała Diana. Poznałem ją, płynąc ku temu portowi. Rozstanę się z nią, wypływając z niego. Koło prawie się zamknęło. Czym je zamkniemy? Prawdą? Czy też ostatnią serią kłamstw? Spacerowałem po pokładzie paląc papierosa za papierosem, czekając, aż Anglia rozmyje się w szarości i będę musiał dokonać wyboru - albo aż wybór zostanie dokonany. Prawda za prawdę; kłamstwo za kłamstwo. Kiedy mijaliśmy wieżę Nab i skierowaliśmy się w stronę kanału, uświadomiłem sobie, że tylko ona może o tym zdecydować.

Czy naprawdę tam jest? Nie byłem tego pewien, kiedy stanąłem za drzwiami kabiny i uniosłem dłoń, żeby zapukać. Wolałbym chyba, żeby jej nie było; żeby przejrzała podstęp Quincy'ego i w ostatniej chwili wysiadła na ląd. Ale nie zrobiła tego. Zanim zdążyłem zapukać po raz drugi, otworzyła drzwi.

Na początku nie było słów. Kiwnięcie głową, błysk w oku, drżenie ust. Potem odsunęła się i wszedłem do środka. Miała na sobie czarną suknię, w której widziałem ją, gdy odjeżdżałem z Burszynowego Dworu po rozprawie. Do fałszywej żaloby dołączył teraz prawdziwy, choć skrywany żal. Kto raz zaczął udawać, musi kontynuować grę. Będzie chciała wiedzieć, kto go zabił. Będzie chciała zrozumieć. Czy powinienem na to pozwolić?

- Nie przyniosłeś dokumentów? - spytała zachmurzona.
- Nie. Musimy być ostrożni. - Odwróciłem wzrok. - Quincy powiedział ci o tym, co wydarzyło się w parku Phoenix?
- Tak, ale nie wyjaśnił, dlaczego poszedłeś na spotkanie z papą beze mnie. Ani też dlaczego... pozwoliłeś, żebym w taki sposób dowiedziała się o jego śmierci.
- Poszedłem sam, bo żądał tego twój ojciec. Nie wróciłem do ciebie, bo Faraday powiedział, że byłeś jego agentką.
- Kłamał.
- Tak; teraz to wiem.
- Skąd papa wiedział, że jesteś w Dublinie?
- Nie mam pojęcia. - Diana mocniej zmarszczyła brwi. -Może pilnował hotelu. Może... - Zirytowany, że nie mogę znaleźć stosownych słów, wyjąłem list i podałem jej. - Prosił, żebym ci go dał. Przepraszam, że jest taki... Nic na to nie mogłem poradzić.
Usiadła w fotelu i rozprostowała kartkę. Kiedy czytała list, zdawała się nie pamiętać o mojej obecności. Podszedłem do okna i zapatrzyłem się w szary horyzont. Mijały minuty. Nagle poczułem, że skończyła czytać. Odwróciłem się. Patrzyła mi prosto w oczy.
- Czytałeś to? - spytała. W jej zmrużonych oczach czaiła się podejrzliwość.
-Tak.
- Nie ma pieniędzy?
- Zdaje się, że nie.
- Ale... - spojrzała na list - dlaczego?
- Wiesz dlaczego, ale nie chcesz w to uwierzyć.
- To nieprawda. Ja... - Znów na mnie spojrzała. - Powiedz mi, kto go zdradził? Skąd wiedzieli, że jest w Dublinie?
- Najpierw ty mi coś powiedz. Odpowiedz na pytania, które postawił w liście twój ojciec. Czy chciałeś zabić Maksa?
- Oczywiście, że nie. Już...
- Nie karm mnie bezmyślnymi kłamstwami. - krzyknąłem rozzłoszczony. - Zastanów się nad tym, co mówisz. Chciałeś go zabić?
- Zdaje się, że jesteś o tym przekonany. Skoro tak, moja odpowiedź nie ma chyba żadnego znaczenia?
- Chcę znać prawdę.
- Powiedziałam ci prawdę.
-Tak?
- Kilka razy. Chyba mnie nie słuchałeś.
- Co to znaczy? Tak czy nie?
-Mam dość tłumaczenia się - rzekła ona. - Szczególnie przed tobą.
- Tak czy nie?
Wstała, upuściła list na stolik i przesunęła dłonią po biodrze. Spojrzała mi w oczy, odwróciła wzrok i znów na mnie spojrzała. Nie otrzymałem odpowiedzi. Nigdy się nie dowiem. Oddychała szybko. Zastanawiała się, jak mnie przechytrzyć, ale wybrała niewłaściwy sposób.
- Gdzie są dokumenty? - spytała nieoczekiwanie. - Mam prawo je zobaczyć.
Te słowa wszystko rozstrzygnęły. Kłamstwo za kłamstwo. W myślach życzyłem jej wszystkiego najlepszego na drodze oszustwa, którą właśnie wybrała.
- Chcę je zobaczyć - domagała się.
- Są rzeczy, których chcesz, ale nie możesz dostać. - Uśmiechnąłem się. - Sprzedałem dokumenty Faradayowi. Nie mam ich. Znikły na zawsze. Razem z pieniędzmi twojego ojca.

-Co?

- Sprzedałem je. Ubiliśmy interes. Nieżle na tym zarobiłem. Dochowując wierności tobie, zostałem bez grosza przy duszy. Zrozumiałem to, kiedy przeczytałem list. Dlatego tak go wymięłem; ze złości. Musiałem się rozejrzeć za czymś innym. Chyba to rozumiesz. - Ubierając kłamstwo w coraz większą ilość słów, czułem się dziwnie zadowolony. Dlaczego nie miałbym pozwolić, żeby nienawidziła mnie, a ufała Quincy'emu? Oszukiwała Maksa często i skutecznie; zasłużyła sobie na to. Nie miała prawa do prawdy. - Powinnaś się po mnie tego spodziewać. Faraday zapłacił tyle, ile zażądałem.

- Mój ojciec oddał życie, żebyś mógł uciec z tymi dokumentami - powiedziała powoli - a ty je sprzedałeś.

- Zgadza się.

- Rozumiem. - Podeszła chwiejnym krokiem do drzwi i oparła się o framugę, nie spuszczając ze mnie wzroku. - Teraz wszystko rozumiem.

-Tak?

- To ty go zdradziłeś. Doprowadziłeś ich do niego.

- Możliwe - wzruszyłem ramionami, zadowolony, że sama dopisuje ciąg dalszy do moich kłamstw. - Niczego twojemu ojcu nie byłem dłużny.

- A oni zapłacili ci lepiej, niż ja bym mogła.

- Właśnie. Pieniądze są ważniejsze od prawdy i urody, bo nie więdną, tylko się pomnażają.

- Łajdak - mruknęła.

- Nazywaj mnie, jak chcesz, ale nie możesz mi zarzucić, że jestem mordercą. Jesteś gorsza ode mnie.

- Zabiłeś go, prawda?

- Jesteś pewna?

- Odpowiedz mi.

- Nie, nie odpowiem - pokręciłem głową i uśmiechnąłem się. - Mam dość tłumaczenia się. Szczególnie przed tobą.

Słyszając, że powtarzam jej słowa, wbiegła nagle do sypialni i znikła mi z oczu. Podeszedłem do drzwi i zobaczyłem, że sięga po torebkę, leżącą na stoliku przy łóżku. Kiedy się odwróciła, w prawej ręce trzymała pistolet. Zdażyłem już o nim zapomnieć, ale Diana pamiętała. Wycelowała we mnie.

- Nie! Na miłość boską! Kłamałem...

Z zaciętą twarzą, zrozpaczona, nacisnęła spust, ale usłyszeliśmy tylko ciche stuknięcie. Nacisnęła ponownie i znów tylko stuknięcie. Zajrzała do lufy i wściekłość wykrzywiła jej twarz. Widziałem, że pomyślała to samo co ja. Quincy i Vita znaleźli rewolwer i wyjęli naboje. Pewnie myśleli o jej bezpieczeństwie, ale to mnie uratowali życie.

Podeszedłem do niej, wyjąłem pistolet z jej dłoni i wsunąłem go do kieszeni marynarki. Oddychała szybciej ode mnie, wstrząśnięta - jak mi się zdawało - własną pomyłką, zaskoczona dwiema rzeczami, do których nie przywykła: niepowodzeniem i bezradnością.

- Miałaś szczęście - powiedziałem, siląc się na spokój. - Ja chyba też.

- Wynoś się!

Jej głos był władczy, ale cichy.

- Z przyjemnością.

- W przyszłości trzymaj się ode mnie z daleka.

- Nie martw się, wysiadam w Cherbourg. Wkrótce się mnie pozbędziesz na dobre.

Spojrzała na mnie pierwszy raz od chwili, gdy próbowała mnie zabić. Złość jej minęła, ale pozostała nienawiść oraz pierwsze poruszenie czegoś nie nazwanego.

- Chciałeś mi przed chwilą powiedzieć, że kłamałeś?

-Tak.

- Ale to nieprawda?

- Oczywiście, że nie.

Chciała mi wierzyć, ale w jej oczach dostrzegłem lekki cień niepewności; niejasne podejrzenie, że wywiodłem ją w pole. I niechętną myśl, że nigdy nie będzie miała pewności.

- To nie mogła być prawda - dodałem.

Szarpnęła się, podeszła do okna, zacisnęła pięści i wyjrzała na morze. Patrząc na jej ramiona zrozumiałem, że nie ruszy się stamtąd, dopóki nie wyjdę. Między nami wszystko skończone. Żadne z nas nie wygrało. Żadne nie chciało się przyznać do porażki. Chyba, że przed samym sobą.

Odwracając się do drzwi, spytałem jeszcze:

- Czy potrafiłabyś sobie wyobrazić, że to może być prawda?

Wróciłem na pokład i wyrzuciłem pistolet za burtę, w spienioną wodę. Potem kilkakrotnie okrążyłem pusty pokład, marząc o tym, żeby mieć już tę podróż za sobą i żeby dzieliło mnie od Diany coś więcej niż drzwi i wąskie schody.

Byłem przekonany, że nie opuści swojej kajuty, dopóki będę na pokładzie, ale na wszelki wypadek schroniłem się w zarezerwowanej dla mężczyzn palarni z wielkimi oknami skierowanymi na dziób. Wkrótce spodziewałem się ujrzeć w nich Cherbourg. Na początku miałem całe pomieszczenie tylko dla siebie i chociaż, z szacunku dla ustawy Volsteada, w karcie widniały tylko takie specjały jak sarsaparylla i woda gazowana o smaku cytrynowym, kelner przynosił mi mocnego manhattana, ilekroć o to poprosiłem.

Piłem właśnie trzecią szklanekę, kiedy na krzesło obok mnie zwałił się gruby jak beczka i złowroźnie przyjazny Amerykanin.

- Niewielu pasażerów - oświadczył. - Miło kogoś widzieć. Objąłem się po salonie, zwanym tutaj pokojem gościnnym, jak ziarno fasoli w bębnie.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Nie powinni określać tego miejsca mianem "gościny".

-Nie?

- Pan jest Brytyjczykiem, prawda?

- Tak - odparłem ostrożnie.

- Sądząc po akcencie, otrzymał pan solidne wykształcenie. Klasyczne. Mitologia grecka i tak dalej.

-Cóż...

- Może zechce mi pan pomóc? Przyglądałem się malowidłom na ścianach nie-gościnnego pokoju - roześmiał się w próżnej nadziei, że się do niego przyłączę. Po chwili podjął, wcale nie zmieszany: - Jest ich cztery. Powiedziano mi, że przedstawiają historię Pandory. Wie pan? Puszka Pandory.

- Wiem.

- Zastanawiałem się...

Przerwał, kiedy podszedł kelner. Poczulem do niego odrobinę sympatii, kiedy zamówił dużą whisky Jack Daniels.

- Tak, zastanawiałem się nad tym... Była ciekawa i otworzyła puszkę, prawda?

- Mniej więcej.

Jak Charnwood - pomyślałem. Zrobił to z czystej ciekawości. Chciał wiedzieć, co znajdzie pod wieczkiem z napisem "WOJNA".

-I wypuściła całe zło świata?

- Tak; wszystkie nieszczęścia: starość, choroby, szaleństwo, pożądliwość, chciwość, zazdrość i całą resztę.

- Do tego czasu ludzkość była od nich wolna?

- -Tak. , - W takim razie, co by się stało... gdyby ich nie wypuściła?

- Gdyby nie wypuściła?

-Tak.

- Nie doświadczałibyśmy tych rzeczy.

- Nie wiedzielibyśmy, jak wyglądają rzeczy, o których pan powiedział? Starość, choroba, szaleństwo, chciwość i tak dalej?

- Właśnie.

- Życie byłoby... doskonałe?

-Tak. Chociaż... - Nagle zrozumiałem. Charnwood widział, że świat znajduje się na skraju wojny, i przyspieszył jej nadejście. Gdyby jednak tego nie zrobił, świat by się nie cofnął. W końcu i tak wybuchłaby wojna. - Chociaż - podjąłem - gdyby Pandora nie otworzyła puszek, zrobiłby to ktoś inny.

- Nie było nadziei, że pozostanie zamknięta?

- Sądzę, że nie. - Uśmiechnąłem się, rozmyślając nad nieświadomą ironią jego słów. - Widzi pan, jednym z nieszczęść, zamkniętych w środku była Nadzieja. Mój rozmówca skrzywił się.

- Dlaczego Nadzieja miałaby być zamknięta?

- Ponieważ zawsze kłaniała. Wierna sobie, gdy została uwolniona, zwiódła ludzkość i przekonała nas, że możemy pokonać pozostałe nieszczęścia. Nie można ich pokonać, ale nadzieja, że to jest możliwe, czyni życie znośnym.

- Więc jednak Nadzieja zrobiła coś dobrego?

- Chyba tak.

Kiedy podszedł kelner, spojrzałem w okno, na mętne niebo. Było rozległe, szare i puste, jak moja przyszłość. A jednak...

- My jesteśmy najlepszym dowodem: ciężko doświadczeni, ale uparcie optymistyczni śmiertelnicy.

-Tak?

-Nawet jeśli zdarzy się najgorsze... nadal spodziewamy się najlepszego.

- Wypiję za to.

Uśmiechnął się i uniósł szklanę, zachęcając i mnie do spełnienia toastu. Zrobiłem to, kierując się bardziej nadzieją, niż realnymi możliwościami.

Cztery godziny później stałem na rufie statku pomocniczego z Cherbourga i odpływałem od "Leviathana". Potężna, ciemna burta unosiła się nade mną, spoglądając iluminatorami, przypominającymi setki nieustannie otwartych oczu. Byłem ciekaw, czy Diana stoi w jednym z lśniących złocistym blaskiem, okrągłych okienek, przyglądając mi się? Nie wiedziałem. Gdyby nawet patrzyła, i tak by mnie nie rozpoznała. Z tej odległości byłem tylko jakąś postacią o niewyraźnych kształtach, spoglądającą w górę z maleńkiego, oddalającego się stateczku. To, co czuliśmy, co widzieliśmy, w co wierzyliśmy, było dla drugiego równie niejasne jak tego dnia, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jest za późno, żeby to zmienić. Ja wsiądę do pierwszego pociągu i pojedę do Paryża, a ona popłynie do Nowego Jorku. Przyszłość jej i moja

będą się od siebie oddalały coraz bardziej. Nie spotkamy się już nigdy.

Zakończenie

Pierwsze tygodnie po ucieczce z Anglii wypełniła mi ciągła i bezcelowa zmiana miejsca; ujawniły one prawdę, której nie chciałem i nie potrafiłem przewidzieć. Przez lata współpracy z Maksem i dzięki wygodnemu dla nas układowi z Babcockami, przyzwyczailem się prowadzić życie samowystarczalnego wędrownego oszusta. Miałem zdrowe odruchy, ale podejrzanе reakcje. Samotność i świadomość własnej omyłności rozstrajały mi nerwy. Miałem coraz mniej pieniędzy, moja przyszłość rysowała się w ciemnych barwach, traciłem pewność siebie.

Potem wspomnienia zdobyły nade mną władzę, jakiej nie miały nigdy dotąd; ciągnęło mnie do miejsc zapamiętanych z minionych dni: do Wenecji, do opustoszałej willi na Lido i samotnego grobu na Isola di San Michele. Zimą za dnia włączyłem się po osnutym mgłą mieście albo pływałem vaporetti, nocami zaś bezskutecznie próbowałem szczęścia w kasynie. Wiedziałem, że powinienem wyjechać, ale nie miałem dokąd. Z jakiegoś powodu trudniej mi było zostawić Maksa po śmierci niż zdradzać go za życia.

W połowie stycznia wszystko to się zmieniło, bo poznałem w kasynie Francesca Cotanariego, zamożnego handlarza bizantyjskich antyków. Nie należał do weneckiej elity, podobnie jak ja nie byłem niezależnym finansowo dżentelmenem. Po pewnym czasie przestaliśmy udawać i stwarzać fałszywe pozory, i okazało się, że jesteśmy ulepieni z jednej gliny. Antyki Francesca były równie fałszywe, jak jego szlacheckie pochodzenie. Szukał właśnie pomocnika, który odbierałby objets d'art anciens z wytwórni w Istambule i udawał znajdującego się na rzeczy kolekcjonera, ilekroć klient będzie potrzebował rywala, żeby się zdecydować na kupienie trzynastowiecznej ikony. Z radością przyjąłem jego propozycję. Tak zaczęła się znajomość, która wprawdzie nie utuliła mojego żalu, ale pozwoliła mi pospłacać długi.

Praca była dochodowa, ale krótkotrwała. Telegram od kochanki i sekretarki Francesca - której wdziękom pewnego razu nie udało mi się oprzeć - ostrzegł mnie pod koniec kwietnia w Stambule, że Francesco został aresztowany w Rzymie po sprzedaży przyjacielowi Mussoliniego pochwy miecza, noszonej niegdyś podobno przez cesarza Andronika I Komnena. Pod żadnym pozorem nie mogłem wracać do Wenecji.

Dokąd miałem się udać? Włączając się po Bułgarii i Jugosławii z kieszenią pełną pieniędzy, ale bez żadnego celu, zatrzymałem się na kilka dni w Sarajewie, spokojnym i niedorzecznie pięknym mieście otoczonym zielonymi wzgórzami, pełnym kwitnących śliw i wiosennego słońca. Zwiedziłem pokój recepcyjny w ratuszu miejskim, gdzie arcyksiążę Ferdynand z małżonką zjedli obiad w niedzielę, dwudziestego ósmego czerwca 1914 roku. Przeszedłem Appelkai do miejsca, gdzie po południu zostali zabici, zanim zdążyli strawić obiad. Byłem na skrzyżowaniu, na którym samochód zjechał z wytyczonej trasy, by stało się zadość życzeniu Fabiana Charnwooda. Spotkałem w kawiarni starszuka, który opowiedział mi o tym, co wydarzyło się tamtego dnia, wykazując się większą przenikliwością, niż sam sądził.

- Nikt tego nie powiedział, ale my wiedzieliśmy, że następca tronu zginie. W Sarajewie czekało na niego więcej zabójców niż było strażników.

Razem ze spiskowcami czekało Stowarzyszenie Koncentryczne, pragnąc wreszcie zacząć liczyć zyski, jakie miało mu przynieść to sztuczne przyspieszenie katastrofy. Pieniądze sływały do ich kieszeni aż do maja 1932 roku - a nawet dłużej.

Kilka dni później, w pociągu z Belgradu do Wiednia, zacząłem grać w pokera z kilkoma dobrze ubranymi pasażerami, z których jeden tak przypominał Faradaya z wyglądu i zachowania, że nie mogłem się oprzeć pokusie i oszukałem go przy pierwszej nadarzającej się okazji, ogrywając go doszczętnie. Był to godny politowania akt zemsty za cudze winy, który przyniósł zgoła nieoczekiwany efekt. Sympatyczny, ale uważny Australijczyk, który również przegrał, dogonił mnie na Sud-Bahnhof w Wiedniu i zaprosił na kolację do swojego hotelu. Przedstawił się jako Donald Beaumont, milioner, bukmacher i hotelarz. Zamierzał rozpocząć działalność jeszcze na innych polach i - jak zrozumiałem - przydałby mu się dobroduszy Anglik, który potrafiłby sobie poradzić w nie sprzyjającej sytuacji. Krótko mówiąc, zaproponował mi pracę. Nie powiedział wyraźnie, jaki będzie zakres moich obowiązków, ale oferował godziwą płacę. Dał mi dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji.

W nocy próbowałem pójść śladami Duggana i pułkownika Broscha po ich spotkaniu nad kanałem, dwudziestego czerwca 1914 roku, ale nie udało mi się. Ślady ich kroków zatarły się, podobnie jak ich tajemnice. Łatwiej i bezpieczniej było udawać, że nigdy nie rozmawiali ze sobą ani ze mną. Nadszedł czas, żeby porzucić zwietrzały trop i zacząć nowe życie w kraju, gdzie nie znam nikogo i nikt nie zna mnie. Nazajutrz przyjąłem propozycję Beaumonta.

Tak więc w okolicznościach, których wcześniej nie przewidywałem, wróciłem do Anglii. Zarezerwowałem miejsce na "S.S. Orama", odpływającym z Londynu do Brisbane w sobotę, dwudziestego piątego czerwca. Do Londynu przyjechałem w czwartek, szesnastego. Miałem zaledwie tydzień, żeby pożegnać się z rodziną. Bożonarodzeniowa kartka z Wenecji bez adresu zwrotnego - to było wszystko, co zrobiłem, żeby nie stracić z nimi kontaktu po tym, jak siedem miesięcy temu zostawiłem Maggie w holu hotelu w Letchworth. Jak zawsze, moje wyjaśnienia z konieczności byłyby równie trudne do przyjęcia, jak przeprosiny. Może dlatego postanowiłem najpierw odwiedzić Feliksa. Przynajmniej on ucieszy się na mój widok.

Kiedy jednak pojechałem nazajutrz pociągiem do Napsbury, ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiedziałem się, że Feliksa nie ma w szpitalu.

-Został wypisany w styczniu - poinformowała ranie przełożona pielęgniarek.

- Wypisany?

- Przeniesiono go do kliniki Barbazon.

- Gdzie?

- To prywatny szpital w Londynie. Cieszy się doskonałą opinią. Oczywiście, gdybyśmy my mogli poświęcić naszym pacjentom tyle uwagi co oni...

- Mówi pani, że Barbazon to szpital prywatny?

- Oczywiście. Bardzo drogi. Stawki są astronomiczne, ale jest za co płacić, jeśli ktoś może sobie na to pozwolić.

Przecież ani moja siostra, ani ojciec nie mogli sobie na to pozwolić. Przedziwna tajemnica. Pojechałem taksówką do Hartfield i wsiadłem w pierwszy pociąg do Letchworth. Na miejsce dojechałem o wpół do czwartej. Poszedłem między szeregowymi domkami w kierunku szkoły, wołałem bowiem poczekać na Maggie przed bramą, niż spotkać się z ojcem sam na sam w Pogodnej Polanie. Popołudnie było upalne, a Letchworth spokojne aż do znudzenia. Drzewa w parku miały młode liście.

Kiedy doszedłem do szkoły, niektórzy z najmłodszych obywateli miasta, w krótkich spodenkach lub letnich sukieneczkach, zaczęli już wychodzić. Poznałem zaparkowany na boisku samochód Maggie. Oparłem się o niego, zapaliłem papierosa i czekałem. Przyszła po kilku minutach, z naręczem zeszytów, przybita codziennymi nauczycielskimi troskami. Nie wyglądała na zaskoczoną moim widokiem.

- Widziałam cię przez okno - wyjaśniła, całując mnie w policzek. - Zawsze pojawiaasz się bez zapowiedzi, więc szybko zapanowałam nad zdziwieniem. Kierownik myślał, że jesteś moim chłopakiem.

- Masz chłopaka... z którym można mnie pomylić?

Pogroziła mi palcem.

- Nie myśl, że uda ci się mnie zagadać. Gdzie byłeś tyle czasu?

- Dostałaś kartkę z Wenecji?

- Tak. Niewiele się z niej dowiedziałam. Napisałam do konsulatu brytyjskiego, ale nie wiedzieli, gdzie można cię znaleźć.

- Dlaczego chciałaś się ze mną skontaktować? W sprawie Feliksa?

- Och! - Teraz ją zaskoczyłem.

- Wiesz o tym?

- Właśnie przyjechałem z Napsbury.

-Rozumiem.

- A ja nie rozumiem. Możesz mi to wyjaśnić?

- Oczywiście - uśmiechnęła się. - Coś ci powiem. Kiedy się spotkaliśmy ostatnio w hotelu, zostawiłaś mnie niespodziewanie. Zaprosz mnie teraz na herbatę, a opowiem ci o wszystkim.

- Nie możesz opowiedzieć mi tutaj?

- Nie - uśmiechnęła się filuternie. - Nie chcę, żebyś mnie znów nagle zostawił.

Jadąc przez miasto, mijając fabrykę Goddess i inne kamienie milowe mojej ponurej młodości, Maggie wychwalała klinikę Barbazon i opowiadała o postępach, jakie robi Feliks. Nie powiedziała jednak nic o przyczynach przeniesienia go z Napsbury, ani skąd wzięły się pieniądze na opłacenie kosztownego leczenia; zaczęła mówić, dopiero kiedy usiedliśmy w sali klubowej hotelu i przyniesiono nam herbatę z rostkami. Tam, wśród białych serwetek i foteli obitych skórą, gdy srebrne łyżeczki brzęczały z godnością, odkładane na spodeczki z cieniutkiej porcelany, a słońce rozświetlało łagodnie koronkowe firanki, dokonałem ostatniego i najmniej oczekiwanego odkrycia.

- Powód, dla którego mogliśmy zapewnić Feliksowi jak najlepszą opiekę, jest prosty. Widzisz, Feliks jest bogaty. Jego pieniędzmi dysponują zarządcy, do których zaliczam się ja, pełnomocnik jego dobroczyńcy...

- Nie rozumiem. Jakie pieniądze? Jaki dobroczyńca?

- Zdaje się, że to ktoś, pod czym dowództwem Feliks służył w czasie wojny. Niedawno dowiedział się o chorobie Feliksa i ofiarował na jego leczenie trzydzieści tysięcy funtów.

- Trzydzieści tysięcy? - To chyba jakiś książę. - Kto? Kto to taki?

- Nie wiemy. Ofiarując te pieniądze, zastrzegł sobie, że chce pozostać anonimowy. Jego prawnik, pan Grogan, został zobowiązany do zachowania tajemnicy. Usiłowałam go podpytywać, ale nic nie chce powiedzieć. Skontaktowałam się nawet z dowódcą Feliksa z Hertfordshire. Nie przypomina sobie, by jakiś oficer był tak bogaty i przywiązany do Feliksa, żeby mógł zrobić coś podobnego.

- Kiedy się o tym dowiedziałas?

- W listopadzie. Kilka tygodni po twoim zniknięciu. Pan Grogan napisał do nas z Dublina. To była wielka niespodzianka.

- Z Dublina?

- Tak Dlaczego cię to dziwi?

Wyjrzałam za okno. Powietrze było nieruchome, ale firanka łopotała lekko, jakby unoszona lekkim powiewem. O co pytał Charnwood podczas obiadu w klubie Ambasador? Co mu odpowiedziałem?

- Gdyby mógł pan zmienić jedną rzecz, którą przeszłość uczyniła niemożliwą, co by to było?

- Zwróciłbym zdrowie mojemu bratu, Feliksowi. Stracił rozum na wojnie.

- Tak, wojna. Zawsze ta wojna.

- Nic ci nie jest? - spytała Maggie, kładąc dłoń na moim rękawie. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Nazajutrz po południu Maggie zawiozła mnie do kliniki Barbazon w Roehampton. Mój ojciec został w Letchworth; powiedział, że ma rozwolnienie. Może mówił prawdę? Przy śniadaniu z ulgą stwierdził, że przynajmniej nie ma za syna dyrektora ze Stiffkey. Biorąc pod uwagę fakt, że wyczytał właśnie w gazecie, iż dyrektor wkrótce stanie przed sądem za niemoralne traktowanie nastoletnich uczennic, nie był to wielki komplement. Niemniej odniosłem wrażenie, że wiadomość o posadzie w Australii - kiedy wreszcie o tym powiedziałem - ucieszyła go.

Feliks był mniej niespokojny - chociaż nie zdrowszy. Od lat nie był tak szczęśliwy. W Barbazon zajmowano się pacjentami z wielką troską. Na każdym kroku było widać, że nie szczędzi się niczego, co może służyć ich dobru. Wypiliśmy razem herbatę na wypielegnowanym trawniku, w atmosferze przypominającej raczej najwyższej klasy hotel niż szpital dla wariatów. Mimo że siedzieliśmy pod drzewami, Feliks ani razu nie wspomniał, że z góry ktoś nam się przygląda.

- Doskonale daje sobie radę - powiedziała Maggie po południu, w drodze do domu. - Lekarze są z niego zadowoleni.

- Powinni być.

- A jednak to dziwna sprawa z tym jego dobroczyńcą. - Maggie pytała Feliksa, czy przypomina sobie jakiegoś do wódce z czasów wojny, który ma wobec niego dług wdzięczności; Feliks nie przypominał sobie nikogo takiego. - Sądzisz, że się kiedyś dowiemy?

Wzruszyłem ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Kimkolwiek by był, zrobił dla Feliksa więcej, niż my mogliśmy zrobić. Jeśli w zamian życzył sobie zachować anonimowość, chyba powinniśmy mu na to pozwolić.

- Chyba tak, ale... człowiek jest ciekawy. Nic na to nie poradzę.

Zachodzące słońce odbijało się od wody i świeciło mi prosto w oczy, kiedy przejeżdżaliśmy przez most Putney. Przypomniałem sobie spacer z Dianą po Bishop's Walk, jakby to było jakieś na wpół zapomniane przeżycie z poprzedniego wcielenia.

- Nic nie możesz na to poradzić? - spytałem. - Ja chyba mogę. Zostawiliśmy most za sobą. I wspomnienie uleciało.